

„Literacki majstersztyk: w oparciu o matematykę i teorię chaosu Rosen tworzy przeraźliwie logiczną, międzynarodową intrygę i zestawia ją z wielkimi moralnymi i teologicznymi pytaniami.”

„Library Journal”

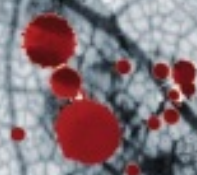
LEONARD ROSEN

To prawdziwy klejnot: genialny kryminał dla ludzi myślących.

„Kirkus Reviews”

GŁOSY CHAOSU


AMBER



Spis treści:

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Część I](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[Część II](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[Część III](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[Część IV](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Źródła cytatów i ilustracji](#)

[Przypisy](#)

LEONARD ROSEN

**GŁOSY
CHAOSU**

Przekład
MACIEJ NOWAK-KREYER



Redakcja stylistyczna
Anna Tuchowska

Korekta
Joanna Egert-Romanowska
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Richard Nixon/Arcangel Images

Zdjęcie autora:
ARSMAGNA

Tytuł oryginału
All Cry Chaos

Copyright © 2011 by Leonard Rosen
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

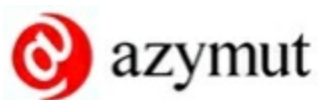
ISBN 978-83-241-4757-1

Warszawa 2013. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Publikację elektroniczną przygotował:



Esther i Sidneyowi
— *moim fundamentom,*
a także Matthew, Jonathanowi i Lindzie
— *moim oknom i lufcikom.*

*W Świątyni wszyscy rzeką „Chwała!”
Na ulicach wszyscy krzyczą „Chaos!”
Kto zdoła ujrzeć ład w wichurze?
Kto zdoła ujrzeć wzór pośród dzikości?
Kto wazy się wołać „Chwała” pośrodku chaosu?*

R. Shapiro Na Psalm 29

Prolog

Nie był w stanie od razu podejść do tego grobu. Henri Poincaré wędrował po cmentarzu Montparnasse tak długo, aż mrok zaciągnął go do miejsca, gdzie słyszał kłębiące się dusze, wzywające jego imię.

Przychodził tutaj od trzynastu lat, krążąc wokół pomników filozofów, artystów i naukowców — bohaterów Republiki. Kiedyś jako młody inspektor wierzył, że może pewnego dnia spocznie wśród nich, obok pradziadka, w nagrodę za służbę dla kraju i umiłowanie sprawiedliwości. Ambicje miał tak wielkie, że pchały go nie tylko do rozwiązywania zagadek, lecz także rozwiązywania ich ze śmiałością i inteligencją godnymi jego nazwiska.

Jakim był głupcem! Teraz, aby przywrócić to jedno życie, tysiąc razy oddałby własne. Sprzedałby duszę. Jednak ani układ z diabłem, ani nawet samobójstwo nie zdołałyby przekreślić jego egzystencji. Poincaré przeżył i skrzywdził tych, których kochał, czego najstraszniejszy dowód leżał w cichym zakątku cmentarza.

I dlatego właśnie spacerował tak długo, aż wreszcie stanął nad mogiłą, skryty w półcieniu.

Chmury kłębiły się, drzewa jęczały. Właśnie tak mógłby odmierzać swoje życie: co tydzień nocny pociąg z Dordogne, przyjazd w południe, potem czyszczenie granitu oraz zmiana starych kwiatów na nowe. Ktoś inny uprzątnąłby śmieci sprawnie, w kilka chwil, jednak Poincaré brał miotłę z szopy cmentarnego stróża i zamiatał przez godzinę. Pozbył się teraz ostatniego, przyniesionego wiatrem śmiecia, zdziwiony, że znowu przyszła wiosna. Nie pojmował, dlaczego wciąż kwitną narcyzy. Jednak kwitły... nawet tutaj, na cmentarzu. Wróciły ptaki, a drzewa wypuszczały liście. To powinno nieść ukojenie.

Ukląkł i zdrową ręką położył na grobie świeże lilie.

— Moje kochanie — powiedział. — Zabili niewłaściwą osobę. Powinni zabić mnie.

Część I

Gdzie jest droga do spoczynku światła?

A gdzie mieszkają mroki (...) ¹

Księga Hioba (księga 5, werset 15)

1

Henri Poincaré wchodził do aresztu śledczego spięty, czekając na łomot stalowych drzwi, wywołujący u niego doznania nieco podobne do dyzenterii, którą niegdyś zaraził się w Senegalii po wypiciu brudnej wody. Długa praca w zawodzie sprawiła, że nie były mu obce więzienne korytarze, jednak uderzenie stali o stal wciąż aż rozrywało od środka, jakby usiłując go zabić — i na swój sposób zabijało, przy każdej wizycie. Szantażyści, fałszerze, oszuści finansowi, mordercy, ludzie, którzy z miłości do pieniędzy bez wahania odebraliby życie, ale też fanatycy, zrozwaczeni, gdyby zabili mniej niż pół setki osób. Zamknięci w klatkach, przekonani, że są kimś wybitnym, lecz niezrozumianym, uważali, że fakt, iż coś wyrwali światu, ma swoje głębokie uzasadnienie. Zdaniem Poincarégo, zasłużyli na to, by codziennie słyszeć łomot tych drzwi. Większość z nich zasłużyła też na siebie nawzajem.

Innymi słowy, Stipo Banović miał odpowiednie towarzystwo.

Piętro aresztu przecinały snopy światła, niczym w katedrze padając z wysokich, nieotwierających się okien, do środka docierało jednak niewiele z holenderskiej wiosny. To było więzienie, a oddział zarezerwowano dla swoistych gwiazd, zbrodniarzy wojennych oczekujących procesu przed międzynarodowym trybunałem w Hadze. Cztery miesiące temu, po długich poszukiwaniach, które zawiodły Poincarégo do sześciu krajów oraz na dwa kontynenty, detektyw odnalazł Stipa Banovicia, mieszkającego na przedmieściach Wiednia wraz z młodą żoną, córką i synem. Wieczorem, kiedy ludzie z taranami roztrzaskali drzwi wejściowe, Banović czytał właśnie dzieciom bajki na dobranoc. Siedziały mu na kolanach, na bujanym fotelu przy kominku. Istny obraz rodzinnego szczęścia — tyle że w innym życiu Banović osobiście dokonał masakry siedemdziesięciu muzułmańskich mężczyzn i chłopców oraz brał w niej udział — niektóre ofiary były młodsze od kędzierzawych aniołków na jego kolanach. Żona Banovicia płakała rozdzierająco, płakały też dzieci, on zaś wykrzykiwał w doskonałym angielskim, chociaż z mocnym akcentem: „Nie widzicie, że zacząłem wszystko na nowo? Teraz prowadzę dobre życie!”

Jednak nie do Poincarégo należała decyzja. Przed przydzieleniem mu tej sprawy, przełożeni z lyońskiego Interpolu wysłali go do jaru, w którym znaleziono ciała. W Byłej Jugosławii nastąpiła wtedy wiosna, topniejący śnieg zmieniał podróż w błotnistą udrękę. Dzień był jednak rześki, kiełkowało zieleni, szum strumieni zwiastował wszędzie możliwość życia. Wszędzie, tylko nie w zacienionym jarze, gdzie spokój zbielałych kości oraz łopot strzępów ubrań powalił Poincarégo na kolana. Nie do niego należała decyzja, czy należy wybaczyć. Zwyczajnie zrobił swoje, a teraz swoje zrobią sądy.

Zajmował się już teraz czymś innym, nadzorował w Amsterdamie zabezpieczenie ministerialnych spotkań WTO, Światowej Organizacji Handlu. Nie musiał składać tej wizyty, a jednak zjawił się, żeby ostatni raz, zanim wsiądzie do pociągu, spojrzeć na

Banovicia, tak jak przed wyjazdem z domu sprawdziłby, czy wyłączył gaz. Kiedy tego człowieka nikt nie pilnował, był niebezpieczny. Poincaré musiał się upewnić, że jest na swoim miejscu, za kratami.

— Co za niespodzianka — oznajmił więzień, słysząc zbliżające się kroki.

— Stipo, mam dobre wieści. Oficjalnie kończę zajmować się twoją sprawą. Mam inny przydział. To wystarczy, aby poczuć nostalgię... Tak długo na ciebie polowałem.

Banović odwrócił się od niego. W kraciastej koszuli zapiętej pod szyję i druczianych okularach dawny komendant szwadronu śmierci przypominał bibliotekarza, którym był przed wojną w Bośni. Wysokie czoło, drobna budowa ciała, palce pianisty. Wyglądał raczej na uczonego niż na ludobójcę, a wrażenie to wzmocniała istna forteca książek prawniczych, którą wznosił, oczekując na proces.

— Trwała wojna, działy się paskudne rzeczy — powiedział Banović, nadal odwrócony plecami. — Macie tych swoich świadków, zdradliwych skurwysynów. Inspektorze, prawo jednak zna pewien precedens. Warunki wojenne. Ludzie to bestie, to prawda, wystarczy chociażby pobieżnie zapoznać się z historią, żeby się o tym przekonać. Czy pan wie, co żołnierze Tytusa zrobili z Żydami uciekającymi z Jerozolimy?

— Tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi — odparł Poincaré, podchodząc do krat.

Banović zerknął przez ramię.

— Rozcinali brzuchy żywym mężczyznom i kobietom, szukając połkniętego złota.

Poincaré wiedział, że gdyby spotkał się z nim sam na sam w bośniackich lasach, tam, gdzie nie sięgało prawo, umarłby i odpowiednio przy tym cierpiał. Teraz przed klatką Banovicia czuł się jakby stał w zoo przed drapieżnikiem zajmującym wysoką pozycję w łańcuchu pokarmowym. Stalowa krata dawała nieco bezpieczeństwa, ale i tak Banović emanował taką grozą, że Poincaré aż się cofnął, a serce zaczęło mu bić nierówno. Nigdy nie miał łatwej pracy. Przyjaciele zapowiadali, że przy swoim zamiłowaniu do opery oraz magazynów z horoskopami, wytrwa w tym fachu najwyżej trzy tygodnie. Po trzech dziesięcioleciach, pomimo sukcesów, nadal się zastanawiał, czy rzeczywiście nadaje się do tego zajęcia.

— Przeszły lata — powiedział więzień cichym, schrypniętym głosem. — Walka się skończyła. Zasłużyłem na spokojne życie, tak jak kombatanci. A teraz niech pan na mnie spojrzy, grzęznącego w kodeksach, mogącego jedynie całować zdjęcia swoich dzieci. Poincaré, to pańska wina. Inni ludzie, wysyłani przez Interpol, wykazali nieco rozsądku, nieco ludzkiej troski, zrozumienia dla tego, co mną kierowało. Odradziłem im poszukiwania i je przerwali. Jednak pan... — Sięgnął po jakieś zdjęcie, powoli przesunął po nim palcem.

Jak ten człowiek mógł w ogóle patrzeć na dzieci? Poincaré, nawet gdyby dożył setki, nigdy nie zapomniałby tego, co zobaczył w jarze, kości chłopców wyciągających ręce ku ojcom, braciom, sąsiadom, mężczyznom, którzy mogli zaoferować im tylko to, że umrą pierwsi. Wszystkich pozostawiono, by gnili, póki nie spadnie śnieg.

— Mogłem przerwać poszukiwania — zgodził się Poincaré. — Trwała wojna. Byłeś

kombatantem.

Więzień przytaknął.

— A teraz wojna się skończyła i masz nową rodzinę, chcesz wrócić do domu.

Banović na myśl o tym przymknął oczy.

— Tak jak ci mężczyźni i chłopcy, oni też chcieli wrócić do domu. Stipo, czy błagali o litość? Powiedz, błagali?

Więzień wpatrywał się w korytarz, a Poincaré zastanawiał się, czy w ogóle dosłyszał te słowa. Okazało się, że dosłyszał, a odpowiedź, gdy już padła, była ostra jak piła.

— W czasie wojny dzieją się złe rzeczy — rzucił Banović. — Ale ty nigdy nie walczyłeś na wojnie, więc o tym ze mną nie rozmawiaj. Nie waż się mnie osądzać.

— Stipo, o to już się nie martw. Trybunał cię osądzi.

Areszt miał długość połowy boiska do piłki nożnej, ale obaj mężczyźni byli jedynymi przedstawicielami swoich gatunków na tej połaci ziemi.

Więzień się roześmiał.

— Po co w ogóle ta wizyta? No, powiedz, przecież taki z ciebie mądry człowiek.

— Budzisz we mnie odrazę.

— Ach! Co za szczerłość. To już coś na początek. — Banović uniósł dwa palce w geście symbolizującym pokój i wycelował nimi w stronę oczu Poincarégo, potem swoich własnych.

— Powiem panu, inspektorze: przyszedł pan spojrzeć w lustro.

— Idź do diabła.

— Za późno... Byłem już u niego, przed laty. Niech pan przyzna — fascynuję pana!

— To, do czego mogę się przyznać, to wielkie pragnienie, aby patrzeć, jak gnijesz.

— I aby świat był chroniony przed takimi upiorami jak ja? — Banović raz jeszcze wskazał oczu Poincarégo, potem własne. — Niech pan się przyjrzy uważniej... Wie pan, naprawdę powinien pan mnie zabić, kiedy miał pan okazję.

Poincaré nachylił się bliżej krat.

— Prawie tak zrobiłem — wyszeptał, przysuwając się do Banovicia jeszcze bliżej. — Bez problemu mogłem zaraportować, że zostałeś zastrzelony podczas aresztowania. Ale to byłoby w twoim stylu. Nie. Widziałem, co zostawiłeś w tamtym jarze. Staniesz przed trybunałem, zostaniesz osądzony i zgnijesz.

Jeszcze zanim dotarł do połowy długości korytarza, fala wrzasków i inwektyw opłynęła go jak nieczystości w kanale.

— To były zwierzęta! Poincaré, czytałeś moje akta, wiesz, że już kiedyś miałem rodzinę! Troje dzieci, zgwałconych i wypatroszonych — na oczach swojej matki, mojej Sylvie! Sylvie zgwałcono na oczach jej rodziców! Potem rozcięli jej brzuch, gdzie nosiła nasze nienarodzone dziecko, a jej rodziców zostawiono przy życiu, żeby błagali, by ktoś ich zabił! Przecież o tym czytałeś, inspektorze! A jednak się zjawiłeś. A czy kiedyś przystanąłeś, żeby się zastanowić, dlaczego człowiek zmienia się w maszynę do zabijania?

Byłem zwyczajnym człowiekiem. Dobrym człowiekiem! Miałem rodzinę i pracę. A potem zniszczyła nas wojna, wojna, której nie rozpętałem i której nie chciałem. Zanim umrę, postaram się, żebyś poczuł to samo co ja. Przysięgam, jeszcze to poczujesz!

„Nie ode mnie zależy, kto ma wyjść na wolność”. Inspektor powtarzał sobie te słowa, jakby stanowiły talizman, pozwalający przekroczyć bramę na końcu aresztu, a potem następną i jeszcze jedną, aż do ostatniej, zamkniętej, stał za stalą. Zatrzymał się za murami więzienia, gdzie nie docierała już udręka Banovicia. „To nie ja decyduję”. Poincaré ciężko oparł się o furgonetkę, wsunął do ust dwie pastylki.

Czuł zbliżający się atak.

Pociąg z Hagi do Amsterdamu przemierzał pola, rozciągające się barwnymi prostokątami. Pod kopułą ciężkich chmur, sunących znad Morza Północnego, słynne holenderskie tulipany stanowiły antidotum na znużenie. Poincaré potrzebował pomocy. Banović zdenerwował go bardziej, niż sam odważył się przyznać. Nawet teraz, po upływie godziny, serce nadal biło mu nierówno — nawet jeśli nie ze strachu, to dlatego, że w inspektora wymierzono gigantyczną nienawiść. „To nic zagrażającego życiu”, zapewniali lekarze. „Nieprzyjemna arytmia. Może ją wywołać za dużo wina. A także zimne napoje, czasem stres. Ma pan stresującą pracę?”

Wkrótce pastylki wyrównają rytm serca i życie znowu zacznie wyglądać tak, jak powinno. Takie rzeczy już się zdarzały, konfrontacja z tępą, głuchą i ślepą wściekłością ludzi wsadzonych za kraty. Odsunie od siebie wybuch Banovicia, jak nauczył się robić już dawno temu.

Otworzył klapkę telefonu i czekał na połączenie, mając nadzieję, że się dodzwoni.

— To ja — powiedział w końcu.

— Ach... Henri! Wszystko w porządku? Wydajesz się zmęczony.

— Nie całkiem.

— Ten człowiek, w Hadze? Powiedziałaś, że chciałbyś już to zakończyć.

— Wiem.

— No to... zakończ. Wczoraj wieczorem dzwonił Etienne. Po wszystkim przyjedzie do nas, do domku na wsi, z Lucille i dziećmi. Wiesz, jaka to dla nich męka poustawiać sobie grafiki zajęć. Obiecuj, że dasz sobie spokój z pracą, póki nie wrócimy do Lyonu.

— Wiesz, będę zajęty w weekend — odparł.

Nie odpowiedziała. Właściwie nie musiała.

— Z Amsterdamu pojedę prosto do domu. Obiecuję.

— Już ci wystarczy, idź na emeryturę.

Zważywszy na dzisiejszy poranek, stanowiło to kuszącą możliwość. Przez trzydzieści lat przepracowanych w Interpolu, gdy wspinał się na kolejne szczeble kariery, nie miał dosłownie ani jednego urlopu, którego by nie opóźniło albo nie zakłóciło jakieś specjalne zlecenie z centrali. Kiedyś, w Patagonii, w dolinie rzeki, odizolowanej niczym Rów Mariański, miejscowy urzędnik konno przywiózł nakaz, by w drodze powrotnej do Francji

inspektor Poincaré skonsultował się z policją państwową w Buenos Aires w sprawie kradzieży dzieł sztuki.

— Teleks z Interpolu w Lyonie — oznajmił tamten urzędnik, z kapeluszem w ręku, wyraźnie tak zakłopotany zakłóceniem rodzinnego wypoczynku, że Poincaré wręcz nie miał serca protestować. Claire, dla odmiany, zasłoniła dłońmi uszy małego Etienne'a i zamiast próbować zabić posłańca, zwróciła się do męża:

— Henri, a nie możemy pojechać gdzieś dalej od cywilizacji? Może następnym razem spróbujemy w Arktyce?

To i tak nic by nie dało. Interpol przydzielał Poincarégo do zadań o znaczeniu strategicznym, nie bacząc na urlopy. Pracownicy instytucji zajmujących się sprawami bezpieczeństwa w Europie Zachodniej oraz obu Amerykach postrzegali go zazwyczaj jako starzejącego się z godnością agenta. Co stracił pod względem fizycznym, zyskał pod względem intuicji. Potrafił przewidzieć kroki przestępcy tak, jakby szedł w ślad za nim, a jego upór stał się wręcz legendarny — schwytanie Banovicia stanowiło najświeższy przykład.

Jednak upór miał swoją cenę. W dni takie jak ten serce domagało się mniej stresującej pracy i wtedy Poincaré zastanawiał się nad emeryturą w Dordogne. Lecz nie mógł na nią przejść, jeszcze nie teraz, bo pytanie, które tak niewiarygodnie ciągnęło go do pracy w policji — skąd wynaturzenia w rodzaju Banovicia biorą się na świecie, na tyle sposobów pięknym ponad wszelką miarę — nie doczekało się dotąd odpowiedzi.

Zawsze się pojawiała jakaś następna sprawa.

2

Paolo Ludovici był chudy jak szczapa. Spotkał się z Poincaréem w Amsterdam Centraal, gdzie skierowano go z Krajowego Biura Interpolu w Mediolanie i bez zbędnych wstępów wręczył mu akta.

— Mamy problem — oznajmił. — Kiedy byliśmy w Hadze, jakaś eksplozja zmiotła szczyt hotelu przy Herengracht.

— Ani chwili spokoju — stwierdził Poincaré, otwierając teczkę z papierami.

— Nie wiemy, czy to miało jakiś związek ze spotkaniem Światowej Organizacji Handlu. Ofiarą zamachu padł James Fenster, matematyk, wykładowca Uniwersytetu Harvarda. Miał zaplanowane wystąpienie na piątkowej, porannej sesji. Studia w Princeton, kawaler, nikogo na utrzymaniu. Urodzony w New Jersey. Politycznie agnostyk. Żadnego długu wartego uwagi.

Ludovici wziął jedną z kupionych przez Poincarégo kaw i wsunął się do nieoznakowanego auta, pożyczonego od holenderskiej policji.

— W każdym razie w tamtym pokoju zameldowany był tylko Fenster. To, co z niego zostało, wygląda jak przypalony befszytk.

Poincaré zamknął oczy.

— Miał trzydzieści lat... Chryste, ja mam trzydziestkę.

— Paolo, powiedz coś użytecznego.

— Dobra. Dane stomatologiczne przefaksują nam z Bostonu. Policja z Massachusetts zabezpieczyła już biuro i mieszkanie Fenstera. Zbierają próbki DNA do analizy, porównamy je z tym, co zdołamy uzyskać ze zwłok. Henri, nie ma jakichś dużych wątpliwości, kto to był. Recepcjonista potwierdził, że dwadzieścia minut przed eksplozją Fenster wziął klucz do pokoju 4-E. Nagranie z kamery w holu pokazuje go, jak wchodzi do budynku o godzinie dziewiętej czterdzieści jeden. Bomba wybuchła o godzinie dziesiątej trzy, zmiatając pokój 4-E.

Ludovici uruchomił auto.

— Tak dla twojej wiadomości, zamachowiec użył nadchloranu amonu.

— *Que'est-ce que c'est?*

— To paliwo rakietowe.

Paolo zwiększył obroty silnika i wyrwał renówką na Prins Hendrikkade, tak jakby ruszał do wyścigu Formuły Pierwszej. Równie szybko wcisnął hamulec, unikając zderzenia ze starszym panem, który spokojnie pedałowal środkiem ulicy. Przy okazji sprawił, że Poincaré oblał się kawą.

Inspektor gwałtownie obrócił się w fotelu i spojrzał na plamę na spodniach.

— Paolo!

— Rany boskie, to tylko kawa. Daj spokój. — Ludovici przycisnął klakson i wrzucił bieg. — Zapłacę za czyszczenie.

Henri był wściekły, ale Ludovici albo tego nie zauważył, albo się nie przejął. Poincaré wyszarpnął plik chusteczek higienicznych ze schowka na rękawiczki. Przynajmniej dobrze, że szok wpompował mu do organizmu tyle adrenaliny, by serce zaskoczyło i znowu biło normalnym rytmem. Na wszelki wypadek sprawdził puls — bu-bum... bu-bum... bu-bum... — istny metronom. Potem wziął się do wycierania plamy. Paolo w pewnym sensie wyświadczył mu przysługę, ale przez niego na miejscu przestępstwa będzie wyglądał, jakby się posikał.

Co zrobić z tym Ludovicim? Paolo był protegowanym Poincarégo, inspektor zażyczył sobie jego udziału w tym śledztwie, jednak tego Włocha dało się tylko albo kochać, albo nienawidzić. W akcji nastawiał się wyłącznie na jedno tempo i jeden kierunek — szybko oraz do przodu — a metabolizmem dorównywał chyba kolibrowi. Zwykle pracował osiemnaście godzin na dobę, przy okazji zwiększając wydajność każdego, kto trafił na jego orbitę. Jadł prędko, mówił prędko, prędko wyciągał wnioski, zwykle prawidłowe, a dziewczyny zmieniał tak szybko i bezdusznie, że szokował nawet wyrozumiałego Poincarégo.

Ludovici był także przystojny, nie piękny jak model, lecz niezmiernie pewny siebie, co na wielu osobach robiło takie samo wrażenie. Zauważano go, gdy wchodził do jakiegoś pomieszczenia. Miał słabość do płaszców luźno zwisających z ramion, takich jak u

Felliniego. Generalnie ubierał się w stylu, który Poincaré potrafił znieść tylko u Włochów. Jedyną wadę Paola, którą się martwił, stanowiła skłonność do ryzyka, czasem głupiego, podejmowanego ze złudną pewnością, że na pewno nic się nie stanie. Kiedy się poznali przy okazji śledztwa prowadzonego w Marsylii dwa lata temu, Ludovici zignorował wyraźne polecenie i sam wszedł do pokoju hotelowego, w którym zabarykadował się przemytnik narkotyków. Nie miał kamizelki kuloodpornej ani krótkofalówki, nie miał broni, chciał tylko „pogadać”. Hotel otoczyły ze dwa tuziny policjantów z oddziału do operacji specjalnych, wszyscy na pozycjach, za osłoną. Agent i zbieg pogadali sobie, doskonale widoczni w celownikach snajperów, a godzinę później Ludovici wyszedł.

— Powiedział, że chce pizzę i butelkę Mas de Gourgonnier, rocznik 2002 — oznajmił, gdy domagano się jakichś informacji. Dowództwo posłało więc po pizzę i znalazło wino. Uciekinier najadł się, a potem, błędnie szacując szanse wyrwania się z obławy przez wszcęcie strzelaniny, zginął od kuli snajpera, która trafiła go w głowę. Kiedy Poincaré zjawiał się tam, aby poznać młodego agenta, który odkrył w Brindisi gang przemytników i za pośrednictwem Interpolu z Lyonu urządził szmuglerom przyjęcie powitalne w Marsylii, zastał Ludoviciego siedzącego samotnie przy postawionej pionowo skrzyni i dojadającego pizzę po zabitym.

— Chyba pan nie sądzi, że to miało jakąś wartość dowodową?

Poincaré od razu go polubił.

— Tytuł jego wykładu... poczekaj chwilę. — Ludovici z trudem wyciągnął z kieszeni jakiś świstek i odczytał, jednocześnie manewrując między samochodami. Znowu gwałtownie zatrzymał auto, tym razem centymetry od nastolatka, który zszedł z krawężnika, a teraz rozrzucił po ulicy frytki z majonezem. Paolo odsunął szybę, rzucił chłopakowi pieniądze w ramach rekompensaty za szkodę, krzycząc, by na przyszłość patrzył, gdzie chodzi.

— Matematyczna nieuchronność ekonomii globalnej — oznajmił, zwracając się w stronę Poincarégo. Zanim dodał gazu, nastolatek zdążył jeszcze walnąć pięścią w bagażnik auta.

— Nieuchronność ekonomii globalnej? Ten Fenster musiał być pupilkiem Światowej Organizacji Handlu. To by wyjaśniało, skąd się wziął w mieście.

Szybko przejechali przez plac, gdzie na postumencie zastygł jakiś pulchny, holenderski kupiec z czasów świetności miasta, zanieczyszczany przez pokolenia gołębi.

— Kto zabija matematyka? Jeśli wykluczyć typowe przyczyny, dług, zawód miłosny i tym podobne... — Ruch uliczny zelżał kilka przecznic dalej, na kolejnym placu, ponad którym górował jeszcze jeden dobrze odżywiony mieszczanin. Pod pomnikiem w wąskim prostokącie wyznaczonym policyjnymi barierkami stał tłumek protestujących, skandując: „WTO... Nie dla WTO!... WTO!” Poincaré zobaczył ich transparent, prześcieradło, na którym namalowano sklepową kasę z otwartą szufladą, stojącą na kuli ziemskiej. Tam, skąd powinny wychodzić rachunki, niczym w jakiejś pułapce na niedźwiedzie wili się zwykli ludzie, z etykietami podpisanymi nazwami państw Trzeciego Świata.

Ludovici dodał gazu.

— Kto mógłby zabić matematyka poza innym matematykiem? Podobno są zazdrośni o sukcesy jak jasna cholera. Może tutaj chodzi o to, kto mógł zabić, żeby osiągnąć WTO?

Wrzucił niższy bieg, kierując się do zaparkowanych, błyskających światłami pojazdów różnych służb.

Poincaré spojrział przez kanał na wąską, brukowaną uliczkę, przy której stały ceglane domy tak ciasno jak ziarna na kolbie kukurydzy. Wieki temu były spichrzami, do wielu przytwierdzono dźwigi służące do podnoszenia towarów na wyższe piętra. Większość spadzistych dachów skryło się pod ceglanymi wiatami w kształcie dzwonów, stopni i okrętowych dziobów. Jednemu z budynków brakowało wyszukanej fasady. Coś zdmuchnęło mu szczyt.

Ludovici zacisnął szczęki i pokiwał głową.

— Bliżej już nie zdołamy podjechać — oznajmił, parkując auto. — Stąd pójdziemy na piechotę.

3

Widok, który Poincaré zastał przy Herengracht 341, w hotelu Ambassade, wręcz nie dawał się ogarnąć ludzkim pojęciem — zniszczenia ograniczały się dokładnie do jednego pokoju na ostatnim piętrze, jakby jakiś pazur wysunął się z nieba i wyrwał ten pokój wraz z częścią spadzistego dachu. Pozostała ziejąca, okropna dziura, swoisty majstersztyk saperski: pomieszczenia po obu stronach i poniżej brakującego pokoju pozostały nietknięte. Przywodziło to na myśl starannie wykrojony kawałek tortu. Na ulicy, wymieszane z roztrzaskanymi cegłami, dachówkami oraz deskami, na tyle grubymi, że dałoby się z nich wykonać poszycie dawnego statku kupieckiego, leżało kilka rzeczy osobistych ofiary, opatrzonych teraz numerami ewidencyjnymi. Skarpeta, okulary przeciwsłoneczne z potrzaskanymi szklami, tubka amerykańskiej pasty do zębów, podarta koszula. Poincaré odwrócił się od tych szczątków zwyczajnego życia, a także od tego, co leżało pod niebieską płachtą dwadzieścia metrów z lewej.

I wszystko po to, żeby zabić jednego człowieka? Straż pożarna zostawiła po sobie ostro cuchnącą breję. Wszystko, na co się natknęła — samochody, ulicę, hotel, gruz — obficie zlała wodą z kanału, pompowaną do tłumienia płomieni. Poincaré przyglądał się, jak mężczyzna w niebieskim kombinezonie i lateksowych rękawicach kłóci się z jednym ze strażaków.

— Technicy kryminalistyczni są wściekli jak jasna cholera — odezwała się jakaś kobieta. — Straż pożarna uratowała ulicę, ale utopiła dowody.

Gisele De Vries, przestrzegając formalności, ucisnęła dłoń Poincarégo. Miejscowa agentka, przydzielona przez holenderskie organy ścigania jako współpracownik Interpolu, była jedynym członkiem zespołu, którego Poincaré nie wybrał osobiście. Agenci Interpolu z zasady nie mogli dokonywać aresztowań, przy każdym śledztwie musieli współpracować z policją kraju, w którym działali. Surowa i zdeterminowana De Vries od razu zrobiła

wrażenie na Poincarém. Kazał jej zbierać dane, co zrobiła przed terminem. Nie tylko uzyskała potrzebne informacje, ale także przedstawiła analizy, wykonane z wielu punktów widzenia. Na biurku De Vries zawsze panował porządek, nosiła starannie wyprasowane ubrania oraz praktyczne buty o kwadratowych czubkach. Tylko długie, kasztanowe włosy, spięte luźno na karku i spływające do połowy pleców, zdradzały, że ma bogate życie wewnętrzne.

— Gdybym nie wiedziała, co się stało — oznajmiła — mogłabym pomyśleć, że ktoś wyciął ten pokój działem laserowym, strzelając z tamtej strony. — Wskazała na drugi brzeg kanału, gdzie zbierał się już tłum ludzi. Wręczyła Poincarému fotografię. — Wykonana dziesięć minut temu z policyjnego śmigłowca. Wzór wybuchu jest taki sam po obu stronach budynku, odpowiada bombie umieszczonej tutaj, pod umywalką. — Pokazała drugą kartkę ze schematem pokoju hotelowego. — Kiedy nastąpiła detonacja, Fenster musiał się nad nią pochylać. To, co zostało z tułowia, poza tym, że spalone tak, że nie da się rozpoznać, jest też naszpikowane porcelaną. Mamy jeszcze coś takiego.

Sięgnęła po kawałek wilgotnego, zwęglonego drewna, powąchała i wyciągnęła w stronę Poincarégo. Skrzywił się.

— Nadchloran amonu — wyjaśniła. — Paliwo rakietowe, czy tego chcemy, czy nie. Płonie jak flara, a w określonych warunkach eksploduje. Gdyby zamachowiec użył tyle samo C-4, cały budynek by zniknął. W sumie całkiem elegancka robota.

Poincaré w swojej karierze oglądał już efekty eksplozji niemal każdego materiału wybuchowego, ale coś takiego widział pierwszy raz. Paliwo rakietowe wykorzystano do czegoś innego niż przezwyciężenie siły ziemskiej grawitacji.

— Rzeczywiście, coś nietypowego.

— Raczej tak — potwierdziła De Vries.

— W takim razie zbierzmy pozostałości. — Znowu powąchał zwęglone drewno. — Wyślijcie próbki do laboratorium w Amsterdamie, żeby dokonali szybkiej analizy, chcę jednak, żeby przyjrzała się temu również Europejska Agencja Kosmiczna. I NASA. To zawęźa obszar naszych poszukiwań.

— Umarł nad umywalką — stwierdził Ludovici. — Zakładam, że jest w tym jakiś morał.

Poincaré zerknął na brezentową płachtę i szybko odwrócił wzrok. Ta awersja nie miała nic wspólnego z szokiem. W pracy widział już mnóstwo trupów. Nie nabył jednak umiejętności traktowania ich jak kawałów mięsa, zaraz po ustaniu bicia serca. Istniało Życie — ten sposób, w jaki Claire czasem unosiła wzrok znad pracy i uśmiechała się do niego — oraz Nieżycie. Śmierć. Zdziwienie jednym pociągało za sobą zdziwienie drugim i Poincaré nie potrafił pozostać obojętnym na widok spalonego trupa. Szybko jednak zamknął w sobie tę wrażliwość i zbliżył się do szczątków.

— Morał? — od strony wejścia do hotelu, trzy stopnie poniżej poziomu ulicy, zadudnił jakiś głos ze śmiertelną powagą. Serge Laurent klepnął dłonią bark Ludoviciego. — Młody człowieku, morał jest taki, że częste mycie skraca życie.

Laurent, najbliższy przyjaciel Poincarégo oraz jego powiernik w służbie i poza nią,

zerknął na zegarek.

— Od eksplozji minęły prawie trzy godziny, a recepcjonista wciąż się trzęsie. Facet potrzebuje nowej pieluchy i pewnie jakiegoś zastrzyku, ale nie zszedł z posterunku. Prawdziwy zawodowiec.

Poincaré wiedział, że Laurent zauważył plamę po kawie na spodniach i powstrzymuje się właśnie od złośliwej uwagi o nietrzymaniu moczu oraz mężczyznach w pewnym wieku. Obaj agenci zwiążali całą karierę zawodową z Interpołem i tak bardzo różnili się temperamentem oraz podejściem do prowadzenia śledztwa, że nikt by się nie spodziewał, iż połączy ich przyjaźń. Poincaré mierzył się z pędzącą ku sobie siłą, stosując coś w rodzaju umysłowego ju jitsu. Uchyłał się przed problemem i patrzył, jak oponenti potykają się za sprawą własnego impetu. Laurent wołał zderzenia. Gdyby został fizykiem, zarabiałby na życie rozbijaniem atomów. Właśnie ta cecha doprowadziła do rozpadu jego małżeństw.

— Technicy kryminalni zaraz pobiją strażaków za to, że narobili bałaganu na miejscu przestępstwa — oznajmił Laurent. — Zbieranie śladów będzie teraz ekstremalnym wyzwaniem, ale przynajmniej ustalili najważniejszy fakt: odciski palców na gałce klamki drzwi do pokoju i na zamknięciu okna pasują do odcisków na kluczu do pokoju, a to wszystko odpowiada odciskowi lewego kciuka oraz palca wskazującego ofiary. Które, jakbyś pytał, są jedynymi palcami niezamienionymi w galaretę ani niezdmuchniętymi do kanału. Tors utkwiał tam, na drzewie — wskazał — a noga zrzuciła kogoś z roweru. — Laurent zamknął notes. — Kiedy umrę, to na litość boską, niech będę w jednym kawałku.

Po drugiej stronie Herengracht gromadził się tłum. Niektórzy gapie zerkali z otwartych okien.

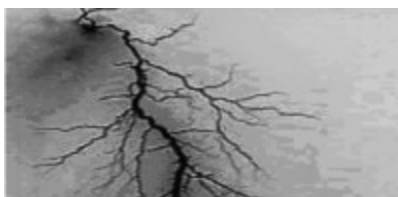
— W porządku — stwierdził Poincaré. — Mamy zgodność odcisków palców, ale to nie to samo, co pozytywna identyfikacja. Co robimy w sprawie potwierdzenia tożsamości?

— Dane z Bostonu mają przyjść jutro rano — odparł Laurent. — Och, prawie bym zapomniał!

Otworzył teczkę i wydobyl torebkę na dowody z jakimś zdjęciem w środku. Nie wyjmując go, odłożył wszystko na maskę mercedesa, na wpół zgniecionego belką stropową.

— Było na tym mnóstwo odcisków palców Fenstera, ofiary zamachu.

Zgromadzili się wokół zdjęcia.



Minęło kilka chwil.

— No, ludzie. Zagrajmy. Z tyłu jest opis. Dwa euro dla tego, kto zgadnie, co to jest.

Ludovici odezwał się pierwszy.

— Grzbiet łańcucha górskiego. Kiedy wracałem do domu, w zeszłym tygodniu, leciałem nad Alpami i właśnie tak to wyglądało: centralny grzbiet i odchodzące od niego rozgałęzienia.

— Gisele?

— Angiogram. Kiedy moja matka miała atak, lekarze pokazali mi skan, który wyglądał mniej więcej tak jak to. Myślę, że to naczynie krwionośne. Ale to może też być rzeka z dopływami. Albo korzenie jakiejś rośliny.

— Znowu źle. Henri?

— Serge, daj spokój.

Laurent odwrócił zdjęcie i przeczytał opis:

— Błyskawica. Negatyw. A potem jeszcze: Seria 3, obrazek A, wykład WTO. Najwyraźniej były jeszcze inne obrazki, których nie znaleźliśmy. Sądzę, że zostały zniszczone. — Przyjrzał się szczątkom. — Jak to możliwe, że nikt inny nie zginął? A słyszeliście, że dzisiaj była jeszcze jedna eksplozja? W Mediolanie. Staroświecki dynamit.

— W Mediolanie? — odezwał się Ludovici. — A gdzie dokładnie?

— Galleria Vittorio Emanuele.

— Nie... — To były jego rodzinne okolice. Sięgnął w głąb marynarki po telefon i odszedł, żeby zadzwonić.

— Zginęło sześć osób — kontynuował Laurent. — Jakiś facet ubrany w powłóczyście szaty wzywał Jezusa, aby uleczył świat, a potem się wysadził. Zakładam, że w naszym wybuchu nie ma niczego związanego z religią.

De Vries przewertowała plik papierów.

— Nie ma tutaj niczego o kimś noszącym powłóczyście szaty. Jeszcze sprawdzę. Ale mówiłeś, że negatyw zdjęcia błyskawicy miał jakiś związek z wykładem Fenstera? Fenster planował wykład o globalizacji. Jaki jest związek?

Laurent uśmiechnął się.

— Moja droga, to właśnie jest coś, co nazywamy tajemnicą.

4

Promienie słońca migotały na podłodze cukierni, do której Poincaré wstąpił, aby zebrać myśli. W sklepie panowała cisza, większość maleńkiej przestrzeni zajmowały dwa stoliki. Inspektora przyciągnęły owocowe tarty i ciastka z wystawy, ale wybór lokalu okazał się nie najlepszy. Sprzedawczyni, stanowiąca wręcz modelowy przykład holenderskiej gościnności, powoli dusiła detektywa nadmiarem zwracanej na niego uwagi. Zabrała się do czyszczenia nieskazitelnie czystych stolików akurat wtedy, gdy zaczął przeglądać notatki dotyczące bieżącego śledztwa, sporządzone w ciągu długiego popołudnia. Musiała też wyrównywać czekoladki na wystawie dokładnie nad jego ramieniem. Zaczęła nawet zamiatać i wycierać podłogi mopem, prosząc Henriego, żeby się przesunął. Został w

cukierni tylko dlatego, że wyłącznie tutaj, w całej okolicy, mógł kupić kawę, a musiał posiedzieć nad filiżanką czegoś ciepłego.

— To już trzecie espresso — zauważyła sprzedawczyni. — Jest pan pewien?

Chyba powinien jej podziękować za przeszkadzanie. W tym, co dzisiaj widział, dostrzegał niewiele sensu, a w podobnych sytuacjach, aby coś się wyklarowało, czasem najlepiej było w ogóle zapomnieć o faktach i pozwolić umysłowi wędrować swobodnie. Za sprawą tej kobiety przynajmniej nie zszywał jednej myśli z drugą.

— Zasadniczo nie można tego nazwać zwłokami — powiedział patologowi sądowemu mniej niż czterdzieści minut wcześniej. Szczątki ofiary wołały ku Poincarému przez całe popołudnie, niezależnie od tego, czy badał pozostałości apartamentu, czy razem ze strażakami starał się zdjąć but wiszący wysoko na drzewie, czy też pochylał się nad polowym mikroskopem, aby obejrzyć odłamek porcelany. Dopiero kiedy ludzie w kombinezonach ochronnych szykowali się już, by zamieść resztki zabitego do worka, zmusił się, aby na nie popatrzeć.

— Przypadki spalenia potrafią wstrząsnąć — przyznała doktor Günter.

Jako patolog sądowy przejęła zwłoki i teraz zarządzała dostępem do nich. Jeszcze nim się wzajemnie przedstawili, Poincaré z odległości dwudziestu kroków wyczuł zapach gumy do żucia, i po nim odgadł, że ma do czynienia z koronerem. Wielu uzależniało się od miętowych cukierków, bo po odejściu od stołu sekcyjnego ciągle czuli słodkawy odór rozkładającego się ciała. Olejek mentolowy okazywał się na to sposobem mniej skomplikowanym i nie tak trującym jak dżin.

— Ten akurat nie cierpiał — zauważyła. — Człowiek, który by wiedział, co się zaraz stanie, odwróciłby się. A on całą siłę uderzenia przyjął tutaj. — Rozkładanym teleskopowo wskaźnikiem dotknęła tego, co kiedyś stanowiło klatkę piersiową ofiary: pustej jamy, rozerwanej aż po kręgosłup.

— Nie ma płuc, nie ma serca, nie ma większych organów, wszystkie tkanki spalone. Zwróć uwagę na to, że ani po bokach, ani na plecach nie ma żadnych obrażeń od wybuchu. Nie odwrócił się.

Poincaré skupił się na końcówce metalowego wskaźnika, usiłując przewyciężyć mdłości wywołane traktowaniem trupa jak karty z atlasu anatomii.

— Wtedy i tak byłby martwy.

— Zgadza się — odpowiedziała Günter. — Chcesz gumy do żucia?

Odmówił.

— Henri, zajrzyj do mojego gabinetu w niedzielę, przestudiujemy akta sprawy. Do tego czasu dostanę z Bostonu raport w sprawie DNA i przeprowadzimy własne badania laboratoryjne. — Opuściła brezentową płachtę. — Kto umarł, ten nie żyje — oznajmiła z równie dużą dozą emocji, jakby mówiła o kupie zeschniętych liści. — Zrekonstruuje, jak do tego doszło — kontynuowała — a ty, przyjacielu, dowiesz się, kto to zrobił i dlaczego. To ostatnia przysługa, jaką możemy mu oddać.

Przez okna cukierni Poincaré patrzył na mały, ceglany dziedziniec, rozmyślając o

przysługach, jakie świat winien jest zmarłym. Już kiedyś odpowiedział sobie na podobne pytanie — i właśnie dlatego większą część ostatnich dwóch lat spędził, ścigając Banovicia. Zerknął na notatki związane z prowadzonym śledztwem i uznał, że znowu czeka go szukanie tej odpowiedzi.

— Dostanie pan jakiegoś dygotania od kofeiny — ostrzegła kobieta, stawiając obok espresso kolejny talerzyk ciastek. — Używam ziarna z Sumatry, prażonego w porcjach po kilogramie, żeby było mocniejsze. Pan może sam poczuć, jakie to mocne. — Głęboko wciągnęła powietrze. — Czuje pan? Na pana miejscu zjadłabym ciastka dla równowagi. Czy pan wie...

Inspektor wskazał dwa inne talerzyki z niezjedzonymi ciastkami, stojące na blacie.

— Proszę, już wystarczy.

— Ale pan dostaje trzy ciastka do każdej filiżanki! To nasza czwartkowa promocja. Trzy ciastka, jedna filiżanka. Czytał pan ogłoszenie? — Wskazała na ladę.

— Mój holenderski — odparł — nie jest zbyt dobry.

— Nie szkodzi, zapakuję je.

— Nie, dziękuję. Proszę.

— Nalegam. Robię je tutaj, na miejscu — pochyliła się, aby pokazać swoje ostatnie wypieki. — To ciastko nazywam „Fantine”. Widzi pan jego kształt? Profil młodej kobiety w czepku na głowie. Słodka, ale też uszczypliwa. Stąd cytryna, by dodać nieco kwaskowatości. Jest też złośnicą, co oddaje pikantność pieprzu cayenne.

Poincaré wstał, chcąc wyjść, ale ona złapała go za ramię.

— Już dobrze. Położę je na ladzie i pójdę do kuchni.

Wycofała się za kotarę, a inspektor sięgnął po gazetę ze stolika obok. Otworzył na wiadomościach finansowych. Od kiedy wspólnie z Claire kupił farmę w Dordogne, miał w zwyczaju sprawdzanie notowań giełdy londyńskiej i paryskiej, tak aby monitorować stan małżeńskiej inwestycji. Z jego pensji oraz pieniędzy za tych kilka obrazów, które co roku Claire sprzedawała w galeriach Paryża oraz Nowego Jorku, opłacali mieszkanie w Lyonie i naukę Etienne’a. Osiem lat temu, wolni od długów, spodziewając się spokojnej, chociaż może niezbyt dostatniej emerytury, odrzucili rady dwóch konsultantów finansowych i bardzo się zadłużyli, aby kupić winnicę na południu, całą, łącznie z przeciekającym, kamiennym domem. Takie rzucenie się na głęboką wodę wiejskiej przyszłości nie miało sensu, bo żadne z nich dotąd nie uprawiało niczego oprócz pomidorów w doniczce. Tamtego roku pewnego popołudnia podczas urlopu świetnie się bawili, przemierzając posiadłość rozłożoną na szczycie wzgórza, z widokiem na winnice, odległą rzekę oraz starożytną wioskę. Powzięcie tej absurdalnej decyzji zajęło im niecały kwadrans, a teraz Poincaré codziennie sprawdzał notowania giełdowe, jego nadzieje zaś na wcześniejszą emeryturę wzrastały i malały zgodnie z notowaniami Airbus oraz Sumitomo Metal Industries Ltd.

Gdy składał gazetę i szykował się do wyjścia z cukierni, zauważył krótką notkę o zamordowaniu w Barcelonie prawniczki, zajmującej się sprawami gangów. Młoda kobieta,

podziwiana przez policję i uwielbiana przez gangsterów, których broniła, otrzymała wyróżnienie od władz miasta, była gościem międzynarodowej konferencji dotyczącej zapobiegania przestępczości wśród nieletnich. Zamordowano ją — ale po co?

Wieści o zdarzeniu rozeszły się także poza Barceloną, chociażby za sprawą okoliczności w jakich znaleziono ofiarę: siedziała za biurkiem w ośrodku kultury, trafiona jednym strzałem w tył głowy, a do bluzki miała przypiętą kartkę z cytatem z Ewangelii według Świętego Mateusza, z księgi dwudziestej czwartej, ustępu dwudziestego czwartego. Poincaré, mimo wszystko, czego naoglądał się przez lata, nadal jeszcze potrafił poczuć złość. Dzisiaj rano zakończył rozdział związany z ludobójstwem. Dzisiaj po południu rozpoczął kolejny, związany z morderstwem. A jutro? Co jeszcze? W dni takie jak ten tęsknił za monotonnym życiem. Zanotował sobie, by odnaleźć odpowiedni ustęp Ewangelii według Świętego Mateusza, potem przejrzał dane z Interpolu na temat zamachu bombowego w Mediolanie. Najwyraźniej jeden i drugi miały jakiś związek z Jezusem. Żadnego nie dokonano przed zamachem przy Herengracht, dostrzegł więc w tym wszystkim dziwny związek. Miał ochotę sprawdzić, czy w Mediolanie nie zginęli jacyś matematycy albo profesorowie. Dopił espresso. James Fenster, pomyślał. Szcątkom tego człowieka zabrakło bardzo niewiele do całkowitej kremacji.

Zostawił napiwek, o wiele za duży, niż się należało, i wyszedł na światło dnia, znacznie pogodniejszego od minionego tygodnia ciągłych opadów. Słońce, które ponad tą częścią Herengracht przedarło się przez chmury, dodawało słynnemu, płaskiemu miastu strzelistego, pionowego wymiaru. Orzeźwiająca bryza od zachodu niosła nadzieję jeśli nie na jaśniejsze rozumowanie, to przynajmniej na suchsze dni. Ruszył do Ambassade z rękoma głęboko w kieszeniach, wspominając niezbyt satysfakcjonującą rozmowę ze śledczym amsterdamskiej policji. Niewysoki, łysy człowieczek sam był zakłopotany pośpiechem, z jakim chciał się pozbyć śledztwa.

— To prawda — przyznał Poincaré. — Rzadko ma się do czynienia z bombą z paliwa raketowego.

— Bez wątpienia sprawa ma rodowód zagraniczny — odparł mężczyzna, tylko kilka centymetrów wyższy niż szerszy. — Wygląda na to, że ofiara nie była Holendrem, w obu więc wypadkach wychodzi na to, że sprawą musi zająć się Interpol. Jeśli jednak będziemy mogli pomóc w jakikolwiek sposób...

Czyli po sprawie. Poincarému nie tyle przekazano, co wręcz wciśnięto śledztwo i to pocztą lotniczą. Nawet dobrze, bo Lyon na pewno będzie chciał wytropić źródło nadchloranu amonu.

Lista rzeczy do zrobienia, spisana w notatniku Poincarégo, stawała się coraz dłuższa. Rano Laurent porozmawia ze znajomymi Fenstera z WTO, żeby dowiedzieć się więcej o jego wykładzie. Sam Poincaré dowie się czegoś na temat badań prowadzonych przez Amerykanina, tyle ile tylko zdoła. Ludovici zaczął przeglądać spis protestujących, obecnych w Amsterdamie. Kilku wytypuje do przesłuchania. De Vries już się czegoś dowiedziała. W księdze meldunkowej hotelu zobaczyła, że Fenster w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy trzykrotnie zatrzymywał się w Ambassade z kobietą o nazwisku

Madeleine Rainier. Podczas ostatniej wizyty wpisał się jednak do hotelowej księgi sam. Trzeba znaleźć tę Rainier. Hotel miał w swoich dokumentach fotokopię jej paszportu.

— Mówiłaś, że menedżer rozpoznał Fenstera? — spytał inspektor.

— Zgadza się. Ma zwyczaj uczenia się na pamięć nazwisk stałych gości. Tutaj jest wykaz gości Ambassade z ostatnich dwóch lat, ostatnie dwa tygodnie są na górze. — Pokazała Poincarému wydruk. — Przesłucham wszystkich, którzy są obecnie zameldowani albo wymeldowali się w ciągu kilku ostatnich dni. To zajmie trochę czasu. Potrzebuję też mniej więcej dnia, żeby uzyskać nazwiska gości okolicznych hoteli.

Rozmawiali dwie godziny temu, a zdawało się, że minęły zaledwie dwie minuty. Teraz De Vries machała do inspektora zza kanału, nadchodząc szybkim krokiem. Spotkali się pośrodku mostu.

— Ona jest tutaj.

— Kto?

— Madeleine Rainier, ta kobieta, która wcześniej meldowała się razem z Fensterem w Ambassade. — Odwróciła się i wskazała do tyłu, dokładnie na drugą stronę kanału. — W zeszłą środę zameldowała się w hotelu Ravensplein. Henri, ona jest teraz w swoim pokoju. Recepcjonistka dała jej klucz niecałe dwadzieścia minut temu.

5

Hol hotelu Ravensplein przypominał Poincarému ciemne uliczki, których unikał jako nastolatek. Wyjście awaryjne tarasował buczący automat z napojami o spękany wyświetlaczu. Żyrandol wiszący nad głowami w latach czterdziestych zapewne użyteczny, a nawet elegancki, dawał teraz więcej cienia niż światła. Tapeta była porozdzierana, a inspektor odruchowo rozejrzał się za ponurymi sylwetkami kryjącymi się po kątach. Przy blacie recepcji siedziała nastolatka z fioletowymi włosami i kolczykiem w wardze. Czytała jakiś magazyn, nie zwracając uwagi na przybyszy. Kiedy detektyw przesunął po blacie odznaką, ocknęła się i odsunęła gwałtownie.

Coś takiego nie sprawiało mu przyjemności. Chociaż, jak sądził, do młodych ludzi podchodził ze spokojem, to mając po bokach Ludoviciego i De Vries, wzbudzał lęk już samą obstawą. Recepcjonistka zerknęła na sportowe torby niesione przez towarzyszy Poincarégo. Paolo dźwignął jedną, rozległ się brzęk metalu.

— Chodzi o ten wybuch? — zapytała.

— Zgadza się, młoda damo.

De Vries zrobiła krok przed siebie.

— Recepcjonista, który był tutaj przed tobą, mówił, że Madeleine Rainier zatrzymała się w pokoju 4B. Czy wciąż tam jest?

Na to pytanie odpowiedziała pusta przegródka z numerem pokoju, widoczna za kontuarem. Rainier zabrała klucz, idąc na górę.

— Lepiej zadzwonię do menedżera — powiedziała dziewczyna.

Ludovici ruszył w stronę schodów, ale Poincaré chwycił go za płaszcz.

— Proszę wybaczyć — mruknął. — Niech pani dzwoni, ale będzie lepiej, jeśli pójdziemy tam już teraz.

Paolo szarpnął się, lecz Poincaré trzymał mocno.

— Czy będę miała kłopoty?

Poincaré puścił Ludoviciego. Na półpiętrze czwartej kondygnacji Włoch odbezpieczył pistolet schowany pod marynarką. Gisele odstąpiła na prawo od drzwi, usuwając się z drogi potencjalnemu zagrożeniu. Zapukała trzy razy.

Odczekali, potem zapukała ponownie.

Tym razem usłyszeli kroki. Przed otwarciem drzwi założono na nie łańcuch. Najpierw uchyliły się tylko odrobinę, potem na kilka centymetrów, aż wreszcie łańcuch się napiął i Poincaré dostrzegł pionowy wycinek twarzy. Szare, przekrwione oko za grubą soczewką. Podbródek z rowkiem. Błada, wysoka kobieta.

— Słucham?

— Policja — oznajmiła De Vries, wsuwając odznakę w szczelinę drzwi. — Madeleine Rainier?

Głowa pokiwała.

— Chcemy porozmawiać o eksplozji w hotelu Ambassade.

Poincaré ujrzał, jak Rainier przygląda się części korytarza, widocznej przez otwarte drzwi.

— I trzeba do tego aż trzech osób? Proszę mi pokazać nakaz.

— Rozumiem pani wątpliwości — powiedział Poincaré, robiąc krok do przodu i wsuwając legitymację przez szczelinę drzwi. — Proszę zadzwonić do Interpolu w Lyonie, żeby potwierdził naszą tożsamość. Proszę zadzwonić tam już teraz albo do swojej ambasady. Poczekam, aż będzie pani usatysfakcjonowana, albo odejdziemy, jeśli pani nie będzie. Nie mamy nakazu.

Drzwi zamknęły się, a kiedy zasuwę wsunęła się z powrotem na miejsce, Ludovici spojrzął na Poincarégo spode łba. Godzinę temu usilnie przekonywał, by natychmiast aresztować Rainier, bo zamachowcy podkładający bomby często lubią podziwiać swoje dzieła, a z hotelowego pokoju miała przecież doskonały widok. Zresztą podejrzenia wzbudzał już sam fakt, że Rainier uniknęła usmażenia się razem z Fensterem, a była w Amsterdamie, w dodatku zwykle zatrzymywała się w hotelu Ambassade. Ludovici przegrał batalię i z trudem przystał na przesłuchanie bez nakazu. Teraz nawet nie próbował ukryć zirytowania.

— Henri, powinniśmy się tutaj zjawić od razu z serwisem do herbaty. Panna Rainier by się posiliła, a wtedy, gdy wszyscy już byliby zadowoleni, moglibyśmy spokojnie zapytać, czy to nie ona zamordowała Jamesa Fensterę.

— Paolo, ona nie jest nawet podejrzana.

— Kwestia czasu.

— I zamierzam do tego doprowadzić — odparł Poincaré. — Ale zastraszać ją, niczego nie zyskamy, a możemy mnóstwo stracić. Prawdę mówiąc — spojrzał na De Vries — ja zapukałbym do drzwi łagodnie. Ale przecież oboje o tym wiecie.

Ludovici odruchowo ignorował wnioski, które uznawał za nieodpowiednie, co stanowiło jedną z cech, jakie spodobały się u niego Poincarému, kiedy po raz pierwszy spotkali się w Marsylii. Młodszy z mężczyzn miał też jednak zwyczaj wychodzenia o pół kroku przed szereg.

Teraz Poincaré, nie chcąc się sprzeczać i by zająć czymś czas oczekiwania, polecił mu sprawdzić inne pokoje na piętrze. De Vries zadzwoniła do Laurenta, pragnąc potwierdzić, że razem z detektywami z amsterdamskiej policji obstawili już wszystkie wyjścia z przodu i od tyłu budynku. Zza zamkniętych drzwi Poincaré słyszał urywki rozmowy, wreszcie odgłos odkładania słuchawki. Potem były znowu kroki, zdejmowanie łańcuszka, odsuwanie rygla. Drzwi otworzyły się szeroko.

— Zadzwoniłam do ambasady amerykańskiej, potwierdzili pańską tożsamość, inspektorze. Nie są zadowoleni, że przesłuchanie odbędzie się bez obecności któregoś z nich. Ale skoro pan już tutaj jest, a ich nie ma, polecieli pana wpuścić.

Na kobietę spadło znużenie niczym drapieżny ptak. Cerę miała bladą, woskową, a Poincaré zastanawiał się, czy pod rękawem luźnego swetra nie znalazłby śladów po ukłuciu. Kiedy oparła się o framugę drzwi, przekrzywiła sobie okulary — jakby o nich zapomniała albo nie przywykła jeszcze do ich noszenia. Okulary niezbyt pasowały do jej twarzy, a przez to, że jedna z soczewek była wyraźnie grubsza, szare oczy zdawały się niesymetryczne. Uznał, że pewnie niedawno przeszła operację. Włosy miały dokładnie taki sam kolor jak pole pszenicy, czekające na żniwa.

— Proszę bardzo — oznajmiła. — Tam jest salon.

Ruszyli za nią do rześkiego oświetlonego apartamentu, wyposażonego lepiej, niż sugerowałby hotelowy hol. W salonie były dwie sofy, biurko, lampa oraz fotel do czytania. Poincaré nie widział żadnych śladów kontrabandy, żadnych butelek z lekarstwami. W jakikolwiek sposób Rainier doszła do obecnego wycieńczenia, najwyraźniej zrobiła to legalnie. Coś ją jednak przytłaczało. Przez chwilę opierał się temu, co zdawało się oczywiste, i kontynuował zwykłą rozmowę.

— Zakładam, że dzisiaj rano słyszała pani eksplozję?

— Nie było mnie tutaj. Ale trudno przeoczyć zniszczenia i to, jaką uwagę zwraca cała ta sprawa.

— Co pani wie na ten temat, panno Rainier?

— Co wiem? Poza tym, że stało się coś ogromnego... i przerażającego? Ktoś ucierpiał?
— Głos miała cichutki, detektyw musiał się wysilić, by ją słyszeć. Nie skończyła jeszcze trzydziestki, chociaż w obecnym stanie wyglądała na starszą.

— Zginął człowiek — odparł. — Sądźmy, że pani go znała.

Poincaré przypatrywał się uważnie. Kiedy podał nazwisko, Rainier jęknęła tak, jakby

zachwiała się w posadach.

— Muszę mówić wprost — ciągnął. — Pierwsze godziny są krytyczne. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy pani i doktor Fenster zatrzymywaliście się razem w hotelu Ambassade, dokładnie po drugiej stronie kanału. Czy to prawda?

Patrzyła gdzieś za De Vries i Ludovicim, na skrzydła okien oraz plątaninę gałęzi, którą już tylko kilka dni dzieliło od wypuszczenia liści. Ten sam wiatr, który wdmuchiwał zasłony do wnętrza pokoju, niósł muzykę z pobliskiego, ulicznego bazaru. Poincaré usłyszał śmiech i piski dobiegające od strony karuzeli. Gdyby zjawili się w innej sprawie, można by powiedzieć, że to miły wieczór.

— Panno Rainier?

— Zatrzymywaliśmy się razem... Tak.

— Ale podczas tej wizyty zatrzymała się pani tutaj, a doktor Fenster po drugiej stronie kanału.

Objęła się ramionami i zaczęła kołysać.

— Panno Rainier?

— Kiedyś byliśmy zaręczeni i chcieliśmy się pobrać — wyszeptwała.

— Kiedyś?

— Nie teraz.

— Widziała go pani w Amsterdamie?

— Nie żyje. Jest pan pewien, że nie żyje?

Poincaré oszczędził jej swojej refleksji, że już chyba nic nie mogłoby być bardziej nieżywe od tych poczeriałych kości.

— Nie cierpiał — zapewnił. — Koroner stwierdziła, że śmierć nastąpiła natychmiast i ofiara była całkowicie nieświadoma.

Rainier siedziała na sofie obitej żółtym perkalem. Za sobą miała lustro, przed sobą porysowany, pochlapany kawą stolik. De Vries i Ludovici stali z boku, pod ukośnymi, ciężkimi dźwigarami dachu. Poincaré stał naprzeciwko. Wszystko trwało w bezruchu, wyjąwszy wahadło taniego stojącego zegara oraz zasłony unoszącej się przy oknie.

— Panno Rainier, czy widziała pani doktora Fenstera w Amsterdamie?

— Kiedy przyjechałam, umówiliśmy się na kolację.

— A potem?

Potrząsnęła głową.

— Przyjechała tu pani, bo...?

— Kupuję i sprzedaję antyki. Amsterdam to moja baza w Europie. Kiedyś James przyjeżdżał razem ze mną. Ta okolica świetnie się nadaje do mojej pracy. Kiedy ostatnio się tutaj wybierał, powiedział, że zarezerwował pokój w Ambassade, na jakąś konferencję. Postanowiłam zatrzymać się tutaj... Ta eksplozja... Inspektorze, tyle zniszczeń... Tylko jedna osoba zginęła?

Wysiłek związany z siedzeniem w pozycji wyprostowanej bardzo ją męczył. Poincaré

zastanawiał się, czy nie zatrzymać Rainier tylko po to, by wysłać ją do szpitala.

— O tej porze w hotelu prawie nikogo nie ma — wyjaśnił. — Dzięki Bogu, ludzie wychodzą na miasto załatwiać różne sprawy. Ale to przede wszystkim zasługa precyzyjnego umieszczenia ładunku. Panno Rainier, nie ma wątpliwości, że zamachowiec był profesjonalistą i że to było morderstwo. Kto mógłby chcieć śmierci doktora Fensterera?

Wpatrywała się w stolik od kawy.

De Vries odsunęła zasłonę, aby lepiej widzieć kanał oświetlony latarniami.

— Czy to przypadek, że odwiedziła pani Amsterdam dokładnie w tym samym czasie, co doktor Fenster? — zapytała. — I że miała pani stąd doskonały widok na eksplozję?

Rainier w dalszym ciągu wpatrywała się w stolik.

— Panno Rainier?

I wtedy się odezwała, nagle i gwałtownie.

— Doskonały widok? Jak pani śmie?

— Ale czy pani tego nie uważa za... jak to będzie po angielsku? — De Vries spojrzała gdzieś w przestrzeń, szukając odpowiedzi, jakby mogła właśnie stamtąd się zjawić. — *Achterdochtig*. Podejrzane. O to mi chodzi. W każdym razie to wszystko nasuwa mi pytanie, dlaczego on umarł, a pani nie. Tyle razy wspólnie byliście w Ambassade... Moim zdaniem, pani powinna zginąć razem z nim. Panno Rainier, kto zerwał zaręczyny?

Poincaré wzdrygnął się na brutalność pytania. Odpowiedź była ważna, ale on dotarłby do niej później, łagodniej. Rainier zareagowała histerią na sugestię, że jest zawziętą, odrzuconą kochanką, pragnącą zemsty. Kiedy wreszcie doszła do siebie na tyle, aby mówić, zignorowała De Vries i zwróciła się wprost do inspektora.

— Widział pan ciało?

— Widziałem.

— Może państwo chcecie, żebym zidenty...

Poincaré zaprzeczył.

— Nie mamy żadnych wątpliwości.

Nie miał serca dodawać, że teraz już tylko laboratorium kryminalistyczne zdolne jest połączyć te szczątki z nazwiskiem. Pochylił się do przodu, złożył dłonie i przyglądał się kobiecie. Na wszystko przyjdzie czas w trakcie kolejnej, spokojnej wizyty. Paolo nie mógł się doczekać odpowiedzi, a Poincaré miał zbyt małe pole manewru, by zabronić mu bezceremonialnego wypytywania.

— Panno Rainier, czy pani kiedykolwiek miała do czynienia z materiałami wybuchowymi?

I tak oto rozmowa ledwie się zaczęła, a już się skończyła. Paolo jednak kontynuował.

— Szukamy pozostałości substancji chemicznych — dodał w trakcie nowego paroksyzmu łez. — Potrzebna nam pani zgoda. Jeżeli pani nie ma nic do ukrycia...

Rainier, wśród szlochów, machnęła ręką, jakby mówiąc „zajmijcie się tymi swoimi cholernymi sprawami i wynocha”, następnie podpisała dokument, który położyła przed nią

De Vries. Gisele chwyciła lateksowe rękawiczki, wyciągnęła z torby metalowe szczypce razem z zapasem cienkich bawełnianych krążków. Korzystając z tych szczypiec, łąpała kolejne krążki i pocierała nimi każdą powierzchnię, łącznie z podręczną torebką oraz bagażem Rainier. Następnie powrzucała krążki do osobnych torebek, każdą starannie opisała. Tymczasem Paolo sprawdzał resztę apartamentu, znikając i pojawiając się w polu widzenia, gdy przeszukiwał sypialnię oraz łazienkę.

Przez dziesięć minut, podczas których zajmowali się zbieraniem śladów, Rainier uspokoiła się, wchodząc w stan spokojnej rozpacz. Poincaré widział już morderców płaczących z żalu i płaczących z ulgi po tym, jak wreszcie dokonali swojego czynu. Inni płakali dlatego, że nie zabili wcześniej. Teraz nie pojmował rozpacz Rainier, była jednak wystarczająco realna, aby musiał walczyć z chęcią dodania jej otuchy, absurdem wytworzonym przez bieżące okoliczności. Gdyby zabiła z miłości, jak podejrzewali Paolo i Gisele, to proszę bardzo, witamy w skomplikowanych dziejach ludzkich uczuć. Poincaré wątpił jednak, żeby zamach dawało się aż tak łatwo wyjaśnić.

— Skończyłam — oznajmiła De Vries.

Ludovici wyłonił się z sypialni w tej samej chwili, wsuwając torebkę na dowody do kieszeni marynarki. Kiedy Poincaré wstał, aby wyjść, odwrócił się do Rainier, a ona spojrzała na niego zza kawowego stolika niczym znad świeżo wykopanej mogiły.

— Panno Rainier, przykro mi, że musiałem przekazać pani takie wiadomości.

Pięć, dziesięć sekund wydawało się odpowiednią przerwą przed zadaniem następnego pytania. De Vries nie okazała nawet tyle taktu, bo dla niej takt był tylko pojęciem związanym z rytmem.

— Panno Rainier, jak długo jeszcze zostanie pani w Amsterdamie?

Oczy kobiety powędrowały z powrotem ku zasłonom.

— Chodzi o pani rozkład zajęć — nalegał Ludovici.

— Do jutra. Jutro jadę do Brukseli.

— Proszę zostać na weekend — zasugerował Paolo, zapisując coś w notatniku tak spokojnie, od niechcienia, jakby wypisywał mandat. — Możemy zadać dodatkowe pytania. Jeśli ma pani jakieś inne plany, niech je pani zmieni. Oczywiście, z całym szacunkiem...

— Chodzi mu o to — szybko dodał Poincaré — że na tym etapie jedyne, co mamy, są pytania i chcielibyśmy wiedzieć, gdzie można znaleźć panią albo kogokolwiek innego w jakiś sposób powiązanego z całą sprawą. Byłoby to pomocne.

— Nie zabiłam Jamesa.

— Z pewnością testy to potwierdzą. Ktoś go jednak zabił. Musimy robić to, co do nas należy.

Rainier nieoczekiwanie sięgnęła po dużą, skórzaną torbę leżącą na skraju sofy, skłaniając Ludoviciego do wsunięcia dłoni za połę marynarki. Poincaré widział oba te ruchy, tak jakby oboje powoli sunęli ku sobie po parkiecie tanecznym. Błagał w duchu, by Rainier nie okazała się głupia. W wielu sprawach Ludoviciemu brakowało cierpliwości, ale jeśli chodziło o broń palną, przestrzegał jak najsurowszej dyscypliny. Był najlepszym

spośród znanych Poincarému strzelców, od bliskiego dystansu po odległość tysiąca metrów. Ludovici właśnie trzymał ukryty pistolet i bacznie się przyglądał. Gdyby Rainier wyjęła broń, strzeliłby. Straciłaby palec albo całą dłoń.

Wyjęła kalendarz.

— Mogę zostać dłużej — oznajmiła. — Poprzekładam spotkania. Chcę pomóc.

Poincaré odetchnął. Potem, bez żadnych wyjaśnień, Rainier odwróciła się do niego i spojrzeniem zadała pytanie, jakby zgubiła coś, co tylko inspektor potrafiłby odnaleźć. Pytanie było tak szczere, tak nieoczekiwane, że na chwilę aż zamarł bez ruchu. Patrzyła na niego, jedno oko za grubymi okularami miała dziwacznie większe od drugiego. Przypatrywała się inspektorowi, a Poincaré przyglądał się jej. Patrzył na owalną twarz, szare, migdałowate oczy, długi, nieco garbaty nos, kosmyki pszenicznych włosów, okalających teraz tyle żalu i zamieszania. Wydawała się jakimś wiotkim duchem, unicestwionym wyczerpaniem i niewypowiedzianą stratą. Nie odwracała spojrzenia, a detektyw zaglądał w nie coraz głębiej.

Nie widział w niej zabójcy, zastanawiał się jednak, jak Rainier w ogóle zdołała z nimi porozmawiać. Nikt nie potrafi ocenić cudzego żalu, ale Fenster był kiedyś jej narzeczoną, emocjonalnym centrum życia. Nawet jeśli rozpacz, którą zareagowała na wiadomość o jego śmierci, była szczera, to już szok po usłyszeniu, że go zamordowano — nie. Poincaré wyczuwał, że ten wstrząs pojawił się już wcześniej, zanim przyszli. To by tłumaczyło, dlaczego kiedy po raz pierwszy otworzyła drzwi, czuł się, jakby wtargnął w ostatni akt prawie zakończonej tragedii. Zanim Gisele zaczęła walić do drzwi, zanim on oznajmił smutne wieści i przestudiował reakcję, eksplozja w hotelu Ambassade już doprowadziła tę kobietę do rozpacz.

Po chwili było po wszystkim, po tym milczącym, kłopotliwym przesłuchiwanie przesłuchującego. Rainier wstała, żeby odprowadzić ich do wyjścia. Najwyraźniej coś już sobie ustaliła i zapytała się również o coś dotyczącego Poincarégo — nie miał jednak pojęcia, o co.

6

Wiesz co, Paolo? — powiedział, sięgając po odłamek cegły, ciśnięty na drugą stronę kanału. Eksplozja roztrzaskała kilkanaście szyb po tej stronie Herengracht, gdzie stał Ravensplein, zniszczenia szacowano na miliony, prawdziwy koszmar ubezpieczycieli. — Nożyczki czasem sprawdzają się lepiej niż granat.

Ludovici właśnie chował telefon komórkowy

— O co ci chodzi?

Poincaré zastanowił się. Jutro zaczynała się konferencja WTO, w sumie więc wykład na temat subtelności śledztwa mógł poczekać. Nie sądził, aby jeszcze kiedyś współpracował z De Vries, zwracanie jej uwagi dlatego, że chwyciła Rainer za gardło, nie miało większego

sensu. Paolo musiał się czegoś nauczyć. Tym razem pęd młodego detektywa do sprawiedliwości jedynie udaremnił przesłuchanie — kiedyś mógłby go zabić.

— O to, że badania próbek wypadną negatywnie. To nie ona zabiła Fenstera.

Podeszli do kamiennego mostu, dzięki któremu nieco oddalili się od Ambassade. Ludovici, nie starając się specjalnie dobierać słów, wskazał konary drzewa, kołyszące się w wieczornej bryzie, i oznajmił bez ogródek:

— I wyczytałeś to wszystko z jej oczu? Jaka gałąź nauki tego uczy?

— Tutaj nie chodzi o żadną naukę.

— No to mi powiedz, gdzie się można zapisać na kurs czytania z duszy. Jezu Chryste, Henri — ta kobieta wie więcej, niż nam powiedziała. Chyba temu nie zaprzeczysz?

— Nie. Ale to nie czyni jej morderczynią.

— Powinniśmy ją aresztować.

— Jeśli testy wypadną pozytywnie, tak właśnie zrobimy. Gisele, możemy dostać wyniki jeszcze dzisiaj?

Po drugiej stronie kanału agregaty zasilają rząd lamp rozstawionych wokół hotelu Ambassade, gdzie przy pozostałych jeszcze gruzach robotnicy kłębili się niczym żuki na padlinie. Poincaré patrzył, jak zamiatają roztrzaskane cegły oraz szkło na barcę, która popłynie kanałem i wyrzuci wszystko do Morza Północnego. Na lawetach odjechały już zdemolowane samochody. Do porannego szczytu ulica zostanie całkowicie uprzątnięta.

— Jeśli laboratorium da pierwszeństwo naszym dowodom do analizy, wtedy dostaniemy rezultaty. Ale jest to wielkie „jeśli” — dodała.

Ludovici wyjął z kieszeni dwie plastikowe torebki, jedną ze szczoteczką do zębów, drugą z włosami w kolorze dojrzałej pszenicy.

— Skoro już się tym zajmujesz, poproś ich jeszcze, żeby sprawdzili i to.

Poincaré zatrzymał się.

— No, co? — zapytał Paolo.

— Od kiedy pracujesz dla Józefa Stalina?

Paolo obrócił się na piętach.

— Chyba żartujesz.

— Nie żartuję.

— Widziałeś tę kobietę? — Z przesadą zaczął naśladować machnięcie ręki Rainier, którym pozwoliła im na prowadzenie poszukiwań. — Ewidentnie pokazała „szukajcie wszędzie”, Henri, w każdym pomieszczeniu. Podpisała dokument.

— Pod presją.

— I to jak cholera. Przecież mogliśmy przewrócić pokój do góry nogami i nie naruszylibyśmy prawa.

— Dokument ogranicza nasze poszukiwania do śladów substancji chemicznych, nie DNA. Wyrzuć to.

— Co?

— Powiedziałem, wyrzucić to.

Ludovici odwrócił się do De Vries, która zanim odpowiedziała, przez chwilę rozpięła włosy.

— Załatwcie to pojedynkiem na pistolety — zaproponowała. Potem dodała, zwracając się do Ludovicio: — Wiesz, że mam rację. Rainier podpisała zgodę na szukanie śladów chemicznych. Wasz dowód nie zostałby uznany przez holenderski sąd. Może przez północnokoreański. Dlaczego nie złożymy podania o zmianę właściwości terytorialnej?

— Cholerni służbiści! — Ludovici ruszył przed siebie, wrzeszcząc do nikogo konkretnego. Potem odezwał się do Poincarégo: — Wiesz, właśnie w taki sposób wygrywają źli, właśnie przez to, że takie skrupulatne matole jak ty grają zgodnie z zasadami.

Poincaré niczego sobie z tego nie robił.

— W tym nie ma niczego skomplikowanego. Szukałeś u niej pod łóżkiem. I skoro nie znalazłeś pudełka z napisem „nadchloran amonu”, co za niespodzianka, zebrałeś jej DNA. Szukałeś w ciemno.

— Zgadza się. Kto szuka, ten znajduje. Znasz jakiś lepszy sposób, żeby coś odkryć?

— Mam taki zwyczaj, że zanim kogoś aresztuję, ustalę fakty. A może jak na twój gust to zbyt staroświeckie podejście?

Ludovici uśmiechnął się szeroko.

— Bardzo zabawne — powiedział Henri. — Słyszałeś kiedyś o Dmitrim Kouricu, tak może trzy, cztery lata temu? Gołymi rękoma zabił kilkanaście osób w różnych krajach, a potem porozrywał ich ciała. Taki pokręcony socjopata, że już bardziej by się chyba nie dało. Palce, kawałki wnętrzości i inne takie rzeczy pojawiały się w przypadkowych skrzynkach pocztowych. Udało nam się założyć sprawę, nie do zbiecia, a potem patrzyliśmy, jak go puszczają wolno przez niedozwolone dowody zebrane przez jakiegoś nadgorliwego agenta. A to właśnie — wskazał Poincaré — jest niedozwolony dowód.

— Pamiętam tamtego faceta. Miesiąc później w Bukareszcie rozjechała go ciężarówka. Cóż za przypadek. Nie sądzę, żeby kierowcę odnaleziono.

Poincaré milczał.

— Tak myślałem. My... o, właśnie tego słowa szukałem, my improwizujemy, żeby iść za głosem rozsądku. To właśnie głos rozsądku. Ta kobieta coś wie i jej DNA jeszcze nam się przyda, ale się nie martw — dodał — nie zawaham się wtedy oznajmić „a nie mówiłem”.

— Jeśli chcesz jej DNA, załatw nakaz.

— Co zajmie czas.

— Co jest powodem tego, że się zgodziliśmy, łącznie z tobą, żeby ją przesłuchać dzisiaj wieczorem. Przechodziliśmy przez to, zanim poszliśmy do Ravensplein. Pamiętasz: za i przeciw, nakaz, brak nakazu? Paolo, przedyskutowaliśmy to już, a ty wciąż chcesz robić po swojemu. Przycisnąłeś ją za mocno i zepsułeś przesłuchanie. Nawet psy nie sikają tam, gdzie śpią.

— Pięknie! — Ludovici podszedł do kosza na śmieci, trzymając torebki z dala od siebie,

w przesadnym geście, jakby to były odpady radioaktywne. — Cały czas jesteś zły przez tę plamę z kawy, co? Mówiłem, że ci zapłacę za pralnię.

Pod hotelem Ambassade Poincaré spojrział w stronę tego, co kiedyś było pokojem, a teraz zostało wyrwane z budynku jakby parą szczypiec. U stóp inspektora podłużny kredowy obrys wskazywał miejsce, gdzie upadła noga Fenstera. Zobaczył to i już wiedział, że na pewno zajmie się śledztwem — taka decyzja mniej miała wspólnego z oficjalnym przydziałem z Interpolu niż z pewnymi osobistymi trybikami, wskazującymi na swoje miejsca. Oczywiście, trzeba będzie się też zająć formalnościami, przestępstwo i rozwiązanie jego zagadki wykraczały poza granice państwowe. Dla Poincarégo sprawa zaczynała się dopiero wtedy, kiedy poruszały nim jej szczegóły. Przypomniał sobie ostatnie poranne spotkanie z Banoviciem i odwiedziny miejsca ludobójstwa w Bośni przed dwoma laty, gdy trybiki też powskakiwały na swoje miejsca. Wypalona skorupa człowieka także do tego doprowadziła. Takie morderstwo samo w sobie naruszało normy przyzwoitości.

Nikt nie zasługuje na to, by umierać nad umywalką.

7

Przez trzy dni po wybuchu ani holenderska policja, ani ekipa Poincarégo nie zdołały powiązać śmierci Fenstera ze spotkaniem Światowej Organizacji Handlu, co Holendrom wystarczyło, aby ogłosić, że ta konferencja zakończyła się sukcesem. Ministrowie gospodarki bez przeszkód spotkali się za zamkniętymi drzwiami, a potem wyłonili się z inicjatywą polityczną, opakowaną w wielkie słowa. Wstęp do tej inicjatywy trafił na łamy prasy: Ekonomiczny dobrobyt sudańskich rolników związany jest z losem kolumbijskich tkaczy, hinduskich oraz amerykańskich programistów, a także konsumentów z całego świata. Dzisiejsza szybkość komunikacji, podróży oraz transportu stworzyła pojedynczą ekonomiczną falę, która wszystko unosi albo wszystko zalewa. Światowa gospodarka, przy naszym przewodnictwie lub bez niego, zaczyna się stapiać w jedność, a my, reprezentanci zarówno krajów rozwiniętych, jak i rozwijających się, postanowiliśmy tak pokierować tym połączeniem, by przyniosło nam jak najwięcej korzyści.

Fenster nie zasłużył sobie na żadną wzmiankę w programie konferencji, jego wystąpienie w ostatniej chwili i bez rozgłosu zastąpiono referatem wykładowcy miejscowego uniwersytetu o wpływie globalnego ocieplenia na zyski korporacji. Niemal na oczach Poincarégo wymazywano zamach z publicznej pamięci. Hotel Ambassade szybko dostał odszkodowanie z ubezpieczenia i po dwóch dniach intensywnego sprzątnięcia oraz naprawach głównych urządzeń otwarto go ponownie. Zanim konferencja się skończyła, robotnicy przemalowali fasadę i zaczęli odbudowę zburzonego pokoju pod osłoną ciężkich, metalowych płyt. Wiadomości o zamachu prędko zeszły z pierwszych stron amsterdamskich dzienników, trafiając na strony środkowe, a do niedzieli w ogóle zniknęły z łamów. W ciągu dwudziestu czterech godzin „zamach bombowy” zmienił się w mniej

złowrogą „eksplozję”. Holenderska policja zaczęła traktować sprawę śmierci Fenstera jako odizolowany przypadek, dzieło czynników zagranicznych. Atak na młodego, nieznanego matematyka nie zagrażał holenderskim interesom, co zdejmowało z miejscowych służb bezpieczeństwa obowiązek poważnego dochodzenia. Poincaré to rozumiał. Zabójstwo Fenstera martwiło lokalne władze mniej, niż martwiłby gang kradnący torebki, który szkodziłby branży turystycznej.

Do niedzielnego popołudnia patolog sądowy potwierdziła, że zmarły rzeczywiście był matematykiem z Harvardu. Annette Günter umieściła na podświetlonym ekranie kilka zdjęć rentgenowskich i oznajmiła:

— Henri, bez wątplenia spoglądamy w te same usta. Widzisz wypełnienia w zębach numer trzy, jedenaście i czternaście? I jeszcze to leczenie kanałowe. — Zaznaczyła wymienione miejsca zmywalnym pisakiem. — Zwróć też uwagę na wypukłość kości po obu stronach żuchwy. Bardzo charakterystyczne. Zdjęcie z lewej dostaliśmy e-mailem od dentystów Fenstera w Bostonie. Myślę, że to z wydziału stomatologicznego z Harvardu. Zapis cyfrowy. Wiesz, cała branża się teraz na to przestawia. Wypełnienia zrobiły różne osoby, jedni lepiej, inni gorzej. To drugie zdjęcie zrobiłam sama dzisiaj po południu. Ufam, że doceniasz to zestawienie.

Poincaré po raz pierwszy spotykał się z patologiem poza miejscem zbrodni. Annette Günter była poważną panią w jego wieku, mocnej, kanciastej budowy, z podwójnym podbródkiem, co sugerowało, że ma się do czynienia z Winstonem Churchillem w spódnicy. Gdyby inspektor nie wiedział, kim jest z zawodu, i spotkał ją przy ladzie sklepu z serem albo na jakimś przyjęciu, nigdy by się nie domyślił, że większą część dnia spędza po łokcie w ludzkich flakach. Miała zbyt miłe usposobienie, aby ulec zmęczeniu życiem, częściej przypadłości lekarzy sądowych. Günter wydała się mu czynną społecznie panią z sąsiedztwa, która organizuje akcje krwiodawstwa albo robi szydełkowe buciki dla niemowląt. Po prostu przypadkiem tak się składa, że połowę dnia spędza w towarzystwie trupów.

— Nie ma żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o identyfikację — oznajmiła. — Spójrz na to. — Podniosła dwa zdjęcia, parę podobizn ciemnych pionowych kolumn poprzedzielanych jasnymi, poziomymi paskami.

Nawet dla niewycwiczonego oka Poincarégo wszystko zgadzało się doskonale.

— Stanowe laboratorium kryminalistyczne w Massachusetts przeprowadziło analizę wyschniętej uryny znalezionej na krawędzi muszli klozetowej w apartamencie Fenstera i niedomytego kubka po kawie z jego biura. Wszystko uzupełniają włosy z jego grzebienia wraz z kilkoma nienaruszonymi mieszkami włosowymi. DNA z tych wszystkich próbek jest jednakowe oraz identyczne jak dane uzyskane po przeprowadzonej przez nas analizie fragmentu kości udowej ofiary. Mamy również odciski palców z gabinetu Fenstera oraz z jego mieszkania w Bostonie, które pasują do odcisków zebranych przez nas na miejscu zbrodni. Tutaj jest ten twój facet — oznajmiła, wskazując kartonowe pudło w kącie pokoju. Karton był akurat tak duży, by zmieściła się do niego futbolówka, grubo owinięty folią, i starannie zamknięty pokrywą.

Dopiero po chwili Poincaré zrozumiał, o co jej chodzi.

— Skremowałaś go?

— I tak już był w trzech czwartych spalony. Jutro wysyłamy szczątki. A ja jadę do domu, bo obiecałam mężowi pieczeń. Jak nie zabiorę się do tego w ciągu godziny... — Zerknęła na zegarek, a potem sięgnęła do szuflady biurka po metalowe pudełko z miętusami.

— Na czyje polecenie?

Jego głos miał w sobie oskarżycielski ton. Błąd. Günter starannie położyła dwie miętowe pastylki na czubku języka i przesunęła pudełeczko po blacie, gdzie pozostało nieruszone.

— Jakiejś kobiety o nazwisku Madeleine Rainier.

Poincaré poprawił krawat. Ogrom jego błędnych szacunków stał się wyraźny.

— To potencjalna podejrzana — oznajmił.

Na Günter nie zrobiło to wrażenia.

— Wiesz, kiedyś miałam taką sytuację, że zwłok samobójcy domagały się trzy odrębne strony. Jedna nalegała na kremację, jedna na zabalsamowanie, ostatnia stwierdziła „niech ten skurwiel zgnije”. Chodzi mi o to, że stawanie między trupem a bijącymi się o niego ludźmi to strata mojego cennego czasu. Nikt mi nie powiedział, żebym postępowała inaczej niż zwykle. Wiesz, to nie jest cmentarz. Kiedy już kończę swoją robotę, właśnie tak pozbywam się ciała. — Pstryknęła palcami. — Ale widzę, że jesteś zdenerwowany, więc... — Wzięła jakąś teczkę ze stosu na swoim biurku i wertowała papiery oraz fotografie, aż wreszcie znalazła konkretną stronę, zatrzymała się i przesunęła całą teczkę po blacie. — Powiedziałabym, że wszystko się zgadza, nie wydaje się, byśmy zrobili coś nielegalnego.

Istotnie, leżąca przed nim notatka chyba nie mogła być bardziej bez zarzutu. Zgodnie z zapewnieniem bostońskiego prawnika Fensterera, na mocy w pełni oficjalnego testamentu, datowanego trzynaście miesięcy wcześniej, Madeleine Rainier otrzymywała pełne prawo do rozporządzania mieniem Fensterera. Jeśli ta notatka była autentyczna, a Poincaré nie miał powodów, aby w to wątpić, Rainier mogła zrobić ze szczątkami Fensterera, co tylko chciała.

— Kiedy się na to zgodził, byli zaręczeni — oznajmił.

— Miło, ale co mi do tego?

— Kiedy zleciła kremację?

— Wczoraj wieczorem, siedząc tu, gdzie ty teraz. Mój asystent doradł do rektora Uniwersytetu Harvarda, a ten zdołał odnaleźć prawnika, który skontaktował się z panną Rainier. Muszę powiedzieć, że zjawiała się bardzo szybko.

— Już była w Amsterdamie.

Günter zabrała pudełko z miętusami.

— No dobra. To zbieg okoliczności.

Zamknął teczkę i oddał ją, świadomy, że Günter patrzy na niego z taką samą obojętnością jak na zwłoki. Zalewała go gorycz na myśl o tym, jak bardzo pomylił się co do Rainier. Trzy dni temu wydawała się ledwie zdolna do samodzielnego oddychania, teraz zniszczyła

dowody.

— Annette — powiedział — czy to dla ciebie nie dziwne, że trzydziestoletni mężczyzna, w doskonałym zdrowiu, niemający nikogo na utrzymaniu, pisze testament?

— Najwyraźniej brakuje mi twojego talentu do podawania w wątpliwość każdego możliwego faktu.

Wygładziła osłonę blatu i poprawiła wykładane materiałem pudełko z drugim wiecznym piórem. Biuro Günter nagle przyłoczyło detektywa zapachem środków dezynfekujących i wózkami, czekającymi już na nowych denatów.

— Nie wiesz przypadkiem, kto jest spadkobiercą? — zapytał, sięgając po pudełeczko.

— A skąd bym miała wiedzieć? Słuchaj, rodzice tego człowieka nie żyją. Nie ma krewnych. Myślisz, że chciał, żeby jakiś pracownik kancelarii prawniczej z Bostonu wybierał mu trumnę? W takich okolicznościach trzydziestka to odpowiedni wiek do spisania testamentu. Ja swój spisałam, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata.

— Na litość boską, jesteś koronerem.

Nad jej ramieniem Henri dokładnie widział skrawek pomieszczenia do wykonywania sekcji, gdzie jakiś asystent wyjmował organy z niedawno przywiezionych zwłok. Wrzucił wszystko do stalowej miski. I właśnie to sprawia, że żyjemy? — pomyślał Poincaré. Zaprzagnął świeżego powietrza.

— Chcesz, żebym przeprosiła — stwierdziła Günter. — Za tę kremację?

— Już po wszystkim, zapomnij.

— Nie zapomnę. Instrukcje od prawnika były jasne, podobnie jak od Rainier. Teraz, jeśli pozwolisz, muszę przyrzadzić pieczeń. — Wzięła płaszcz i odwróciła się do Poincarégo z pocieszającym uśmiechem. — Nie smuć się, przyjacielu. I tak straciłbyś te szczątki za kilka dni, w związku z pogrzebem. A mówiłam ci, że Rainier pytała, czy może zobaczyć ciało? Zajmuję się tym już od czterdziestu lat i jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak poruszającego. To były okropne szczątki, nawet według moich norm. Odradzałam panie Rainier ich oglądanie. Kiedy zdjęłam plandekę, uśmiechnęła się tak smutno, przesunęła dłonią po kościach tak, jakby kapała dziecko. Nie wstydzę się przyznać, że miałam wtedy łzy w oczach. Przyłożyła czoło do tego, co pozostało z doktora Fensterera, i coś wyszeptowała. Kochała tego człowieka, nawet jego szczątki. Jak można o tym zapomnieć?

Poincaré wyszedł na ulicę, przyciskając do ucha komórkę.

— Gisele, miej litość i powiedz mi, że masz już wyniki z laboratorium. — W noc po zamachu nie udało się przebadać nie tylko pozostałości substancji chemicznych. Amsterdamskie laboratorium policyjne, zajęte analizą próbek z własnej, długiej listy materiału dowodowego innych śledztw, nie dało się ani namówić, ani przekupić, ani nawet przemocą zmusić do szybszej pracy. Poincaré czekał już trzydzieści sześć godzin — i w końcu nie mógł już czekać dłużej. Wysłał De Vries do Hagi, do innego laboratorium. Bez pozytywnych wyników testu nie mógł aresztować Rainier. Tak naprawdę, przy niedoborach personelu i zajęty szczytem WTO, nie był nawet w stanie porządnie monitorować jej

działań. Zwrócił się więc do holenderskiej policji o pomoc przy obserwacji, ale został zignorowany. Detektyw, który z takim zadowoleniem umył ręce od całej sprawy, obiecując przy tym pełną współpracę, odczekał z odpowiedzią na prośbę dwanaście godzin i w końcu oznajmił: „Dlaczego mielibyśmy brać na siebie koszty?”

Poincaré zdecydował się na jedyne, co mu teraz zostało, i zaczął regularnie wydzwaniać do hotelu, w którym przebywała Rainier, pod pretekstem zadawania jej dodatkowych pytań. Póki mógł przynajmniej słyszeć jej głos, póki wiedział, że nie uciekła z Amsterdamu, mógł ją prawie natychmiast aresztować. Ostatnim razem rozmawiali rano, wciąż jednak potrzebował wyników badań — aż wreszcie Gisele je uzyskała.

— Jeśli chodzi o nadchloran amonu, mamy wynik pozytywny — oznajmiła. — Wewnątrz jej walizki, na dzinsach i bluzie. Dzwoniłam, gdy tylko się dowiedziałam, trzydzieści minut temu, a potem co pięć minut. Teraz jestem w pociągu z Hagi. Spotkamy się w hotelu?

Zamachał na taksówkę.

— Nie. Załatw nakaz aresztowania, przytrzymamy ją, dopóki się nie zjawisz. — Poincaré wykonał drugi telefon i po dwudziestu minutach był już pod Ravensplein, akurat wtedy, gdy Ludovici i Laurent wysiadali z auta. Spotkali się w holu, gdzie zastali tę samą recepcjonistkę co ostatnio, tyle że teraz włosy miała szmaragdowozielone. Tym razem, gdy Poincaré gwałtownie otworzył drzwi, dziewczyna wyszła zza kontuaru.

— Dzwoniłam — powiedziała błagalnym tonem. — Naprawdę. Na oba numery, które mi pan zostawił. Ta pani wymeldowała się dziewiętnaście minut temu. Dzwoniłam. Nie mogłam się dodzwonić. Nic mi nie grozi, prawda?

— Czy wzięła taksówkę? Czy ktoś ją podwiózł?

— Myślę, że po prostu sobie poszła.

— Jak sądzę, zapłaciła gotówką?

— To był wysoki rachunek. Skąd pan wie?

Pracownia patologii sądowej, mieszcząca się dwie kondygnacje pod poziomem ulicy, okazała się prawdziwym grobowcem dla sygnału telefonu komórkowego. Poincaré nie poinformował nikogo o spotkaniu, zakładając, że będzie dostępny. Po nieudanym przesłuchaniu postanowił pracować sam. Co prawda Interpol jeszcze nie przydzielił go oficjalnie do sprawy Fenstera, dlatego nie popełnił „błędów” jako takich. Ale i tak wiedział, że wszystko spartolił koncertowo. Pod Ravensplein stanął twarzą w twarz z Ludovicim, żeby mając Laurenta za świadka, wypić, co nawarzył.

— Henri, doskonała robota. Kłamała w trakcie przesłuchania, zniszczyła dowody, poddając je kremacji, a potem uciekła z miejsca przestępstwa. Ale przynajmniej zrobiłeś wszystko regulaminowo. Świetna robota.

Był winny. Pozostał mu tylko wniosek, wyciągnięty automatycznie, a także bezcelowy — że nie ma już nadziei, aby kiedykolwiek schwytać Rainier. Zaalarmował ochronę dworca kolejowego i lotniska, na wypadek gdyby okazała się na tyle głupia, by opuszczać kraj legalnie. De Vries zaalarmowała holenderskie przejścia graniczne. Henri wydał również

Czerwony List Gończy Interpolu: międzynarodowy nakaz aresztowania, który pozwalał miejscowym władzom stu osiemdziesięciu ośmiu krajów członkowskich dokonać natychmiastowego zatrzymania, chociaż sądził, że Rainier pozostanie w Holandii przez kilka tygodni — może wybierze się gdzieś na prowincję — a potem wymknie się niezauważona.

Późniejszym popołudniem skontaktował się z bostońskim prawnikiem Fensterą, miłym człowiekiem, który nie miał żadnego powodu, by dzielić się informacjami.

— Proponuję, żeby najpierw uzyskał pan nakaz, a dopiero wtedy będziemy mogli porozmawiać — oznajmił. — Dokładniej rzecz ujmując, ona nie jest moją klientką, ale wciąż mogę się powołać na przywilej związany z kontaktami prawnika z klientem, bo znałem ją tylko za pośrednictwem doktora Fensterę.

Poincaré załatwił więc nakaz, świadomy, że każda informacja, którą stara się wydobyć, może okazać się nieaktualna, bo przecież Rainier przestała już używać numerów telefonu i adresów, które prawnik wykorzystywał do kontaktu z nią. De Vries, z typową dla siebie skutecznością, dowiedziała się także, że Rainier zlikwidowała właśnie swój sklep z antykami, sprzedała mieszkanie, polikwidowała karty kredytowe, zamknęła rachunki oszczędnościowe i czekowe, wcześniej przenosząc wszystkie fundusze do banku na Bahamach — a to konto po paru dniach również zamknęła. Za każdym razem De Vries pytała, czy Rainier zostawiła adres kontaktowy. Odpowiedź nikogo nie zaskakiwała.

Zarówno ksiądz, jak i znawca prawa pochwaliliby Poincarégo za to, że w tamten czwartek nie dokonał aresztowania. Ksiądz za chęć do współczucia oraz pozwolenie, by Rainier skorzystała z wszystkich dobrodziejstw, wiążących się z wątpliwościami co do winy. Legalista za dbałość o wynik późniejszego procesu poprzez trzymanie się właściwych procedur. Lepiej puścić jednego przestępcę wolno, niż pogwałcić reguły i wystawiać na szwank prawa wielu osób. Całkiem niezła teoria, chociaż teraz to Poincaré musiał żyć z jej konsekwencjami. Znajdzie w końcu tę Rainier, ale świat, w którym musiał jej szukać, wydawał się bardzo duży.

8

Ucieczka Rainier stała mu w gardle jak kość, której nie mógł ani połknąć, ani wykrztusić. Za sprawą swojego temperamentu wyrobił sobie zdolność spokojnego, jasnego spojrzenia na własne porażki, bo porażka trzeźwiła. Kiedy jego syn miał już tyle lat, aby zrozumieć, czym ojciec zarabia na życie, spytał: „Czy jesteś takim Sherlockiem Holmesem?” Poincaré mógł się tylko uśmiechnąć i odpowiedzieć, że owszem — wielkiego detektywa uważał za bliskiego przyjaciela. Jednak przenikająca, nieprzyjemna prawda była taka, że inspektor, chociaż odnosił więcej sukcesów niż inni, w przeciwieństwie do słynnego bohatera Conan Doyle’a, mógł wskazać w aktach prowadzonych przez siebie spraw znaczące porażki, urażające go osobiście.

Przeciągnął się i przechylił do tyłu na krześle, które musiał już dwukrotnie skleić, aby się nie rozleciało. Holenderskie organy ścigania w swoim mniemaniu wyświadczyły Interpolowi przysługę, na krótki czas udostępniając wielką salę balową osiemnastowiecznego pałacu, nieopodal placu Dam. Bez najmniejszej ironii gospodarze Poincarégo nazwali tę rozpadającą się jamę pierwszorzędną przestrzenią biurową w sercu starego Amsterdamu. Rzeczywiście, była stara. Każda otynkowana powierzchnia popękała i się łuszczyła. Pozostałości gzymsów wyglądały jak pijak z powybijanymi zębami. Parkiet rozlatywał się i trzeszczał pod stopami, a wyblakłe zasłony sprawiły, że Poincaré aż jęknął. Żaden kolor nie robił na nim takiego wrażenia jak aksamitny, operowy karmazyn, kiedy miał u boku Claire albo Etienne'a, i żaden kolor nie przygnębiał go bardziej niż owa piękna czerwień żałośnie wyblakła. Znał kiedyś człowieka takiego jak ta sala, barona od sześciu pokoleń, który nie miał pieniędzy, ale za to wybijał ego pozera, woskującego sobie koniuszki wąsów.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Laurent, który wrócił po załatwieniu jednej z ich ostatnich spraw w Amsterdamie, odezwał się do Poincarégo.

— Mamy kolejne cztery zdjęcia... Administratorka, która ustalała mówców na konferencji, nie wiedziała, gdzie je wysłać po tym, jak Fenstera... odwołano. — Uniósł teczkę. — Ta zołza naprawdę tak powiedziała. Wysłała je wcześniej, żeby mogli zrobić kopie i rozdać w trakcie wykładu. Teraz już nie mamy wątpliwości. Ten obrazek, który znaleźliśmy na miejscu zbrodni, stanowił część większej prezentacji.

Poincaré sięgnął ku stołowi konferencyjnemu akurat wtedy, gdy Laurent odstawił swoją teczkę i wyjął papierosa. Rozbłysła zapałka.

— Serge, proszę.

Laurent wskutek raka stracił już płat jednego płuca i od tamtej pory dwukrotnie próbował rzucić palenie. Zaciągnął się teraz głęboko i wypuścił ponad stołem białoniebieski obłok.

— To potwierdzone — oznajmił, wskazując folder. — Mamy zagadkę Jamesa Fenstera. Henri, zajmijmy się przydziałem.

Właśnie dzisiaj rano Interpol oficjalnie przydzielił Poincarému sprawę Fenstera. Po zidentyfikowaniu zwłok holenderskie władze skontaktowały się z amerykańską ambasadą, która zastrzegła sobie prawo odwołania się do FBI, poprosiła jednak Interpol, żeby stanął na czele śledztwa, chociaż pod dwoma warunkami: Amerykanie będą informowani na bieżąco na wszystkich etapach dochodzenia oraz ze szczególną uwagą zostanie potraktowana kwestia pochodzenia nadchloranu amonu. Nie życzyli sobie żadnych nowych zamachów przy użyciu paliwa rakietowego. Najwyraźniej Fenster był już dla nich mniej ważny.

— Czyli że dostałeś nowy przydział?

— E-mailem. Lyon przydzielił mi Żołnierzy Wniebowstąpienia, taką kiepską, Bóg wie jaką sprawę. — Laurent odchrząknął i splunął do chusteczki. — Znani są też jako Wniebowstąpięcy, fundamentalistyczny, ewangeliczny kult, głoszący teologię Końca

Świata. Zorganizowali się w autonomiczne komórki, coś w rodzaju Al-Kaidy, bez żadnego nadrzędnego autorytetu innego niż Nowy Testament. Nie jest to Kościół jako taki, każdą komórką kieruje samozwańczy prorok, który przekazuje instrukcje wynikające z jego własnej interpretacji Słowa Bożego. Terroryci walący Biblią w stół. Popełnili co najmniej dwa tuziny zabójstw, za każdym razem, w ramach usprawiedliwienia, pozostawiali ustęp z Pisma Świętego. Podkładają też bomby dla Jezusa — zamach w Mediolanie to ich sprawka. Henri, oni chcą, żeby świat stał się jeszcze gorszym miejscem po to, aby w ten sposób przyspieszyć Drugie Przyjście. Najwyraźniej Chrystus objawi się ponownie, gdy zapanuje absolutny chaos, dlatego dobry chrześcijanin powinien nie tylko nie naprawiać świata, ale aktywnie rozdzierać go na kawałki. Stąd pociski, bomby i morderstwa dla Chrystusa. To tak na wypadek, gdybyście myśleli, że głupota ludzka ma jakieś granice...

Poincaré nie uwierzyłby w to, gdyby nie morderstwo w Barcelonie. Znalazł na swoim komputerze ustęp z Ewangelii według Świętego Mateusza, wers dwudziesty czwarty z dwudziestej czwartej księgi.

Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych.

— To są ci sami ludzie — oznajmił. Zalogował się do bazy danych Interpolu i przeczytał wystarczająco dużo, aby potwierdzić ten związek. — Według raportu policji, zabójca przypiął tę notkę do włosów ofiary, ponad raną wlotową tak, by krew nie zakryła ani jednego słowa.

Laurent wrzucił papierosa do otwartej puszkę z napojem.

— Zwracają uwagę na szczegóły — stwierdził. — Czy właśnie tego nie uwielbiamy u morderców? To ich czyni takimi... ludzkimi. — Zapalił kolejnego gauloise'a i wypuścił chmurę dymu. — Tylko mordercy inspirowani religią mogą być aż tak pokręcani. A co do zamachu w Mediolanie, brak mi słów. Facet rozerwał się obok budki z lodami. Pięcioro spośród jego sześciu ofiar to dzieci. — Laurent zakasłał, pierś zadrżała mu złowieszczo. — Henri, pracujemy wspólnie już od dawna. Wiesz, że nigdy nie uciekałem od żadnej sprawy. Ale z całego serca nienawidzę tych ludzi, a niedobrze jest zaczynać pracę od czegoś takiego. Pozwól mi się zająć zamachem na Fenstera. Załatwię to z Lyonem.

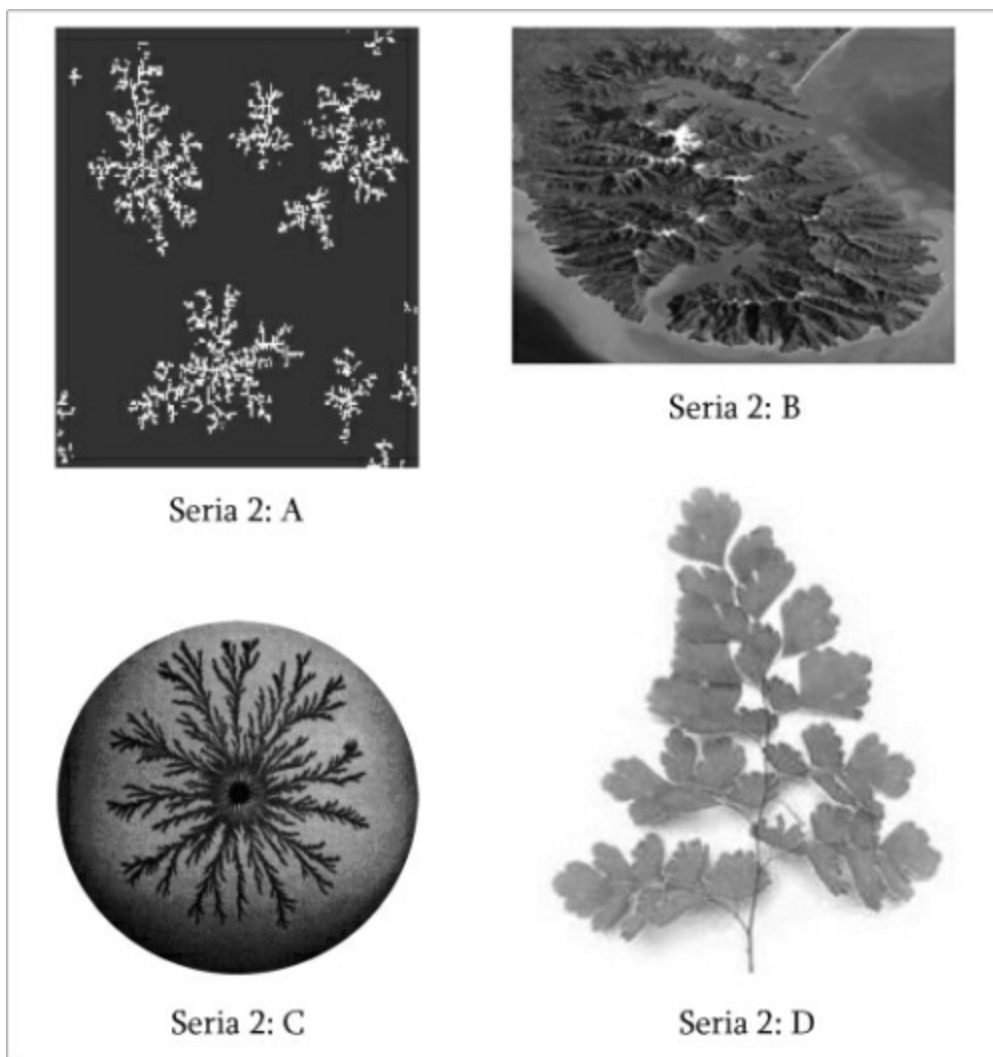
Inspektor rozważył ofertę. Istotnie, dochodzenie w sprawie Żołnierzy Wniebowstąpienia mogło okazać się nieprzyjemne, ale taki był w końcu każdy przydział. Żaden z nich nie zatrudnił się przecież do naprawy rowerów albo dostarczania ciepłych posiłków pustelnikom. Poincaré wiedział, że jutro Laurent będzie miał już zarys jakiegoś planu.

— Nie mogę — odparł. — Ale pomogę, jeśli zdołam. Jeśli zobaczę jakiegoś wniebowstąpieńca, od razu go poznam?

Laurent splunął do chusteczki.

— Wypatruj ludzi takich jak z biblijnego filmu z Hollywood, w powłóczystych szatach i cytujących Pismo Święte. Są w każdym wieku, niektórzy mają nawet siedemdziesiątkę. Dwadzieścia krajów doniosło o istnieniu aktywnych komórek i chciało, żeby reakcję

koordynował Interpol. I nie, nie chodzi o to, żeby zaaresztować wszystkich ubranych w powłóczyste szaty. Nie wszyscy są wariatami, ale nie da się tego stwierdzić, tylko patrząc na nich. Pewnie w związku z tym wybiorę się do Stanów, mam na myśli Las Vegas. — Ponownie kaszlnął i otworzył teczkę. — Dziękuj Bogu, że to tylko jakieś łamigłówki — powiedział, wskazując cztery fotografie.



— Mam zgadywać? — zapytał Poincaré.

Laurent pokiwał głową.

— No, dobra. Na pierwszym obrazku jest płatek śniegu, chociaż ma dziwny kolor jak na płatek śniegu. Jednak obrazek A wygląda podobnie jak obrazek B, który na pewno przedstawia wyspę albo półwysp. Obrazek A może być zdjęciem rentgenowskim obiektu B, strukturą kostną gór. Wystarczy dodać trochę ciała do tego szkieletu i już mamy masę lądową. C to przypuszczalnie jeszcze jeden płatek śniegu. Może wycinek sosny, widziany z góry. D to najwyraźniej gałązka z liśćmi. Można trochę pobawić się skalą i umieścić to w każdym z innych zdjęć. Nie jestem w stanie powiedzieć, co te rzeczy mają wspólnego z globalizacją.

Laurent po kolei odwracał fotografie i czytał opisy.

— Henri, dwa trafienia na cztery. Przegrałeś. Zdjęcie A, ledwie jestem w stanie to

przeczytać, to przykład czegoś, co się nazywa warstwa epitaksjalna, to są pojedyncze atomy złota przyczepione do powierzchni silikonu za pomocą charakterystycznych dendrytycznych rozgałęzień. — Laurent uniósł wzrok. — To jest złoto, nie śnieg. — Odwrócił następne zdjęcie i przeczytał: — Christenchurch w Nowej Zelandii, widziane z kosmosu. Zwróćcie uwagę na dendrytyczne przedłużenia grzbietów górskich — centralne linie grzbietów rozchodzą się na podobieństwo palców w mniejsze grzbiety i jeszcze mniejsze grzbiety aż do brzegu. Zdjęcie C: kolonia bakterii na płytce Petriego, dendrytyczne rozgałęzienia. Zdjęcie D — zakończył Laurent, układając fotografie — to liść paproci.

— Niech zgadnę, widać dendrytyczne rozgałęzienia.

Poincaré przyglądał się fotografiom. Zwrócił uwagę na to, że dwa przykłady wiążą się z biologią, dwa z geologią. Jeden z obiektów był zbyt mały, aby dostrzec go gołym okiem; drugi tak wielki, że jego strukturę dawało się zobaczyć dopiero z orbity. Jeden przedstawiał roślinę stanowiącą element ściółki leśnej, drugi kolonię żywych organizmów, pozerających laboratoryjną pożywkę, spiralną galaktykę na płytce Petriego. Poincaré siedział w milczeniu.

— Zwróć uwagę na podpisy pod każdym zdjęciem — powiedział Laurent. — Te zdjęcia są pokrewne. Każde, na jakimś poziomie, stanowi wersję drugiego — mówił, kręcąc masywnym pierścieniem, prezentem od trzeciej żony przed ostateczną, nieudaną próbą rzucenia palenia. Właściwie był to nie tyle pierścień, co srebrny nugat z przewierconym otworem na palec. W ciągu sześciu miesięcy walki z bezsennością oraz nocnych potów istniała nadzieja, że sięgnie po pierścień, zamiast po papierosa.

— To lepsze od różańca — powiedział kiedyś. — Ella chciała mi dać różaniec, ale postanowiłem Boga w to nie mieszać.

Niestety, czar srebra nie zadziałał i jedyne, co pozostało, to nowy nałóg Laurenta, dodany do starego. Wypalał teraz trzy paczki papierosów bez filtra i kręcił pierścieniem.

— Sporządziłem kopię dla ciebie — powiedział o zdjęciach. — Oddałbym lewe jajo, żeby się dowiedzieć, jak Fenster zamierzał to wprowadzić do wykładu na temat globalizacji.

Zaskrzypiały otwierane drzwi sali balowej i weszli przez nie Ludovici oraz De Vries, a między nimi ostatni z protestujących, których przesłuchiwali w związku z zamachem. Poincaré, rozpoczynając dochodzenie, nie ograniczał się do pojedynczych podejrzanych. Za pomocą elektronicznych zleceń zastawił na całym świecie sieć na Rainier, ale przyglądał się także innym — w tym wypadku antyglobalistom. Uznał, że jeden z nich — przypuszczalnie w porozumieniu z Rainier — mógł obrać Fenstera za cel w związku z zapowiadaniem przez niego wykładem o światowej gospodarce. Żadna z osób przesłuchanych do tej pory przez Poincarégo nie miała jednak przekonywających związków z matematykiem. Żadna nawet nie przyznała się do tego, by o nim słyszała, nie wspominając już o znajomości na tyle dobrej, by zaplanować morderstwo i je popełnić. Eduardo Quito, ostatni na liście, był kiedyś naukowcem oraz najprawdopodobniejszym podejrzany. Poincaré wyczekiwał tego spotkania, dlatego że Quito był sławny, a także

dlatego, że tylko ono dzieliło go od kolejnej nocy w Amsterdamie i lotu do domu, do Lyonu. Claire już stamtąd wyjechała, żeby przygotować dom na wsi oraz przywitać dzieci, ale i tak dobrze będzie napić się znajomego wina, zasnąć we własnym łóżku. Uznał, że zdjęcia mogą jeszcze poczekać.

9

Peruviańskie Ministerstwo Turystyki miałoby spory pożytek z umieszczania podobizny Eduarda Quito w broszurach, wspomagających oddzielanie północnoamerykańskich turystów od ich ciężko zapracowanych dolarów. Gdy tylko wkroczył do tymczasowej kwatery Interpolu, od razu można było zobaczyć, że jest nieodrodnym synem Andów, ubranym w typowy strój pasterza alpaka, którym zresztą był, podobnie jak jego ojciec i dziadek. W perkalowej koszuli, apaszcze, drelichowej kurtce oraz fedorze na przetykanych srebrem włosach przypominał bardziej pasterza niż naukowca czy politycznego wicherzyciela. W dodatku, co wręcz niewiarygodne, był w równym stopniu każdym z nich. Z taką samą łatwością przedstawiał argumenty Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, przewodził ulicznym protestom oraz wędrował odległymi, górskimi szlakami. W jednym tygodniu płynną francuszczyzną przemawiał w Paryżu na forum, gdzie zajmowano się prawami ludności tubylczej, w kolejnym, bezbłędną niemczyzną wymyślał w Berlinie ministrom krajów grupy G-8. Potem leciał do domu, w Andy, niczym kondor wracający do gniazda. Quito był krępy, mocnej budowy, o przenikliwych, czarnych oczach.

Poincaré dokładnie przemyślał całą rozmowę, wciąż jednak nie wiedział, od czego zacząć przesłuchiwanie Quito, który pozostałby pasterzem, gdyby nie czujny ksiądz, dostrzegający w dziecku talent do liczb. Dzięki niemu Indianin trafiał do kolejnych szkół, aż wreszcie na katedrę uniwersytetu w Limie, gdzie wyspecjalizował się w ekonomii kolonializmu. Co najmniej jedno europejskie państwo wciągnęło go na listę osób podejrzanych o terroryzm; kilka innych nazywało prowokatorem i wciąż odmawiało wstępu na swoje terytorium. Naukowcy szeptali, że jest świetnym kandydatem do Nagrody Nobla. Problem polegał na tym, jak twierdzili ci, co umniejszali jego zasługi, że pozwolił, by oszałamiająco oryginalny umysł zepsuła polityka. Z kolei zwolennicy Quito właśnie to najbardziej u niego cenili. Znalazłszy się na samym szczycie, nagle zerwał z nauką, powrócił do Pisac, wioski, w której przyszedł na świat, i założył organizację o nazwie Front Wyzwolenia Tubylców, w skrócie FWT. Korzystając z Internetu, narzędzia dostarczonego przez nieprzyjaciela, Quito dotarł do trzystu milionów przedstawicieli ludności tubylczej na całym świecie, stając się głosem wzrastającego ruchu politycznego, walczącego o prawa człowieka. Poincaré czytał jego artykuły w „Le Monde”, „Guardianie” i „New York Timesie”; przestudiował klasyczne już prace Quito na temat systematycznego, ekonomicznego wyniszczania ludności rdzennej. Nie dowierzał, że ktoś może być tak płodny czy obdarzony nieustającą charyzmą — aż do chwili, gdy ów człowiek stanął przed nim osobiście. Quito, nie zdejmując plecaka, od razu podszedł do

swojego gospodarza, jakby do z dawna poszukiwanej publiczności.

— Inspektorze, pańska reputacja pana wyprzedza.

Błyszczące, spoglądające badawczo oczy spotkały się ze spojrzeniem Poincarégo, po czym nastąpił mocny uścisk dłoni i coś w rodzaju uprzedzającej życzliwości, która jednocześnie niepokoiła. Nie dało się zaprzeczyć, że Indianin ma w sobie siłę.

— Moja reputacja? — odparł Poincaré.

— Każdy, kto zna Interpol, nie może powiedzieć, że pana nie zna.

Czar prysł, gdy tylko Quito zamknął obie dłonie na wyciągniętej ręce detektywa. Ich dotyk przypominał cegły, którymi rzucono w Seattle oraz samochody palone w Rotterdamie. W trakcie zamieszek towarzyszących szczytowi WTO w Paryżu jakiś policjant oślepnął na jedno oko. Tymi protestami kierował człowiek, który teraz tak wylewnie witał się z Poincarém. Nazwisko Quito nigdy pojawiło się jednak w żadnym akcie oskarżenia. Był na to za sprytny.

— To raczej pan cieszy się pewną reputacją — odparł Poincaré.

— Uznam to za komplement — stwierdził Quito ze śmiechem. Opuścił plecak i ruszył za gospodarzem w stronę stołu konferencyjnego. — Prawie wszystkie organy ścigania na świecie, oprócz Interpolu, znalazły już jakiś powód, żeby mnie przesłuchać. Inspektorze, to spotkanie było nieuniknione, jestem więc na nie przygotowany, podobnie jak pan. Kiedy ten młodzieniec — Quito wskazał Ludovicięgo — poprosił mnie, żebym się zatrzymał i porozmawiał, to się zgodziłem. Ja też przeprowadziłem dodatkową kwerendę i od czasu do czasu natykałem się na nazwisko Poincaré.

— Internet? — zapytał detektyw.

— Oczywiście. I inne źródła. Trzydzieści lat w Interpolu. Dwanaście pochwał za bohaterską postawę. Zaproszenia do Londynu, Waszyngtonu i Moskwy na wykłady o przestępczości międzynarodowej, sukcesy tam, gdzie inni zawiedli. I, jeśli dobrze zrozumiałem, więcej niż raz odrzucił pan awans, byle tylko pozostać czynnym agentem. Brawo!

— Profesorze, nie czytuję tego, co gazety wypisują na mój temat.

— W dodatku skromny! Cechą, która najbardziej mnie u pana fascynuje, jest to, że przypomina pan takie angielskie psy, który kiedy ugryzą, to już nie puszczają. Kiedyś czytałem o psie, którego trzeba było bić po głowie żelaznym prętem, żeby puścił. Zwierzę umarło, a nie zrezygnowało.

Poincaré patrzył, jak jego gość, rozbawiony, klepie blat dłonią, jakby był wśród przyjaciół w jednej z amsterdamskich „brązowych kawiarni”.

— Na pewno mamy jakiegoś wspólnego przodka, bo żona nazywa mnie najbardziej upartym osłem na świecie. W naszej wiosce mówi się na to *tenaz*.

Roześmiał się, ale nagle ucichł, widząc fotografie, które Laurent ułożył na skraju stołu.

— Śliczne. Co to jest?

— Profesorze, tylko kilka zdjęć.

— Nie, nie sędzę, aby to było tylko kilka zdjęć. To są fraktale, prawda?

Poincaré natychmiast zaczął się przyglądać dłoniom Quito. Ich wygląd rzeczywiście potwierdzał, że Indianin co najmniej część roku zarabiał na życie, pracując na świeżym powietrzu.

— Zastanawialiśmy się nad nimi — powiedział. — Mógłby pan to nieco rozjaśnić?

— Inspektorze, nie jestem ekspertem. — Skromność była fałszywa, bo Quito szybko poukładał fotografie, by lepiej im się przyjrzeć. Po kilku chwilach, gdy jego zainteresowanie ewidentnie wzrosło, uniósł wzrok. — Przy fraktalach nie da się określić skali, to znaczy wielkości obiektu. Weźmy na przykład to. — Trzymał zdjęcie miasta Christchurch z Nowej Zelandii. — Gdyby zrobić fotokopię krawędzi półwyspu widzianego z kosmosu, a potem dokonać zbliżenia, powiedzmy metra tego samego wybrzeża i jeśli zmienić wymiary obu zdjęć, to nie odróżniłby pan wizerunku odcinka trzystu kilometrów od wycinka długości metra. Przy fraktalach geometria odcinka oraz geometria całości są takie same. W części widać całość. Inspektorze, jada pan kalafiory?

— Słucham?

— Kalafiory i brokuły. Jada pan?

— Tak.

— Oba to fraktale. Pojedyncza różyczka jednego i drugiego wygląda dokładnie tak samo jak całość. Widzi pan?

Poincaré zobaczył.

— Cały świat w ziarnku piasku — stwierdził detektyw. — Pan znał Fensterę.

Quito przytaknął.

— Jestem ekonomistą, a on był matematykiem. Dziwaków czasem do siebie ciągnie.

Na prawie minutę zapadła cisza. Kiedy Poincaré doszedł już do wniosku, że gość uznał, iż złożył wystarczające wyjaśnienia, rozwarł dłonie w geście podobnym do tego, którym na targu pokazuje się, że dostało się za mało reszty.

— To wszystko? Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Potrzeba mi czegoś więcej niż dziwaków.

— A cóż mogę powiedzieć? — odparł Quito. — To nie był szczęśliwy okres. James i ja przez jakiś czas pracowaliśmy razem i bardzo szybko opublikowaliśmy artykuł, ale potem.. — Przerwał, aby ułożyć fotografie. — Spróbuję wyjaśnić. Matematycy piszą równania, igrają z liczbami oraz symbolami, które niekoniecznie muszą mieć związek z rzeczami istniejącymi na świecie. Uwielbiają czystość. Ekonomiści budują modele rzeczywistych zdarzeń, a rzeczywistość to przecież taki bałagan.

Poincaré rozmyślał o niebieskim brezencie łopoczącym na szczątkach Jamesa Fensterę — i o skrzących się jak klejnoty odłamkach szkła, rozsypanych wokół hotelu Ambassade.

— Zauważyłem. Nad czym pracowaliście?

Quito z pełną powagą złożył dłonie i oznajmił:

— Nad matematycznym modelem miłości.

Laurent parsknął tak gwałtownie, jakby ktoś podpalił pod nim lont. Śmiech zmienił się w spazmatyczny kaszel, od którego twarz zrobiła mu się jaskrawoczerwona.

— No, dalej — powiedział Quito. — Śmiejcie się, panowie. Pracowaliśmy nad pewną koncepcją, poglądem, wedle którego można stworzyć matematyczny model tego najbardziej niesforenego, najbardziej nieprzewidywalnego z ludzkich zachowań. Jeśli zdołalibyśmy stworzyć model miłości, moglibyśmy stworzyć model wszystkiego. Staraliśmy się oddać uczucia kochanków za pomocą symboli, a potem zajęliśmy się sporządzaniem wykresów zachowań w słynnych związkach miłosnych, znanych z literatury. Tematem naszego pierwszego artykułu miała być analiza uczuć Romea i Julii.

— No, nareszcie! — parsknął Laurent, z trudem łapiąc oddech. — Już wiem, dlaczego rozpadło się moje małżeństwo. Dlatego, że nigdy nie rozumiałem równań nieliniowych! — Znowu się rozkasłał. Przepraszając, poszukał kubka z wodą.

Tym razem i Quito się roześmiał.

— Przetrzyłbym już gorsze rzeczy. Niestety, niewiele osób podchodzi do tego poważnie. Jednak istnieje matematyka serc. Moi rodzice ją pojmowali, chociaż byli niepiśmienni.

— A na czym polega ta matematyka? — zapytał Ludovici, który aż do tej pory zadowalał się wyłącznie przyglądaniem.

— Wśród tych, którzy się kochają, jeden plus jeden rzadko równa się dwa.

— Amen!

— Na dobre i złe, młody człowieku!

Quito odwrócił się do Poincarégo.

— Przesłanki nie są wcale takie absurdalne, jak się może wydawać, chociaż muszę przyznać, że wymyśliliśmy coś takiego, żeby zwrócić na siebie uwagę. Razem z Jamesem mieliśmy się zająć czymś większym. Czym by to zilustrować... — Poincaré podążył za jego spojrzeniem, w stronę okna, na plac Dam. Zatrąbił klakson ciężarówki, a Quito się ocknął.

— Dobrze — oznajmił. — Typowy przykład. Ruch uliczny. Proszę sobie wyobrazić ruch uliczny w dowolnym mieście, latem, w piątek o siedemnastej. Inspektorze, niech pan opisz, co widzi.

— Korek — odpowiedział Poincaré. — Parking.

— Właśnie tak. To jest system ludzki, ludzie siedzą za kierownicami, w samochodach, które zbudowali inni ludzie, ludzie jeżdżą po autostradach zbudowanych przez innych ludzi. Sam pan przyzna, prawda, że samochody i korki to czysto ludzki system?

Poincaré przytaknął.

— Dobrze. Inżynierowie zajmujący się ruchem ulicznym korzystają z matematyki, zasad dynamiki płynów, aby badać przepływ ruchu ulicznego. Inspektorze, proszę mi powiedzieć, dlaczego równanie opisujące szybkość, natężenie i przepływ rzeki może także opisywać przepływ ruchu ulicznego w godzinach szczytu? Przecież pierwszy z tych systemów został stworzony przez człowieka, a drugi przez naturę. W jednym systemie działają umysły ludzi kontrolujących pojazdy, w drugim tylko prawa grawitacji. A jednak zachowanie ludzi

przypomina zachowanie wody tak bardzo, by inżynierowie mogli korzystać z dynamiki płynów do projektowania autostrad. Dlaczego w ogóle jedno i drugie może mieć ze sobą jakiś związek? To nie ma sensu, a jednak związek istnieje.

Poincaré mógł tylko wzruszyć ramionami.

— Nigdy się nad czymś takim nie zastanawiałem.

— A my z Jamesem zastanawialiśmy się. Staraliśmy się pokazać, że można zbudować matematyczny model ludzkiego zachowania, podobnie jak można stworzyć model każdego złożonego, dynamicznego systemu w przyrodzie, na przykład pogody. Zamierzaliśmy wyjść z taką tezą i zasugerować, że regułami, którymi opisuje się złożone systemy przyrody, da się również opisać złożone ludzkie zachowania.

— Wątpię — stwierdził Poincaré. — Może dynamika płynów opisuje przepływ ruchu ulicznego, ale jaki rodzaj matematyki opisuje miłość?

Quito poprawił się na krześle.

— Nigdy nie dotarliśmy aż tak daleko.

Ludovici parsknął i mruknął pod nosem „nic dziwnego”.

Oczy Quito błysnęły.

— Paolo, przeproś pana.

— Inspektorze, niech mnie pan nie traktuje protekcyjnie. Pomysł był naprawdę dobry. Pracowaliśmy kilka miesięcy, dopóki James nie stracił zainteresowania i współpraca się urwała. Nie wiedziałem, że miał przedstawić referat na konferencji WTO, ale widzę, że nie przestał się interesować tworzeniem modeli matematycznych. Może więc, mimo wszystko, wywarłem na niego jakiś wpływ. Lubię tak sobie pomyśleć.

Matematyka globalizacji. Poincaré nie sądził, by coś takiego okazało się w ogóle możliwe. Z tego jednak, czego dowiedział się do tej pory, wynikało, że Fenster był prawdziwym brylantem. Podobnie jak Quito. Kto wie, co wyniknęłoby z ich współpracy?

— Zjawił się pan w Bostonie, aby badać zachowania rynku, a nie miłość? — zauważył.

— Oczywiście — odparł Quito. — James układał równania intuicyjnie. Mógł patrzeć na muchę latającą po pokoju, potem napisać równanie opisujące jej ruchy, zrobić wykres do tego równania, a ten wykres, przeniesiony w trzy wymiary, oddałby poruszanie się owada. Miał niesamowity umysł, pierwszorzędny, widać to w jego artykułach, dlatego właśnie go wyszukałem. Trzy i pół roku temu.

— Rozczarowanie, prawda?

Poincaré sięgnął po fotografię bakterii rosnących na płytce Petriego. Przemawiając do zdjęcia, a nie do prezydenta Frontu Wyzwolenia Tubylców, zapytał:

— Czy w pojedynczej części ekonomii można odnaleźć całość? Jak w różyczce kalafiora. Dzisiaj rano kupiłem filiżankę kawy. Profesorze, czy w tej transakcji zdołałby pan dostrzec całą globalną ekonomię?

Quito cicho przytaknął.

— To byłby Święty Graal. Jeśli pan pyta, czy globalną ekonomię można opisać,

korzystając z fraktali, to nigdy się nad tym jakoś szczególnie nie zastanawiałem.

Akurat! Inspektor nie uwierzył i dostrzegł, że Quito to zauważył — co jednak najwyraźniej nie robiło Indianinowi żadnej różnicy. Profesor, równie spokojny, opanowany i uprzejmy jak wtedy, gdy wkraczał do sali balowej, wskazał zdjęcia, a potem oznajmił:

— Z tego tutaj oraz tytułu referatu jasno wynika, że James zamierzał przedstawić pogląd, iż globalna ekonomia ma związek, na najbardziej podstawowym poziomie, z geometrią natury. Naszą wspólną tezę. Musiał poczynić postępy od naszego rozstania. — Quito ułożył zdjęcia w jeden schludny stos. — Inspektorze, zakładam, że już skończyliśmy. Powiedziałem panu wszystko, co wiem. Przykro mi z powodu śmierci Jamesa, chociaż cieszę się z naszego dzisiejszego spotkania. Nie mogę jednak powiedzieć, abym był zachwycony jego miejscem. Źle się tutaj czuję. Naprawdę, muszę stąd wyjść.

Poincaré nie chciał kończyć spotkania już teraz, zamiast jednak dalej naciskać gościa, wolał spokojnie nakłonić go do pozostania dłużej. Dawno już nauczył się sztuki podtrzymywania rozmowy, bo każda rozmowa była lepsza od jej braku, a czasem nawet rozmowa o niczym prowadzi do odkrycia fragmentu podejrzeń, których sformułowanie w inny sposób zajęłoby miesiące, podobnie jak ich potwierdzenie. Quito wskazał ozdobny żyrandol.

— Myślę, że pochodzi z początku osiemnastego wieku. Nawet nieźle ta epoka teraz pasuje. Zakładam, że słyszał pan o holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej?

— Kupcy — odezwała się De Vries. Poincaré dostrzegał jej fascynację Quito, mimo wyraźnych starań Indianina, by już kończyć przesłuchanie. Włączyła się do gry.

— Architekci złotego wieku Amsterdamu — mówiła dalej. — Holenderskie dzieci nie skończą podstawówki, jeśli wszystkiego się o nich nie nauczą.

— Architekci to tylko jedno z określeń — odparł Quito. — Są też inne. Czy wiecie, jakimi cierpieniami okupiono zaistnienie tej sali balowej, tych wszystkich Rembrandtów, Vermeerów i portretów pulchnych holenderskich mieszczan w Rijksmuseum, w głupich, koronkowych kołnierzach? Holenderskie bogactwo, łącznie ze sztuką i tolerancją religijną, którą umożliwiło, zbudowano, stojąc na plecach niewolników, nad Atlantykiem i nad Oceanem Indyjskim, od Curaçao po Madagaskar. Inspektorze, ta sala balowa istnieje za sprawą starannie planowanego programu gwałcenia, opłacanego przez państwo. Najpierw Hiszpanie, potem Holendrzy, Brytyjczycy, Francuzi, Belgowie, Niemcy i Amerykanie, jedni po drugich rozpinali spodnie i obrabowywali nas ze wszystkiego, co piękne i święte — a potem zostawiali nagich i chorych. To właśnie widzę, kiedy wzywa się mnie do miejsca takiego jak to. Widzę ludzi, słyszę trzask batów. A James widział tylko liczby.

Poincaré znalazł poszukiwany fragment układanki. Trafiliby na niego prędzej czy później.

— Czyli właśnie dlatego nie powiodła się wasza współpraca?

Quito przyjrzał mu się uważnie, maska wesołka zniknęła.

— Dzikus ma już dość grzecznego proszenia. Czego właściwie chcecie? Reklamy w Angkor Wat na iPody? Czasy są zbyt subtelne, aby dokonywać gwałtu, ale od pięciuset lat nic się nie zmieniło. Teraz płacicie nam dwa dolary dziennie za robienie swoich telefonów

komórkowych i telewizorów. Już skończyłem. Ta sala budzi moją odrazę i mnie przytłacza.

Sięgnął po plecak.

— Proszę, jeszcze chwila — powiedział Poincaré. — Czy z doktorem Fensterem dyskutowaliście na temat swoich poglądów politycznych?

— Po co? Nasz artykuł dotyczył analizy Romea i Julii.

— Chce pan powiedzieć, że filozoficzne różnice między wami nigdy...

Quito rozejrzał się po kątach sali. Kiedy ponownie odwrócił się w stronę Poincarégo, już panował nad emocjami.

— Albo tubylcy staną się równorzędnymi partnerami, ze swoją własną kulturą, albo będziemy wam uprzykrzać życie tak długo, aż do tego dojdzie. Proszę nie zrozumieć mnie źle — dodał łagodnie. — Cenię zachodnie zamiłowanie do nauki, waszą chęć zadawania pytań, kwestionowania objawionej mądrości. Ale naprawdę zabrałem wam już zbyt wiele czasu. James i ja pracowaliśmy razem, a potem już nie. To prawda, że nasze rozkłady zajęć nałożyły się tutaj, w Amsterdamie. Został zabity. Ale jeśli prawa logiki i dowody nadal mają zastosowanie w moim wypadku, to nie zdołacie powiązać jednego z drugim. Tak czy owak, miło było.

Quito wstał, aby wyjść.

Zadzwoił telefon. De Vries przeszła przez salę, odebrała, potem gestem dała znak Poincarému, aby wziął słuchawkę. Detektyw przeprosił Quito, prosząc, aby został jeszcze chwilę. W sali balowej nie było żadnych osobnych pomieszczeń, jedynie cztery biurka oraz stół konferencyjny rozstawione na ogromnej przestrzeni. Odrobinę prywatności dało się uzyskać, tylko się odwracając.

— Proszę czekać, za chwilę będzie z panem rozmawiał dyrektor więzienia Scheveningen — oznajmił głos w słuchawce. Dziwne, pomyślał Henri. Sądził, że składając wizytę Banoviciowi, odwiedzał to miejsce po raz ostatni. Może teraz wezwą go do Hagi na rozprawę? Ale przecież powinna się rozpocząć dopiero za kilka miesięcy.

— Inspektor Poincaré?

O Romanie Skiverskim mówiono, że jest wyzutym z poczucia humoru urzędnikiem, dla którego dzień był udany, gdy cele pozostawały zamknięte, a żaden z osadzonych zbyt dobrze się nie bawił.

— Powiem wprost — oznajmił Skiversky. — Mamy niepotwierdzone informacje, z których wynika, że więzień Stipo Banović, którego odwiedził pan w ostatni czwartek rano, a osadził w areszcie w styczniu, sprowadził zagrożenie na członków pańskiej rodziny. Inspektorze, to poważna sprawa. Nasi ludzie przetłumaczyli już potajemnie nagrany rozmowę między więźniem a jego tak zwanym prawnikiem. Banović zlecił... likwidację pańskiej żony, pańskiego syna, jego żony oraz dzieci. — Chwila przerwy. — Trzeba przyznać, że to nietypowe zlecenie. Banović zaznaczył, że panu nie może stać się krzywda.

W piersi Poincarégo nagle wezbrało gorąco. Oddech uwiązł mu w gardle. Mocniej zacisnął dłoń na słuchawce.

— Skąd pan to wie? Przecież zamknięto go w najlepiej strzeżonym więzieniu na

świecie. Co może zrobić Banović?

— Jak pan wie, pozostało na wolności kilku jego podwładnych. Szwadron śmierci uległ rozwiązaniu, ale jego pieniędzy nigdy nie odnaleziono. Mając tych ludzi i te miliony, Banović może osiągnąć, kogo tylko zechce, nawet z więzienia. Proszę zrozumieć, nasza placówka nie może przyznać się do tego, że nagrano uprzywilejowaną rozmowę klienta z prawnikiem, nawet jeśli takie spotkanie okazało się podstępem. Stanowiłoby to dowód pogwałcenia przez nas umów międzynarodowych. W związku z drastycznymi szczegółami, zawiadamiam pana. Nieoficjalnie. Proszę teraz zadawać pytania, bo już więcej nie będę mógł rozmawiać na ten temat.

— Banović miałby podnieść rękę na moją rodzinę? — wrzasnął Poincaré, zapominając, gdzie jest. Odwrócił się, oszołomiony, i zobaczył, że patrzą na niego Ludovici, De Vries i Laurent, otwierając usta ze zdumienia. Quito przyglądał się fotografiom.

— Kto wie, co ten człowiek robi? — odparł dyrektor. — Jego kontakt to Aleksandr Borislav. Ustaliliśmy, że przyleciał do Hagi tylko na jedną wizytę trzy dni temu. Wrócił do Bośni zaraz po rozmowie z Banovicem. Tak zwana kancelaria prawna Borislava mieści się w Mostarze. Jak na razie wiemy, że pod tamtym adresem jest jakiś bufet. Przypuszczamy, że Borislav znał Banovicia z czasów wojny. Moim zdaniem, w związku z tym, że obfotografowaliśmy go i zdjęliśmy mu odciski palców, tak jak robimy z każdym, kto wchodzi do placówki, a Banović wie o tej procedurze, Borislav nie jest wykonawcą zlecenia, ale raczej pośrednikiem, który zatrudni wykonawców. Proponuję zacząć od niego. Prześliśmy panu jego zdjęcie, odciski palców oraz transkrypcję rozmowy. Pan wie, gdzie odnaleźć Banovicia, i może mieć do niego dostęp w każdej chwili — oczywiście, dyskretnie. A co do Borislava, możemy mieć pewność, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Opuścił Holandię, odleciał do Bośni. Nie wiem, gdzie teraz przebywa. Panu pozostawiam przekazanie tych informacji do Interpolu. Będą pana chronić.

Poincaré wpatrywał się w pustą przestrzeń pod żyrandolami sali balowej. Całe życie z trudem starał się całą brutalność swojej pracy trzymać z dala od Claire i Etienne'a. A teraz nagle pojawiło się zagrożenie, którego nie stworzył, którego nie potrafił kontrolować. Co Banović miał do stracenia? Dodałby tylko kilka morderstw do już popełnionych, a dorzucenie nowych cierpień do stosu starych niewiele zmieniłoby czekający go wyrok. Najsurowszą karę, jaką mógł orzec Trybunał Międzynarodowy, stanowiło dożywocie, które Banović miał już zagwarantowane. Skoro jego los i tak przesądzono, pewnie uznał, że będzie miał przynajmniej trochę zabawy.

— To już koniec przesłuchania — oznajmił Poincaré.

Quito podniósł wzrok znad fotografii.

— Jakieś nieprzyjemności? Inspektorze, nie mogłem się oprzeć, by nie podsłuchiwać. Tylko najpodlejsi ludzie mogą grozić niewinnym.

— Proszę zapomnieć o tym, co pan usłyszał.

— Niech pan uzna, że już zapomniałem. Ale niech mi pan pozwoli jeszcze powiedzieć, że tubylcy doświadczali całych stuleci brutalności. Nasz wielki błąd polegał na tym, że na

siłę nie odpowiedzieliśmy siłą. Bo jakże inaczej Pizarro i jego stu osiemdziesięciu żołnierzy zdołaloby podbić milionowe imperium? — Quito zarzucił plecak na ramię. — Inspektorze, niech pan strzeże swoich niewinnych. Niech pan odpowie na tę groźbę siłą. Tylko ją zrozumie barbarzyńca.

Poincaré podszedł do drzwi i je otworzył. Realizacja zlecenia potrwa tygodnie, możliwe, że nawet całe miesiące. Miał czas, chociaż niedługi. Sięgnął ku wyciągniętej dłoni Quito i usłyszał głos brzmiący jak swój, który mówił:

— Dziękuję panu za wizytę.

Quito ostatnim, długim spojrzeniem omiół salę i inspektora.

— Niech pan na siłę odpowie siłą — powiedział. — Brutalność zrozumie tylko samą siebie.

10

Piszczwały klaksony, płynął strumień światła. Dudniący afropop i serce Poincarégo osiągnęły tempo, które aż strach było kontemplować. Nic groźnego, powtarzał sobie. Nic groźnego. Bestia rozrywająca mu pierś pazurami i pragnąca wyrwać się na wolność wcale nie chciała słuchać. Sen przyszedł szybki i mocny. Zasnął w taksówce tylko na kilka sekund, ale przez tę krótką chwilę powrócił do niego obraz miejsca ludobójstwa w Bośni, ze wszystkimi przerażającymi szczegółami. Przewrócił oczyma, aby oprzeć się wizji. Jęknął. Serce zaprotestowało tak gwałtownie, że aż przygryzł wargi, by nie zemdleć.

Siedział wtedy w ciężarówce ONZ razem z kierowcą i strażnikiem. W pierwszej ciężarówce konwoju jechało kolejnych dwóch rozjemców, dobrze uzbrojonych. Kierując się mapami oraz systemem GPS, przedzierali się duktem w leśnej gęstwinie na południe od Banja Luki. W tym tygodniu spadły deszcze, droga zrobiła się grzaska. Koła się obracały, pryskało błoto. Ciężarówka podskakiwała, ześlizgiwała się na boki, szarpała i przystawała. Sosny po obu stronach trasy rosły wystarczająco gęsto, aby światło słońca zredukować do półcienia. Przed nimi podskakiwało tylne okno pojazdu jadącego z przodu, pozalepiane pacynami błota, zasłaniającymi niebieskie logo ONZ.

W każdej chwili mogli ich zaatakować zbrojni maruderzy. Wojna się skończyła, ale niezadowoleni, młodzi ludzie wciąż grasowali po okolicy. Opierając się na zmienianych codziennie sojuszach, decydowali, kogo zabić, a kogo porwać i przetrzymywać dla okupu — łącznie z wysłannikami ONZ. Ten, kto wkraczał do lasu, zdawał się na dobrą wolę morderców. Po pięciu godzinach jazdy przez góry pierwszy wóz konwoju zatrzymał się. Trzej obserwatorzy, Nigeryjczyk, Japończyk i Kanadyjczyk — w identycznych drelichach i beretach, wysiedli z ciężarówek, żeby przyjrzeć się mapie topograficznej. Kiedy Poincaré i kierowca też wyszli z auta, Nigeryjczyk wskazał w stronę lasu.

— Niecały kilometr stąd — oznajmił. — Na wschód. Banović przewiózł ich tędy.

Po intensywnym przesłuchaniu oraz zastosowaniu różnych nieformalnych metod nikt

specjalnie nie zawracał sobie głowy zastanawianiem się nad nimi, wzięty do niewoli porucznik szwadronu śmierci Banovicia opisał, jak zeszłego października, gdy mróz skuł już ziemię, ale do opadów śniegu zostało jeszcze kilka tygodni, z wioski na południu pozabierali wszystkich mężczyzn i chłopców. Powiązali ich ze sobą jak niewolników prowadzonych na targ, następnie zapędzili na ciężarówki z otwartymi pakami. Niektórzy pojmani już w trakcie podróży poumierali z zimna. Właśnie tutaj, zgodnie z uzyskanymi informacjami, zmarłych odcinano z liny i zaciągano w las, kilka metrów dalej. Kanadyjski rozjemca przyjrzał się mapie, odszedł mniej więcej dwadzieścia kroków od duktu.

— To to miejsce — oznajmił. Jego głos zabrzmiał w gęstym powietrzu równie obco, jak terkot silników ciężarówek oraz skrzeczenie wojskowego radia. — Naliczyłem szczątki czterech osób. Przynieście worki.

Tydzień łagodnej pogody złamał grzbiet surowej zimie, powietrze pachniało słodko. Poincaré podszedł do szkieletów. Zwłoki, leżące pod gołym niebem i ogryzane przez zwierzęta, straciły ciała, zostało tylko kilka ścięgien oraz kępek włosów. Nikt się nie odzywał. Kiedy urzędnicy oznaczali miejsce na mapach, szczątki przykryto brezentowymi płachtami, tak aby przywrócić im nieco godności. Jeden z rozjemców spojrzął na kompas i wskazał:

— Tędy.

Ruszyli gęsiego, Poincaré szedł ostatni. W fałszywym zmierzchu na dnie lasu słychać było jedynie odgłos zasysania butów aż po kostki w błoto oraz ciężkie oddechy mężczyzn. Henri zastanawiał się, gdzie są ptaki. Wysoko u góry wiatr targał szczytami drzew. Inspektor wpatrywał się w buty, chcąc oderwać umysł od wysiłku, jeden błotnisty krok naraz, bez żadnych myśli oprócz ponurego oczekiwania na to, co leżało przed nimi.

Nic nie mogło przygotować go na to, co potem zobaczył. Oddychając ciężko i skupiając spojrzenie na butach, wpadł na idącego przed nim mężczyznę, gdy ten zatrzymał się gwałtownie. Przed nimi rozciągał się jar, na jego dnie otwarty grób, w nim zaś więcej kości, niż dałoby się zliczyć. Stare i młode, niektóre niczym pnie złamanych burzą drzew wystające z kilku pozostałych jeszcze spłachetków śniegu. Antropologowie sądowi, którzy później sporządzili mapę całego miejsca, wyjaśniali, że układ ciał sugerował, iż mężczyźni starali się osłonić chłopców przed kulami. Analiza DNA potwierdziła opowieści wieśniaków. Wszystkie ofiary były płci męskiej. Jaką popełnili zbrodnię? Żadnej, jednak mogąc spłodzić następną generację, stanowili potencjalne zagrożenie dla serbskiej czystości etnicznej. Każdy mężczyzna i każdy chłopiec. Każdy muzułmanin.

U stóp Poincarégo błyszczały łuski z broni automatycznej jak kruszec na dywanie z sosnowych igieł. Nieopodal rząd skałek tworzył półkę, jakby stół, na której członkowie komanda Banovicia zostawili resztki posiłku: puszki po sardynkach, śmieci, zmiętą folię aluminiową. To wskazywało, że zapobiegliwie przygotowali sobie wcześniej kanapki. Poincaré padł na kolana. Zamknął oczy, odcinając się od krzyków dobiegających z jaru, wrzasków w języku, którego mordercy nie rozumieli. Mężowie wzywali żony, chłopcy matki, a starcy niebios, wszystko ciemniało od gradu pocisków, dymu oraz parującej krwi. Poincaré rzucił się przed siebie, dotknął czołem chłodnej ziemi. Widział już najgorszą

ludzką nieprawość, ale jeszcze nigdy czegoś takiego. Wymiotował, jęcząc. „Boże, dobry Boże. Boże, Boże, nie tak, powiedz mi, że to nie tak”. Ale to było właśnie tak. Szarpały nim torsje, dopóki całkiem nie opróżnił żołądka, a do gardła nie podeszła żółć.

Rozjemcy odwrócili się, pozostawiając Poincarégo z jego rozpaczą. Po kilku chwilach, kiedy serce stwardniało mu już na tyle, że mógł wstać i ponownie wypełniać obowiązki świadka, zwrócił uwagę na to, że żółte, nylonowe sznury, którymi ofiary skrupowano w pasie, leżą teraz luźno, wijąc się wśród stosu kości. Wykonano fotografie, porozmieszczano oznaczenia, na których widniał napis w czterech językach: „Międzynarodowy Trybunał Karny. Miejsce przestępstwa. Wstęp wzbroniony. Nie dotykać”. I właśnie wtedy zapadła decyzja. Poincaré, od teraz, miał szukać Stipa Banovicia i nie spocząć, dopóki ten człowiek nie odpowie za swoje zbrodnie.

Przebudził się z tego snu wtedy, kiedy Nigeryjczyk młotem wbijał znak w ziemię ponad jarem. Tego szczególnego wieczoru każde uderzenie młota waliło go w pierś, aż skulił się na tylnym siedzeniu taksówki, myśląc, że chyba umrze od coraz mocniejszego ucisku. Gdy się ocknął, w uszach dudniła muzyka. Nie był w Bośni, ale w drodze do domu, jechał z lotniska Saint Exupéry. Lyon. Dom. Tak spokojnie, jak tylko pozwoliły trzęsące się dłonie, sięgnął do kieszeni marynarki po pudełko z pastylkami. Dwie kolorowe, dwie, gdy robiło się naprawdę źle. Łyk wody, zawsze pod ręką. A potem czekanie, kto wie, jak długo, aż uspokoi się bestia w piersiach.

Kierowca zjechał z autostrady i ruszył w stronę półwyspu Presque'île, gdzie Poincaré poprowadził go przez plataninę uliczek i zapłacił za wniesienie bagażu na piąte piętro do mieszkania. Po godzinie, kiedy już leżał w łóżku, przekręcił się na bok i zapragnął przytulić do Claire oraz móc o niczym jej nie mówić. Gdyby wiedział, że jest bezpieczna, uratowałyby to dla niego dzisiejszą noc. Henri gdzieś podryfował, a na ściemniałej powierzchni podskakiwały słowa: „brutalność zrozumie tylko siebie samą”. Zastanawiał się, czy to prawda. Obawiał się, że wkrótce się tego dowie.

Nazajutrz na stole w kuchni leżała nieprzeczytana gazeta. Poincaré popijał kawę, spoglądając poprzez Rodan, tak jakby receptę na swoje trudne położenie mógł odnaleźć gdzieś w szerokim, pochmurnym niebie. Akurat kiedy sięgał po telefon, chcąc wybrać numer dyrektora Interpolu, któremu wcześniej wysłał faksem transkrypt rozmowy z Banoviciem oraz zdjęcia Borislava, aparat się rozdzwonił. Odezwał się Albert Montforte.

— Henri, to jakiś skandal! Wytropimy tego Borislava.

— Tak, Albercie.

— Nie możesz się tym zajmować. Ktoś inny... Myślę, że Ludovici. Właśnie przydzieliliśmy go do jakiejś narkotykowej sprawy w Hiszpanii, ale ściągnę go dzisiaj rano i wieczorem będzie w Bośni. Jeśli Banović obrał za cel całą twoją rodzinę, w grę wchodzi więcej niż jedno zlecenie, dlatego będą musieli uderzyć jednocześnie. Nie sądzę, żeby taka koordynacja była możliwa bez solidnej siatki, a naszą największą przewagą jest, że oni nie wiedzą o tym, że my już wiemy. Niech Paolo znajdzie tego Borislava i wyciągnie z niego informacje. A tymczasem twoje wnuki, twój syn, jego żona i Claire dostaną

całodobową ochronę, łącznie z agentem w biurze w Lyonie, który będzie wszystko koordynował — na czas nieokreślony, dopóki nie załatwimy sprawy. Ten Banović uderza w samo serce porządku społecznego. Użyję wszystkich środków, jakimi dysponuję.

Poincaré milczał.

— Henri, przekażesz moim asystentom zdjęcia i adresy swojej rodziny? Zajmę się resztą. Gdzie teraz są wszyscy?

— Albercie, daj mi kilka dni. Tak szybko nic się nie wydarzy. Borislav będzie potrzebował czasu, żeby kogoś wynająć.

— Słusznie. A co z tobą? Kiedy będziesz z Claire, będziesz pod ochroną. Ale nie wtedy, gdy wykonujesz zadanie. Myślę, że powinniśmy mieć kogoś, kto by za tobą chodził.

Poincaré nie zastanawiał się nad możliwością pracy w cieniu czarnych chmur. Jednak nie wiadomo było, ile zostało czasu do zamachu na Claire oraz resztę rodziny. Czy mieli zawiesić normalne życie na miesiąc? Może na rok? Czy trzeba się ukrywać i przyjąć nową tożsamość?

— Banović chce, żebym cierpiał — oznajmił. — Ma zamiar zachować mnie przy życiu, tak żebym oglądał śmierć swojej rodziny. Może po wszystkim wyśle kogoś, aby zakończył moją udrękę.

— Zakładając, że można mu wierzyć.

— Wierzę mu — odparł Poincaré. — Moja śmierć odebrałaby mu całą radość zabawy.

Nie potrafił trzymać się nadziei pomimo energicznej zapowiedzi dyrektora. Doświadczony zabójca, nawet mając przeciwko sobie wszystkie siły Interpolu, mógł po prostu poczekać na stosowną okazję. Jeśli nie przeniesie rodziny do jakiejś fortecy albo nie weźmie udziału w programie, który zapewni im nowe życie, nigdy nie staną się bezpieczni i nie będą mogli się stać.

Nie miał do roboty nic, poza spacerowaniem. Podniósł kołnierz, wcisnął dłonie głęboko w kieszenie i wędrował ulicami Starego Miasta. Spędzał tak całe godziny. Przemierzał stare dzielnice Saint Just i Saint Irénée, dawną nekropolię. Wynajdywał stare miejsca, *traboules*, wąskie, zadaszne przejścia zbudowane wieleset lat temu, które tak uwielbiała Claire. Przechadzał się po okolicach, gdzie renesansowe pałace wznosiły się ponad średniowiecznymi bastionami i rzymskimi łaźniami, mijał fontanny, pozamykane targowiska, szedł brukowanymi uliczkami, znajomymi alejkami, aż wreszcie zatrzymał się przed katedrą Świętego Jana.

Kiedy Etienne z rodziną przyjeżdżał z Paryża w odwiedziny, Poincaré zabierał bliźniaki i Chloe na spacer, który często kończył się w nawie Świętego Jana. Siedzieli tam tak cicho, jak tylko da się z dziećmi, aż do zachodu słońca, kontemplując wielkie, puste przestrzenie oraz witraże. Sześcioletni Émile i Georges byli za mali na religijne sentymenty, ale chłopców, podobnie jak ich dziadka, przyciągała strzelista ciemność katedry. Chloe, dla odmiany, w kościele nasłuchiwała, jakby słyszała dusze rozmawiające w ciemnościach. Cała czwórka siedziała na prostych, wiklinowych krzesłach, a zgodnie z nigdy niewypowiedzianą głośno umową, żadne nawet nie drgnęło, dopóki czerwień apostołskich

szat nie zamigotała i nie zmieniała się w ciemność. Dopiero piski „Dziadku, chcemy na lody!” potrafiły skłonić Poincarégo do tego, do czego nie mogło go zmusić żadne miejsce spotkań religijnych — do modlitwy.

Wszedł teraz do świątyni. Chociaż próbował od lat, nigdy nie zrozumiał wiary Claire. Od czasu do czasu zjawiał się na nabożeństwach dlatego, że go prosiła, i dlatego, że czuł ukojenie, gdy wsuwała dłoń w jego dłoń, a ksiądz, wbrew nakazom Rzymu, odprawiał mszę w obrządku łacińskim. Nalegała, by Etienne został ochrzczony, a Poincaré się zgodził, chociaż miał całą tę ceremonię za coś niewiele lepszego od voodoo. Zaskoczyły go emocje, jakich doznał, gdy kapłan udzielał błogosławieństwa i kropił wodą święconą czoło jego syna. Sam fakt, że dla niektórych woda mogła być święta; to, że Etienne, który w oczach Poincarégo i tak już był święty, został jeszcze przez kogoś pobłogosławiony w imię tajemnicy przewyższającej ich wszystkich; że ów sakrament mógł mieć miejsce w katedrze wzniesionej, gdy błotnistymi uliczkami Lyonu brnęły wózki ciągnięte przez osły; że jego żona oraz jej rodzina bez żadnego wstydu mogli powitać Etienne’a w bractwie liczącym dwa tysiące lat; to, że Poincarégo, niewierzącego, potrafiła prawie do łez poruszyć cała ta ceremonia — wszystko stanowiło dowód, iż Henri Poincaré był człowiekiem, który bardzo chciał wierzyć, którego poruszały tajemnica i piękno, ale też kimś, dla kogo wiara pozostawała niemożliwa. Zbyt wiele miał w sobie z naukowca, wręcz śledczego w świecie powiązanych pajęczyną przyczyny i skutku — co zawsze dobrze mu służyło, wyjąwszy godzinę pomiędzy zmierzchem a ciemnością, gdy niebo z głębokiego kobaltu przechodziło w noc, a on podejrzewał, że coś wielkiego, wręcz monumentalnego, jest tuż poza jego zasięgiem. Kształt tego czegoś błyskał mu czasem w umyśle, jednak znikał, kiedy tylko starał się go uchwycić.

Wstał i przywitał księdza, którego kroki rozległy się wśród wielkiej ciszy. Miał jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby zanim wsiądzie do pociągu jadącego na południe, wrócić do domu i wziąć prysznic. Zanim stanie twarzą w twarz z tymi, których kocha, i zacznie tłumaczyć chaos, jaki zrzucił na ich niewinne głowy, ponieważ po prostu starał się dobrze wykonywać swoją pracę. Co im powie? Przypomniał sobie człowieka ze starej opowieści, który wypłakał się do cna, wypełniając jezioro łzami. Nazajutrz przyszło do niego dziecko mieszkające w okolicy.

— Monsieur — zagadnęło dziecko. — To jest jakiś cud. Czym pan się tak smuci?

Dostrzegając w małej dziewczynce dobro, mężczyzna powiedział prawdę:

— Tym, że życie jest takie piękne. Dziecko szarpnęło go za rękaw.

— Monsieur, nie rozumiem.

A mężczyzna, znowu zanosząc się płaczem, odparł:

— Podobnie jak ja.

Zjawił się w Fonroque, gdy wszyscy już położyli się spać. Claire, na wpół obudzona, rozpostarła ramiona. Przeleżał kilka godzin, nie mogąc zasnąć. Dał w końcu spokój. Sprawdził, co u dzieci, a potem wyszedł na zewnątrz, aby zatracić się w mgłach, które przed wschodem słońca gromadziły się ponad winnicami. Poincaré miał kłopoty i doskonale o tym wiedział. Zapis rozmowy Banovicia z tak zwanym prawnikiem był jednoznaczny i mroził krew w żyłach. „Poincarégo nie tknij nawet palcem”, instruował podwładnego z dykcją osiemnastowiecznego wieszca. „Jednak innych tak. Wszystkich”.

Księżyc wisiał ponad horyzontem niczym skazaniec na poprzeczce szubienicy. Poincaré zaczął spacerować. Wzdłuż jednego rzędu tyczek w jedną stronę, potem wzdłuż drugiego w drugą. Przechadzając się tam i z powrotem, rzucając długi cień w upiornym świetle, obszedł wszystkie rzędy, wreszcie dotarł do kamiennego murka, starożytnej granicy posiadłości. Minęła jakaś godzina, księżyc zaszedł, zbudziły się ptaki. Jacques, złośliwy, ale płodny kogut, rozdarł poranną ciszę swoim kukuryku, a z pobliskiego zagajnika odpowiedziały mu bażanty. W dolinie falujące pola okryła mgła tak gęsta, że ktoś obcy mógłby wziąć Dordogne za krainę jezior.

Za Henrim z komina wiejskiego domu unosił się dym. Claire czerpała taką przyjemność z wtykania polan do masywnego paleniska, że chętnie wstała wcześniej. Widząc, że mąż wyszedł, rozpałała ogień w oczekiwaniu na jego powrót. Na śniadanie będą świeże jajka i bekon z farmy Laval — a jako że przyjechały dzieci, również świeże bułeczki. Wszyscy, których kochał Poincaré, budzili się teraz w starym, surowym domu z przeciekającym dachem. Zwalczył chęć porzucenia Fonroque bez słowa wytłumaczenia i natychmiastowego wyjazdu do Hagi, aby tam, na miejscu, zabić Banovicia. Ale przecież nie uchroniłoby to jego rodziny. Bibliotekarz już wydał polecenia. Rano, bezpieczny w ciepłym łóżku, Borislav obudzi się, aby na śniadanie zjeść tosta oraz jajka na miękko. Potem spojrzy na swojego rolodexa, następnie umówi spotkania z ludźmi stęsknionymi za dawnymi, dobrymi czasami, gdy wojna domowa czyniła świat bezpiecznym miejscem dla morderców. To będą profesjoniści — dawni wojskowi, wszechstronni, pozbawieni miłosierdzia.

Poincaré kiedyś naraził życie dla Paola Ludoviciego i ten odwdzieczył mu się z nawiązką. Jednak ocalenie całej rodziny... — nie, jego nadzieja nie była aż tak elastyczna. I tak oto Henri, ten, u którego inni szukali odpowiedzi, sam dał się ogarnąć rozpacz. Mógłby samodzielnie tropić Borislava, jednak nie mieściło mu się w głowie pozostawienie Claire i Etienne’a. Stojąc pośrodku winnicy, gdy wokół budziła się wieś, postanowił, że nigdy stąd nie odejdzie. Zbuduje miasto otoczone murami, potroi zabezpieczenia Montforte’a. I jeszcze... Nie, nie zrobi żadnej z tych rzeczy, bo przecież odcięcie ich wszystkich od świata byłoby uznaniem zwycięstwa Banovicia. „Pomyśl o tym” — były bibliotekarz wołał do niego poprzez kontynent. „Gdy sprowadzisz człowieka do poziomu pyłu, gdy zniszczysz wszystko, co kocha, popatrz, czym się wtedy stanie”.

Claire stała przy piecyku, z Etienne’em przy boku. Znow połączyli siły jako para kucharzy. Jedyłą pasję ich syna, poza architekturą, stanowiło jedzenie — na szczęście miał taki metabolizm, że mógł zjeść wszystko, co ugotował, ani grama nie przybierając na

wadze. Od lat wspólnie z Claire przyrządzali wyszukane kolacje. Specjalność Etienne'a stanowiły sosy oraz tak kunsztowne podawanie dań, jakby miały trafić na wernisaż. Zresztą, dlaczego by nie? Etienne, gdy skończył osiem lat, budował budynki z patelni oraz przyborów kuchennych, zaopatrzone we wsporniki oraz łuki dźwigające ciężar. Kiedy miał lat dziesięć, zbierał materiał na modele wieżowców, potrafił je budować do późna w nocy. Ukończywszy lat szesnaście, zmienił swój pokój w pracownię, gdzie przez tydzień umiał wznosić model zabudowań podmiejskiej miejscowości, biorąc pod uwagę wiejską przeszłość Francji — a już w tygodniu następnym budował kolonie na Księżycu. Spał wtedy pod platformą ze sklejki, której używał jako fundamentu swoich projektów. W mgnieniu oka skończył studia, stając się najmłodszym partnerem w paryskiej firmie architektonicznej, realizującej zamówienia od Dubaju po San Francisco.

— Tato, wcześniej wstałeś, prawda?

— A można było pomyśleć, że akurat tutaj będzie mógł spać — stwierdziła Claire. — Spójrz tylko na te wory pod oczami. — Podała mężowi kawę. Sięgnął też po kawałek kalafiora, ale trzepnęła go po palcach drewnianym widelcem.

— Henri, to jest do zupy. Na obiad.

Poincaré przyłożył dłoń do twarzy Etienne'a i pocałował żonę.

— Gdzie są dzieci?

Claire ruchem głowy wskazała salon, dłonie miała zajęte ugniataniem ciasta na poranne bułeczki.

— Nalegały, żebyś obejrzał ich projekt. Lucille nazywa go „sztuką maślaną”. — Wzruszyła ramionami. — To z jakiegoś czasopisma, łatwiej będzie ci to obejrzeć, niż mi wytłumaczyć.

Ruszył więc do salonu, gdzie zastał Émile'a, Georges'a i Chloe, siedzących przy stole obok kominka. Lucille z miską miękkiego masła przyglądała się zajęтым dzieciom. Przez pierwsze cztery lata po narodzinach bliźniaków Poincaré nie potrafił ich odróżnić. Zwracając się do braci, aby nie tracić cierpliwości, polegał na Chloe, niezależnie od tego, jak często pytał. Gdy jednak chłopcy odkryli tę słabość, zaczęli wykorzystywać ją bez litości. Émile i Georges odpowiadali na wezwania dziadka dowolnie. Poincaré poprosił Lucille, żeby dała im plakietki z imionami, które nosili jak wisiorki — wpierw posłusznie, później się nimi zamieniali, co gdy tylko któryś z nich wchodził do pokoju, doprowadzało Chloe do wybuchu śmiechu. Wreszcie zainterweniowały Niebiosy, bo na lewej dłoni Georges'a zrobiła się cysta, którą trzeba było usunąć chirurgicznie. Blizna pokazywała to, czego nie mówili bracia, a Poincaré nigdy nie zdradził źródła nagle uzyskanej wiedzy.

— Co to jest? — zapytał, schylając się do dzieci.

— Sztuka maślana, dziadziu.

— Popatrz na to — powiedział Émile. — Bierzesz dwie szklane płytki. Jedną smarujesz masłem. Ściskasz płytki, rozdzielasz i masz!

Właśnie rozwarł szkła, z dumą prezentując rezultat, który wyglądał dokładnie jak żyłki liścia albo dorzecze. Dendryty, pomyślał Poincaré. Rozejrzył się po pokoju, szukając ducha

Fenstera.

— Henri, mam dwa czyste spodki. Spróbuj.

— Nie trzeba. Popatrzę — odpowiedział.

Lucille wręczyła mu magazyn „Domowy Naukowiec”.

— Jak chcesz. Wiesz, dzieciaki stały się pośrednikami w moim sporze z Etienne’em. On buduje razem z nimi wieże z klocków i czyta bajki. Ja odrabiam z nimi matematykę i robię projekty naukowe. I nie słyszę, żeby ktoś narzekał.

Miała rację. Georges razem z Émile’em, całkowicie zaabsorbowani, rozsmarowywali masło na szkle, nie zwracając uwagi na matkę i dziadka. Chloe stała przy oknie, przyglądając się ich najnowszym osiągnięciom.

Lucille zostawiła Poincarégo przy kominku z czasopismem. Dobrze wiedział, że nie powinien faworyzować żadnego z wnucząt — jednak to Chloe była jego największym skarbem. Wróciła do stołu, żeby wytrzeć talerzyk.

— Dziadziu — powiedziała — popatrz, jak dajesz mniej masła, to wzór się zmienia.

Chłopcy zaczęli kopać się pod blatem, wreszcie porzucili wysiłki i wybiegli na dwór. Chloe zabrała szkiełka braci, wyczyściła je, schludnie rozłożyła i umieściła na nich starannie odmierzoną ilość masła.

— Dziadziu, lubisz kształty?

Miała po Claire okrągłą twarz i blond włosy, oczy zaś Etienne’a. Zamiłowanie do nauki to jednak już była czysta Lucille.

— Tak — odparł. — Lubię kształty. Chcę zobaczyć każdy kształt, który zrobisz. Żadnych sztuczek! Pokaż mi wszystkie!

Coś takiego już zdarzało się w jego karierze, ale jeszcze nigdy z taką intensywnością, odkrywanie informacji, gdzie tylko spojrzeł. Zaczął czytać artykuł, który poleciła mu Lucille, o uwrażliwianiu dzieci na wzory występujące w naturze. Chłopcy, sądząc po odgłosach, uganiali się na podwórku za kurczakami. Etienne zapowiedział śniadanie za dziesięć minut, a Poincaré poczuł stukanie w kolano. Stała przed nim Chloe, rękę miała wyciągniętą przed siebie, na kosmyku włosów wisiała spinka. Odpiął klips, odsunął dziewczynce włosy z oczu.

— Już dobrze — powiedział, podnosząc się, aby ruszyć za wnuczką. W jednej ręce trzymała swoje ostatnie dzieło sztuki maślanej, drugą prowadziła dziadka do kuchni, po cichu, obok zadziwionych Etienne’a i Lucille. Henri przystanął, by przyjrzeć się dwóm kawałkom kalafiora leżącym na blacie — dużej różyczce oraz jej miniaturze. Obie stanowiły część większej całości. Chloe pociągnęła go dalej, wkrótce stanęli przed wejściem do stodoły, gdzie bliźniacy szykowali się już, żeby przyprzeć Jacques’a do ściany. Poincaré poradził im uważać na koguta, przemknęli więc, wracając do domu. Chloe jednak ani drgnęła. Henri ukląkł, żeby zrównać się wzrostem z wnuczką i wpatrywał się w drzwi, na których widać było długą historię kolejnych malowań. Dziecko wskazało na nie.

— No dobra — odezwał się Poincaré. — Co my tu mamy?

— Patrz — powiedziała.

— Chloe, widzę drzwi. Patrzę.

Uniosła szkiełko z masłem i zbliżyła do spękanej powierzchni drzwi.

— Wzory są takie same. Dziadziu, dlaczego?

Rzeczywiście, były takie same.

— Dlaczego?

— Nie wiem, kochanie.

W głowie kotłowały mu się myśli.

— To bardzo ładne, dziadziu.

— Racja!

— Wiesz, co sobie myślę? Myślę sobie, że Bóg jest jednocześnie mały i bardzo wielki. Myślę, że Bóg mieszka w maśle i mieszka też w farbie. Wiesz, dziadziu, on mieszka w kształtach.

Poincaré słyszał chłopców uganiających się w pobliżu. Georges wołał:

— Chodź! Znalazłem coś fajnego u taty w teczce!

I przypadli, zostawiając Henriego zadziwionego tym, że ośmiolatka dostrzegła to samo co Fenster. A może fenomen Fenстера polegał na tym, że widział to samo co widzą dzieci, a potem łączył z matematyką?

Wrócili do domu, gdzie Chloe na nowo zajęła się swoją maślaną sztuką, a Poincaré lekturą. Oszłomienie stało się nowym, zwyczajnym stanem jego umysłu, zjawiającym się w trakcie poznawania horyzontów myśli Fenстера. Geometria, którą badał matematyk, wyłaniała się wszędzie, gdzie tylko sięgał wzrok: pęknięcia rozchodziły się po otynkowanych ścianach niczym zastygłe pioruny, jak grzbiety górskie sfotografowane z kosmosu, jak żyłki wiecznie przekrwionych oczu Laurenta. Poincaré spojrział w dół i zobaczył przedramię, rozgałęziające się niczym półwysep — dłoń z pięcioma palcami, w której dojrzał też wachlarz rzecznej delty. Odłożył magazyn, zamknął oczy, na tyle zdecydowany, by ujrzeć rzekę w błyskawicy i błyskawicę w górskim paśmie. Jednak nie umiał podążyć za Fensterem dalej, ku towarom oraz usługom przekraczającym granice państw. Matematyka globalizacji? To, że wczoraj po południu kupił bilet na pociąg, nie podlegało przecież tym samym prawom, które rządzą rośnięciem dębu przy jego tarasie.

Nie potrafił tego przeskoczyć.

To, co wydarzyło się, gdy Poincaré otworzył oczy, nastąpiło tak szybko, że całe zdarzenie potrafił odtworzyć dopiero kilka chwil później, kiedy już leżał na podłodze, ze szlochającą Chloe w ramionach, a wszyscy pozostali nachylali się nad nim, jakby dostał jakiegoś ataku. Najpierw siedział w swoim fotelu obok kominka. Etienne, Lucille i Claire właśnie kończyli przygotowywać obfite śniadanie, a bawiący się chłopcy wbiegali do domu i wybiegali z niego. Kiedy uniósł wzrok znad czasopisma, dostrzegł wnuczkę pochylającą się nad swoim maślanym projektem, a na jej czole małą kropkę czerwonego promienia lasera. Zanim zdołał się odezwać albo nawet pomyśleć, już skoczył poprzez pokój, złapał dziecko, umieścił swoje ciało między nią a oknami, następnie potoczył się z dziewczynką pod stół. Chloe pisnęła. Wciąż trzymając wnuczkę, przemknął na korytarz

tam, gdzie nie było okien. Na ziemię upadły sztucce, chwilę później Poincaré wpatrywał się w pozostałych członków rodziny.

— Laser — wydusił z siebie. — Laser celownika. Głowa Chloe.

Dziecko wysliznęło się z jego objęć i pobiegło do matki.

Claire, z dłonią na własnym czole, oparła się o kominek. Etienne przyklęknął obok ojca i położył mu dłoń na policzku.

— Chloe. Nic jej nie jest?

— Tato. To chłopcy się bawili. Znaleźli laserowy wskaźnik u mnie w teczce. Tuż przed przyjazdem tutaj robiłem prezentację w Paryżu. Oni się tylko bawili. — Etienne wstał. — Lucille, proszę, przynieś wody.

— Chloe?

Dziecko odwróciło się i pociągnęło nosem. Etienne wziął dziewczynkę w ojcowskie ramiona.

— Widzisz? Nic jej nie jest.

— Dziadziu, wystraszyłeś mnie. — Chloe położyła mu dłoń na policzku.

Poincaré przyciągnął ją blisko siebie, czekał na powrót Lucille.

— Przepraszam. Bardzo przepraszam — powtarzał bez ustanku, starając się dojść do siebie. Musieli widzieć go silnego. — Muszę wam coś powiedzieć — oznajmił, gdy Claire przyklęknęła obok. — Mam złe wieści.

Tamtej nocy w ich sypialni, gdy przez otwarte okno zaczynało zaglądać lato, Poincaré leżał i czekał na Claire, która poszła sprawdzić, co u dzieci. Drzwi od sypialni zaskrzypiały. Zbliżyła się do toaletki, aby związać włosy wstążką, zanim położy się do łóżka. Nikt nie potrafił stwierdzić, ile już lat ma to łóżko. Może nawet więcej niż cały dom, którego przeszłość dawało się prześledzić w dokumentach trzysta lat wstecz. Trafiło do nich razem innymi podniszczonymi meblami w zestawie z budynkiem. Claire prawie wszystkie oddała kościołowi parafialnemu, zostawiła jedynie stół przy kominku oraz łóżko, które poznało już Bóg wie ile narodzin oraz śmierci. Poincaré przyglądał się, jak żona przed zgaszeniem światła przewiązuje włosy wstążką.

Pod kołdrą przysunęła się bliżej. Głowa Claire wraz z każdym oddechem unosiła się i opadała.

— Henri, jak bardzo jest źle? — zapytała.

— Bardzo — odpowiedział.

— Czy ten człowiek robi nam krzywdę?

— Obawiam się, że spróbuje.

— Nie możemy się ukrywać. Wiesz, że ja tego nie zrobię.

Po zapadnięciu zmroku nasłuchiwał nietypowych odgłosów i dał sobie z tym spokój dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że jeżeli pojawiliby się tutaj zawodowcy, Claire oraz pozostali zginęliby, nim ktokolwiek by coś usłyszał. Nie mógł o tym powiedzieć. Ledwie wiedział, jak sobie samemu mówić o Banovicu.

— Zrobimy to, co będziemy musieli — oznajmiła. — Interpol będzie nas ochraniał. Martwię się tobą. I bez czegoś takiego życie z tobą to prawdziwe wyzwanie. Robisz się niemożliwy.

Pogłaskał ją po włosach.

— Nic nam nie będzie — powiedziała. — Wiesz, Etienne właśnie mnie wyśmiał.

— Dlaczego?

— Bo kiedy poszedł zobaczyć, co u dzieci, akurat zjawiłam się sprawdzić to samo. Staliśmy tam chwilę, patrząc, jak śpią.

— Czyli że jest nie lepszy od ciebie.

— Jeszcze jest Lucille. Ma cały plan zajęć, codziennie szykuje dla dzieci coś nowego. Dzisiaj rano pytała Marca Lavalą, czy mogą zbierać jajka. Szkoda, że nie widziałeś, jakie było zamieszanie! Kurczaki fruwały, Chloe i chłopcy krzyczeli. Marc stał sobie w drzwiach, z założonymi rękoma. Nie był zdenerwowany, ale nie mogę też powiedzieć, żeby był zadowolony... Wiesz, Émile i Georges ustawili potem stół na końcu podjazdu, żeby tam sprzedawać jajka. Próbowali je sprzedać przez trzy godziny, ale nie jechał żaden samochód! Laval w końcu sam je kupił.

— Niemożliwe.

— Naprawdę!

— Ale przecież codziennie je dla nas zbiera. Ma swoje własne kury!

Claire oparła rękę o poduszkę.

— A czy dzieciaki o tym wiedzą? Mają w kieszeni trochę pieniędzy i myślą, że są bogate. Rano Lucille da im jakieś nowe rzeczy do robienia. Henri, ona cudownie sobie z nimi radzi. Lepiej niż ja kiedykolwiek.

— Nieprawda.

— Nie miałam jej energii i Bóg wie, że nie mam jej teraz.

— Miałaś. — Pocałował jej dłoń. — Tylko jesteś już za stara, żeby pamiętać.

Szturchnęła go

— Skończyłam obraz. Nie mówiłam ci? Jestem w trakcie przygotowywania go na wystawę w czerwcu. Tym razem Nowy Jork.

— Co przedstawia?

— Raczej kogo.

— Dobra, kogo?

— Ciebie, kochanie.

Poincaré aż usiadł w łóżku.

— Spokojnie. To abstrakcja, nawet jak na mnie. Nawet Etienne cię na tym nie rozpozna. A to cały ty.

— I to ma wisieć w jakimś obcym domu?

— Postanowimy po wystawie.

— Ja to kupię. Nigdzie tego nie wysyłaj.

— Mam zobowiązanie. I nie sprzedam. W każdym razie nie tobie. Może sprzedam Etienne'owi za euro albo dwa.

— Claire, proszę... Dałaś temu jakiś tytuł?

— Zastanawiam się nad *Poważnym mężczyzną*. Albo samymi twoimi inicjałami, ponad moimi. Kiedy wrócimy do Lyonu, to sobie obejrzysz. — Wsunęła mu dłoń pod koszulę. — Widziałeś, jaki Etienne stara się być surowy dla dzieci, kiedy mają iść spać? Z tobą było tak samo.

Roześmiała się, a Poincaré wsłuchiwał się w jej oddech i skrzypienie wiejskiego domu. Przez otwarte okno docierały zapach wiciokrzewu oraz szelest liści. Claire obróciła się, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Ich wargi rozdzieliły się ledwie na tyle, aby pozwolić na sekretne prześlizgnięcie. Leżeli tak przez jakiś czas, wdychając nawzajem swoje oddechy, a blask księżyca ukośnie padał na łóżko. Claire rozsunęła szlafrok.

— Jestem tylko wiejską dziewczyną — powiedziała — ale znam kilka sztuczek.

I tak na jakiś czas Poincaré zapomniał o Bośni i Amsterdamie, i o każdym przeklętym miejscu, które kiedykolwiek zabrało jego część. Teraz był z Claire, a świat stał się dobry.

12

Interpol otoczył rodzinę Poincarégo opieką najtroskliwiej, jak potrafił. Brakowało chyba tylko zamienienia dwóch gospodarstw domowych na jedną fortecę, poza tym zabezpieczenia nie mogłyby już być bardziej ścisłe — uzbrojeni strażnicy wartujący całą dobę w czterogodzinnych zmianach, elektroniczna kontrola granic strzeżonego obszaru, koordynacja z miejscową policją, zwiększona liczba patroli. Henri wciąż miał wrażenie, że mógłby zrobić więcej, dlatego wziął bezterminowy urlop, żeby koordynować ochronę rodziny. Gdy wysiłki stały się już zaawansowane, a wciąż nie było widać końca przedsięwzięcia, zmieniającego jego mieszkanie w Lyonie oraz mieszkanie Etienne'a w Paryżu w minipaństwa policyjne, Claire wyraźnie spochmurniała. Ostrzegąca przed niszczycielską nadgorliwością. Łagodnie radziła mężowi, żeby wracał do pracy. Nie zwracał uwagi na jej narzekania, nawet jeśli przywoływały bolesne wspomnienia tego, jak sama z Etienne'em wyjechała na miesięczny urlop.

— Kochaj przede wszystkim nas — mówiła wtedy z naciskiem. — Kochaj przede wszystkim swoją rodzinę, dopiero potem swoją pracę.

Z czasem doszli do porozumienia. Mógł na tygodnie wyjeżdżać z domu, prowadząc przydzielone mu sprawy, ale kiedy wracał, to ciałem i duszą. Osłaniał rodzinę przed rzeczami związanymi z pracą w policji. Taki układ funkcjonował trzy dziesięciolecia, dopóki nie zniszczył go Banović.

Pewnego poranka, w kącie kuchni, Claire chwyciła Henriego za rękę i przycisnęła sobie do policzka.

— Duszę się — oznajmiła. — Etienne dzwonił, że nie chce, żebyś go odwiedzał.

Straszysz dzieci. — Pochyliła się ku niemu. — Cały czas obserwują nas agenci. Proszę, daj nam odetchnąć.

— Tam są ci ludzie — nalegał. — Nie masz pojęcia...

— Racja — odparła. — Nie mam.

W salonie nalał sobie duży kieliszek Rémy Martin i opadł na fotel, z którego miał widok na Lyon. Kiedy znaleźli to mieszkanie, tuż przed ślubem, były w nim tylko łóżko i jeden garnek. Pewnego wieczoru wypili zbyt wiele wina, stanęli nago przed tymi samymi oknami, oglądając pozostałości burzy, rozpadające się oraz spływające w dal. Wzniesli toast za przyszłość, potem wypili jeszcze więcej wina i kochali się, aż ich wyczerpane ciała nie zawołały o sen. Po tych wszystkich latach światła Lyonu zbytnio się nie zmieniły — starożytne miasto, zawsze młode. Jednak Poincaré się zmienił. Przez ostatnie tygodnie czuł ciężące mu brzemię. Bolały go kości, łupało w głowie. Dopił koniak, potem nalał jeszcze kieliszek. Claire podeszła do niego, położyła mu głowę na ramieniu.

— Jeśli przestanieś pracować, Banović wygra — oznajmiła. — Już wygrywa.

— Nie jestem w stanie, kiedy ty i Etienne znaleźliście się w niebezpieczeństwie.

— Henri, wracaj do pracy. Jesteśmy chronieni, a ty doprowadzasz nas do szału.

— Nie.

Objęła go ramieniem.

— Kochany, wcale nie pytam się ciebie o zdanie.

Poincaré wiedział, że Claire ma rację.

— W związku z tym śledztwem, które teraz prowadzę, polecę do Stanów. Wrócę do pracy, ale pod warunkiem że będziemy mogli codziennie rozmawiać — oznajmił. — A jeżeli będziesz mnie potrzebować, mogę w ciągu kilku godzin wrócić do Lyonu.

— Tak będzie dobrze. Jedź.

— Obiecuj, że wszystko będzie w porządku.

Obiecała, ale to niczego nie zmieniło.

Główna aula wykładowa Centrum Nauki Uniwersytetu Harvarda mieściła się w betonowym bunkrze, wbudowanym w gmach lodowato chłodny i pusty jak kopalniany szyb. Poincaré po odprawie celnej na lotnisku Logan zdążył jeszcze złapać taksówkę i zobaczyć ostatnie dwadzieścia minut ostatnich zajęć Dany Chambi w tym semestrze. Jako doktorantka Fenstera, kiedy nie wrócił z Amsterdamu, przejęła po nim matematykę natury. Henri chciał przed rozmową ujrzyć Chambi przy pracy.

Stromy amfiteatr auli otaczał platformę z pulpitem laboratoryjnym, tablicą oraz katedrą. Chambi stała przy pulpicie i komputerze, obserwowana przez dwie setki studentów. Poincaré doszedł do wniosku, że kobiecie udało się bardzo trudna sztuka — chociaż Fenster poprowadził tylko dwa zajęcia kursu, studenci zostali. Detektyw usiadł.

— A zatem — odezwała się Chambi — czy znajdzie się troje odważnych, którzy pokażą swoje rozwiązania zadania końcowego? Mieliście państwo napisać równanie, sto tysięcy

razy przepuścić je przez komputer, umieszczając na wykresie każdy punkt danych — i w rezultacie otrzymać taki oto model:



— Zwykłą paproć. Sądząc po tym, ilu z państwa szukało pomocy w zeszłym tygodniu, pewnie nie macie ochoty oglądać jeszcze jednej.

Studenci roześmiali się.

— Ale zastanówcie się państwo. Idąc przez las, znajdziecie miliony paproci, nigdy jednak dwóch takich samych, nawet jeśli nie da się ich odróżnić genetycznie. Będą podobne, ale nigdy identyczne. Podobnie jak liście dębu, makaki, płatki śniegu oraz ludzie. — Poincaré pomyślał o bliźniakach. To była prawda. — W jaki sposób paproć decyduje, jeśli w ogóle można tak powiedzieć, gdzie ma umieścić swoje gałązki, jak daleko mają sięgać i w którą stronę? Wydaje się, że natura ma taki zgrabny model zatytułowany *Paproć*, na którym wzorowane są poszczególne paprocie, ale który pozostawia swobodę indywidualnych wariacji. Państwa zadanie polegało na zapisaniu, a potem zobrazowaniu w formie wykresu równania, które mogłoby posłużyć za model paproci. Zapraszam ochotników. Podzielcie się swoim bogactwem — może na koniec semestru będziemy mieli przy okazji odrobinę rozrywki.

W auli zaszumiało. Studenci czekali, aż znajdzie się osoba, która zaryzykuje publiczną egzekucję. Chambi oparła się o pulpit laboratoryjny, udając przesadne zniecierpliwienie. Potupywała, krzyżowała i rozkładała ramiona.

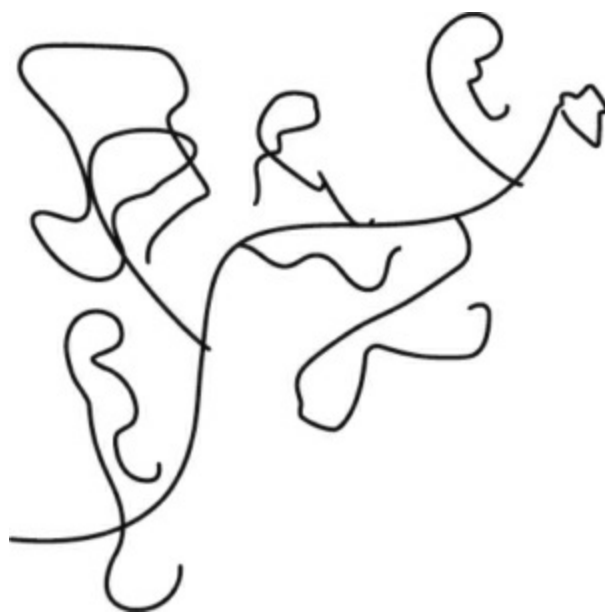
— A gdybym ogłosiła — powiedziała — że pierwszy ochotnik dostanie piątkę na koniec semestru, to czy ktoś zmieni zdanie?

Wstało dwunastu studentów.

— Doskonale. Ale przecież niczego takiego nie ogłosiłam. Jednak dopóki państwo stoicie, poproszę panią. — Wskazała szczupłą dziewczynę. — Panna Cheng, prawda? Proszę bardzo. I jeszcze pana. — Wybrała mocno wytatuowanego mężczyznę, siedzącego dwa rzędy za Poincarém. Henri pomyślał, że zanim zdecydowała o trzeciej osobie, zauważyła go. Studenci ruszyli w dół jamy amfiteatru.

— Proszę się nie martwić — oznajmiła Chambi. — Kiedy pierwszy raz próbowałam stworzyć model paproci, zaraz kiedy to było... — zastanowiła się. Niewiele jej brakowało do trzydziestki. — Wyszło mi wtedy coś, co wyglądało jak jeż na patyku. Dlatego miejcie cierpliwość. Nasi matematycy, a na tym roku jest cała czwórka, dostaną inne szanse. Nikt inny nie musi się przejmować. Jednak gdy następnym razem przeczytacie prognozę pogody albo przewidywania dotyczące zmian klimatycznych, to będziecie już wiedzieć, że wiąże się z nimi tworzenie modeli matematycznych. Wymyśliłam to zadanie trochę po to, żeby pokazać, jakie to może być trudne. A zapewniam, modelowanie takich systemów jest nieskończenie bardziej skomplikowane od modelowania paproci.

Pierwszy student, ten wytatuowany, z metalowymi kółkami w wargach, wsadził pendrive'a do komputera Chambi i pokazał wszystkim wizerunek paproci po halucynogenach.



Sala wybuchnęła śmiechem, a młody mężczyzna, udając śmiertelną powagę, oznajmił:

— A ludzie myślą, że tylko psy przypominają swoich właścicieli... — Nawet Chambi się zaśmiała. — Wstawione przeze mnie wartości początkowe x oraz y były ewidentnie błędne i nie potrafiłem znaleźć sposobu, by odpowiednio przedstawić w równaniu funkcję przypadku. Gdybym zobaczył coś takiego we śnie, obudziłbym się z krzykiem.

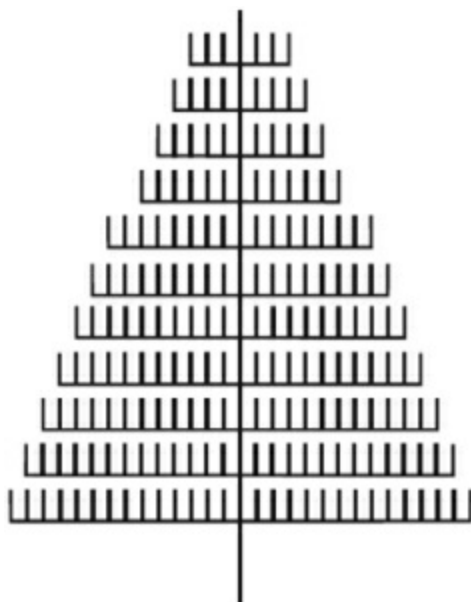
Zszedł z mównicy, żegnany brawami, studenci gratulowali mu przez całą drogę powrotną. Kolejny młody człowiek wyglądał, jakby w auli zjawił się prosto z pokładu jachtu. Miał łososiowe szorty, białą koszulkę polo z podniesionym kołnierzem, a wyraz twarzy nie dość sardoniczny, aby maskował przerażenie.

— Pan?

— Henley — opowiedział młody człowiek. — Wendell.

— Dobrze, panie Henley. Co pan pokaże?

Student przedstawił wynik swojej pracy. I znowu sala zaryczała.



— Staralem się — powiedział. — To wygląda jak słup telefoniczny, który ma za dużo poprzeczek i tyle transformatorów, jakby to były liście. Pracowałem nad tym ciężko przez tydzień, zmieniałem ciągle jedną wartość na drugą, żeby nadać tej formie jakąś krzywiznę. Powiniennem tę swoją paproć zamknąć z paprocią tamtego kolegi. Ich dzieci może miałyby już szansę wyglądać normalnie. — Wytatuowany student uniósł pięść w geście pozdrowienia. — Wszystko grało przez jakieś dwadzieścia tysięcy powtórzeń, potem sztywniało, nieważne, ile razy zmieniałem równanie. Zwykle brutalna siła mi pomaga, tym razem jednak nie.

Studenci siedzący w auli dobrze się bawili, podobnie jak Poincaré. Napięcie zelżało, bo przecież żaden profesor nie oblewałby całego roku. Dawało się wręcz fizycznie odczuć ulgę. Wreszcie na mównicy pojawiła się młoda Azjatka, a Poincaré już wiedział, co się stanie. Studentka miała na sobie cienki, jasnozielony sweter oraz kraciastą spódnicę, jakby szkolny mundurek. Stała ze skromnie złożonymi dłońmi, patrzyła w dół, czekając, podczas gdy inni prezentowali uzyskane obrazy. Kiedy ruszyła przed siebie, a długie, proste, czarne włosy zaśniły w blasku lamp, w auli zapanowała cisza.



— To mój wykres, a to jest równanie, którego użyłam do stworzenia swojej paproci —
oznajmiła tak cicho, że z trudem dało się ją usłyszeć, chociaż mówiła do mikrofonu.

Ona jest niczym kwiat, pomyślał z zachwytem Poincaré. Kwiat o cudownym umyśle.

— Powtórzyłam tę funkcję tylko tak ponad sto tysięcy razy. Dziękuję za uwagę.

$$\begin{pmatrix} x_{n+1} \\ y_{n+1} \end{pmatrix} = \begin{pmatrix} a & b \\ c & d \end{pmatrix} \begin{pmatrix} x_n \\ y_n \end{pmatrix} + \begin{pmatrix} e \\ f \end{pmatrix}$$

Wróciła na swoje miejsce, a kilku studentów wstało, aby jej pogratulować. Większość siedziała w ciszy, oszołomiona.

— Rozchmurzcie się — odezwała się Chambi. — Panna Cheng ma piętnaście lat i znużyła się już zajęciami z matematyki na rodzinnym Tajwanie. Wielu z nas sądzi, że czeka ją wielka kariera. A co do pozostałych osób, czekam na wasze relacje dotyczące podejścia do rozwiązania tego problemu. Jak przekonaliście się przy okazji pana Henleya, gdy tworzy się modele matematyczne, brutalna siła niczego nie daje. Używać trzeba tylko matematyki, ba, robić to wręcz intuicyjnie.

W górę wystrzeliła uniesiona ręka.

— Profesor Chambi, to poeci działają intuicyjnie.

— Tak słyszałam — odparła.

— A to przecież zajęcia z matematyki.

— Dobrzy matematycy też są poetami. Używają tylko innego zestawu symboli.

Podniosła się kolejna ręka.

— Słucham? Pan...?

— Groupman. Frapuje mnie pewna sprawa. Równanie panny Cheng to jest paproć. Nie nazwałaby pani tego równania raczej deskrypcją?

Chambi ułożyła notatki w schludny stosik.

— Proszę to jakoś wyjaśnić. Nie jestem pewna, co pan rozumie jako „deskrypcję”.

Student wstał.

— Powiedzmy, że zaczynam od pokazania leśnej paproci. Mógłbym napisać przedstawiający ją akapit. Mógłbym ją namalować albo zrobić jej zdjęcie. Nikt nie pomyliłby tego z samą paprocią. — Gdy Poincaré przyglądał się zasłuchanej Chambi, wydało mu się, że zauważył delikatny uśmiech na jej wargach. Pozwoliła studentowi dokończyć.

— Wzór na paproć jest w większym stopniu odkalkowaniem, niż mógłby nim być namalowany obraz albo akapit tekstu. Chodzi mi o to, że matematyka jest, albo mogłaby być, samą rzeczą, samą paprocią. Jest jak DNA, chociaż to nie jest DNA. Można by dodać do tego równania trochę błota, trochę wody i już gotowe. Doktor Fenster i pani przekonali mnie, że korzystając z równań, można stworzyć model każdego procesu zachodzącego w przyrodzie. Problem polega na tym, czy te równania są tylko opisami rzeczywistości, czy może samą rzeczywistością?

Chambi przeszła po scenie amfiteatru, ciągnąc za sobą dłoń po pulpicie laboratoryjnym.

— Panie Groupman — odezwała się. — Co pan rozumie przez „samą rzeczywistość”?

Tupnął w betonową posadzkę.

— To. — Wskazał swoją stopę. — I to też. Wszystko.

— Rozumiem. — Poprawiła mikrofon. — Proszę mi pozwolić odpowiedzieć w taki oto sposób. By dało się w ogóle rozważać to, co pan sugeruje, matematyka musi być dobra — tak dobra, że ta paprotka, gdyby pokazać ją w programie graficznym w trójwymiarze, wyglądałaby tak, że myślałby pan, iż ogląda prawdziwą paproć w prawdziwym lesie. Rozmawiamy o modelu tak wyszukany, że przewidywałby sposób, w jaki wiatr omiata dno lasu i sposób, w jaki na listkach paproci osadzają się krople rosy. Gdyby równanie odzwierciedlało coś aż tak szczegółowo, wtedy matematyk mógłby użyć określenia „deskrypcja”. Można by wtedy powiedzieć, że równanie stanowi deskrypcję tego, co widać. Teolog mógłby użyć jeszcze innego określenia.

Zadała pytanie, nie zadając go, i sprawiła, że zgromadzeni ucichli. Gdyby Poincaré miał zamknięte oczy i nie wiedział, jak jest naprawdę, mógłby pomyśleć, że w ogromnej sali siedzi tylko kilku studentów. Minęły całe sekundy, nim z odległego zaułka sali, ktoś zawołał:

— „Władać”. Teolog mógłby powiedzieć, że równanie włada tym, co widzimy.

— Możliwe — przytaknęła Chambi.

— Tylko wtedy pojawia się pytanie, kto jest tym władcą — zawołał inny student.

— Owszem — odparła Chambi. — Władcą. Architektem. Czymkolwiek. Kto ułożył równania natury?

Ponownie zapadła cisza.

Młody człowiek, ten, który odzywał się wcześniej, wstał.

— Sądząc po rozkładzie zajęć, te zajęcia są z matematyki.

Chambi uśmiechnęła się szeroko.

— Nieważne. A pan, panie Groupman, kim jest, matematykiem czy teologiem? A może to jeszcze niepostanowione?

— Tak naprawdę to nie umiem powiedzieć. Żadnym z nich. Obama. Zależy, o której godzinie rano pani zapyta.

— Co za szczerłość! Jeśli potrzebuje pan jeszcze innej opinii, to Divinity School jest zaraz za rogiem, przy Francis Avenue.

Studenci roześmiali się, a Chambi zerknęła na zegarek.

— To wszystko. Sprawdzę państwa prace i mailem roześlę oceny. Jeśli pozwolicie państwo, to jeszcze tylko jedno słówko na sam koniec. Zastąpiłam profesora Fenstera po tym, jak zmarł nagle w Amsterdamie. Chciałabym, żebyście wszyscy to właśnie jego, a nie mnie, zapamiętali jako prowadzącego zajęcia, chociaż spędził z państwem tylko kilka tygodni. To były jego materiały i jego notatki. Pomysł na ten egzamin też był jego. Doktor Fenster był wielkim człowiekiem, a matematyka nie stanowiła dla niego tylko pracy, ale całe życie. W równaniach odnajdował wyszukane piękno — i owszem, postrzegano go jako osobę układającą je intuicyjnie, jako poetę. A co do pańskiego zafrapowania, panie Groupman... to jest najlepsze możliwe zafrapowanie. Proszę je zachować. Życzę wszystkim miłego dnia i radosnego lata. To był dla mnie zaszczyt.

Rozległy się brawa, a po nich nastąpił szum zamykanych książek i zapinanych plecaków. Z amfiteatru zeszło na scenę kilkadziesiąt studentów, otoczyli profesor Chambi. Przez dwadzieścia minut Poincaré przyglądał się, jak pełna energii, dynamiczna kobieta przykuwa uwagę słuchaczy, którzy wciąż robili notatki, nawet w trakcie nieformalnej rozmowy. Detektywowi zabrzączał telefon, obwieszczając nadejście wiadomości tekstowej od Gisele De Vries.

Analiza Europejskiej Agencji Kosmicznej zgodna z ustaleniami holenderskich techników kryminalistycznych: materiał wybuchowy z Amsterdamu = nadchloran amonu z dodatkami. NASA mówi, że próbka = paliwo wojskowe niedostępne w wolnej sprzedaży + dodatki wzmacniające eksplozję. Ciąg dalszy nastąpi.

G. DV.

Poincaré wystukał odpowiedź:

Zamachowiec miał dostęp do wojskowego paliwa raketowego albo wiedział, jak je robić. Wyślij zapytania do NASA, Europejskiej Agencji Kosmicznej + agencja rosyjska i chińska. Pytanie: kto z personelu wiedział, jak zrobić nadchloran amonu? Jeśli Rosjanie albo Chińczycy będą unikać odpowiedzi, pytajcie amerykański wywiad o listę pracowników tych agencji. HP.

Chambi uściskiem ręki pożegnała ostatniego studenta i pomachała mu. Wspięła się po schodach z drugiej strony auli, a następnie przeszła przez długi rząd siedzeń, kierując się w stronę Poincarégo. Średniej budowy, miała okrągłą twarz, szeroki nos oraz podobny do powroza warkocz kruczoczarnych włosów. Według notatek detektywa pochodziła z Ekwadoru i przyjechała tutaj na stypendium, aby badać modelowanie złożonych systemów.

Z biogramu zamieszczonego na internetowej stronie wydziału matematyki Henri dowiedział się, że szczególnie interesowała się sposobem rozprzestrzeniania odmiany gruźlicy odpornej na lekarstwa. Miała zamiar sporządzić jego matematyczny model i po powrocie do domu pomóc Ministerstwu Zdrowia w walce z tą chorobą, która dotykała powszechnie ubogą, rdzenną ludność kraju.

— Jeżeli jest pan z urzędu imigracji i naturalizacji — oznajmiła — to moja wiza jest w porządku.

Roześmiał się.

— Aż tak po mnie widać? Wiem, pani ma dar. Nazywam się Henri Poincaré. — Wyciągnął do niej dłoń. — Przede wszystkim proszę mi wybaczyć, że nie zapytałem o pozwolenie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzałem.

— Teraz pan przeszkadza. Powiedział pan, „Poincaré”?

Przypomniał sobie.

— To dziadek ojca mojego ojca.

— Jules Henri Poincaré był pańskim pradziadkiem?

— Wie pani, rodziny się nie wybiera.

Zaprowadziła go do betonowej niszy nieopodal głównego wejścia do Centrum Naukowego.

— To był człowiek godny podziwu. Prawdziwy gigant matematyki.

— Którym, niestety, nie jestem. Doktor Chambi, rodzice mieli nadzieję, że odziedziczę matematyczny gen, ale ich rozczarowałem. Próbowałem przez jakiś czas i wreszcie dałem spokój. Wygląda na to, że nie jestem poetą równań.

Uśmiechnął się.

— A ja nie jestem doktorem. Jeszcze. James był moim promotorem, a kiedy umarł, nikt na wydziale nie mógł mnie przejąć, bo nikt nie rozumiał ani jego pracy, ani mojej. I tak sobie zostałam, z trzema czwartymi dysertacji i tylko kilkoma ewentualnymi promotorami na całym świecie, a żaden nie jest w tym jakoś szczególnie dobry. Gdyby pański pradziadek żył... A tak, Harvard zamierza mnie zwolnić.

— Niemożliwe, jest pani na to za dobra.

Miała na szyi chustkę. Poincaré dostrzegł krawędzie dużej plamy koloru portwajnu, odcinającej się od skądinąd gładkiej, miodowoorzechowej skóry. Kiedy Chambi zauważyła, że detektyw się jej przygląda, poprawiła apaszkę.

— Jestem zbędna. Wydział matematyki aż się krztusi od nadmiaru doktorantów, a dziekan nie czuje się teraz względem mnie jakoś bardzo lojalny. Nieważne, że przejęłam zajęcia po Jamesie, tak zniecka. Ale dosyć tego. W pana żyłach płynie krew Jules’a Henriego! Nigdy pan go nie poznał?

Poincaré roześmiał się.

— Panno Chambi, jestem stary, ale nie aż tak.

Nagły wybuch zachwytu połączony z ogromnym szacunkiem. Henri zawsze miał z tym do

czynienia, kiedy spotykał jakiegoś matematyka albo fizyka. Za młodu rodowe nazwisko tak bardzo mu ciążyło, że rozważał jego zmianę. Teraz jednak spokojnie przyjął pośmiertne pochwały dla swojego przodka.

— Odziedziczyłem jakieś zamiłowanie do łamigłówek — przyznał się. — Przydaje się w moim fachu. Ale, tak między nami, nie odróżniam pochodnej od pochodni.

Chambi roześmiała się swobodnie, postawiła na pulpicie torbę z komputerem.

— Jakoś nie chce mi się wierzyć. Talent taki jak u pańskiego pradziadka zdarza się raz na pokolenie. Tak naprawdę był dla Jamesa bohaterem. Wszędzie w gabinecie miał porozwieszane cytaty z Poincarégo, poprzypinał je do swoich komputerów. Mówię poważnie: dla Jamesa to były słowa, według których żył. Wie pan, że Einstein nawiązywał do Jules'a Henriego? I pański pradziadek co najmniej przewidział ogólną teorię względności. Jeśli sam na nią nie wpadł. Nie wspominając już o teorii chaosu.

Młodszy Poincaré wskazał niewielki bufet po drugiej stronie korytarza.

— Panno Chambi, zjawiłem się tutaj w sprawach zawodowych. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej na temat doktora Fenstera. Prowadzę śledztwo w sprawie jego śmierci. — Podał swoją wizytówkę.

Chambi ją przestudiowała.

— Interpol?

— Zgadza się.

— Ta cała sprawa mną wstrząsnęła.

— Wiem. Mną także. Straszliwa strata.

— Bardzo mi przykro, inspektorze. Nie jestem w stanie o tym rozmawiać. — Gwałtownie uniosła przegub, aby spojrzeć na zegarek, potem poprawiła apaszkę. — Zapomniałam, że muszę dokądś iść.

— Tylko pięć minut — odparł. — A potem może ciąg dalszy, jutro. Jestem w Bostonie do soboty.

— Nie mogę.

Wyjął zdjęcie Madeleine Rainier.

— Zna pani tę kobietę?

Chambi uniosła dłonie.

— Nie mogę. Naprawdę.

— No to jutro. Spotkajmy się w godzinach pracy. Będzie tu pani przez cały ranek.

— Sprawdzał pan? Nie będę o tym rozmawiać. Za bardzo mnie to smuci. Odpowiedź brzmi „nie”.

— Nie będzie pani rozmawiać dlatego, że pani smutno? Czy też dlatego, że jest pani zajęta?

— Zajęta. Smutna. Jedno i drugie. Muszę już iść.

— To jest oficjalne śledztwo — przypomniał. — Mógłbym poznać coś, co mogłoby nam pomóc w dowiedzeniu się, co się właściwie stało. Wiem, że pani chce pomóc. Proszę ze

mną porozmawiać.

— Muszę iść.

— No to jutro.

— Jutro spotykam się ze studentami.

— Przez cały dzień? Przecież musi pani jeść. Może około dwunastej trzydzieści, jutro, w tym bufecie?

Szybko rozważył kilka możliwości: zawód miłosny, wściekłość, że przez Fensterę utknęła z doktoratem. A może dokładnie to, o czym mówiła: smutek.

— A może w czwartek?

— Jestem zajęta.

— Panno Chambi, nalegam.

Zarzuciła torbę na ramię, zebrała notatki.

— Przed południem w piątek. Proszę sobie sprawdzić moje godziny dyżurów na stronie wydziału.

Po tych słowach Dana Chambi ruszyła korytarzem. Dotarła do obrotowych drzwi i uciekła.

Wieczorem Poincaré zadzwonił z hotelu do Lyonu.

— Henri! Jak minął lot? Wszystko w porządku?

Zapewnił ją, że wszystko w porządku.

— Co tam u ciebie?

Szczerze mówiąc, wystarczającą odpowiedź stanowiło już samo to, że odebrała telefon. Odprężył się.

— Nic się nie zmieniło. Mówiłam ci, że nic nam nie będzie i nic nam nie jest.

— Etienne i rodzina... Sprawdziłaś?

— U nich też wszystko gra. Naprawdę. Pocałuj mnie teraz na dobranoc. Właśnie się kładłam. Jutro zadzwoń wcześniej.

Poincaré cmoknął słuchawkę. Kiedy się rozłączał, wyobraził sobie, że leży obok żony w łóżku w Fonroque, wsłuchując się w głos świerszczy oraz harce polnych myszy wokół fundamentów domu, wyprawiane przez gryzonie, rozglądające się za jakimś kąskiem oraz ciepłym leżem. Może ten system faktycznie mógłby działać. On by dzwonił, ona odpowiadała i wszystko nadal byłoby w porządku.

13

Poincaré chwycił słuchawkę, nie do końca wiedząc, na jakim jest kontynencie.

— Co? — wymamrotał, przewracając szklankę z wodą. Usiadł, osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem przenikającym przez krawędzie zasłony.

— Henri, mam wiadomości.

— Paolo?

— Borislav naprawdę nazywa się Christof Mladic, był numerem dwa w Patriotach Wielkiej Serbii, zaraz po Banovicu. Interpol dwa lata temu wydał za nim Czerwony List Gończy, ale holenderskie służby graniczne przegapiły jego przyjazd i wyjazd. Znalazłem go w Banja Luce. Mieszka nad pralnią automatyczną.

Zakłócenia, kliknięcia i trzaski, a potem na nowo głos:

— Obawiam się, że to prawda. Banović złożył cztery zlecenia: na Claire, Etienne'a, Lucille i dzieci. Dzieci policzył jako jedno zlecenie. Mógł też, albo i nie, złożyć zlecenie na ciebie. Zaalarmowałem Alberta.

— Paolo, ich tożsamość. Kto to?

Większa ilość danych nie zmieniała ponurych faktów, słuchał jednak uważnie. Chciał poznać szczegóły, znaleźć jakiś przeoczony niuans, który podpowiedziałyby sposób obrony albo jeszcze lepiej metodę kontrataku. Przeniósł nogi ponad krawędzią łóżka.

— Na tym polega cały problem. Mladic nie znał zleceniobiorców. Złożył zlecenia przez pośrednika, aby dodać kolejne zabezpieczenie. Zgodnie z poleceniami Banovicia przekazał pośrednikowi nazwiska, adresy oraz pieniądze, a ten zawarł odpowiednie kontrakty.

— Zawarł?

— Spóźniłem się trzy dni. Zleceniobiorcy przypuszczalnie działają pojedynczo, pochodzą z państw dawnego bloku wschodniego, to byli agenci Stasi. Teraz jestem w trakcie lokalizowania pośrednika. Jest Węgrem, szukam go w Budapeszcie. Tyle Mladic zdołał mi przekazać przed swoim wypadkiem.

Poincaré o nic więcej nie zapytał.

— Henri, to jest pewna informacja. Będę dzwonił z kolejnymi informacjami. Ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

Poincaré opuścił głowę, kryjąc ją w dłoniach, bo po tej stronie Atlantyku nie mógł niczego zrobić ani niczego zmienić. Wybrał numer do Montforte'a, który zapewnił, że te wszystkie wiadomości tylko potwierdzają znane już informacje o zawarciu kontraktów.

— Raport Ludoviciego niczego nie zmienia — oznajmił dyrektor. — Nawet ambasadorowe nie mają takiej ochrony, jaką daliśmy twojej rodzinie. Henri, zaufaj systemowi.

Poincaré powierzył temu systemowi całe życie; dla rodziny jednak domagał się czegoś więcej, gwarancji, która nie istniała. Skoro nawet premierzy i prezydenci nie mogli uciec przed zdeterminowanymi zabójcami, o ileż łatwiejszy cel stanowią dzieci na parkowych huśtawkach albo Etienne, wsiadający do samochodu, żeby pojechać po mleko? Wziął prysznic, pospiesznie wypił kubek kawy, po czym przeczytał w „Boston Globe” wystarczająco dużo, aby nabrać pewności, że wali się nie tylko jego prywatny świat. Etiopscy separatyści stracili chińskich nafciarzy. Sunnici wiercili dziury w szytach, nazywając to Bożym Dziełem. Szyjci ścinali sunnitów w imię tego samego Boga i porzucali ciała na ulicach. Jeszcze coś z miejscowego podwórka. Student college'u w

Massachusetts zamordował trzynaścioro kolegów. Tak po prostu.

Poincaré wyszedł z hotelu. Dzień był pogodny, a jaskrawe słońce zmieniło rzekę Charles w zwierciadlaną toń, po której powierzchni sunęli wiosłarze, parami albo po czterech, jak wodne pająki. Wszedł na kładkę, zatrzymał się pośrodku rzeki, z jednej strony mając budzące się miasto Cambridge, a z drugiej Boston. Rowerzyści i biegacze przemierzali ścieżki, wzdłuż bulwarów szumiał uliczny ruch. Patrzył i czekał, aż wreszcie nie był już w stanie czekać dłużej.

— Claire?

Niemal widział jej uśmiech na wygładzonej powierzchni wody. Rozmawiaj, kazał sam sobie. Zaczęła nowy obraz? Doskonale. Dzieci uczyły się pływać. Etienne uzyskał zlecenie na projekt nowego skrzydła muzeum w Brukseli. Jednak to, że żyli zwykłym życiem, wcale go nie uspokoiło. Oczyścił głos z napięcia. Gdyby teraz stali twarzą w twarz, zdradziłyby się ze swoim zdenerwowaniem. Słyszał oddech żony.

— Claire?

— Tak, Henri?

Spod mostu, długim, posuwistym ruchem wyłoniła się łódź. Wiosła zanurzyły się, plecy wiosłarzy wyprostowały. Przypływ energii. Przy jakichś rozsądnych połączeniach Poincaré do kolacji mógłby być już w domu.

— Nic takiego — powiedział. — Po prostu chciałem usłyszeć twój głos.

Niezależnie od wszystkiego, co pozostało niewyjaśnione we Francji, Poincaré zjawił się w Stanach z całą listą zadań: dowiedzieć się czegoś więcej o Fensterze i jego pracy; poznać przeszłość Madeleine Rainier; z jakimś ekspertem od materiałów pędnych przedyskutować kwestię paliwa do rakiet oraz jego nietypowego użycia jako ładunku wybuchowego. Przed telefonem Ludoviciego wydawało się, że wszystko da się załatwić w trakcie trzytygodniowej wizyty, którą zacznie w Bostonie, a zakończy w Pasadenie, w Laboratorium Napędu Odrzutowego. Teraz jednak, niemal tuż po przylocie, chciał z powrotem przekroczyć Atlantyk i wznosić stalowe bariery wokół rodziny.

Zaledwie półtora kilometra od Harvard Square porównał adres zanotowany na skrawku papieru z niezbyt obiecującym budynkiem, który widział przed sobą. Mocno podniszczone drzwi wiodły do bistra Bombaj oraz Prawdziwych Tatuży Mike'a. Nacisnął dzwonek i słuchał, jak recepcjonistka kaleczy jego nazwisko przez domofon, podłączony jeszcze przed rządami Eisenhowera.

— Ponky — co?

— Reeej — opowiedział, pochylając się do głośnika. — Puon — Ke — Reeej.

— Inter — co?

W końcu chyba zdołał wydukać prawidłową kombinację sylab, bo zamek zabrzączał i detektyw wszedł do środka, a potem na półpiętrze trzeciej kondygnacji spotkał Petera Roya, gotowego do przeprosin.

— To moja teściowa. — Wzruszył ramionami. — Jeśli ją wyrzucę, będę musiał znaleźć

sobie inne łóżko do spania.

Roy mógłby być jednym z tych wioślarzy, którym przyglądał się Poincaré. Szczupły i elegancki, zaprowadził gościa do skromnej poczekalni, gdzie stały podniszczona, obita skórą sofa oraz kilka składanych krzeseł. Po drugiej stronie pomieszczenia, za biurkiem z rządowych nadwyżek, siedziała teściowa Roya, gotowa, aby — Henri w gruncie rzeczy nie wiedział — złapać go za gardło albo upiec mu ciasteczka. Z szyi i ramion zwisały jej ciężkie fałdy skóry, a nawet z daleka Poincaré czuł zapach pudru, którym obsypała się dzisiaj rano.

Roy, krzycząc, przedstawił jej detektywa. Gdy kobieta przyłożyła do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę, Henri zrozumiał, dlaczego z takim trudem rozmawiali przez domofon.

— To Francuz? — zapytała, promieniejąc. — Trzydzieści siedem lat temu byłam we Francji z pierwszym mężem. Widzieliśmy wieżę Eif...

— Gladys, na pewno inspektora to ciekawi, ale teraz jest bardzo zajęty. Może później? — Roy szturchnięciem skierował gościa w stronę sali konferencyjnej, poczekał jednak, aż detektyw ucałuje dłoń kobiety. Była akurat w takim wieku, że mogła durzyć się w Maurice Chevalierze, kiedy grał w *Gigi*.

— Niech pan myśli o niej jako o matce kobiety, którą kocha — powiedział kilka chwil później, siadając.

— Teoretycznie — odparł Roy.

Sala konferencyjna na jakimś etapie niedawnych dziejów musiała być ogromną garderobą. Poincaré widział kiepsko połatane dziury po hakach na ubrania i wsporniki, wciąż przymocowane do karniszy. Przy plastikowym stole stało pięć składanych krzeseł. Na ścianach nic nie wisiało, wyjąwszy dwa dyplomy w pozłacanych ramach — jeden z Princeton, a drugi z wydziału prawa Columbi. Jedyne okno wychodziło na ceglany mur naprzeciwko wąskiego szybu wentylacyjnego.

— Nie mam do zaoferowania wiele więcej niż wtedy, gdy rozmawialiśmy przez telefon — oznajmił Roy.

Poincaré zapewnił go, że nie o to chodzi. Przyleciał, żeby dowiedzieć się czegoś na temat Jamesa Fenstera od osób, które znały go osobiście, nawet jeśli słabo.

— Nie można prowadzić śledztwa w sprawie samego nazwiska — wyjaśnił, sięgając po notatnik.

— W takim razie spróbuję pomóc... Spotkałem doktora Fenstera tylko raz — zaczął prawnik. — Widziałem się z nim przez dziewięćdziesiąt minut, ale to starczyło, by wyrobić sobie jakąś opinię. Pewnego dnia zjawił się bez zapowiedzi, chcąc, żebym mu pomógł w ukończeniu testamentu, który wydrukował sobie z Internetu. Nigdy się zbytnio nie interesowałem matematyką, właściwie o nim nie słyszałem. Zrobił jednak na mnie takie wrażenie, że kiedy wyszedł, sprawdziłem, kim jest, i potwierdziłem to, co i tak było wyraźnie widać. Należał do tej kategorii błyskotliwych osób, które muszą zwalniać tempo, aby na tym świecie normalnie funkcjonować. Fenster był sympatyczny, ale kiedy się z nim rozmawiało, czuło się, że zwalnia do takiej prędkości, żeby chociaż mieć nadzieję, że

zostanie zrozumiany. Z piętnaście, dwadzieścia sekund zabierało mu wypowiedzenie prostego zdania, na przykład „Tak, wydrukowałem ten dokument z Internetu”. Człowiek to słyszał i miał wrażenie, że to właśnie on przeoczył coś oczywistego. W głowie Fenstera wirowały całe galaktyki. Ja to wiedziałem, zanim jeszcze o nim poczytałem i poznałem te wszystkie artykuły oraz dokumenty.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — kontynuował Roy. — Ten człowiek nie traktował nikogo z góry. Można było dostrzec, że stara się porozumieć, ale na jakimś poziomie zwyczajnie nie potrafił. Można by go postawić w sali komputerowej albo w bibliotece, w sali wykładowej, ale broń Boże zapraszać na przyjęcie. Był chudy i żylasty, miał z metr osiemdziesiąt i blond loki — w wieku dwudziestu dziewięciu lat ciągle wyglądał jak chłopiec. Pod względem społecznym był potulny, pod względem intelektualnym — drapieżny. To była ostatnia osoba na ziemi, którą ktokolwiek mógłby chcieć zabić z nienawiści.

— Tak mówią, panie Roy. Jedyne sprawą, jaką pan miał z nim do załatwienia, to ten testament, prawda?

— Proszę mówić mi Peter. To prawda. — Prawnik podwinął rękawy i splótł dłonie pełne odgniotków. Poincaré uznał, że naprawdę mógł być wioślarzem.

— Kto był beneficjentem?

— Majątek został rozdysponowany, mogę więc powiedzieć. Sześćdziesiąt tysięcy dolarów z ubezpieczenia na życie stało się kapitałem założycielskim pozaszkolnego klubu matematycznego w mieście Cambridge. Doktor Fenster nie wierzył w firmy ubezpieczeniowe. Pieniądze pochodziły z uniwersyteckiej polisy, której nie mógł się zrzec, nawet gdyby chciał. Musiał tylko wpisać beneficjenta.

— Czyli nie miał rodziny?

Poincaré znał odpowiedź, czekał jednak na potwierdzenie.

— Żadnej, jaką dałbym radę odnaleźć. Fenster nie podał nikogo działowi personalnemu Harvardu ani w żadnym biurze w Princeton. W jego dokumentach rekrutacyjnych z Princeton był tylko adres pocztowy w Ohio, spróbowałem więc tam. I nic. Zatrudniłem w Clevelenad prywatnego detektywa, który odkrył, że Fenster był wychowankiem państwa — tułał się przez ponad jedenaście lat, zaliczając pięć rodzin zastępczych. Detektyw skontaktował się z każdą z nich i usłyszał mniej więcej taką samą historię. Fenstera uznawano za nienadającego się do adopcji. Pewnie nie był takim synem, z którym ojciec chciałby grać w piłkę albo pojechać na ryby. Wydział do spraw młodzieży nie udostępnił jego aktu urodzenia bez nakazu sądowego, dlatego postanowiłem porzucić śledztwo, bo suma, jaka wchodziła w rachubę, nie była wysoka. Musiałbym zatrudnić miejscowego prawnika, wszystko by zużyło połowę z jego aktywów majątkowych, dałem więc spokój i w zeszłym tygodniu wystawiłem czek dla tego klubu matematycznego, kiedy tylko testament został uznany za ważny.

— Ale jakiś akt urodzenia istnieje?

— Odmowa dostępu była automatyczna, wątpię więc, żeby ktokolwiek w ogóle

sprawdzał. W niektórych przypadkach adopcji nawet adoptowany nie ma dostępu do takich danych. Nie wiem, czy w tym wypadku jest tak samo. Aż tak daleko nigdy nie dotarliśmy.

— Dobrze, ale przypuszczalnie się urodził. Uzyskam od Interpolu nakaz okazania tych akt w związku ze śledztwem.

Poincaré zanotował.

— To nic nie da — odparł Roy. — Będziesz potrzebował nakazu sądowego. Oczywiście, wyślę mailem pełen raport z dochodzenia, ale powiem już teraz, że to dosyć przygnębiająca lektura. Nie wątpię, że członkowie rodzin zastępczych serca mieli po właściwej stronie, ale nie wiedzieli, co mają robić z dzieciakiem obdarzonym aż taką inteligencją. Szkoła była dla Fenstera jedyną przystanią, ale nawet tam nauczyciele nie mieli pojęcia, jak się z nim obchodzić. Moim zdaniem, między czwartym a piętnastym rokiem życia doświadczał przykrego zaniedbywania, aż wreszcie uratowało go Princeton, dając pełne stypendium. Zrobił doktorat w wieku dwudziestu lat, rok później zaczął uczyć w Harvardzie i po trzech latach dostał stałą posadę. Fenster nie tylko nie miał żadnej rodziny ani krewnych, on też prawie nie prowadził w Cambridge życia towarzyskiego. Jako wykładowca pierwszego roku nie mógł wchodzić w dobre układy towarzyskie ze studentami, w większości swoimi rówieśnikami. A jako młody człowiek, dwudziestokilkuletni, nie był też uważany za partnera przez kolegów po fachu, niezależnie od swoich uzdolnień. Dla studentów był za dorosły, dla kolegów z wydziału za młody. Nigdzie nie pasował.

— Czy James Fenster to imię i nazwisko, jakie otrzymał po urodzeniu?

— Powiem tyle, co wiem. Pierwsza rodzina, ta, która chciała go zaadoptować, nazwała go James, a raczej „Jimmy” Fenster. Oddano go po półrocznej próbie, powołując się na niezgodność w dokumentach. Był jakiś błąd w papierach i gdy przyszedł czas, żeby uprawomocnić adopcję, rodzina odmówiła. Potem trafił jeszcze do czterech rodzin, jednak nazwisko już do niego przyłgnęło. Przyjęcie do Princeton było najlepszym, co przydarzyło się Fensterowi. Uratowało go.

Poincaré uznał, że w którymś momencie Fenster jednak musiał zaangażować się towarzysko. Dowodziły tego zaręczyny z Madeleine Rainier, nawet jeśli zostały zerwane.

— Czy zachowywał się jakoś nerwowo? — zapytał Poincaré. — Czy miałeś wrażenie, że Fenster uważa, że jest w niebezpieczeństwie?

— Nie, wydawał się dosyć spokojny.

— W takim razie zostają sprawy zdrowotne. Kto sporządza testament w tak młodym wieku? Czy było coś wskazującego na chorobę?

Roy wzruszył ramionami.

— Wydawał się zdrowy jak na kogoś z zapadłą klatką piersiową. Po zamachu policja sprawdzała dokumenty dotyczące jego stanu zdrowia. Najwyraźniej udawał się na rutynowe wizyty do uniwersyteckiego wydziału medycznego i stomatologicznego. Powiedziano mi, że wszystko było w porządku. Co do stanu jego umysłu, muszę przyznać, że sporządzając testament, wydawał się całkowicie spokojny. Absolutnie żadnych oznak

kryzysu. Fenster siedział tam, gdzie teraz ty, i powiedział, że znalazł moje zamiary w książce telefonicznej, a teraz, gdy przyszedł, docenił, jak to nazwał, moją „ogłędność”. Pewnie zauważyłeś, ileż to u mnie mahoni i obrazów. Klienci podchodzą do moich usług jak do zamawiania pizzy. Każdy kawałek smakuje tak samo, więc kupuje się pizzę w swojej okolicy. Jestem właśnie takim prawnikiem z sąsiedztwa. Nie unoszę dumnie czoła i nie podnoszę cen. Doktor Fenster powiedział, że właśnie tak mu się podoba. Tak prosto.

— A ile sobie życzysz za kawałek pizzy? — Poincaré wskazał dyplomy.

Prawnik się roześmiał.

— Kiedy byłem młodszy, to całkiem sporo. Princeton i Columbia przydawały mi się w mojej wcześniejszej pracy, w kancelarii w śródmieściu — byłem partnerem, miałem duże wynagrodzenie, jeszcze większe wrzody. Kiedy praktyka prawnicza stała się zbyt dużym biznesem, postanowiłem ograniczyć się do skali, jaką pojmowałem. Tutaj nikogo nie obchodzi, gdzie się uczyłem, jeśli tylko mogę pomóc w renegotjacji kredytu hipotecznego albo załagodzić sprawę z policją imigracyjną. Inspektorze, moje usługi nie są za darmo, od czegoś takiego są instytucje publiczne. Ale nie biorę też pięciuset dolarów za godzinę. A jeśli zdarzy się tak, że zabraknie ci pieniędzy, to zawsze się jakoś umówimy. Jeden z klientów zapłacił rocznym zapasem domowego dżemu. Dało radę. Fenster zapłacił czekiem. Miał jeszcze sześćdziesiąt tysięcy, zaoszczędzonych na koncie w banku, i to też poszło na Ligę Matematyczną. Nie miał auta. Wynajmował mieszkanie. Nie wiem, kiedy śledczy zamierzają je zwrócić właścicielowi.

— Jego majątek ruchomy — co z nim zrobisz?

— Rozdam w końcu. Dysponując majątkiem Fenстера, przejrzałem jego finanse, co nie zajęło dużo czasu. Większość rachunków regulował czekiem, karty kredytowej używał tylko do okazjonalnych zakupów przez Internet. Nie miał wielkiego debetu. Co do jego majątku, nie było w nim niczego wyróżniającego, wyjąwszy laptopa, z którego korzystał w domu. Harvard twierdzi, że na laptopie znajduje się własność intelektualna Fenстера i w związku z tym komputer należy do uniwersytetu. Jeden ze sponsorów Fenстера, Charles Bell, twierdzi, że naukowiec kupił komputer za pieniądze otrzymane z jego fundacji i w związku z tym sprzęt należy do niego. Co dziwniejsze, cały ten spór ma trafić do sądu. W chwili obecnej władze stanowe przechowują twardego dysku jako dowód.

— Co na nim jest?

— I oto właśnie chodzi — odparł Roy. — Nikt tego nie wie, bo nikt nie potrafi złamać hasła. Laboratorium kryminalistyczne zatrudniło kryptologa, ale Fenster najwyraźniej opracował własne cyfrowe zabezpieczenie dysku twardego, możesz więc sobie tylko wyobrazić, jak będzie ciężko. No, ale Bell i Harvard pozwalają się wzajemnie, pozwalają też stan w sprawie tego dysku.

— Jaka suma wchodzi w rachubę? Ile Bell dał Fensterowi?

— Słyszałem o ośmiu milionach dolarów. Bell twierdzi, że ma prawo do zwrotu części swojego wkładu — zwrotu twardego dysku, który przypuszczalnie jest wart czterysta dolarów. Harvard twierdzi, że te miliony były darowizną dla uniwersytetu, odpisaną od

podatku, a nie inwestycją. Ten spór może potrwać lata.

Poincaré zanotował sobie dane kontaktowe Bella, a Peter Roy spojrział na niego z uśmiechem.

— O co chodzi? — zapytał Poincaré.

— Sam to osądź. Powiedzmy, że jego osobowość pasuje do jego sukcesu.

Roy spodobał się Poincarému. Podobał mu się pomysł przyjmowania domowego dzemu w ramach wynagrodzenia. Podobały mu się gołe ściany oraz kontury śladów po wieszakach, widoczne pod topornie nałożoną warstwą farby. Podobały mu się plastikowe stoły i staranność, z jaką Roy zawiązywał muszkę. A szczególnie podobała mu się teściowa prawnika.

— A co twój prawniczy instynkt mówi o Madeleine Rainier? — zapytał. — Czy odniosłeś wrażenie, że zależy jej na pieniądzach Fensterera? Sto dwadzieścia tysięcy dolarów to nie byle co.

— Panna Rainier? Raczej wątpię, żeby jej zależało na pieniądzach. Poprosiła mnie, żebym wysłał faksem list do władz holenderskich, autoryzujący ją jako wykonawcę testamentu, a potem natychmiast wynajęła, żebym rozdysponował majątkiem, tak szybko, jak to tylko możliwe, zgodnie z ostatnią wolą zmarłego — w czym nie miała przecież żadnego finansowego interesu. Po serii telefonów zaraz po zamachu kontakt się urwał. Pod numerem telefonu, na który dzwoniłem, nikt nie odbierał, zaczęło odbijać moje maile. Dostałem jednak coś takiego. — Roy wyciągnął kartkę pocztową z łukowatym napisem wielkimi literami „Witamy w Szwajcarii” ponad zdjęciem przedstawiającym góry oraz krowy pasące się na stromej hali. Po drugiej stronie, odręcznym pismem, w którego autentyczność Poincaré nie miał powodów wątpić, napisano tylko: „Dziękuję za pańską pomoc w trudnych chwilach. M. Rainier”.

Nadano w Zurychu, dwa tygodnie po zamachu. Czyli że jednak udało jej się wymknąć z Holandii.

— Jak sądzę, pieniądze poszły do Ligi Matematycznej — stwierdził Henri — i Rainier nie dostała ani grosza. Ale i tak nigdy mnie nic nie dziwi, kiedy u podłoża jakiejś sprawy są pieniądze. Udostępnicz mi dane finansowe Fensterera? Może mógłbyś skopiować jego wyciągi z konta i zrealizowane czeki? Przydać może się wszystko, co jest związane z tymi sprawami.

— To naprawdę bardzo nudne rzeczy — odparł prawnik. — Ale proszę bardzo. Wszystkie sprawy finansowe załatwiałem przez Internet w jednym banku, tutaj w mieście. Dostałem na pendriwie wyciągi z jego rachunku oszczędnościowego, czekowego oraz karty kredytowej z ostatnich pięciu lat. Proszę bardzo.

Poincaré podniósł się, aby uścisnąć prawnikowi dłoń.

— Powiem wprost — oznajmił. — Biorę pod uwagę Madeleine Rainier jako podejrzaną o zamordowanie Jamesa Fensterera. Interpol wydał za nią list gończy, czyli że w chwili obecnej ucieka przed wymiarem sprawiedliwości. To znaczy, że jeśli jeszcze kiedyś się do ciebie odezwie...

— Oczywiście — powiedział Roy. — Nie podawałem jej danych kontaktowych, zanim...

— Miałeś wtedy do tego pełne prawo, podobnie jak ona. Wtedy nie była podejrzana. Ten przywilej związany z kontaktami prawnika z klientem często mi utrudnia pracę.

— Inspektorze, to niezbędna komplikacja.

— Wiem, wiem. — Poincaré pociągnął nosem. — Reguły prawne.

Roy odprowadził go do maleńkiej poczekalni.

— Daj mi chwilę, to skopiuję dane związane z finansami Fenstera. A tymczasem usiądź sobie i może popatrz, jak Gladys maltretuje kolejnego klienta.

Massachusetts Avenue wypełniał typowy zgiełk miejskiego życia, budzącego się podczas ładnej pogody. Poincaré spojrział na mapę i doszedł do wniosku, że może pojechać metrem, czerwoną linią na drugą stronę rzeki, a potem ruszyć na piechotę do budynku nieopodal magistratu, gdzie policja stanowa przechowywała rzeczy odnalezione w gabinecie Fenstera na uniwersytecie. Przy wejściu do metra złożył mapę i wsłuchał się w muzykę, płynącą gdzieś z dołu. Bezcielesny saksofon grał *My Favorite Things* w smutnym rytmie na cztery. „Krople deszczu na różach...”. Detektyw zatrzymał się, a ludzie spieszili w górę i w dół po schodach stacji metra. Z lewej uformowała się kolejka po tortille arepas, sprzedawane z wózka; po drugiej stronie ulicy tłum gapiów przyciągnęli rośli mężczyźni z firmy transportującej fortepiany, którzy właśnie opuszczali duży instrument z okna na drugim piętrze. Wokół szumiało miejskie życie, dostrajając się do melancholijnej melodii. „Kiedy gryzie pies, kiedy żądli pszczoła, wtedy czuję smutek...”. Muzyk zmienił ostatnią nutę w wołanie, które wytrząsnęło z pamięci Poincarégo wspomnienia o jego własnych, ulubionych rzeczach: o sześcioletnim Etiennie, trzymanym na kolanach i objaśniającym zawilść konstrukcji nowej wieży, którą właśnie zaprojektował, o Claire, nakrywającej go w galerii, gdzie potajemnie kupowali sobie nawzajem ten sam prezent; o Chloe, prowadzącej do bramy stodoły i mówiącej „spójrz, dziadziu!” Czegóż by dla nich nie zrobił? Gdyby właśnie teraz otworzyło się przed nim wejście do samolotu lecącego do Paryża, wsiadłby od razu.

Dźwięk klaksonu wyrwał Poincarégo z zadumy. Detektyw zszedł po schodach, szykując się do podziękowania saksofoniście. Wtedy o mało nie wpadł na dziwnego, młodego mężczyznę z miękkim zarostem, w sandałach i powłóczystej szacie, trzymającego transparent. Tak jakby inspektor wrzucił monetę do jakiejś automatycznej wróżki, Żołnierz Wniebowstąpienia — bo detektyw uznał, że z pewnością właśnie jego ma przed sobą — uniósł dłoń i zaczął recytować słowa widoczne na transparencie, wypowiadając je tonem słusznego oburzenia:

— W owe dni, po tym ucisku, słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku. Gwiazdy będą padać z nieba i moce na niebie zostaną wstrząśnięte. Wówczas ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w obłokach z wielką mocą i chwałą. Wtedy pośle On aniołów i zbierze swoich wybranych z czterech stron świata, od krańca ziemi aż do szczytu nieba².

— Chodzi o wstąpienie wiernych w niebiosy? — zapytał detektyw.

— Zaiste.

Powstrzymał się od uśmiechu. Przecież nie było niczego zabawnego w zabitej pracownicy socjalnej z Barcelony ani dzieciach pod budką z lodami w Mediolanie.

— Powiedz mi — odezwał się Henri. — Ile jeszcze zostało czasu?

— Wystarczy, abyś się ocalił, bracie! Znaki i zapowiedzi są wszędzie dookoła! Wyruszają armie, mężowie biją żony. Matki usuwają swoje dzieci. Dzieci strzelają do dzieci na naszych ulicach. Huragany, tsunami, AIDS. Rzeknij mi, czy kiedykolwiek były takie pokrętne czasy? Koniec już bliski!

Przynajmniej to powiedział z przekonaniem. Za nim widać było metalowe dźwigary okryte warstwami brudu, narastającymi przez dziesięciolecia. Peron śmierdzał olejem maszynowym i uryną. Nadjeżdżający pociąg, widoczny z daleka, zgrzytał po szynach.

— Wniebowstąpienie. Dzielą nas od niego dni czy miesiące?

— Wejrzyj do swojej wiary, nie do kalendarza!

— To trudne.

— Oczywiście, że to trudne! Liczy się tylko jedno pytanie: czy masz Boga w sercu?

— Staram się postępować dobrze, jeśli to ma znaczenie.

— Czy wszyscy tak czynimy?

Co do tego Poincaré miał absolutną pewność.

— Nie, nie wszyscy. Nie każdy.

— To prawda. Chwalmy Pana! Tak! Padnij na kolana i módl się za tych, którzy odrzucają Jego ścieżkę. Pokonaj dumę. Dostąp odkupienia, które jest tuż obok, już teraz, tylko czeka. Bóg czeka! Módl się za upadłych! Przyłącz się do nas!

Poincaré nie zazdrościł Laurentowi poszukiwań sensu w tych pokrzykiwaniach. Zamiast paść na kolana, powiedział:

— Chcę się dowiedzieć czegoś więcej.

Pochylił się ku kaznodziei.

— Synu, jak masz na imię?

— Simon.

— Simonie, powiedz mi, gdzie mogę się dowiedzieć czegoś więcej. Pragnę zostać zbawiony. Och, tak!

Poincaré spodziewał się numeru telefonu, nabazgranego na świstku papieru, żołnierz zaskoczył go, podając mu broszurę poświęconą zawartym w Nowym Testamencie dowodom na Drugie Przyjście. Na zakładce umieszczono darmowy numer telefonu, adresy centrów wniebowstąpińczych w Nowym Jorku oraz Los Angeles, a także adres strony internetowej. Laurent pewnie chciałby to zobaczyć.

Wsadził broszurę do kieszeni i przez bramkę wszedł na peron metra, gdzie znalazł tamtego saksofonistę — swojego rówieśnika, graniem zarabiającego na jedzenie. W jakiś inny dzień Poincaré zabrałby go na lunch i wysłuchał jego historii. Teraz wrzucił tylko

kilka dolarów do otwartego pojemnika. Podmuchał towarzyszący przyjazdowi pociągu uniósł stronę tytułową dzisiejszej gazety, leżącej na stosie śmieci. Zawiórowała, opadła, a potem zamarła przed oczyma Poincarégo na czas odpowiednio długi, by mógł odczytać nagłówek: „Trzęsienie ziemi na wybrzeżu Pacyfiku!” Pociąg zatrzymał się, detektyw wsiadł. Kiedy się odwrócił, kaszobotka uśmiechnął się do niego i uniósł dłoń w geście błogosławieństwa.

14

Wieczorem Poincaré utwierdził się w przekonaniu, że życie Jamesa Fenstera, oglądane przez pryzmat skrupulatnie zbilansowanej książeczki czekowej, było zarazem uporządkowane, jak i pozbawione cech charakterystycznych. Dane na temat obciążenia kredytowego wykazały, że raz albo dwa w miesiącu używał jednej karty kredytowej, za pomocą której robił zakupy w Internecie albo telefonicznie. Opłacał nią też wynajęcie auta, gdy wyjeżdżał na konferencje. Przed ponad dwa lata po stronie przychodów detektyw widział w rachunkach Fenstera automatyczne wypłaty wynagrodzenia, dokonywane przez uniwersytet. Po stronie wydatków znalazł wypisywane co tydzień czeki, którymi Fenster płacił w sklepach spożywczych, dwa lub trzy czeki rocznie realizowane przy okazji zakupu ubrań oraz miesięczne wydatki na opłacenie wynajmu. W poniedziałki matematyk wypłacał z bankomatu sto czterdzieści dolarów na cały tydzień. To był człowiek nie z tej epoki: rzadko używał plastikowych pieniędzy, nie miał debetu, odkładał większość tego, co zarobił. Podsumowanie zeznań podatkowych z urzędu skarbowego, czysta kartoteka kryminalna oraz brak mandatów za wykroczenia drogowe ukazywały obywatela Jamesa Fenstera jako dokładnie taką osobę, za którą uważał go Peter Roy: skromną, cichą, niewyróżniającą się.

O drugiej nad ranem Poincaré prawie kończył kwerendę, gdy przeglądając ostatnie dwa zrealizowane czeki, odkrył pewną anomalię. Przez ostatnie dwa lata Fenster sprzątał mieszkanie sam albo płacił za to gotówką jakiemuś nieudokumentowanemu pracownikowi. Poincaré wątpił, by Fenster ponosił takie wydatki, bo wyznaczył sobie dwadzieścia dolarów na dzień — za mało, aby pokryć potrzeby nawet skromnie żyjącego człowieka, nie mówiąc już o opłacaniu sprzątacza. W ostatnim tygodniu przed wyruszeniem do Amsterdamu matematyk wypisał czeki na duże kwoty. Jeden na tysiąc pięćset dolarów, drugi na dwa tysiące pięćset, kolejny na dwa tysiące dwadzieścia pięć, a ostatni na dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów. Wszystkie dla miejscowych firm sprzątających. Poincaré nie znalazł żadnego opisu tych czeków, ale po paru godzinach sam zlokalizował firmy i zaczął je sprawdzać. Po kilku dniach dowiedział się, że Fenster wynajmował profesjonalne ekipy sprzątające — ostatnia specjalizowała się, zgodnie z opisem na stronie internetowej, w „czyszczeniu zgodnym ze standardami laboratoriów oraz sal operacyjnych”.

— To dziwne, ale się zdarza — tłumaczył właściciel firmy MicroScrub. — Zwykle wynajmują nas firmy zajmujące się biotechnologią albo uniwersytety. Wie pan, do

czyszczenia pomieszczeń używanych do prac biomedycznych albo takich miejsc, gdzie wytwarza się podzespoły elektroniczne. Tylko co pewien czas mamy zlecenie od zwykłego obywatela.

— A co robiliście dla doktora Fenstera?

Kiedy mężczyzna zaglądał do papierów, Poincaré sprawdził, czy na komórkę nie przyszły jakieś wiadomości tekstowe. Nic dostał niczego od Claire ani od Etienne’a.

— Standardowe szorowanie i dezynfekcja. Na żądanie klienta przemywamy każdą powierzchnię, łącznie z książkami, talerzami, sztućcami, ścianami, kłankami i uchwytami szuflad. Robimy to roztworem wybielacza o niskim stężeniu.

Poincaré zdjął okulary do czytania i wyjrzał przez hotelowe okno w stronę drugiego brzegu rzeki Charles. Na ścieżce jakiś samotny biegacz przemierzał się równoległe do rzeki.

— To było trzecie sprzątnięcie jego mieszkania w ciągu trzech dni — oznajmił, zaglądając do rachunków. — Wiedział pan?

Właściciel firmy MicroScrub nie wiedział, ale dodał, że z notatek szefa zespołu wynikało, że zastali czyste mieszkanie. W raporcie użyto sformułowania „ani jednej plamy”.

— Dlaczego ktoś miałby czyścić czyste mieszkanie? — zapytał Poincaré. — Pan mówił, że wykonywał już zlecenia osób prywatnych?

— Zwykle chodziło o sprawy medyczne — odparł mężczyzna. — W tym roku mieliśmy już wcześniej takie sprzątnięcie w domu w Lexington. Właściciel wrócił właśnie po kuracji antynowotworowej, takiej nokautującej system odpornościowy. Przez pierwszy miesiąc musiał za wszelką cenę unikać jakiejkolwiek infekcji, dlatego rodzina nas wynajęła. Czasem mam podobne wezwania w sezonie alergicznym, ale tym ludziom czyścimy mieszkania z pyłków, a nie zarasków. Mamy więc podobne zlecenia. Wynajmują nas jednak głównie firmy biotechnologiczne i uniwersytety.

— A czy ten klient podał powody?

— Pana Fenstera nie było w domu. Z notatek wynika, że do lokalu wpuścił nas pan Silva i on po nas zamknął. To dozorca. Zapłatę dostaliśmy z góry.

Poincaré odchylił się na krześle, zastanawiając się nad różnymi możliwościami. Czytał już raport policji stanowej. Detektywi mieli pełny dostęp do danych medycznych Fenstera i z pewnością zwróciliby uwagę na jakieś kłopoty zdrowotne. Co prawda trwał właśnie sezon alergiczny, ale wystarczyłoby tylko jedno sprzątnięcie, poza tym Henri natrafiłby na taki wydatek również zeszłej wiosny. Fenster nie wynajmowałby przecież aż trzech ekip sprzątających, żeby pozbyć się z mieszkania pyłków ambrozji.

Budynek był trójkondygnacyjnym, ceglanym pudłem, które raziło w towarzystwie stuletnich budynków w stylu wiktoriańskim. Poincaré szedł obramowaną drzewami ulicą po wyboistym chodniku z ceramicznych płytek. Przy wejściu do kamienicy stało dwóch mężczyzn, jeden młody i szczupły, w tak skromnym garniturze, że mógłby być uniformem

mechanika, drugi tęgi, z ulizanymi, siwymi włosami, z prawdziwym gąszczem brwi. Poincaré dostrzegł, że starszy był do granic wytrzymałości niezadowolony, że musi uprzejmie rozmawiać z jakimś żółtodziobem, w dodatku agentem FBI. Eric Hurley mruczał wściekle, czytając, a następnie podpisując jakiś świstek. Gdy zjawił się Poincaré, policyjny weteran oznajmił:

— Pan, jak sądzę, z Interpolu... Kolejne zawracanie dupy. Ta sprawa była już zamknięta. Poincaré ucisnął dłoń detektywa, potem dłoń agenta Johnsona.

— Słyszałem o panu, inspektorze. To dla mnie zaszczyt, naprawdę.

— Dobra, dobra, tylko mi się z tego nie poszczaj — skwitował Hurley. — Rozpieczętuję pokój — zerknął na zegarek — a pan do mnie zadzwoni, jak już skończy i zostanie w środku, dopóki nie wrócę. Mam trochę rzeczy do zrobienia. A tak do pana wiadomości, to po morderstwie były tutaj nasze najlepsze ekipy techników kryminalistycznych. Uzyskali dane potwierdzające wszystko, co znaleźliśmy w Amsterdamie. Powiem więc, że się czuję urażony tym, że każe mi pan otwierać apartament, by potwierdzać moje ustalenia. To tak, żebyśmy mieli jasność.

Mężczyzna pocił się i pachniał maślanką.

— Rozumiem — odparł Poincaré.

— Nie obchodzi mnie, czy pan rozumie, czy nie. Pokaż mi pan jeszcze raz ten nakaz.

Kiedy agent Johnson wyjął dokument, Hurley szarpnięciem otworzył drzwi na klatkę i wszedł na drugie półpiętro jak na swoje rozmiary całkiem szybko. Ruszył korytarzem, o mało nie zderzając się z dozorcą odkurzającym dywan. Chwilę później zatrzymał się przed drzwiami, na których Poincaré ujrzał samoprzylepne etykiety rozmieszczone w poprzek framugi, w czterech miejscach. Nie można było wejść do środka bez ich zerwania. Hurley zanotował godzinę, a każdą pieczęć rozciął nożykiem. Otworzył drzwi i schował klucz do kieszeni.

— Szperaj sobie pan — oznajmił. — I proszę nie wychodzić, dopóki nie wrócę. Tutaj jest mój numer. — Rzucił wizytówkę na dywan.

Hurley, idący korytarzem, wyglądał jak ciężarówka przedzierająca się wąską uliczką. Dozorca przycisnął się do drzwi, aby go przepuścić.

— Mogę się założyć, że jedyne dwie osoby, które kiedykolwiek kochały tego faceta, to jego matka i trener piłkarski — stwierdził agent Johnson.

Poincaré się roześmiał.

— Wie pan, on ma rację. Wszystko, co tutaj znaleźli, potwierdza raporty techników kryminalistycznych z Amsterdamu. Jeśli podejść do śledztwa od ich strony, sprawa jest zamknięta.

Dał znak dozorczy, który wyłączył odkurzacz i podszedł bliżej. Poincaré wyjaśnił mu, o co chodzi.

— Nareszcie — oznajmił mężczyzna.

— Pan znał doktora Fenstera?

— Całkiem dobrze.

— A jak dobrze? — dopytywał się detektyw.

— Kilka razy oglądaliśmy razem mecz Red Soxów. Przychodził do mnie z pizzą, czasem z jakąś chińszczyzną na wynos. Mieszkam na parterze, blisko kotłowni.

Jorge Silva był kruchym siedemdziesięcioletnim mężczyzną, może nawet osiemdziesięcioletkiem, o skórze podobnej do papieru, zapadłych barkach i zwyczaju mówienia do podłogi w obecności obcych. Trzymał się za dłoń, chcąc ukryć jej drżenie.

— Myślałem, że policja już skończyła.

— Nie skończyliśmy — odparł Poincaré.

— To dobrze. Bo Jimmy Fenster zasługiwał na coś lepszego. Ludzie tutaj mówią „dzień dobry” i tylko tak mówią, a jedynie Jimmy naprawdę tego życzył. Kiedyś byłem chory, wtedy dwa razy w tygodniu przynosił mi zupę i chleb. Czy ktoś inny w ogóle by się przejął? Nie mam już rodziny. Nie mam dzieci, żeby się o mnie troszczyły. — Wydawało się, że Silva za chwilę spleunie. — Kiedy sobie pomyślę, że go wysadzono w powietrze...

Nareszcie, pomyślał Poincaré.

— Byliście przyjaciółmi?

— Tak.

— A często pan go widywał?

— W sezonie baseballowym co najmniej dwa razy w tygodniu. Kiedy indziej, to może z raz. Czasem siedzieliśmy na zewnątrz, na ławeczce. Tak sobie rozmawialiśmy i oglądaliśmy różne rzeczy. Lubił oglądać gałęzie drzew, chmury. Czasem szliśmy ulicą i kupowaliśmy lody.

— A co z tymi chmurami?

Poincaré właściwie nie wiedział, dlaczego zapytał.

— Były białe, puszyste — zaczął Silva. — Jimmy opowiadał o swoim pierwszym w życiu locie samolotem na jakiś konkurs matematyczny. Leciał latem, ponad Środkowym Zachodem. Wtedy był tylko dzieciakiem, miał może z osiem lat i widział na polach cienie rzucane przez chmury. Mówił, że te cienie były jak wyspy i wybrzeża. Zapytałem, czy mu je przypominają. Powiedział, że nie, że chodzi o to, że są takie same, chmury i wybrzeża. No, nie wiem — kontynuował Silva. — Po prostu lubiliśmy swoje towarzystwo. Czasem lubi się czyjeś towarzystwo, a czasem nie.

— Zanim poleciał do Europy — zapytał Poincaré — przed zamachem, wynajął ekipę sprzątającą. Pan ich wpuszczał i wypuszczał. Zgadza się?

— Pozostawił instrukcje. Trzy zespoły w ciągu trzech dni.

— Panie Silva, a jak bardzo czyste powinno być mieszkanie?

— To dziwne. Prawda.

— Pytał pan?

— Nie. Po co?

— Czy doktor Fenster chorował? Czy musiał mieć w domu czysto, żeby uniknąć

zarazków?

— Nie, nie chorował. Może mógłby przytyć z jakieś dziewięć kilo, ale nie chorował.

— Czy ktoś regularnie przychodził mu sprzątać?

— Nie, sam sprzątał. To małe mieszkanie. Pan sam zobaczy.

— A ta ostatnia ekipa sprzątająca. — Poincaré trzymał już rękę na drzwiach od mieszkania. — Proszę mi o niej opowiedzieć.

Silva podrapał się po głowie.

— Przynieśli własne odkurzacze, detergenty, szmatki do kurzu i jakieś maszyny, których nie znam. Trzech, może czterech ludzi, w rękawiczkach i papierowych osłonach na butach. Widziałem, jak wycierają wszystko do czysta. Znam kogoś, kto tak pracuje, w szpitalu uniwersyteckim.

— Kiedy po raz ostatni widział pan doktora Fenstera?

— W środę, bo wieczorem był ostatni mecz pierwszej serii, z Tampa Bay. Red Soksi wygrali, a Jimmy zajrzał z pizzą. Był już spakowany, przyszedł do mnie z torbą podróżną. Dopiero co wrócił z jakiegoś wypadu na zachód, nie było go kilka tygodni.

Poincaré wiedział, że Fenster miał wystąpienia na konferencjach w Tokio i Seattle, związane z zagadnieniami globalizacji. I że przed wylotem do Amsterdamu zatrzymał się w Bostonie na ośmiogodzinny postój.

— Proszę mówić dalej.

— Myślę, że przyszedł do mnie z tą pizzą prosto z lotniska. Nawet nie wiem, czy w ogóle wchodził do mieszkania. Mówił mi, że przyszedł prosto z biura i pizzerii. Uwielbiał baseball. Tak mniej więcej po piątej zmieniłem zamówienie ode mnie taksówkę na lotnisko Logan, potem odprowadziłem go na ulicę. Powiedział, że cieszy się, że się zaprzyjaźniliśmy. Uniósł dłoń i się uśmiechnął.

— Podaliście sobie ręce?

— Nie. — Silva podniósł prawą dłoń, tak jakby przysięgał na Biblię. — Zrobił tak.

Johnson otworzył swój zestaw przyborów do badań kryminalistycznych.

— Panie Silva, czy sprzątacze mieli takie osłony na obuwiu? — Wskazał niebieską osłonkę, standardowy element wyposażenia techników kryminalistycznych.

— Innego koloru, ale coś takiego.

— Mówił pan, że coś wycierali?

— Książki, szklanki w kuchni. Wszystko.

Poincaré wyjął z teczek zdjęcie.

— Poznaje pan ją?

Dozorca drżącymi rękoma otworzył sztywny pojemnik przymocowany do paska i wydobył z niego okulary.

— Jasne. To Madeleine. Jego narzeczona. Spędziła tutaj kilka nocy.

— I wie pan o tym, bo...?

— Bo nikt tutaj nie wchodzi ani stąd nie wychodzi bez mojej wiedzy. — Silva przestąpił

z nogi na nogę. — Wyprowadzam ludziom psy. Kwituję odbiór przesyłek. Wpuszczam robotników, gości. Wiem, co się tutaj dzieje.

— Kiedy ostatni raz pan ją widział?

Poincaré poczekał, aż Silva zdejmie okulary i zamknie pojemnik.

— Dawno, chyba z parę miesięcy temu. Przestała przychodzić. I proszę mnie nie pytać dlaczego, bo ja nigdy nie pytałem.

Kiedy Poincaré otworzył drzwi, odczuł w mieszkaniu tak silną obecność Fenstera, jakby ten osobiście go powitał. Detektywowi apartament wydał się bardziej jakąś galerią niż normalnie użytkowanym lokalem. Na wysokości wzroku każdą pionową powierzchnię przecinała linia fotografii, pogrupowanych co najmniej po dwa zdjęcia. Były wszędzie, łącznie z oknami i szafkami w kuchni. Niektóre z nich, albo bardzo do nich podobne, detektyw widział w Amsterdamie: fotografie drzew obsypanych liśćmi, zimowych uderzeń piorunów, łańcuchów górskich. Każdą fotografię przycięto do takich samych rozmiarów, osadzono w takich samych czarnych ramkach z kremowym zmatowieniem, powieszonych na olśniewająco białych ścianach. Nieliczne meble ustawiono na środku pokoju, aby stworzyć wolną przestrzeń, jak na wystawie. Wszystko sprawiało, że obrazy widziało się w grupach, z określonej odległości. Nic nie przygotowało Poincarégo na piękno i niezwykłość tej kolekcji.

— Geniusz jakiś, czy co? — odezwał się Johnson.

Poincaré przyglądał się pomieszczeniu.

— Inspektorze, po tym jak czyściły tutaj trzy różne ekipy, zastanawiam się, jak policja stanowa w ogóle zdołała odnaleźć jakieś odciski palców albo ślady DNA. Nie wspominając już o próbkach, które potwierdziły wasze wyniki w Amsterdamie. U nas w Wirginii powiedzieliby, że to zagadkowe.

Poincaré szybko przyjrzał się wyposażeniu mieszkania: drewniany stół, krzesło, cienki materac na żelaznym łóżku, pojedynczy regał z książkami, kuchnia, na niej patelnia, garnek oraz czajnik, żadnego radia albo telewizora. Żadnego telefonu. Żadnych krzyży czy ołtarzyka z Buddą. Dobytek Fenstera, poza fotografiami na ścianach, okazał się skąpy niczym w więziennej celi. Było jeszcze duże pudło, zawierające kilkanaście dodatkowych fotografii, które naukowiec z pewnością wieszał na zmianę z tymi tworzącymi galerię.

Johnson podszedł do zestawu sześciu zdjęć, które przykuły uwagę Poincarégo, gdy tylko wszedł do pomieszczenia. Kiedy agent sięgnął po pierwsze zdjęcie z tej serii, Henri powiedział:

— *Vive la France*. To granice państwa.



— Na następnym obrazku widać granice dwudziestu dwóch regionów mojego kraju. Na następnym stu departamentów. Potem trzystu czterdziestu dwóch *arrondissements*.



I na samym końcu najmniejsze jednostki administracyjne, gminy. Jest ich jakieś trzydzieści pięć tysięcy. Sądząc po wyglądzie wybrzeża, tutaj są gminy Bretanii,

Normandii, Nord-Pas-de-Calais i Pikardii.



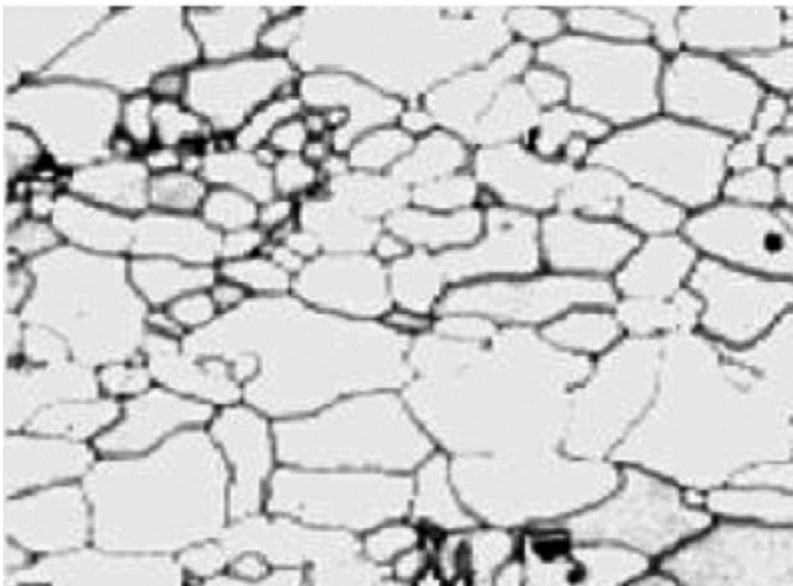
Johnson znalazł lupę w swoim zestawie i zatrzymał się przed gminami. Przesuwał też szkło nad poprzednimi obrazkami serii, następnie wrócił do gmin.

— Każde jest mniejszą wersją poprzedniego — oznajmił. — Te jednostki się powtarzają, chociaż nie dokładnie. Są powiązane.

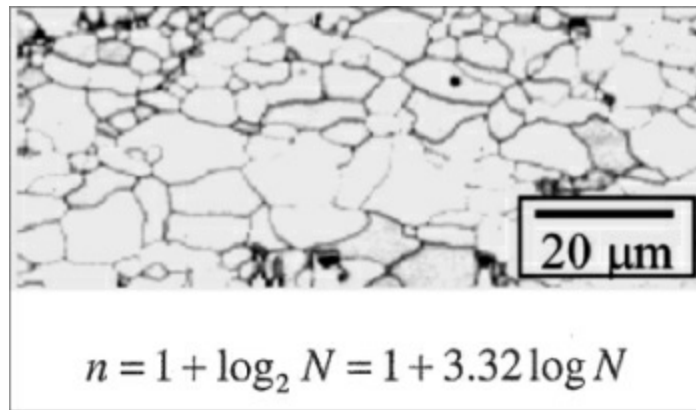
— Geometrycznie.

— To prawda. Przypatrzmy się ostatniemu zdjęciu. Wygląda jak powiększenie kilku gmin. Fenster zawsze skrupulatnie przestrzegał tej swojej sekwencji. Od dużej, przez małą, aż po najmniejszą.

Johnson zdjął ze ściany szósty i ostatni obrazek z serii, przeczytał jego opis.



— To jakieś zbliżenie? — zapytał Poincaré. — Nic nie wiem o jednostkach administracyjnych mniejszych od gminy. Ale to na pewno taka sama geometria. Johnson wręczył mu obrazek.



Po drugiej stronie widniały słowa: „Granice cząsteczek, stop Al-Mg-Mn”.

Poincaré ciężko opadł na krzesło Fenstera. Machnięciem zbył agenta, który już miał mu zwrócić uwagę, że zanieczyszcza potencjalny materiał dowodowy.

— O co chodzi? — zapytał Johnson.

— To nie jest powiększenie gmin ani mapa Francji.

— Tylko co?

Detektyw spojrział na ścianę, potem znowu na obrazek trzymany w dłoniach.

— Linia w ramce u dołu z prawej pokazuje skalę dwudziestomilionowych części metra. To jest zdjęcie kawałka metalu w bardzo dużym powiększeniu. Granice kryształów w stopie aluminium, magnezu i manganu. Równanie stanowi matematyczny opis stopu.

Johnson obszedł krzesło dookoła.

— Dlaczego — zapytał — struktura krystaliczna jakiegoś metalu miałyby wyglądać jak gminy albo regiony Francji? Na przykład ruda metalu tak jak granice państwa?

Poincaré wpatrywał się w przestrzeń gdzieś pośrodku pokoju.

To dobre pytanie, pomyślał. Fenster sięgał swym umysłem w dwie różne strony, aby w końcu dotrzeć do tego samego punktu. Po pierwsze, kontury francuskich gmin odzwierciedlają fraktalny obraz coraz większych jednostek administracyjnych, a potem, co niewiarygodne, granice samego państwa. Osiemnastowieczni biurokraci z Paryża, ustalający granice trzydziestu pięciu tysięcy francuskich gmin, raczej nie starali się oddać geometrii francuskich wybrzeży czy też granicznych łańcuchów górskich. Po drugie, zdjęcie kawałka metalu, wykonane w bardzo dużym powiększeniu, pokazuje taki sam układ geometryczny. W gronie kolegów Fenster mógł przedstawiać takie porównania, używając matematyki. Dla laików urządził tę galerię, która stanowiła sama w sobie argument w dyskusji — zamierzał go też użyć w Amsterdamie, na wykładzie o globalizacji.

Nad podpisem, na odwrocie ostatniego obrazka, Poincaré przeczytał trzy słowa: „Taka sama nazwa”. Dziwne, pomyślał. Odwiesił obrazek i odwrócił ten, który go poprzedzał. Nad podpisem też zobaczył „Taka sama nazwa”. Poodwracał obrazki w rzędzie i odkrył, że wszystkie obrazki na ścianie u Fenstera mają na odwrocie opis, a ponad nim te same trzy słowa. Matematyk połączył w parę różyczkę kalafiora oraz deltę rzeki sfotografowaną z kosmosu. Połączył lotnicze zdjęcia łańcuchów górskich, uderzeń piorunów i struktury korzeniowej roślin. A co najdziwniejsze, zestawiał Irlandię, sfotografowaną z pokładu

promu NASA, z małym kawałkiem porostu oraz cieniami kumulusów, rzucanymi latem na wiejską okolicę. Każde zdjęcie stanowiło wersję drugiego.

— O co tu chodzi? — zapytał Johnson.

Poincaré był pewien, że nie wie. Ale jedno pozostawało wiadome: woda, w której pływał, szybko stawała się bardzo głęboka.

15

Niech pan to wyjaśni — odezwał się Johnson — jak policja stanowa zdołała zdjąć tak wyraźne odciski palców w mieszkaniu dokładnie wyczyszczonym przez trzy kolejne ekipy sprzątające przez trzy kolejne dni? Jeśli sobie dobrze przypominam raport techników kryminalistycznych, DNA Fenstera znaleźli w zaschniętym moczu. I ja mam uwierzyć, że facet powynajmował te wszystkie ekipy, a ktoś zapomniał wyszorować mu sedes? — Johnson powyjmował przybory z zestawu. — Niech mi pan da trzydzieści minut — oznajmił. — Ten Fenster mnie zaciekał.

Poincaré na chybił trafił zdjął jakiś tom z półki z książkami. *Mahabharata*, starożytny epos hinduski. Potem trafił na tytuł *Aeneis*, później na coś dobrze mu znanego: *La Chanson de Roland*. Przykucnąwszy, przesuwając palcami po grzbietach około czterdziestu pozycji: poezja, historia, filozofia i ani jednej książki o matematyce. Nie znalazł też ani jednego przekładu. Po angielsku wydrukowano tylko książki napisane po angielsku.

— Próbował pan kiedyś wkręcić żarówkę, nie zostawiając odcisków palców? — zapytał Johnson.

Poincaré nigdy nie próbował. Wrócił do fotela Fenstera, aby obejrzeć pudełko po cygarach postawione na półce z książkami. Okazało się swoistą kapsułą czasu. Matematyk podzielił jego zawartość na trzy schludne części: zdjęcia związane gumką, małe plastikowe pudełko z mlecznym zębem oraz zbiór medali na wyblakłych wstążkach. Detektyw zaczął od zdjęć. Każde pokazywało Fenstera, sądząc po datownikach, w wieku od ośmiu do czternastu lat, ściskającego dłońe różnym dorosłym. Zawsze występował pod mniej więcej takim samym transparentem: „Geometra Roku”, „Mistrz Rachunku Różniczkowego i Całkowego”, „Konkurs Młodego Alberta Einsteina”. Inspektor naliczył ze dwa tuziny fotografii, dwadzieścia cztery nagrody zdobyte w ciągu siedmiu lat. Ułożył zdjęcia chronologicznie. Studiował rozwój niezgrabnego, chudego dzieciaka, który dorastał na jego oczach. Na każdej fotografii chłopiec wydawał się zadowolony z nagrody, ale też upozowany i czujący się niezręcznie. Uśmiech miał wymuszony, ubrania niedopasowane. Czyżby rodzice zastępczy brali do własnej kieszeni pieniądze otrzymywane od państwa i dawali dziecku jakieś używane łachy? Fenster pod kędzierzawymi blond włosami wciąż wydawał się blady, chociaż co najmniej cztery konkursy wygrał w samym środku lata. Poincaré podniósł jedną z fotografii.

— Agencie Johnson — odezwał się — czy mógłby mi pan zdjąć z tego odciski palców? Johnson szedł z krzesła, teraz pochylał się nad laptopem Fenstera.

— Niech pan to da — powiedział.

— Kto przechowuje pańskie wspomnienia? — zapytał Poincaré.

Johnson spojrział na niego.

— Pańskie wspomnienia z dzieciństwa, zanim pan poszedł do college'u. Kto, oprócz pana, przechowuje pamięć o pańskim dzieciństwie?

— Sądzę, że moi rodzice i bracia. Mają zdjęcia — ale głównie opowieści. Jak na przykład ta, że razem z braćmi zrobiliśmy trzyosobowy mecz bokserski. Zamiast rękawic, wzięliśmy pędzle malarskie. Malowaliśmy wtedy metalowe ogrodzenie ganku. Każdy zanurzył po dwa pędzle w czerwonej farbie antykorozyjnej i zaczęliśmy się nimi dźgać. Przegrywał ten, kto miał na twarzy najwięcej farby. To byłem ja. — Johnson zachichotał na to wspomnienie. — Matka wyskoczyła zza rogu, krzyczała, ale miała tyle rozsądku, żeby przynajmniej zrobić zdjęcie. Obiecała, że będzie nas tym szantażować, kiedy się ożenimy.

— I szantażowała?

Johnson uniósł kciuk.

— Zabawne w tym wszystkim jest to, że miałem wtedy tylko pięć albo sześć lat i tak naprawdę nie pamiętam, że się poplamiałem farbą. Ale jestem na zdjęciu, a matka i bracia o tym opowiadają, zakładam więc, że to się wszystko wydarzyło. A o czym właściwie rozmawiamy?

Poincaré wręczył mu fotografię.

— Fenster między czwartym a piętnastym rokiem życia mieszkał w rodzinach zastępczych. Nic nie wiemy o okolicznościach, w jakich przyszedł na świat, ale najwyraźniej został porzucony i potem przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie uratowało go stypendium z Princeton. Jedynym dowodem na to, że w ogóle miał jakieś dzieciństwo, jest pudełko po cygarach. Oprócz tego pudełka nie ma nic, żadnych opowieści, żadnych meczy bokserskich. Niech pan sobie wyobrazi dziecko, które wie, że jeśli samo nie będzie zbierać podobnych rzeczy, to nikt inny tego nie robi.

Poincaré odkładał właśnie na półkę pudełko po cygarach, gdy zawołał go Johnson.

— Chciałbym, żeby pan coś zobaczył — oznajmił. — Laptop Fenстера pewnie się nie uruchomi, bo policja stanowa zabrała twardy dysk. Zostawili oznaczenie, wszystko jest jak należy. A tu jest to, o co mi chodzi, kawałek papieru, przyklejony taśmą z boku monitora. To jakiś pański krewny?

Agent Johnson, używając szczypczyków, podsunął Poincarému kawałek przezroczystej taśmy, do której przyklejono węższy od niej pasek papieru. A na papierze ktoś, przypuszczalnie Fenster, wydrukował dwanaście słów oraz nazwisko:

„Matematyka to sztuka nadawania różnym rzeczom tej samej nazwy — Jules Henri Poincaré”

— To ojciec ojca mojego ojca — odparł.

Tamta eksplozja w Amsterdamie, akurat na jego dyżurze. Śmierć matematyka, który okazał się wielbicielem jego prapradziadka. Śledztwo jakby go sobie wybrało.

— I nie, nigdy go nie spotkałem.

— Naprawdę?

— Owszem. Jules był matematykiem, najwyraźniej idolem Fenstera.

— No to dziwne.

Agent Johnson nawet nie zgadywał.

— I jeszcze jedna sztuczka zawodowa — oznajmił. — Posypałem proszkiem zewnętrzną część taśmy, szukając odcisków palców. Na pewno została wytarta, jak wszystko inne. Ale nie mieli jak wyczyścić wnętrza taśmy. Jeśli się nie korzysta z pęsety albo nie nosi rękawiczek, to gdy się przylepia taśmą klejącą, na pewno zostawi się odciski z jej lepkiej strony.

— Kiedy dostanie pan wyniki?

— Za kilka tygodni.

Poincaré wrócił do pojemnika na cygara, tym razem po mleczny ząb Fenstera.

— Jak sądzę, może pan z tego wydobyć DNA?

— Perłowe ząbki? Pewnie przyschło nieco tkanki miękkiej. A jeśli nawet nie... Tak, pewnie coś znajdziemy.

Poincaré nie słuchał go uważnie, skupiając się bardziej na poszczególnych słowach unoszących się gdzieś w przestrzeni. „Różne”. „Nazwa”. „Rzeczy”. „Te same”. A w jakim języku? Jules Henri widział to samo, co zobaczył Fenster, jednak obaj byli zbyt martwi, aby o tym powiedzieć.

Poincaré zostawił Johnsona, żeby czekał na Hurleya i zamknął mieszkanie. Zobaczył już aż nadto. Pokój był zbyt mały. Przed budynkiem, na kolanach, ze szpadelkiem i młotkiem, Jorge Silva mozolił się przy spękanej betonowej płycie.

— Robotnicy wylali beton, jak było zimno — powiedział. — Beton źle zastyga, jeśli wyleje się go przy minus trzydziestu dwóch stopniach. Jasne, przez dziesięć lat wszystko pięknie wygląda. Potem, gdy wykonawcy dawno sobie już pójdą, robi się taki bałagan. — Dozorca wskazał płytę. — Ale kto wybiega tak daleko w przyszłość?

Detektyw spojrział na pęknięcia i odszedł.



Charles Bell ze swojej siedziby wysoko ponad dzielnicą finansjery kierował najskuteczniejszym funduszem powierniczym, jaki pojawił się w ciągu ostatnich kilkunastu lat. W mniej niż osiemnaście miesięcy stan posiadania funduszu wzrósł gwałtownie do dwudziestu czterech miliardów dolarów. Pieniądz ciągnął za sobą pieniądz i tak oto Bell stał się młodym lwem świata inwestycji. Jego portfel akcji wciąż trafiał na szczyt indeksu giełdowego, zapewniając jednocześnie stabilność obligacji municypalnych. W przeciwieństwie do różnych spryciarzy, którzy dopuszczali się oszustw inwestycyjnych, Bell otworzył księgi przed dużymi firmami księgowymi, a one potwierdziły legalność jego sukcesów, chociaż ich tajemnicy nie potrafił wyjaśnić nikt spoza firmy. Połączenie wysokich zysków oraz niskiego ryzyka okazało się nie do pobicia, Bell wkrótce zgromadził górę złota, która zrobiła na inwestorach indywidualnych wrażenie równie wielkie, jak jego portfel akcji na menedżerach uniwersytetów, funduszach emerytalnych oraz firmach ubezpieczeniowych.

Sam Bell był słynnym filantropem o osobowości teksaskich rozmiarów, wciśniętej w nudny Boston. Zasiadał w zarządach szkół, szpitali, muzeów oraz funduszy dla najuboższych, a każda z owych instytucji korzystała z jego hojności. Charles Bell był również dobroczyńcą Jamesa Fenstera. Według urzędnika z uniwersytetu, odpowiedzialnego za granty, fundusz Bella płacił za superkomputery Fenstera, za jego stypendia, zmniejszenie obciążenia zajęciami dydaktycznymi oraz wyjazdy związane z pracą badawczą. Bell opiekował się Fensterem tak, jak Wawrzyniec Medyceusz Michałem Aniołem. Pozostawało pytanie — dlaczego? Fundacje i korporacje finansowały zazwyczaj badania prowadzone przez całe uniwersytety, nie wspierały pojedynczych osób.

Poincarému żołądek podszedł do gardła, gdy ekspresowa winda wystrzeliła, niosąc go ku niebu, na piętra zarezerwowane dla bogaczy oraz osób z politycznymi koneksjami. Kabina płynnie się zatrzymała i detektyw niepewnym krokiem wyszedł z niej do recepcji, umieszczonej na otwartym balkonie ponad Zatoką Bostońską. Ściany naprzeciwko windy wykonano ze szkła, podobnie podłogę i sufit. Na takiej wysokości mieszkało się już w chmurach wśród wędrownych sokołów.

Kiedy Poincaré zatrzymał się, aby dojść do siebie, w korytarzu zabrzmiał głos.

— Inspektor Poincaré, jak sądzę! Trzeba się trochę do tego przyzwyczaić, ale widok jest wspaniały! — To Bell, we własnej osobie, znany Henriemu z promocyjnych materiałów funduszu. Powitanie zaatakowało detektywa niczym fala uderzeniowa. Idąc korytarzem, Bell wydał polecenia asystentce, która zrobiła notatki, po czym ruszyła bocznym korytarzem. Nie zwalniając kroku, biznesmen dotarł do recepcji z szerokim uśmiechem.

— Jakaż to dla mnie przyjemność!

— To wspaniałe — powiedział Poincaré, wskazując salę konferencyjną i zatokę. — Któż potrafi pracować, mając przed sobą taki widok? Ja bym niczego nie zdziałał. Gratuluję sukcesu, panie Bell.

Mężczyzna się roześmiał, co zabrzmiało jak rżenie konia. Bez wątpienia w ogóle się nie przejmował, co myśleli o nim inni.

— Wyjawię panu swój sekret — oznajmił teatralnym szeptem na tyle głośno, aby usłyszano go w promieniu dwudziestu kroków. — Jeśli ktoś pracuje dla mnie i nie ma wyników, to wkrótce przestaje oglądać ten widok. Zostaje zdegradowany do przegrody na parterze, w naszym satelickim biurze w Watertown. A jeśli nadal nie ma wyników, wylatuje! Taka reguła obowiązuje wszystkich, łącznie ze mną.

— Skuteczna — stwierdził Poincaré. — Biorąc pod uwagę, co mówiono mi o pańskich funduszach, wątpię, aby komukolwiek groziła utrata tego widoku. Osiągnięcia są wręcz... epokowe.

— Tak, owszem, poszczeniło się nam. — Bell zaprowadził detektywa do sali konferencyjnej ze szklanymi ścianami, na samym skraju klifu. — Kanapkę? Kawę, ciasteczko? Wodę mineralną? — Ne czekając na odpowiedź, zawołał. — Eleanor, woda mineralna!

Usiedli przy stole z drewna różanego, zaprojektowanym na trzydzieści miejsc. Przy każdym miejscu stał skórzany fotel. Na drugim krańcu sali wisiał ekran do prezentacji. Bell, odziany od stóp do głów w ubrania od Armaniego, usadowił się na swoim fotelu. Poincaré zauważył, że paznokcie biznesmena są starannie wymanikiurowane.

— Panie Bell, jesteśmy umówieni na piętnastominutowe spotkanie.

— Proszę mi mówić Charles.

— Charlesie, ponieważ mam do dyspozycji tylko kilka chwil twojego czasu, zaczynamy.

— Do dzieła, inspektorze. Już pan wie, że James Fenster był mi drogim przyjacielem i chciałem mu pomóc tak, jak tylko mogłem.

— Jak go poznałeś?

— Dzięki jego pracy.

— Rozumiem, że go sponsorowałeś.

— Owszem. James i ja uzgodniliśmy sumę, która by mu się przydała i wypisałem duży czek, jednak tylko po to, żeby się dowiedzieć, że Harvard bierze sześćdziesiąt procent czegoś, co nazywają narzutem, a co stanowi inne określenie kradzieży. Wypisałem więc jeszcze większy czek. To oburzające. Owszem, wierzyłem w jego pracę.

— Bo była powiązana z twoją pracą?

— Peryferyjnie.

— W jaki sposób?

Bell się roześmiał.

— Doceniam to pytanie, jednak to tak, jakby pytać firmę Coca Cola o tajną recepturę. — Nieznacznym uśmiechem mógł być drwiną z Poincarégo.

— A tak ogólnie, Charles? Możesz mi coś powiedzieć?

— Dobrze. Algorytmy. Fenster tworzył modele nieliniowych, dynamicznych systemów. Wrzenia wody. Przepływu powietrza. Procesów zachodzących w przyrodzie.

— A rynek akcji... Czy to proces zachodzący w przyrodzie?

Nad lewym ramieniem Bella jakiś samolot dotknął płyty lotniska, za prawym ramieniem

holowniki prowadziły kontenerowce do doków wyładunkowych, a trójkąty żagli pochylały się na wietrze od morza. Bell jakby zarządzał tym wszystkim.

— Inspektorze, nie wiem, jakby to było możliwe. Co zachowanie burz z piorunami może mieć wspólnego z giełdą? Oczywiście, James miał kilka ciekawych pomysłów związanych z modelowaniem rynków. W Fundacji Bella używamy kilku zastrzeżonych algorytmów rynkowych. To się nazywa kwantyfikowanym podejściem do inwestowania. Niektórzy analitycy przyszłość swoich inwestycji wyczytują z baranich flaków, my budujemy modele rynków. — Pociągnął za rogi sztywnych, zapinanych na spinki mankietów. Poprawił je.

— Wie pan, że w zeszłym tygodniu zainwestowałem w pański fundusz dwieście euro i dzisiaj to dwieście jest warte dwieście dwadzieścia trzy euro? Ponad dziesięć procent w ciągu tygodnia. I to w takich warunkach ekonomicznych! Zastanawiam się nad jakąś większą inwestycją.

— To dobrze dla nas i dobrze dla pana, inspektorze. Chociaż komisja papierów wartościowych zabrania mi tak mówić, w naszym przypadku właśnie dawne osiągnięcia są gwarancją przyszłego sukcesu. Ale jeśli pan mnie kiedyś zacytuje, zaprzeczę!

Znowu zarżał, a recepcjonista siedzący za drzwiami do sali konferencyjnej uniósł wzrok. Twarz Bella ponownie stała się uśmiechniętą maską.

— I właśnie w taki sposób pracujemy — oznajmił, unosząc wzrok, nagle bardzo poważny. Drzwi sali otworzyła jakaś kobieta, niosąca tacę z butelkowaną wodą oraz dwie szklanki.

— Nie teraz — rzucił.

Drzwi zamknęły się.

— Podzielam poglądy byłego prezydenta Reagana. Wynajmuje się dobrych ludzi, daje im swobodę, aby dobrze pracowali, a potem ucina sobie drzemkę. Nie, serio, Ronald Reagan naprawdę miał wizję. Zatrudnił zdolnych ludzi, żeby ją zrealizowali, a potem był na tyle mądry, by usunąć im się z drogi. To właśnie nazywam przywództwem. Ten korytarz jest obstawiony samymi najlepszymi umysłami, a ja dałem im ogromną zachętę do osiągnięcia sukcesu. Usunąłem się im z drogi, a oni tworzą produkt, który mogę sprzedać. Który sam się sprzedaje.

— Czy doktor Fenster był jednym z tych najlepszych?

— I tak, i nie. Kiedy zastanawiałam się nad założeniem firmy, szukałem obiecujących matematyków, którzy mogliby mi pomóc. Miałem taki pomysł, żeby matematycy pomogli analitykom w przewidywaniu rynkowych trendów. Zaoferowałem niesamowite wynagrodzenie, aby ich zwabić i odciągnąć od tego, czym się akurat zajmowali, a większość do mnie przyszła. Chyba nie mogliby już szybciej uciekać z tych swoich akademickich posad. A rozmawiamy tutaj, inspektorze, o najwybitniejszych umysłach. Jednak z Jamesem Fensterem już tak nie poszło. Ten człowiek okazał się najczystsza kwintesencją matematycznego umysłu, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. Miał swoją pracę. Nie chciał nowej posady, nawet za mniej więcej siedem razy większe pieniądze oraz obietnicę jeszcze wyższych dochodów. „Ale przecież podziwiam pańską

pracę”, powiedziałem mu. „No to dobrze”, odparł. „Niech pan ją sponsoruje”. „A dlaczego”, zapytałem. „Bo jest ważna” odrzekł. Była ważna, więc tak zrobiłem.

Bell klasnął.

— Inspektorze Poincaré, jestem bogatym człowiekiem, co ma pewne zalety. To chyba Thornton Wilder powiedział, że pieniądze są jak nawóz; nie są nic warte, dopóki ich się wokół nie rozrzuci. Rzuciłem więc trochę Jamesowi.

— A w rezultacie?

— Wyrosły róże.

— A dokładnie?

— Ach... Rozumiem. Sfinansowałem prace Jamesa z czystego podziwu. Może pan w to wierzyć albo nie, w każdym razie, nawet gdybym chciał odpowiedzieć, a wcale nie chcę, to jest takie właśnie pytanie o formułę coca-coli. „Albo rybka, albo akwarium”, jak to się mówi u nas w Ameryce.

Poincaré nie zrozumiał tego powiedzenia.

— Nieważne — odparł Bell. — Powiem tylko, że od czasu do czasu, James przynosił różne zapiski, mniej więcej takie na odwrocie papierowych chusteczek. I dzięki temu miałem satysfakcję z motywowania jednego z najbardziej błyskotliwych umysłów naszego pokolenia. Nic, co mógłbym powiedzieć albo zrobić, nie oderwałoby go od jego komputerów masowo równoległych, które sfinansowałem w zamian za jego wysiłki. Obawiam się, że ciskał mi same ochłapy.

— Nic, na czym można by budować firmę?

Półuśmieszek Bella się poszerzył.

— Ani trochę! Nic nawet w przybliżeniu tak całościowego. James interesował się biznesem związanym z funduszami powierniczymi nie bardziej, niż ja bym się interesował... — Spojrzał w niebo, szukając odpowiedniego porównania, wreszcie skierował wzroku ku misie owoców, stojącej na blacie stołu z różanego drewna. — ...niż ja bym się interesował przejściem na wegetarianizm. Lubię steki. Jamesa nie ciekawił ani ten biznes, ani zbijanie osobistego majątku. Ciekawiły go równania. Bóg z nim.

— Żadnego qui pro quo, twoje pieniądze za jego...

— To, co dostałem, to było zbyt mało rozmów przy drogiej kawie w tym gmaszysku, które nazywają Centrum Naukowym. Czasem, tak jak mówiłem, dzielił się swoimi przemyśleniami na papierowych chusteczkach albo odwrocie rachunków. Znosił nasze pogawędki jako konieczną zapłatę. Zbudowałem mu plac zabaw... a teraz odszedł. Trudno mi w to uwierzyć. — Twarz Bella spochmurniała. — Sukinsyny. Totalne, kompletne sukinsyny. James był takim łagodnym człowiekiem. Kto by zabijał kogoś takiego?

Poincaré przyglądał się masce Bella, szukając jakichś pęknięć, ale żadnych nie znalazł. Wściekłość brzmiała prawdziwie. Ale usłyszał ulgę, że Fenster już nigdy z menedżerem żadnego innego funduszu nie podzielił się przemyśleniami zanotowanymi na papierowej chusteczce.

— Czy w jakiś sposób zawdzięczał pan swój sukces doktorowi Fensterowi? — zapytał.

— Inspektorze, ile razy potrafi pan zadać to samo pytanie? Był znacznie bardziej pomysłowy niż większość matematyków pracujących w tej branży. Przez cały dzień fruwał trzydzieści pięć tysięcy stóp nad ziemią. Ale firma zajmująca się funduszami powierniczymi musi działać na poziomie ziemi.

Na lotnisku kolejny samolot dotknął pasa.

— Ale także czasem trzydzieści dziewięć pięter nad ziemią.

— To wszystko jest na pokaz — odparł Bell. — Dorastałem, oglądając handel nieruchomościami, i ojciec kiedyś mi powiedział, żebym nigdy nie wiozł klientów do sprzedawanej posesji jakimś starym gratem. Lepszy jest cadillac albo mercedes, bo jeśli zaprezentujesz się jako człowiek sukcesu, ludzie będą widzieć w tobie człowieka sukcesu i będą chcieli robić z tobą interesy. — Biznesmen wskazał korytarz. — Mój sukces to dzieło moich pracowników, a nie Jamesa. Finansowanie Jamesa było jak płacenie średniowiecznemu mnichowi za to, by się za mnie modlił i zbijał mi punkty w niebie. Musiałby pan go spotkać, żeby to zrozumieć. Jak jeszcze inaczej mógłbym to powiedzieć? Zasługiwał na te komputery oraz studentów. Był niewinny w sposób, w jaki ja nigdy nie mógłbym być.

Bell odwrócił się na fotelu w stronę szklanej ściany, pokazując Poincarému plecy.

— Chcę pomóc w odnalezieniu tego, kto popełnił tę zbrodnię, ktokolwiek to jest. Inspektorze, to boli. Zamordowanie Jamesa mnie boli. Czy jest coś, co mogę zrobić? Czy potrzebuje pan jakichś funduszy na prowadzenie śledztwa?

Biznesmen odwrócił się z powrotem w stronę sali. Poincaré wreszcie odczuł, jaką zajmuje pozycję względem Charlesa Bella. Łapówki proponowano zwykle z mniejszą finezją, ale ta musiała usprawiedliwić piękny widok oraz złote spinki mankietów.

— Doceniam ofertę — odparł. — Jednak Interpol jest odpowiednio finansowany.

— A może pan osobiście potrzebuje pieniędzy na dalsze prowadzenie śledztwa?

— To bardzo hojna propozycja. Ale jest coś, co możesz zrobić.

Bell słuchał.

— Proszę, napisz do swojego kongresmena, żeby wywarł nacisk na rząd, aby ten uregulował swoje należności względem Interpolu. Grupujemy sto osiemdziesiąt osiem krajów — a Stany Zjednoczone, najbogatszy z nich, ciągle jest nam coś winien.

Bell zerknął na zegarek jakieś trzynaście minut po rozpoczęciu rozmowy, co Poincarému odpowiadało. Dostał już to, po co się zjawił. Uścisnęli sobie dłonie i wymienili nieufne uśmiechy. Gdy Henri dotarł na poziom ulicy, po mniej lub bardziej kontrolowanym spadaniu w windzie, myślał o tym, co dokładnie Fenster gryzmolił na odwrocie papierowych chusteczek.

Po wylądowaniu w holu poczuł znajome wibrowanie telefonu komórkowego. Odkrył, że otrzymał wiadomość od Gisele De Vries.

Laboratorium paliw do napędów odrzutowych NASA twierdzi, że zamachowiec prawdopodobnie pracował dla nich albo dla odpowiedniego laboratorium we Francji, Rosji, możliwe też, że w Chinach. Nadchloran amonu z Amsterdamu jest zbyt

skomplikowany i mieszanka jest za bardzo niestabilna, żeby ją robić gdzieś indziej. Wszystkie laboratoria akademickie, gdzie to można robić, współpracują z programem kosmicznym. Te wiadomości go nie zaskoczyły.

Hol pełen luster i marmurów oszołomił Poincarégo tak, że stracił orientację i wyszedł na jakąś nieznaną ulicę. Po drugiej stronie biurowca, za policyjną barierą zobaczył kilkunastu protestujących, chodzących grzecznie w kółko, trzymających transparenty i skandujących za trzymającym megafon mężczyzną, ubranym dokładnie jak — Poincaré zastanowił się, o co tu właściwie chodzi — mieszkaniec Wysp Trobriandzkich: spódniczka z trawy, bose stopy, bez koszuli, miedziana skóra, wytatuowane koncentryczne kręgi i wzory geometryczne, włosy kruczoczarne i grubo plecione, sięgające do połowy pleców. Widok był tak niezwykły w dzielnicy zazwyczaj zaludnionej ludźmi w biznesowych garniturach, że Poincaré pomyślał, że może trafił na plan filmu. Wytatuowany mężczyzna krzyczał do megafonu:

— Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Międzynarodowe skurwysyństwo. Pierwszy Świat się śmieje, a Trzeci Świat płacze!

Potem rozległo się hasło „Globalizacja!” I odzew: „Zabija! Globalizacja. Zabija”...

I tak raz za razem.

Stojąca obok grupa policjantów wydawała się niesamowicie znudzona. Protestujący, chociaż robili dużo hałasu, przykuwali niewiele uwagi. Ale Poincarégo zaciekawili. Podszedł do jakiejś funkcjonariuszki.

— Często tak maszerują? — zagadnął.

— Ta konkretna grupa?

Poincaré zauważył na kołnierzu policjantki czekoladową plamę.

— Tak mniej więcej od miesiąca próbują obalić mury Jerycha. Pikietyują główne centra finansowe. Nazywają się oburzonymi dzikusami, czy jakoś tak. Kto tam ich wie.

Znowu spojrzał na człowieka z megafonem.

— Front Wyzwolenia Tubylców?

— No właśnie — powiedziała policjantka, ziewając. — Są wszędzie. Ale powiem panu, że skoro są tacy cholernie mądrzy, to dlaczego po prostu nie zatłukli nas kijami pięćset lat temu? Rozbiliśmy ich w proch i w pył, to po co teraz całe to skomlenie? Trzeba się wziąć w garść i pogodzić z faktami. Stanać do współzawodnictwa, tak jak reszta. No, jasny gwint, przecież nikt mi za darmo niczego nie daje.

Poincaré ruszył przed siebie i poczuł znajome wibracje w kieszeni na piersiach, a potem usłyszał znajomy dzwonek. Zabłysnął ekran LCD. Telefon z Francji. Nie od Claire. Z Interpolu. Przycisnął słuchawkę do ucha, wolną dłonią osłonił od zgiełku ulicy.

— Henri.

— *Bonjour*, Albert.

Cisza.

— Henri. Uderzyli. Wracaj do domu.

Część II

Czy wskazano ci bramy śmierci?

Widziałeś drzwi do ciemności?

Księga Hioba (Isięga 38, werset 17)

Eva Laval chrząknęła, zanim weszła do pokoju. Niosła tacę z kawą, jajkiem na miękko i chrupiącą, wypieczoną wczoraj bagietką, posmarowaną dżemem. Postawiła tacę na prostym, drewnianym stole, a Poincaré uniósł wzrok znad książki.

— Podziękuj ode mnie matce, że wzięła te kurczęta. Wiem, że w końcu to ty je karmiłaś i po nich sprzątałaś. Przepraszam.

— Monsieur, proszę się nie przejmować.

— Wrócisz w południe?

Wnuczka Laval wycierała dłonie o fartuch. Claire pozwalała się dotknąć, poza Lavalem, tylko Evie i jej matce. Przy innych opiekunach zwijała się w kłębek i jęczała. Tak samo robiła przy Evie, dopóki wnuczka Laval, zaledwie czternastoletnia, nie ujęła jej dłoni z czułością, która tak łatwo przychodzi dzieciom, i nie przyłożyła jej sobie do twarzy, trzymając tak długo, aż jęki ustały.

— Madame, to ja, Eva. Pamięta pani, uczyła mnie pani malować.

Codziennie przygotowywała im śniadania i obiady. W szkole miała wolne, mogła więc zostawać na noc, kiedy Henri ruszał odwiedzić Etienne'a oraz jego rodzinę w paryskich szpitalach.

Odłożył książkę i na piersiach Claire umieścił chusteczkę.

— Kawa — powiedział, przykładając kubek do ust, aby sprawdzić temperaturę. — Laval powiedział, że w tym roku będą przyzwoite zbiory. Claire, pamiętasz nasze pierwsze zbiory? Ten Mount Everest z winogron i to, że nie wiedzieliśmy, czy wino w ogóle da się pić? Chateau Poincaré nigdy nie było jakimś wyśmienitym winem, prawda? Ale i tak je piliśmy. Piliśmy je... Claire?

Nie odpowiadała. Nie odpowiadała już od sześciu tygodni. Lekarze zapewnili, że problem jest natury psychologicznej i tak naprawdę nie istnieje żaden fizyczny powód, by nie mówiła albo nie otwierała oczu. Jednak od ataku, a ściślej mówiąc, od trzeciej godziny po nim, kiedy Claire Poincaré dowiedziała się o losie dzieci, była nieobecna. Kiedy ekipa techników kryminalistycznych przeczesywała mieszkanie w Lyonie, a ekipa medycyny sądowej zabierała dwa ciała — napastnika i agenta Interpolu, którego zabił, Claire gorączkowo telefonowała do Paryża, chcąc sprawdzić, co z Etienne'em i wnukami. Kiedy wreszcie nadeszły wieści, krzyknęła, zaczęła rwać włosy z głowy i zemdłała. Lekarz podał jej środek na uspokojenie. Właśnie w takim otępieniu Poincaré zastał żonę, gdy wreszcie dotarł do szpitala.

Wydobrzała tylko do pewnego stopnia. Pozwalała się kąpać, karmić, unosiła ramię, by przeciągnąć je przez rękaw, gdy przebierał ją do łóżka. Mogła drgnąć, słysząc głośny hałas, ale nigdy nie wydawała żadnego dźwięku, nawet we śnie.

— W przypadkach poważnej katatonii — tłumaczył jeden ze specjalistów — wyjście z

niej nie jest pewne. Jeśli trauma była wielka, odmowa uaktywnienia się może trwać lata. Przypominam sobie takiego pacjenta... — Poincaré nie chciał słuchać o innych pacjentach. Szybko odsunął lekarzy od Claire tak daleko, jak tylko się dało, i prowadził własną kurację, którą zaczynał każdego ranka od przytulenia i szeptania zapewnień, że wszyscy żyją.

Ledwie żyją. W zsynchronizowanym ataku zleceniobiorcy Banovicia uderzyli w Claire, Etienne'a, Lucille i dzieci. Tylko gorliwość zabójcy z Lyonu, który nie mógł już się doczekać brutalnej rozprawy, tych w Paryżu uchroniła od najgorszego. Kiedy Luc, agent pełniący służbę w Lyonie, nie zadzwonił do koordynatora o ustalonej porze, którą ze względów bezpieczeństwa codziennie zmieniano, ten zaalarmował dwóch kolegów patrolujących okolice mieszkania, każąc im jak najszybciej przyjść. Zastali Luca zabitego na posterunku, a Claire przywiązaną za nogi i ręce do ramy łóżka, naga, z ustami zaklejonymi taśmą. Napastnik stał nad nią, na toaletce leżał rozwinięty przyborek z instrumentami chirurgicznymi. Zastrzelili go od tyłu, kiedy ściągał spodnie. Krew z rany wylotowej ochlapała twarz i tułów Claire.

Natychmiast zaalarmowano Paryż. Tylko dzięki przedwczesnemu atakowi w Lyonie agenci ochraniający okolicę, w której mieszkał Etienne z rodziną, mieli czas zlokalizować i zlikwidować napastników. Stało się to dopiero po tym, gdy ci zdetonowali dobrze zamaskowane bomby, wypchane gwoździami i metalowymi kulkami. Eksplozje, zamiast, jak planowano, zabić, pokaleczyły ofiary. Georges stracił prawą nogę poniżej kolana i nie przeżyłby, gdyby jeden z agentów nie zacisnął paska ponad raną. Émile, z popękkanymi bębenkami, został ciśnięty na drzewo, pękły mu dwa kręgi. Inne, oddzielne wybuchy, zgruchotały biodro i doprowadziły do zapadnięcia się płuca Etienne'a, a u Lucille spowodowały poparzenia trzeciego stopnia, na plecach i ramieniu. Chloe, mając poparzone ponad siedemdziesiąt procent powierzchni ciała, leżała w śpiączce, oddychając przez respirator.

Ludzie Banovicia prześliznęli się przez sieć Interpolu.

— Planowali uderzyć w tej samej chwili — tłumaczył Albert Montforte. — Tak, żeby jeden atak nie powiadomił o następnych.

Poincaré leciał z Bostonu całą noc, potem biegał w Paryżu od zgrozy do zgrozy, następnie wsiadł do pociągu TGV do Lyonu, gdzie Montforte spotkał się z nim w siedzibie Interpolu. Dyrektor, przekazując informacje, był blady.

— Ona żyje — powiedział. — Nie ma nawet draśnięcia. Ale Henri, źle z nią. O mało nie doszło do najgorszego.

— Czy cały czas była przytomna?

— Przytomna? Claire na pewno usłyszała, jak Luc pada, i poszła sprawdzić, co się stało. Napastnik zaciągnął ją do sypialni. Na twarzy i szyi miał kilka śladów po paznokciach, a na ramieniu kilka ugryzień, które podeszły krwią. Właśnie identyfikujemy tych ludzi. Paolo miał rację, to dawni pracownicy wschodniemieckiej bezpieki. Podróżowali na włoskich paszportach i od dwóch tygodni przebywali w kraju, obserwując

twoją rodzinę.

Słynna, niezawodna prawa ręka Montforte'a drżała.

Claire była w szpitalu w Lyonie, a Etienne i jego rodzina w trzech szpitalach w Paryżu. Poincaré kursował więc między miastami, śpiąc tylko po dwie, trzy godziny dziennie, gotów siedzieć przy łózkach bliskich, nawet jeśli nie zauważą jego obecności. Jeden z lekarzy żony radził, aby zwolnił tempo, bo dostanie zapaści, ale detektyw to zignorował. Przebijał się przez wyczerpanie, żeby czuwać u boku rodziny, w milczeniu, jakby sama maniakalna energia potrafiła odwrócić zniszczenia. Przeniósł Etienne'a, Lucille i chłopców z trzech szpitali do prywatnej sali w szpitalu Etienne'a, z nadzieją, że jakoś nawzajem się ukoją i w ten sposób szybciej wydobrzeją.

Po dwóch tygodniach Georges był już przytomny, chociaż jeszcze mu nie powiedziano, że stracił nogę. Lucille, ciężko poparzona, pływała w morfinowym delirium. Émile unosił się w dziwnej na wpół śpiączce i jednego dnia reagował na ukłucia, a drugiego już nie. A Chloe... Chloe, która w najgorszej możliwej chwili odbiegła od ochroniarza, by złapać konika polnego do owadziego zoo gromadzonego dla braci, otarła się nogami o plecak, który o mało nie odebrał jej życia. Straciła prawe ramię, poraniły ją odłamki, na całej prawej połowie ciała miała poparzenia trzeciego stopnia. Lekarze ściszonymi głosami naradzali się w korytarzach oddziału poparzeń i niezbyt optymistycznie wyrażali się co do rokowań dziewczynki. Oddech Chloe stał się tak płytki oraz nieregularny, że wątpili, aby przeżyła bez respiratora.

Odwiedziny w izolatce wnuczki oznaczały mycie się i wkładanie fartucha, jak do operacji. Poincaré płakał przy jej łóżku, a od łez parowały mu gogle, które zakładał, by zapobiec infekcji. Czyszczenie gogli równało się wyjściu na zewnątrz oraz ponownemu myciu, co stanowiło stratę cennego czasu, przeznaczonego na wizytę. Dlatego zmuszał się, by siedzieć spokojnie i nie patrzeć na Chloe, lecz na ścienny kalendarz albo ziarnistą strukturę szafki ze sztucznego drewna — byle tylko zdusić żal. Tam, gdzie dziecko przyjęło na siebie uderzenie eksplozji, włosy miało spalone, blada szczecina na okrytej strupami głowie. Brwi oraz rzęsy całkiem spłonęły. Skóra na prawym policzku była chropowata, podeszła ropą. Namiot osłaniał otwartą ranę, którą stała się teraz skóra na nogach i brzuchu.

Czasem Henri wspominał wspólne, rodzinne wyjazdy. Opowiadał o nich z nadzieją, że wnuczka go słyszy i czuje ulgę.

— Pamiętasz, kochanie, nasze ostatnie lato na plaży? Razem z twoim braćmi postanowiłaś wziąć udział w konkursie na zamek z piasku i zbudować miniatury piramid z Gizy. Wasza trójka zawsze brała się do takich wielkich spraw. Chłopcy sobie gdzieś pobiegli, jak zwykle, prawda? Zostawili nas we dwoje z całą robotą. Ale, Chloe, i tak wygraliśmy wtedy czerwoną wstążkę! Twoi bracia mówili, że to także ich wstążka, ty się z nimi zgodziłaś i dlatego byłem z ciebie dumny, a twój ojciec jeszcze bardziej. Całe dni opowiadał o twoim Sfinksie i tym, że już niedługo będziesz pracowała razem z nim. Chloe, będzie jeszcze więcej dobrych dni. Obiecuję.

Kiedy pod wiejskim domem zatrzymał się samochód, zgrzytając oponami po żwirze, Poincaré właśnie kończył karmić Claire lunchem i pomagał usiąść na krześle przy oknie, tam, gdzie zamierzał czytać żonie na głos albo rozwiązywać krzyżówkę, prosząc o pomoc. Mógłby zapytać: „Słowo na dziewięć liter, powiązane z «sezonowy», na literę d”? Ona by nie odpowiedziała, ale i tak dalej by mówił, jeszcze z godzinę. Lubiła powieści historyczne, odgrzebał więc egzemplarz *Nędzników*, jeszcze z okresu studiów, i czytał jej co pół godziny. Czasem włączał radio, potem wypatrywał zmiany wyrazu jej twarzy, może cienia jakichś wspomnień, mknącego przez czoło. Próbował wszystkiego, co tylko zdołał. Claire jednak nie powracała.

Wehikuł na podjeździe mógł być jedynie pradawną ciężarówką Lavala. Starszy mężczyzna przyjechał pewnie z kilkoma robotnikami na jesienne zbiory. Gdy drzwiczki otworzyły się i zamknęły z typowym protestem rdzewiejącego metalu, Poincaré zobaczył przed domem Ludoviciego z walizką, właśnie szykującego się, by pukać we framugę. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie na progu. Inspektor odczytywał z twarzy Paola wszystko, czego powinien się dowiedzieć o własnym osuwaniu się w zapomnienie.

— Chryste, Henri. Trzeba być tobą, żeby znaleźć sobie miejsce na takim zadupiu.

Poincaré wciąż nie zapraszał go do środka. Wszedł na taras i oprowadził Paola po winnicy, ciesząc się, że znali się wzajemnie na tyle dobrze, by milczeć. Henriego zaskoczyło, że obecność gościa dodaje mu otuchy. Po sześciu tygodniach, w trakcie których nie usłyszał ani jednego raportu medycznego, o którym mógłby powiedzieć, że niesie jakąś nadzieję, sądził już, że z tego świata zniknęła wszelka otucha, w każdym razie on nie zasługuje na otuchę, teraz, kiedy cała jego rodzina cierpi.

O zmierzchu usiedli w trójkę na tarasie pod pradawnym dębem, patrząc na winnice i dolinę. Poincaré smażył na grillu kotlety ze świniaka ubitego przez Lavala, a Eva nazbierała w ogródku warzyw i zrobiła sałatkę. Ludovici zmierzył spojrzeniem zawartość swojego kieliszka, potem nieoznakowaną butelkę, którą Poincaré postawił na blacie.

— Nadaje się do picia — oznajmił. — Ledwie. Jeśli chcesz, wyjadę dzisiaj wieczorem. Nie dzwoniłem wcześniej, bo powiedziałbyś „nie”.

— Zostań na noc — odparł Henri. — Eva przygotowuje ci łóżko.

Ludovici został na cały tydzień. Wstawał wcześniej rano i zajmował się pracami, do których Poincaré w lepszych czasach wzięłby się z przyjemnością. Któregoś ranka zobaczył go na dachu z wiadrem smoły, polującego na przecieki. Po deszczu poprzedniego wieczoru na podłodze domu zostało mnóstwo kałuż, a Poincaré ograniczał się tylko do podstawiania wiader i liczenia na to, że tak będzie lepiej. Innego poranka Henriego obudził hałas ciężarówki wyrzucającej ładunek drewna na opał, które Ludovici przywiózł razem z Lavalem, a zamówił u dostawcy w dolinie. I tak codziennie z listy wypadał kolejny ciężki obowiązek, poniechany przez Poincarégo. Henri zachowywał się, jakby nie widział już dla siebie przyszłości takiej, w której mógłby docenić szczelny dach czy ciepłe palenisko w grudniu. Tak naprawę Poincaré nie miał przecież żadnej przyszłości, bo ataki zredukowały jego życie do niekończących się chwil nagłego ocknięcia z majaków. Ludovici reagował na to swoją pracą. Naprawą kamiennego murka, wymianą potłuczonych

okien w stodole, uzupełnieniem zaprawy w fundamentach. Każda z tych rzeczy była dłonią wyciągniętą w stronę Poincarégo, której on nie chciał uchwycić.

Tylko raz zapytał Poincarégo o pozwolenie — jego i Laval. Walizkowy futerał, który ze sobą przywiózł, krył karabin snajperski, w sposób mistrzowski opanowany przez niego podczas służby we włoskiej armii. Starał się nie stracić tych umiejętności, znajdował jednak niewiele miejsc, gdzie mógłby poćwiczyć strzelanie na tysiąc metrów.

— W Mediolanie raczej nie mogę postrzelać sobie do celu, prawda? — powiedział. — Bo jak nie trafię, to przypadkiem zabiję pekińczyka jakiejś staruszce.

Poincaré pozwolił pod warunkiem, że hałas nie będzie przeszkadzał Claire. Laval jako nastolatek walczył w partyzantce i szybciej już chyba nie mógłby się zgodzić. Towarzyszył Paolowi w codziennych treningach, co wieczór dokładnie relacjonował je Poincarému. Starzec, zwykle małomówny, nie dowierzał skuteczności Ludoviciego, który trafiał cele, jakie Laval ledwie widział przez lornetkę. Chodził za Paolem, wpytując o najnowsze lunety, kompensujące stromość lotu pocisku oraz wiatr. Włoch korzystał z dwóch lunet szwajcarskiej produkcji, jednej na teren płaski, drugiej na pochyły. To, co za czasów Laval było tylko krzyżującymi się liniami, teraz stało się starannie zaprojektowanym i wykonanym urządzeniem, ustalającym odległości od celu. Repetowany karabin, produkcji niemieckiej, dawało się rozłożyć tak, by zmieścił się w walizce.

— Piękna rzecz — oznajmił Laval. — Ze swojego karabinu to z tysiąca metrów nie trafiłbym nawet góry, a on ustawił dziesięć celów wielkości mojego kciuka, w stumetrowych odstępach, na różnej wysokości i trafił każdy z nich, w sam środek! Henri, podoba mi się ten twój kolega.

Minał tydzień. Pewnego popołudnia, kiedy obaj mężczyźni szli wzdłuż murku wyznaczającego granicę między gospodarstwami Poincarégo i Laval, Paolo oznajmił, że wyjeżdża, równie nagle, jak się zjawił.

— Jutro mam być w Lyonie — powiedział.

Szli jeszcze jakiś czas. Przy południowej winnicy Ludovici doglądał altanek, którymi teraz zajmował się Laval. Włoch uwiązał winorośl, odwrócony plecami do Henriego.

— Znalazłem tego pośrednika — powiedział. — Albert ci mówił?

— Tak — odparł Poincaré.

— W Dreźnie.

Drezno? Nic mu to nie mówiło.

— Opowiadałem, że kompletnie odizolowali Banovicia? Mogą teraz do niego przychodzić tylko Holendrzy. Koniec kontaktów z osobami niesprawdzonymi przez Trybunał. Wyznaczyli mu nawet prawnika, chociaż nalegał, że się będzie bronił sam. Henri, kompletnie go odcięli. Niedługo zacznie się proces. W przyszłym tygodniu, na jawnym posiedzeniu, odczytają mu zarzuty.

Poincaré przyczepił winorośl do tyczki.

— Henri, czy ty mnie rozumiesz? Ludzie Banovicia nie żyją. — Poincaré ruszył dalej, a Paolo dotrzymywał mu kroku. — Eva dobrze sobie radzi z Claire. To słodki dzieciak.

Poincaré przytaknął.

— Zatrzymaj się i spójrz na mnie.

Poincaré zatrzymał się.

— Zrobiłem wszystko, co tylko mogłem. Niewiele spałem.

Poincaré otworzył nóż i wygrzebał sobie brud spod paznokci.

— Podążyłem za tropem do Drezna i znalazłem grubego gnoja w średnim wieku, żyjącego sobie w mieszkaniu z żoną i dorosłym synem. Sprzedawali warzywa na straganie na rynku, a jakbyś mijał go ulicą, nawet byś o nim nie pomyślał. Tyle że kiedyś był agentem Stasi i przyznał, że od kiedy runął mur berliński, nastały trudne czasy dla ludzi o jego uzdolnieniach. To nie było nic osobistego, tak mnie zapewniał. Ja też go zapewniłem, że osobiście nic do niego nie mam, kiedy spychałem go z dachu jego domu. Henri, oni nie żyją. Wszyscy.

Poincaré odciął kiść winogron. Trzymał ją w wyciągniętej ręce i pomyślał, że owoce ładnie dojrzewają.

— Minęło sześć tygodni, Paolo. Etienne ma w biodrze dwie metalowe płytki, a z piersi wciąż wystają mu rurki. Codziennie musi wychodzić z łóżka i spacerować z balkonikiem, póki nie zemdleje z bólu. Krzyczy... i przeklina mnie, a oni dają mu środki przeciwbólowe. Lucille miała przez swoje oparzenia już pięć przeszczepów skóry, ale to nic w porównaniu z tym, co przechodzi w związku z dziećmi. Nie sposób jej uspokoić. Nawet nie może odwiedzać Chloe z powodu ryzyka infekcji u nich obu. Georges'owi dopasowują sztuczną nogę, a on płacze, bo go bolą rany i tęskni za bratem i siostrą. Émile jest w takim dziwnym śnie, raz w ogóle na nic nie reaguje, a kiedy indziej nagle przytomnieje, żeby potem znowu się zapaść. — Poincaré odwrócił się w stronę wiejskiego domu. — Zatem, jak widzisz, trochę za późno na wysłuchiwanie, że wszyscy zleceniobiorcy już nie żyją. Próbowaleś. To nie twoja wina. To była moja wina. To do mnie należała ochrona mojej rodziny. Nie ochroniłem jej. Powinienem zrezygnować z pracy w Interpolu, lata temu. Claire mówiła mi, żebym zrezygnował. Powinienem zrezygnować.

Twarz Ludoviciego spąsowiała.

— To, co powinieneś zrobić, to zabić Banovicia w Wiedniu. Wiedziałeś, że zasłużył. Za sześć miesięcy sędziowie z Hagi uznają go winnym, a potem co? Tyle rozpaczy tylko po to, aby trzymać się tego twojego świętego kodeksu i reguł prawa? Mógłbyś raz, chociaż raz, nazwać świat po imieniu! Przeklnij Boga i otrząśnij się, Henri. Użyj swojej wściekłości. Wracaj do nas.

— Albert cię przysłał?

— Nie! To był mój urlop, tak czy owak.

— Skończyłem z Interpolem.

— Wcale nie!

Poincaré czuł się zmęczony. Wciąż wierzył w misję Trybunału do spraw zbrodni wojennych — tym, co dzieliło wszystkich Banoviciów świata od prawników, którzy postawiliby ich przed sądem, był właśnie sam sąd, nacisk kładziony na prawo oraz

sumienie — Henriemu jednak brakowało teraz woli, aby protestować. Ludovici żył według innego kodeksu, w ogóle by go nie zrozumiał.

— Paolo — powiedział — jeśli natkniesz się na drodze do Lyonu na jakiś cud, przyślij go tutaj.

Ludovici chwycił Henriego za ramię.

— Ty sztywny, skrupulatny palancie.

Czy Paolo płakał? Poincaré o to nie dbał. Cała ziemia płakała.

— Chodzi ci o to, że nie zabiłbyś go, gdybyś miał okazję, nawet teraz, gdyby tutaj przed tobą stanął. A ja bym go zabił!

— Paolo, nie.

— Znalazłbym sposób. Mogę znaleźć. Pod koniec przyszłego tygodnia zabierają go na otwarte posiedzenie sądu. Strzał w głowę z odległości tysiąca pięciuset metrów, kiedy będą go prowadzić z więziennej furgonetki. Znam Trybunał. Znam okolicę. Nigdy by nie doszli, kto strzelał.

— Dosyc — powiedział Poincaré.

— Henri, wracaj do nas. Zostaw Claire z tą dziewczyną. Tutaj umierasz.

Poincaré wetknął dłonie głęboko w kieszenie ulubionej kurtki, która ostatnio stała się luźniejsza na ramionach i piersi. Spojrzał w dół doliny, z trudem starając się przypomnieć sobie, co jego oraz Claire zaprowadziło akurat w to miejsce. Szerokie niebo było takie samo, taka sama była akacja i taki sam cyprys, taki sam kompostownik, schludna winnica oraz wiejska droga prowadząca do świata pozbawionego teraz wszystkiego, co ukochał.

— Mylisz się — powiedział, odwracając się od wzgórz do Claire, która siedziała sama jak słup soli. — Wcale nie umieram. Ja już nie żyję.

18

To jednak nie było prawdą. Śmierć oznaczała długą noc bez odczuwania bólu, a Poincaré nie przestał cierpieć. Dzień po wyjeździe Ludoviciego do Lyonu powrócił do zwykłego rozkładu zajęć i znowu podróżował do Paryża, aby wbrew życzeniu syna czuwać przy nim i reszcie rodziny, kiedy spali, a potem w ciągu dnia siedzieć przy Chloe. Koszt prywatnej sali z całodobową opieką był rujnujący, Henri jednak o to nie dbał. Sprzedał mieszkanie w Lyonie, w ciągu miesiąca wydał całą uzyskaną sumę, potem sięgnął do oszczędności. Pieniądze wypływały wartką strugą. To nie miało znaczenia.

Słyszając dźwięk podwójnych drzwi, otwieranych na krańcu długiego korytarza, Marian Berrenger, pielęgniarka z popołudniowej zmiany, sprawdziła kilka kart pacjentów i uniosła wzrok, aby spojrzeć w oczy widma.

— Żadnych zmian — oznajmiła. — Pański syn zrobił z balkonikiem kilka kroków więcej, ale znowu podali mu morfinę. Istnieje obawa, że zaczyna się uzależniać i to raczej nie przez ból fizyczny. Jutro lekarze naradzą się, czy podać mu jakieś inne lekarstwo.

Georges — sprawdziła kartę. — Kiedy dopasowywano mu protezę, rana zaczęła ropyć. Chłopiec w dalszym ciągu dopytuje się o brata i siostrę, wezwano psychologa. Pańska synowa zasadniczo przewyciężyła już infekcję oparzeń, ale doktor Kempf wciąż podaje jej dożylnie antybiotyki. I widzę tutaj receptę na nowy antydepresant. U Lucille zaplanowano szósty i może już ostatni przeszczep skóry, na koniec tego tygodnia.... tym razem, jak sądzę, na ramieniu. Dzięki Bogu, nie ma poparzonej twarzy. — Berrenger natychmiast przeprosiła. — Inspektorze, nie pomyślałam, co mówię.

Poincaré oparł się o biurko.

— Moja wnuczka jest pod bardzo dobrą opieką — powiedział, odchrząknawszy.

Po co udawać? Z tego dziecka będą się śmiali na placu zabaw. Jako młoda kobieta, nakładająca podkład na blizny, których nigdy nie zdoła ukryć, Chloe będzie uciekać od luster, zastanawiając się, czy jakikolwiek mężczyzna zdoła wytrzymać jej brzydotę i zaprosi ją do tańca. Poincaré wcale nie uważał, że Marian Berrenger jest okrutna. Przecież to ona uratowała mu życie, kiedy tamtego pierwszego dnia Etienne, z trudem odzyskujący świadomość, ujrzał ojca i wrzasnął: „Wynocha! Zniszczyłeś nas!” Złapała wtedy za rękę i powiedziała: „Już to widywałam, monsieur. To tylko takie gadanie po morfinie. Pański syn wcale tak nie myśli”.

Rozpacz Etienne’a zepchnęła Poincarégo gdzieś w tunel. Pamiętał tamto uczucie spadania i jak chwyciła go czyjaś dłoń, a stanowczy głos zawołał:

— On nie wie, co mówi. Monsieur, niech pan nie traci ducha. Nie wolno panu!

Nie wierzył, ale dał się ukoić w tamten pierwszy, straszliwy dzień, gdy pielęgniarka odprowadziła go do bocznego korytarza, by zszedł Etienne’owi z zasięgu wzroku, ale pozostał w zasięgu jego krzyków. Poincaré spadał, Berrenger mu nie pozwalała. Usadowiła go na krześle wciśniętym między wózek do transportu chorych a pojemnik na brudną bieliznę. Wróciła z kubkiem wody, trzymała za drżące dłonie. Przyklęknęła, aby dobrze ją widział, i spojrzała mu prosto w oczy.

— Inspektorze, czytałam gazety. Pan po prostu wykonywał swoją pracę. Swoją pracę! Świat potrafi być straszny.

Wyszedł ze szpitala i od tamtego dnia zaczął przychodzić w odwiedziny nocą, tak jak zasugerowała Berrenger, gdy Etienne i inni już spali. Miał tak robić, dopóki Etienne nie będzie gotów na normalne spotkanie z ojcem. Sześć tygodni później Poincaré popadł nawet w pewną rutynę: wstawał na farmie przed świtem, trzydzieści minut jechał na stację, stamtąd kilkoma pociągami docierał na Gare d’Austerlitz, mniej więcej około północy. Potem jazda taksówką i długi spacer do oddalonego skrzydła szpitala, gdzie przez pięć godzin siedział przy łózkach. O pierwszym brzasku wychodził do kliniki leczenia oparzeń. Tam, za dnia, stróżował przy łóżku Chloe.

— Co z Émile’em? — zapytał.

Pielęgniarka przejrzała kolejną kartę.

— Rozwinęła mu się jakaś infekcja w płucach. Dostaje dożylnie cefuroksym. Proszę wejść. Usiądę na krześle pod drzwiami. I chyba nie muszę panu przypominać, że jeśli ktoś

się obudzi...

Poincaré został kiedyś postrzelony, a także ciężko pobity i zostawiony. Z Claire pochowali jedno dziecko, siostrę Etienne'a, która przeżyła tylko kilka tygodni, opłakali również trzy poronienia. Kiedyś wybrał się z ojcem na całodniową wycieczkę w Alpy Rodańskie, wiele kilometrów odludnym szlakiem — i ojciec zmarł z wysiłku. Serce nie wytrzymało, trzasnęło jak gałązka. Poincaré niósł go z powrotem. Wiele lat później modlił się nad jarem pełnym dziecięcych kości i zasiadał do stołu z matką, która cierpiała na tak posuniętą demencję, że nie rozpoznawała jedyne dziecko. Żaden jednak dawny ból nawet nie zbliżył się do tego cierpienia — patrzenia, jak do żołądka Émile'a wsunięto rurę karmiącą, oglądania śpiącego Georges'a i kołdry zapadającej się na jego amputowanej nodze. I jeszcze Lucille, ułożonej na boku, z ramieniem trzymanym w górze z dala od reszty ciała na skomplikowanym trapezie. Nawet ten ból nie mógł się równać utracie miłości Etienne'a.

Poincaré ścisnął poręcz metalowego krzesła, zasłuchany w urywany oddech syna. Dobiegł go dziecięcy głos: „Tato, patrz, jak się w ten sposób rozmieści ciężar na kolumnach, to...”. Widział małego Etienne'a układającego stosy książek na wewnętrznych krawędziach dwóch kolumn i czuł jego radość z odkrycia łuku oporowego.

— Jeśli rozmieścisz ciężar właśnie w taki sposób, to zbudujesz łuk, a kolumny się nie załamają. A na szczycie łuku możesz położyć jeszcze więcej bloków!

Tego roku Etienne zbudował dla Claire piernikową katedrę, replikę katedry Świętego Jana w Lyonie. Przez mniej więcej miesiąc obojgu rodzicom nie wolno było wchodzić do jego pokoju. Po ukończeniu prac, z okazji wielkiej odsłony, chłopiec umieścił wewnątrz budynku świece i wyłączył światło w całym mieszkaniu. Efekt okazał się oszałamiający, co jednak nie powstrzymało ich od powyjadania tego samego wieczoru gargulców oraz poskubywania monumentalnej fasady świątyni. Czymże zasłużyli na takie dziecko?

Jedynymi światłami w sali były LEDowe monitory maszyn monitorujących ciśnienie krwi i oddychanie. O czwartej rano Etienne drgnął. Zanim Poincaré zdołał wysliznąć się z sali, syn dostrzegł go w półmroku i zaskrzeczał:

— Wynocha.

Poincaré zachwiał się do przodu, rozpościerając dłonie.

Syn przyszpilił go wzrokiem.

— To nie ty nacisnąłeś guziki. Ale tato, te bomby wybuchły przez ciebie, przez to co robisz. Wyjdź stąd. Jesteśmy zniszczeni. — Etienne mówił spokojniej, teraz już nie przemawiała przez niego morfina.

Poincaré wstał. Kochał syna tak, aby nie mówić nic, tak, aby odwrócić się i odejść.

Później, tego samego ranka, kiedy przygotowywał się, żeby wejść do sterylnej sali oddziału leczenia oparzeń, gdzie leżała Chloe, podeszła do niego jakaś pielęgniarka, informując, że ojciec dziecka, który poczuł się już wystarczająco dobrze, aby skorzystać z praw rodzicielskich, zakazał mu odwiedzin.

— To niemożliwe! — zaprotestował Henri.

Pielęgniarka pokazała mu świstek papieru.

— Nie chcę!

— Monsieur, to, czego pan chce, nie ma znaczenia. Mam dokument.

— Przecież pani mnie zna — powiedział. — Przychodzę od tygodni. Sama mi pani mówiła, że nikt inny nie przychodzi w odwiedzinę. Jedyne, co robię, to siedzę i mówię. Czy to coś złego?

Pielęgniarka wysłuchiwała go z beznamiętnym, zawodowym skupieniem.

— Przykro mi — odparła.

Wcale jej nie było przykro, co Poincaré powiedział głośno.

— Reguły są jasne — odparła.

Wyjął legitymację Interpolu, aby przebić nią te reguły.

— Pan wybaczy, ale tutaj nie popełniono żadnego przestępstwa.

— Chcę rozmawiać z pani przełożonym — rzucił.

Oddalenie się pielęgniarki dało Poincarému sposobność, której potrzebował. Poznał podpis Etienne'a na dokumencie i wiedział, że syn miał prawo zakazać mu dostępu do Chloe. Szybko się umył, nałożył rękawice, fartuch, poprawił gogle, włożył maskę i czapkę. Wchodząc do sali, wiedział, że ma co najmniej pięć minut sam na sam z wnuczką, zanim ochrona zdąży się też umyć i ubrać. Potem spokojnie z nimi wyjdzie.

Stanął w drzwiach, patrząc, jak pierś Chloe unosi się i opada przy akompaniamencie świszczania wentylatora. Potem stanął z boku łóżka, zaciągnął zasłony tak, aby mogli pobyć całkiem sami. Biała była pościel, białe zasłony spływające z sufitu. Przypadkiem nakładki na buty Poincarégo oraz jego maska też były białe, a nie w szpitalnym błękicie. Mógł więc sobie wyobrazić, że oboje są teraz wśród chmur, wysoko ponad światem i jego troskami. Usłyszał jakieś odgłosy i już wiedział, że czasu zostało niewiele.

— Chloe — powiedział. — To ja, dziadek.

Nie mógł dotknąć żadnej części ciała dziewczynki, nie ryzykując infekcji, dlatego trzymał ramiona ponad wnuczką, tak jakby ją kołysał. W pewnym sensie to robił — wspominając, jak trzymał w ramionach nowo narodzoną Chloe w kącie sali porodowej, a Claire, Etienne i Lucille śmiali się, płakali i pokazywali na niego, bo Poincaré, trzymając pierwszą wnuczkę, nie potrafił się odwrócić, nie tracąc przy tym równowagi. Tamtego dnia stał do nich plecami, chcąc pobyć tylko z dzieckiem. Tak właśnie stał dziś za zasuniętą zasłoną sali 2C, w klinice leczenia oparzeń. Zaczął się kołysać do przodu i do tyłu. Z jakiegoś spokojnego miejsca dobiegła melodia. To śpiewał Poincaré, cicho i łagodnie, kołysząc powietrze z taką czułością, że kiedy ochroniarze wreszcie odsunęli zasłonę, jeszcze przez chwilę przyglądali się, zasłuchani.

— Ona rozumie — mówił, gdy go wyprowadzali. — Słyszała mnie.

Poincaré siedział na ławce przed szpitalem, z trudem starając się pogodzić z faktem, że już nie może odwiedzać Etienne'a ani dzieci, nawet gdy śpią. Słońce późnego czerwca

prażyło ludzi na placu, żar buchał od chodników. Ze swojej ławki miał dobry widok na okna sal pierwszego piętra, ale nie sali Chloe, bo izolatki umieszczono wzdłuż wewnętrznego korytarza. Tak dobrze znał jednak rozkład oddziału poparzeń, by w przybliżeniu określić pozycję łóżka wnuczki. Gdyby było trzeba, mógłby stróżować na placu i rzucić się na pomoc, a Etienne nie zdołałby go powstrzymać.

Poincaré nie zmrzył oka mniej więcej od pięćdziesięciu godzin. Zdenerwowanie sprawiło, że na farmie nie spał całą noc przed wyjazdem do Paryża, nie spał też podczas podróży na północ i w ciągu wieczoru spędzonego z Etienne'em i wnukami. Teraz, wśród upału, pozwolił sobie na drzemkę, wiedząc, że do planowanego powrotu do Fonroque zostało mu jeszcze kilka godzin. Zamknął oczy, ale po pięciu, a może dwudziestu minutach nagle się ocknął, słysząc dzwonek alarmu. Zobaczył strumień ludzi, wylewający się z głównego wejścia do szpitala. Kiedy szukał jakichś oznak pożaru, z przerażeniem zobaczył kłęby dymu, wydobywające się z okna na pierwszym piętrze, bardzo blisko sali Chloe. Pobiegł w stronę otwartych drzwi, ale zatrzymała go ochrona.

— Interpol! — zawołał, machając odznaką.

— Ja stąd wyprowadzam ludzi! — wrzasnął mężczyzna.

Poincaré wycofał się, minęli go strażacy, biegnący w pełnym oporządzeniu. Popędził wzdłuż gmachu szpitala i za rogiem znalazł wyjście awaryjne — klatkę schodową pełną personelu i odwiedzających, poruszających się teraz w odwrotnym kierunku niż on. Przeciskał się, walcząc z ludzkim nurtem oraz przekleństwami, usłyszał też, jak ktoś mówi: „To się zapalił kosz na śmieci na oddziale oparzeń, jakiś głupi dowcip. Jakby naprawdę stało się coś poważnego, to by ewakuowali pacjentów. Pewnie już sobie z tym poradzili, zwykłą gaśnicą”.

Jakby na zawołanie, alarm ucichł, a rzeka ewakuowanych odwróciła bieg, pociągając za sobą Poincarégo na platformę przy pierwszym piętrze. Spokojnie przeszedł wyjściem awaryjnym, które otwarto na oścież, i doleciał go zapach dymu, uchodzącego oknem na plac. Poczł ulgę, widząc, że szpitalni ochroniarze stoją spokojnie przy poczeriałym śmietniku w połowie korytarza. Poza plamami sadzy na ścianie nie dostrzegł żadnych innych zniszczeń. Czyli że to jakiś dowcip albo czyjaś bezmyślność. Już miał się odwrócić i odejść, gdy minęła go pielęgniarka wychodząca ze składziku. Ścisnęła rurkę w sterylnym, plastikowym opakowaniu. Pomyślał, że ta rurka bardzo przypomina część respiratora, utrzymującego Chloe przy życiu. Ruszył za pielęgniarką, przyspieszając kroku. Teraz, gdy pokazywał odznakę, przepuszczano go dalej. Ta sama pielęgniarka, która robiła mu trudności, siedziała teraz na łóżku, oszołomiona. Za zakrętem korytarza Poincaré zobaczył, że drzwi prowadzące do sali, gdzie leżała Chloe, są szeroko otwarte. Za nimi co najmniej sześć osób z personelu szpitala, w białych kitlach, stało nad łóżkiem Chloe.

— Co tu się dzieje? — wrzasnął, wchodząc do pomieszczenia.

Kobieta, badając pierś Chloe stetoskopem, wrzasnęła:

— Wynocha!

Rurkę respiratora Chloe przecięto, z maszyny wyrwano wtyczkę zasilania. Jakiś lekarz,

po drugiej stronie łóżka, wsadzał nową rurę, przymocowaną jednym końcem do niebieskiej, plastikowej piłki, którą jego pomocnik zaczął pompować, gdy tylko usłyszał „Jestem”. Pierś Chloe znowu zaczęła się unosić i opadać, kiedy lekarka ze stetoskopem, nagle przerwała badanie i oznajmiła:

— Brak pulsu. — Złączyła dłonie nad mostkiem dziecka, zaczęła gwałtownie uciskać.
— Defibrylator!

Męczyli się przy niej trzydzieści minut.

Lekarka, która wcześniej wzywała ochronę, teraz zastała Poincarégo w poczekalni, z głową ukrytą w dłoniach.

— Tak mi przykro — powiedziała.

Otworzył oczy, a potem je zamknął. Potem znowu otworzył. Nic się nie zmieniło.

— Nie do końca rozumiemy, co się stało — kontynuowała kobieta. — Ktoś podłożył ogień na oddziale, a w wyniku zamieszaniu rurka respiratora pańskiej wnuczki... została przecięta. Przez osiem minut nie mogliśmy się do niej dostać. — Kobiecie zadrżał głos. — Policja zaczęła śledztwo. Monsieur, tak mi strasznie przykro, panie — spojrzała na odznakę — panie Poincaré.

Sala Chloe stanowiła teraz miejsce przestępstwa, nie mogli zabronić mu wstępu. Poprosił lekarkę, żeby wyszła, i zamknął za nią drzwi. Wyglądając przez okno na plac połyskujący w upale, pomyślał o tym dziecku — o tym, jak z rozpostartymi ramionami prowadziło go do stodoły i starych drzwi pokrytych spękaną farbą. „Spójrz, dziadziu!” Spojrzał, ale nie na farbę, tylko na wnuczkę. Pocałował jej oczy i powierzył ją chmurom. Potem spokojnie zadzwonił do szpitala Etienne’a oraz do Alberta Monforte’a, aby zalecić dodatkową ochronę. Wszedł z budynku pierwszy raz od tygodni pewnym krokiem. Na żałobę czas przyjdzie później. Teraz liczyło się to, że został co najmniej jeden człowiek Banovicia, a Poincaré musiał go znaleźć. Musi tylko załatwić coś w Hadze.

19

Poincaré nie nosił niepokojów swojego życia na wierzchu jak nową kurtkę czy zegarek. Ten, kto minąłby go przy straganie z kwiatami w Hadze, pomyślałby, że detektyw jest tylko wyczerpany — albo, przypuszczalnie, chory. Gdyby jednak zajrzał pod zużytą powłokę, gdyby zobaczył go takim, jakim sam siebie widział, jakim Claire widziałyby go stale, o ile czułaby się na tyle dobrze, by otworzyć oczy i krzyknąć „stój!” — wtedy dostrzegłby człowieka zredukowanego do nerwów oraz krzyku. Zjawił się tutaj z myślą o morderstwie. Zaplanował je starannie.

Oczywiście, pod warunkiem że ktoś, kto nie jadł i nie spał od tygodnia, w ogóle mógł być staranny. Zamknięcie oczu równało się zobaczeniu wnuczki, Poincaré więc nie sypiał. Jedzenie było dla żywych, w nim zaś umarło coś istotnego — nie tylko marzenia o Chloe, lecz także jakaś fundamentalna wiara, że życie jest sprawiedliwe, a ludzie przyzwoici — a

zatem nie jadł. Szarpały nim palpitanje, łykał pastylkę za pastylką, starając się uciszyć bestię targającą pierś. Ręka drżała, kiedy usiłował się golić, zaciął się, a gdy pociekła krew, szaleńczo zapragnął jej więcej. Banović zapłaci, zapłacą też żona i dzieci Banovicia. Poincaré zabije ich wszystkich, przeklnie Boga i umrze. Po raz trzeci wyczyścił i naoliwił pistolet. Potem wyszedł z hotelu, aby zaplanować ostateczny akt swojego zmarnowanego życia.

— **Monsieur Depaul**, to było proste zlecenie — oznajmił mężczyzna, wręczając Poincarému teczkę. — Wszystko, czego pan sobie życzył, jest na tym dysku: zbiorczy dokument z codziennym rozkładem zajęć, oddzielny folder z fotografiami oraz zestawienie łączące jedno i drugie. Może pan otworzyć dowolną komórkę i dowiedzieć się, gdzie madame Banović oraz jej dzieci prawdopodobnie będą o określonej porze, a potem kliknąć, żeby przyrzeć im się in situ — z odpowiednimi zdjęciami, adresami oraz numerami telefonów. Wszystko jest tutaj. — Poklepał teczkę. — To zdumiewająco punktualna kobieta. W niedzielę idzie do kościoła, potem jedzie tramwajem do więzienia i do parku nad morzem, z dziećmi. W tygodniu odprowadza je do i ze szkoły. Nie przesadzam: nie wypuszcza ich z rąk nawet na chwilę, dopóki nie dotrą do drzwi szkoły. Potem idzie do sklepu papierniczego, gdzie jest sprzedawczynią. Na zakupy wychodzi we wtorek po odebraniu syna i córki ze szkoły. W zestawieniu podałem jej typowe zakupy — głównie makaron, fasola, ziemniaki oraz mleko w proszku. U rzeźnika kupuje kości albo tłuste okrawki na zupę. Muszę przyznać, że zarabia mało. Sprawdzałem w ośrodkach rządowych, nie prosiła o wsparcie. Mieszkają w jednopokojowym mieszkaniu ze wspólną łazienką w korytarzu. To wszystko jest w pliku.

— Włamał się pan do jej mieszkania — stwierdził Poincaré beznamiętnie.

Mężczyzna parsknął.

— Naprawiałem zamek, kiedy drzwi się otworzyły.

Poincaré, używając przybranego nazwiska i fikcyjnego konta mailowego, na które wchodził tylko z paryskiej kafejki internetowej, wynajął Dominicusa Groota, nie widząc go wcześniej, bez żadnych referencji, wybierając z internetowego spisu holenderskich prywatnych detektywów. Na stronie Biura Detektywistycznego Groota znalazł reklamę, głoszącą: „Niewierność to nasza specjalność” oraz „Odnajdujemy osoby zaginione na terenie Holandii!” Groot okazał się niezwykłym detektywem, kimś, komu raczej trudno byłoby zniknąć w tłumie. O głowę wyższy od Poincarégo, z długimi nogami, strzechą siwych włosów, tak chudy, iż zdawało się, że byle podmuch wiatru zachybcze nim jak ptakiem, którego zresztą przypominał. Był niesłychanie wytrwały jak na kogoś o tak kruchym wyglądzie. Miał czerwonawą twarz oraz mocne, spracowane dłonie człowieka, który nie zarabia na życie, siedząc pod dachem. Wystarczyło raz zobaczyć Dominicusa Groota, aby go zapamiętać, spotkanie go częściej mogło już wzbudzić podejrzenia. Musiał być jednak dobrym tropicielem, bo raport o rodzinie Banovicia stanowił efekt regularnej obserwacji. Najwyraźniej żona więźnia nie miała pojęcia, że jest śledzona.

Prywatny detektyw otworzył paczkę łuskanych ziaren słonecznika i wrzucił garść do ust,

a kolejną cisnął gołębiami na placu — co wywołało zamieszanie, pełne gruchania oraz dziobania.

— Ten czwartek będzie nietypowy, bo monsieur Banović, rzecz jasna, pojawi się tego popołudnia na rozprawie. Nie zabrała dzisiaj dzieci do szkoły, spodziewałbym się ich raczej w sądzie. Pewnie pójdą piechotą, co może być niezbyt fortunne, bo dla małych dzieci droga do budynku Międzynarodowego Trybunału Karnego może okazać się daleka. Transport publiczny z tamtej części miasta na wiele się nie zda, a dla kogoś o jej dochodach taksówka nie wchodzi w rachubę. Nie, przejdą piechotą dwanaście kilometrów, jak się obawiam, na próżno. Odczytanie zarzutów potrwa mniej niż godzinę, łącznie z oświadczeniem oskarżonego. Proces zaczyna się w przyszłym miesiącu, a ja nie wyobrażam sobie, żeby madame Banović codziennie przychodziła razem z dziećmi. — Kiedy Groot przerwał, aby zjeść kolejną garść ziaren, gołębice zgromadziły się u jego stóp. — Kompletnie nietypowe okoliczności — kontynuował — daleko temu do moich zwykłych zleceń. Monsiuer Depaul, wszystko z nią w porządku, chyba że ma pan coś przeciwko młodym matkom i ich dzieciom żyjącym w ubóstwie. A może jest pan filantropem?

Poincaré wręczył mu kopertę.

— Nie trzeba przeliczać — oznajmił.

Mężczyzna otworzył kopertę i zaczął liczyć.

— Wie pan, w mojej pracy...

— W swojej pracy — odezwał się Poincaré — powinien pan dobrze wiedzieć, że nie należy pytać klientów o powód, dla którego pana wynajęli. — Zebrał rzeczy i schował teczkę, razem z dyskiem, do aktówki. — Aby jednak zaspokoić pana ciekawość: tak, jestem filantropem.

Jako agent, który aresztował Banovicia, Poincaré mógł wnieść na rozprawę broń. Wcześniej zadzwonił, aby powiadomić ochronę sądu o przybyciu. Zarezerwowano mu miejsce w drugim rzędzie, jak się okazało, zaraz za pewną kobietą, siedzącą między dwojgiem kędzierzawych dzieci w najlepszych, niedzielnych ubrankach. Poincaré uśmiechnął się ponuro. Celowo się spóźnił, tak aby zająć miejsce niezauważony przez Banovicia oraz jego żonę, skupionych na sędziach z podium. Przy stole, na lewo od Henriego, w gotowości czekali już asystenci prokuratora, aby na żądanie okazać któreś z setki spiętych akt. Banović siedział samotnie na ławie oskarżonych, miał przed sobą tylko żółty notatnik i ołówek. Sąd pozwolił mu bronić się samemu, pod warunkiem że wyznaczona ekipa adwokatów będzie czekać w gotowości, by przejąć sprawę, jeśli jego obrona wykroczy poza standardy konieczne do zapewnienia sprawiedliwego wyroku.

Poincaré przypomniał sobie jar w Bośni — już za to powinien strzelić Banoviciowi w łeb, a nie go aresztować. Teraz, gdy krew jego rodziny wołała o pomstę, zastanawiał się, czy po prostu nie przeskoczyć galeryjki i nie przystawić Banoviciowi pistoletu do głowy. Dlaczego nie zabił go już wiele miesięcy temu? Teraz jednak Poincaré nadal siedział. Spokojnie. W tym wypadku sprawiedliwość oraz zemsta pozostawały ze sobą w sprzeczności. Sprawiedliwość wymagała śmierci, zemsta tego, by Banović, zanim sam

umrze, widział, jak morduje mu się żonę i dzieci. Poincaré pragnął zemsty, skupił więc uwagę na prokuratorze, właśnie kończącym odczytywanie aktu oskarżenia:

— ...Podsumowując: oskarżony stoi przed Trybunałem w związku ze zbrodnią zamordowania siedemdziesięciu trzech muzułmańskich mężczyzn i chłopców, torturowaniem i nieludzkim traktowaniem rzeczonych ofiar podczas transportu do jaru w lesie na południe od Banja Luki, zniszczeniem ich własności przed rzeczonym transportem oraz celową napaścią na ludność cywilną, zamieszkałą w wiejskich osiedlach. Zgodnie z artykułem ósmym Statutu Rzymskiego, Stipo Javor Banović, oficjalny i rzeczywisty przywódca grupy paramilitarnej, znanej jako Patrioci Wielkiej Serbii, zostaje oskarżony o zbrodnię przeciwko ludzkości. W związku z tym oskarżenie będzie się domagało siedemdziesięciu trzech wyroków dożywocia.

Prokurator wrócił na swoje miejsce. Banović wyglądał prawie tak jak wtedy, gdy Poincaré widział go po raz ostatni. Miał kraciastą koszulę i okulary w drucianych oprawkach. Wstał, aby zwrócić się do sądu. Były bibliotekarz nie wykonał żadnego gestu w stronę żony i dzieci. Z tyłu można było dostrzec, że powoli mierzy salę spojrzeniem, od oskarżyciela po sędziów, sekretarzy oraz strażników. Oto komendant Stipo Banović, całkowicie opanowany, okazujący pogardę jakimkolwiek prawu poza własnym. Jego głos zabrzmiał mocno i czysto:

— Ten sąd nie zebrał się, aby osądzić tak zwane akty ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości czy zbrodni wojenne, ale raczej sprawy, które są politycznie użyteczne dla sygnatariuszy Statutu Rzymskiego. W związku z tym odrzucam jurysdykcję tego sądu. Prokurator nigdy nie oskarży Chin za Tienanmen ani Stanów Zjednoczonych za Guantanamo. A jednak niszczy bojowników o wolność, takich jak ja, ludzi wybranych przez Boga, by oczyścili ten świat z plugastwa! Organizacja Stanów Zjednoczonych siedziała beczynnym, kiedy Jugosławia się zapadła, a potem stworzyliście Trybunał dla Byłej Jugosławii, by uspokoić nieczyste sumienia. Pluję na wasze puste gesty. Pluję na zarzuty wysane z palca, pluję na werdykt, który ustalono, zanim w ogóle zaczął się ten proces!

Banović stał wystarczająco długo, by jego krótkie oświadczenie wybrzmiało echem i zamarło w kątach sali. Poincaré pochylił się, sięgnął za poję marynarki. Wykrzyknij jego imię, poczekaj, aż cię zobaczy, potem wpakuj szybko trzy kule, uśmiechnij się szeroko. Upewnij się, że widzi twój uśmiech. Taki właśnie był plan, gotów już, kiedy Henri wchodził do sądu. W zwykłych okolicznościach dla przycupniętego na piętach Poincarégo pomyśleć równało się zrobić. Teraz jednak stracił równowagę, uderzył kolanem w krzesło przed sobą. Córka Banovicia odwróciła się, zobaczyła, że trzyma rękę pod marynarką. Miała gęste, kasztanowe loki. Dołeczki. Duże, brązowe oczy. Czy skończyła sześć lat? Dziecko uśmiechnęło się, policzki zaróżowiły się po długim spacerze. Czy rozumiała groźbę zagłady, którą niósł?

Ona jest czyjaś Chloe, uświadomił sobie z jasnością nagłą jak trzask bicia. Doskonałym, pięknym dzieckiem. Dłoń ześlizgnęła się z pistoletu, gdy jęknął i padł do przodu,

potrącając matkę. Ta odwróciła się i rozpoznała Henriego.

— To ty! — wrzasnęła na sprawcę swoich trosk, człowieka, który odczytał zarzuty jej mężowi w ich domu, w niezrozumiałym dla niej języku, a potem wyprowadził go w kajdankach. — To ty!

Dwieście osób drgnęło.

Miał jeszcze kilka sekund, zanim strażnicy zasłonią pole ostrzału. Ponownie się skulił i jakby przez zarośla patrzył na Banovicia, który odwrócił się, a następnie rzucił przed siebie jednym ruchem, niczym drapieżnik. Strażnicy złapali go w połowie skoku, więzień zawył, zarazem tak dziko i rozdzierająco, że przez chwilę ziemia wstrzymała obrót. Poincaré znał ten dźwięk — wycie, jakie dobiegło do niego przez winnicę, gdy dotknął Claire i odkrył kamień tam, gdzie kiedyś było ciało. Wycie, które skręciło mu trzewia, gdy Etienne krzychał „wynocha”, ryk, który wyrwał mu się z piersi, gdy umarła Chloe.

Czy naprawdę tropił niewinną kobietę i jej dzieci po to, żeby je zabić? Dlaczego? Żeby przywrócić Chloe do życia? Żeby przywrócić do istnienia swoją rodzinę, tak jakby jedna rozpacz, spadając na drugą, mogła doprowadzić do czegoś innego niż taka sama rozpacz? Nagle wycie Poincarégo zmieszało się z wyciem Banovicia gdzieś ponad pustkowiem, tak dalekim od ludzkich osiedli, że nie mogło być stamtąd powrotu — jeśli naciśnie spust. Zobaczył syna Banovicia w marynarskim ubranku, dziewczynkę w fartuszu wykrochmalonym i wyprasowanym dzisiaj rano; kobietę z broszką, jedynym jej skarbem, zrozpaczoną perspektywą wychowania syna i córki bez ojca, w biedzie.

Broszka, mały żółwik, wysadzany kawałkami barwnego szkła. Kiedyś był też inny żółwik... Lucien wybiegł z lasu nieopodal boiska do piłki, krzycząc: „Patrzcie!” Poincaré i koledzy otoczyli go, wołając: „Co, no pokaż!” To był zwykły żółw, jego skorupa mieniła się jak diamenty, żółta i pomarańczowa. Wciągnął do środka okryte łuskami głowę i nogi. „Patrzcie”, zawołał Luc, unosząc żółwia nad głowę, a potem cisnął nim o kamień. Diamenty skorupy roztrzaskały się, a dzieci wstrzymały oddech. A jednak pozostało jeszcze życie, jakieś wiercenie się i sączenie. Chłopcy przysunęli się bliżej, a Luc oznajmił: „To jest różowe”.

Dłoń Poincarégo ponownie puściła pistolet. Nie mógł zabić w ten sposób — nawet Banovicia. Nie, jeśli chciał żyć w świecie ludzi. Padł na kolana, a żona oskarżonego rzuciła się na niego z pięściami, Banović wrzeszczał i szarpał się ze strażnikami, wprowadzającymi go z sali.

— Irina, Casimir! Nora! Kocham was!

Jacyś inni strażnicy pochwycili żonę i dzieci Serba, ale Poincarégo, który miał odznakę zawieszoną na szyi, pozostawiono w spokoju. To już koniec, pomyślał, absolutny koniec. Oparł czoło o oparcie fotela przed sobą, a cała siła, jaką zebrał, zniknęła. Jego rodzina odeszła, zemsta była bezużyteczna, broń nawet nie opuściła kabury.

Usłyszał kroki i poczuł dłoń na ramieniu.

— Henri.

Otworzył oczy, zobaczył parę drogich, włoskich mokasynów.

— Co tu się właśnie stało?

— Odejdź.

— Kiedy tylko się dowiedziałem o Chloe, natychmiast popędziłem do Paryża. Nie mogłem cię znaleźć, spróbowałem w szpitalu u Etienne'a. Dzwoniłem do Fonroque. I potem uznałem, że znajdę cię tutaj. Henri, ten człowiek zasłużył na śmierć, ale to nie jego ludzie zabili twoją wnuczkę. Spójrz na mnie. — Poincaré nie uniósł głowy, nawet gdy Paolo rzucił mu fotografie. — Kamery szpitala wszystko nagrały. Wiemy, jak wygląda — kobieta przebrana za lekarza, mamy ją, jak wchodzi na oddział, wlewa jakiś łatwopalny środek do kosza na śmieci, wrzuca zapalniczkę, a potem idzie korytarzem do sali Chloe. Jeszcze nie połączyliśmy z tą twarzą żadnego nazwiska, ale jestem pewien, że to nie agentka Banovicia. To jakaś Latynoska — daleko jej do byłej agentki Stasi. Henri, spójrz na mnie!

Poincaré powoli uniósł głowę i zobaczył czyjąś dłoń. Trzymała zdjęcie.

— Co? — powiedział, a jego oczy zwróciły się w stronę Ludoviciego.

— Chryste! Potrzebujesz lekarza!

— Jakie nagranie? Jakie zdjęcie?

— Wychodzimy. I to już. — Ludovici chwycił Henriego pod ramię, aby go podtrzymać i potrącił kaburę. Szarpnięciem podniósł Poincarégo na równe nogi.

— Przyniosłeś broń? Tutaj? Chciałeś go zastrzelić w sali sądowej? O Boże, Henri, kto ciebie uratuje przed tobą samym?

Poincaré wyrwał mu zdjęcie z rąk, wściekły, że nie ma okularów do czytania. Wizerunek nie chciał nabrać ostrości, odsunął więc rękę tak daleko, by dojrzeć na fotografii kogoś w białym, szpitalnym kitlu, stojącego w znajomym korytarzu. Jakąś kobietę. Gdy zmrużył oczy, uznał, że kobieta wygląda znajomo. Średni wzrost, miodowoorzechowa skóra, ciemne włosy splecione w gruby warkocz. Otarł oczy rękawem, uważniej przyjrzał się jej szyi ze znamieniem o barwie portwajnu. To była Dana Chambi.

20

Claire?... Najdroższa, słyszysz mnie?

...

— Claire, wyjeżdżam. Sprawy zawodowe. Niedługo wrócę do domu. — Wyobraził sobie, że słyszy oddech po drugiej stronie linii telefonicznej. — No dobrze, będę dzwonił. Będę dzwonił codziennie.

I tak oto Poincaré wyłonił się niczym z krypty, aby odnaleźć zabójczynię swojej wnuczki. Od dziesięciu tygodni nie czytał gazet, nie oglądał telewizji i tylko od czasu do czasu słuchał radia, bezskutecznie poszukując muzyki, która ukoiłaby jego nerwy. Kursując między Paryżem a Fonroque, nie zwracał uwagi na świat, który kręcił się dalej, obojętny na

jego życiową katastrofę. W związku z tym było dla niego pewną niespodzianką, że wszystkie media skupiły się na dacie piętnastego sierpnia, dniu, w którym Chrystus miał odkupić wiernych. Niewiarygodne, że w czasie zaledwie dwóch miesięcy Żołnierze Wniebowstąpienia tak bardzo skupili powszechną uwagę na prorocztwie Drugiego Przyjścia. Każdy, kto kiedykolwiek rozmyślał o końcu świata, nie mógł już traktować piętnastego sierpnia jako kolejnego dnia w kalendarzu. Żołnierze stali się współczesnymi Izajaszami, zesłanymi, by przygotować świat na Nowy Dzień. Po prostu nie dało się uniknąć ich bojowego okrzyku „Bóg jest blisko!” Słowo hosanna wywrzaskiwano w dwudziestu czterech strefach czasowych, pojawiało się na billboardach przy autostradach i ulicach, jak gdyby wystarczająco częste i głośne przypominanie o piętnastym sierpnia mogło samo w sobie doprowadzić do długo oczekiwanego Zbawienia.

Gdy Poincaré niepewnie powrócił do świata, Wniebowstąpienie stało się newsem zapewniającym mediom materiał, pozwalający na budowanie napięcia przed wyznaczonym dniem i godziną jedenastą trzydzieści osiem. Z okazji Wniebowstąpienia zapowiedziano wielkie spotkania na placach Tokio, Londynu, Nowego Jorku i Amsterdamu. Można było nawet znaleźć kalendarze oraz zegary odmierzające ostatnie dni i sekundy. Pod nieobecność Poincarégo Wniebowstąpienie stało się wiralem — pandemicznie transmitowanym przez stacje telewizyjne, pocztę elektroniczną oraz przenoszonym z ust do ust. Mógł jedynie patrzeć i dziwić się, przy czym główny powód tego zadziwienia stanowił fakt wzrostu liczby zabójstw na tle religijnym, w sprawie których prowadził dochodzenie Laurent. Popełniano je według tego samego wzorca, co morderstwo pracownicy socjalnej w Barcelonie — kula w potylicę, cytat z Pisma Świętego przypięty do ubrania, oraz jasny przekaz, że osoby czyniące dobro nie są już mile widziane, bo ich praca opóźnia Trybulację, a w związku z tym Ponowne Przyjście. Tak jakby owa logika nie była już wystarczająco naciągana, chrześcijańscy zamachowcy samobójcy, idąc za przykładem Mediolanu, wysadzali się teraz dla Chrystusa w nadziei, że przyspieszą Wniebowstąpienie. Skoro Odkupienie miało nadejść tylko wśród wielkiego zamętu, szerzenie chaosu je przyspieszy.

Poincaré z trudem się z tym oswajał. Czuł się, jakby wkroczył do zbiorowej halucynacji. Sprawy, które dwa miesiące temu były głównymi problemami świata — to samo niezadowolenie społeczne, to samo globalne ocieplenie, ten sam głód i te same epidemie — teraz nazywano ostatecznymi znakami Końca Czasów. Miliony uwierzyły, że Wniebowstąpienie jest blisko, bo wierzyły w nie już miliony innych. Kolejne miliony, agnostycznie pochodzące do sprawy ponownego przyjścia Chrystusa, zastanawiały się, czy może jednak nie powinny zainteresować się losem swoich dusz. I prawie wszyscy zaczęli uważać na ludzi w białych szatach, być może skrywających bomby. Poincaré doszedł do wniosku, że Serge Laurent będzie wiedział coś więcej na ten temat. Laurent prowadził śledztwo w sprawie tego całego szaleństwa, niewykluczone więc, że powie coś użytecznego.

Po tym jak Ludovici dostarczył Montforte’owi nagranie ze szpitalnych kamer, Interpol

starał się zidentyfikować kobietę w fartuchu laboratoryjnym, tę, która weszła do sali Chloe. Poincaré przyglądał się trudowi analityków, sam jednak niczego im nie podpowiedział. Postanowił, że odnalezienie Chambi pozostanie wyłącznie jego sprawą — a śledztwo związane z Fensterem zapewni mu odpowiednią przykrywkę. Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, nie interesowało go już tropienie zabójcy matematyka, a jeszcze mniej poszukiwania źródła nadchloranu amonu. Aby jednak zlokalizować Chambi, potrzebował taktycznych oraz finansowych zasobów Interpolu. Dlatego pewnego ranka zadzwonił do Alberta Montforte'a, by powiadomić go, że nadal interesuje się sprawą Fenstera.

— Gniję w Fonroque — oznajmił. — Muszę znowu zająć się pracą.

Kłamał tak przekonywająco, że przełożony wezwał go do Lyonu na spotkanie.

— Będę szczerzy — oznajmił Montforte. — Nie chcę, żebyś dokądkolwiek jechał, dopóki nie spędzisz jeszcze kilku tygodni na dochodzeniu do siebie. Wyglądasz źle jak cholera.

— Albercie, tobie też życzę wszystkiego najlepszego — odparł Poincaré.

— Raczej mnie to nie czeka. Zarząd poradził mi, żebym szedł na emeryturę... Powiedzieli, że czterdzieści lat w Interpolu wystarczy. A tobie, Henri, powinno wystarczyć trzydzieści. Zostaw sprawę Fenstera. Claire i dzieci cię potrzebują.

Akurat co do tego Poincaré miał jasność.

— Już nie potrzebują. Nie teraz.

— Nie wierzę w to.

— Jak chcesz. Wyjeżdżam dzisiaj po południu. — Wręczył Montforte'owi szczegółowy plan podróży.

— Nie będę ci stawał na drodze, chociaż następny dyrektor będzie, jeśli szybko się z tym nie uporasz. Jest takie powiedzenie o wynoszeniu starego próchna za drzwi. Posłuchaj mojej rady i daj sobie spokój.

Poincaré milczał.

— No dobrze... Na razie. Będziesz szukał tego paliwa rakietowego?

— A czego innego? Przecież to o nie chodzi w całej tej sprawie.

— To zajmij się NASA. Zacznij od Laboratorium Napędu Odrzutowego. Podczas tych kilku tygodni, kiedy byłeś w Fonroque, zacząłem gromadzić raporty wysyłane przez to laboratorium oraz porucznik De Vries, zakładając, że ktoś inny przejmie od ciebie śledztwo. — Montforte wyciągał teczkę ze stosiku na biurku. — Do przeczytania w samolocie. Wygląda na to, że szukamy kogoś, kto się zna na chemii, kto potrafi hodować specjalne kryształy o nazwie oktagen, używane do wytwarzania nadchloranu amonu, i kto pracował z materiałami pędnymi. Mówimy tutaj o kilku tysiącach ludzi na całym świecie, spełniających te kryteria, grupie stosunkowo niewielkiej. Zadanie będzie jeszcze prostsze, bo precyzja, z jaką umieszczono ładunek wybuchowy, sugeruje kogoś znającego się na górnictwie. Zastanów się nad tym. Zdjęcia z tamtego hotelu w Amsterdamie pokazują, że pokój został wycięty z ostatniego piętra. Coś takiego wymaga umiejętności. Czyli że zakres poszukiwań możesz zawęzić z około trzech tysięcy osób do kilkuset. Musisz się

dowiedzieć, kto z tej grupy nie przebywał przy pulpicie laboratoryjnym w połowie kwietnia — chodzi o pracowników NASA, Europejskiej Agencji Kosmicznej, a także Agencji Rosyjskiej i Chińskiej. Z tej podgrupy trzeba wyłonić jeszcze jedną podgrupę tych, którzy wyjechali do Unii Europejskiej. Na całej planecie nie może być więcej niż osiem osób spełniających te wszystkie kryteria. Tutaj znajdziesz nazwiska, a niektórzy z kandydatów pracują w Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA. Ten, który w papierach wygląda obiecująco, zmarł trzy tygodnie przed zamachem w Amsterdamie.

Poincaré wziął teczkę i odwrócił się, aby wyjść, ale Montforte jeszcze nie skończył.

— Nie mam nic nowego na temat Rainier.

Dyrektor spoglądał przez parking na linię drzew na skraju kompleksu budynków Interpolu.

— W sumie powinienem się cieszyć, że odchodzę — tyle że nie w taki sposób. Komitet Wykonawczy zażądał, aby wyjaśnić, jak ludzie Banovicia przedostali się do kraju i zaatakowali twoją rodzinę, a potem dotarli do Chloe. Nie byłem w stanie tego zrobić, bo sam tego nie wiedziałem. Ludzie Banovicia nie żyli. Ludovici sądzi, że ten ostatni atak nastąpił z całkiem innej strony. — Dłonie drżały mu jeszcze bardziej. — Jedyne, co im mogłem powiedzieć, to, że szukamy właśnie luk w naszym systemie i że złożę raport. Szefostwo nie chce żadnych raportów, a ja im się wcale nie dziwię.

Obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

— Henri, zawiodłem cię.

Kiedyś byli przyjaciółmi.

Przy drzwiach Montforte powiedział jeszcze:

— Czterdzieści lat i na koniec najgorszy błąd w mojej karierze. Nawet nie potrafię prosić cię o wybaczenie. Chloe.

Poincaré milczał.

— No, dobra. A co do tej kobiety w Klinice Leczenia Oparzeń, to podejmę wszystkie...

— Nie rozmawiamy teraz o śmierci mojej wnuczki.

— Tamtej kobiety nie mamy nigdzie w naszych bazach danych. Gdyby przynajmniej kiedyś ukradła cukierek, to już coś byśmy znaleźli. Dlaczego ktoś miałby atakować dziecko w takim stanie...

Poincaré otworzył drzwi.

— *Bonne chance*, Henri. Miejmy nadzieję, że Laboratorium Napędu odpowie na twoje pytania. Bo w przeciwnym razie poszukiwania mogą okazać się trudne.

— Nie przejmuję się — odparł Poincaré. — Czuję się bardzo zmotywowany.

Ostatni posiłek w Lyonie przed wyruszeniem do Ameryki zjadł w Café du Soleil, niedaleko swojego dawnego mieszkania. Nie umiał chodzić po tej okolicy, nie myśląc o Claire. W dawnych czasach pewnie zabrałyby go w niedzielny poranek, żeby poczuć bruk pod stopami i tłum w wąskich uliczkach. „Zamknij oczy”, powiedziałyby mu, czekając, aż Poincaré naprawdę zamknie powieki, tak by móc poprowadzić go za rękę. Przy Claire jego

zmysły rozkwitały. Czuł zapach bagietek i rogalików w piekarni, słyszał nawoływania rybaka i sprzedawcy owoców.

— Tutaj poczujesz się ludzki — powiedziałaaby. — Złączony.

Kiedyś był z nią złączony.

— Henri!

Właściciel kawiarni serdecznie poklepał go po ramieniu. Tak jak wszyscy, Samuel Ackart wiedział o zmartwieniach Poincarégo. Przyjaźnili się wystarczająco długo, by to, co było do powiedzenia, wyrazić tylko oczyma i uściskiem dłoni.

— Jak myślisz — odezwał się Ackart. — Mógłbym się tego jakoś pozbyć? — Wskazał ponad ramieniem Poincarégo na drugą stronę ulicy. Henri odwrócił się i zobaczył wielki numer 39 umieszczony na boku budynku. — Odliczanie do końca świata. Wszyscy o tym gadają i mówiąc szczerze, mam już tego dość. Niech już Chrystus wreszcie przyjdzie albo nie przyjdzie i niech będzie z tym wreszcie spokój. Muszę się zajmować interesami.

Poincaré odwrócił się z powrotem do stolika.

— Samuelu, myślę, że Drugie Przyjście może się przysłużyć twoim interesom. Jak świat się skończy, to komu będą potrzebne pieniądze? Równie dobrze można je wydać teraz na twoje jedzenie i wino.

Ackart splunął do kubka.

— Szczerze mówiąc, interesy idą kiepsko.

— W takim razie będziesz cierpieć już tylko przez trzydzieści dziewięć dni.

— Po prostu zdejmij ze mnie ten ból już teraz. Zrywam te liczby, a one pojawiają się na nowo, jakby wyrastały z jakiegoś diabelskiego nasienia. Wcale nie chcę, żeby mi przypominać!

Poincaré przeoczył zmianę tonu głosu Ackarta. Rozmowa stała się dla Henriego ciężkim wysiłkiem, ale ponieważ Ackart był przyjacielem, próbował ją podtrzymywać — robił to, jakby łączył ponumerowane kropki, bezmyślnie.

— Problemem jest twoje menu — powiedział — a nie Chrystus. Już co najmniej od dziesięciu lat mówię ci, żebyś używał lepszego koniaku do *coq au vin*. I żebyś serwował dania z większą ilością świeżych warzyw.

Ackart zapalił zapałkę, trzymał ją tak długo, aż poparzyła mu koniuszki palców. Zapalił jeszcze jedną, a od niej papierosa.

— Wspominałem, że ci Żołnierze Boga, czy jak tam się nazywają, mają teraz u siebie Alaina?

Poincaré odstawił kieliszek.

— Dwa miesiące temu rzucił pracę. W zeszłym tygodniu pokazał się w powłóczyście szacie. Teraz, kiedy podano datę Drugiego Przyjścia, nie można z nim rozmawiać. To jakieś szaleństwo. Nie mam pojęcia, czy się nie stanie jednym z tych wariatów, którzy się wysadzają dla Chrystusa. Poświęcił życie ratowaniu innych. I co teraz? Gdyby chciał zostać księdzem, to proszę bardzo. Ale to całe szaleństwo z Czasem Ostatecznym.. To takie

wulgarne, takie tanie.

Alain i Etienne, dorastając, spędzali u siebie nawzajem tyle samo czasu, co we własnych domach. Ich rodziny wspólnie jadały posiłki i wyjeżdżały na wakacje, chłopcy zawsze trzymali się razem. Kiedy Poincaré ostatnim razem widział Alaina, dwa lata temu w Paryżu, był odnoszącym sukcesy obrońcą z urzędu, w jedwabnym garniturze, który przy stole, podczas obiadu, nadal zwracał się do Henriego „wujku”.

— Pojechał do Los Angeles — mówił dalej Ackart — bo, jak powiedział, Los Angeles to miasto, które najbardziej potrzebuje zbawienia. Nowa Sodomia i Gomora. Cecile i ja okropnie się boimy, że przeczytamy o nim w jakiejś porannej gazecie, że wysadził się na Rodeo Drive, krzyząc „Jezus żyje”. Byłem u niego ze dwa razy, próbując przemówić mu do rozumu. Jedyne, co zrobił, to pokazał mi nagłówki codziennych wiadomości. „Jakich jeszcze dowodów ci trzeba na to, że zbliża się koniec świata?”, zapytał. „Świat się rozlatuje. Poczytaj sobie o tym wszystkim!”

Aż do teraz Żołnierze Wniebowstąpienia byli dla Poincarégo tylko komiksem, chociaż bardzo niebezpiecznym. Z jednej strony jakiś młody chłopak ze swoimi „zaiste” w metrze w Cambridge, udający proroka w szatach jak wyjętych z jakiegoś filmu — i ledwie zdający sobie sprawę, o co chodzi w głoszonej przez niego teologii. Z drugiej, zamachowcy samobójcy oraz mordercy, chcący terrorem przyspieszyć Drugie Przyjście. Poincaré przed rozmową z Samuelem Ackartem lekceważył tę teologię, uważając ją za głupotę, drugie zaś uważał za to, czym w istocie było: zwyczajny terrorizm. Lecz Alain? Przecież nie powtarzał bezmyślnie słów Pisma Świętego, nie był zabójcą niewinnych. Był rozsądnym, uprzejmym człowiekiem, a zawód prawnika, który sobie wybrał, odpowiadał mu z takich samych, głębokich powodów, jak zawód architekta Etienne’owi.

— Jak to się stało? — zapytał.

Twarz Ackarta stanowiła wręcz studium zmieniających się odcieni depresyjnej szarości. Oczy miał podpuchnięte, zniknął ich blask. Poincaré wspólnie z nim patrzył przez okno, obaj mężczyźni zatonęli w prowadzonej bez słów rozmowie z liczbą trzydzieści dziewięć.

— Wiesz, to było wrażliwe dziecko — odezwał się Samuel po jakimś czasie. — Kłótnie wytrącały go z równowagi. Jeśli przy kolacji ja albo Cecile podnosiliśmy głos, wybiegał z płaczem. Kiedy miał siedem lat, musiałem zaprzestać prenumeraty gazety, bo artykuły psuły mu humor. Zapytałem go kiedyś, dlaczego posmutniał, a on mi pokazał zdjęcie somalijskiego dziecka z krzywicą. W jakimś momencie życia reszta z nas przestaje się tym wszystkim przejmować. Alain nie potrafił. Nie przestał.

Dym z papierosa Ackarta gromadził się ponad ich głowami jak deszczowe chmury. Poincaré poprawił się na krześle, ale nie był w stanie usadowić się wygodnie.

— Wojny domowe, morderstwa, zamieszki — ciągnął Ackart. — Złamało go cierpienie innych. Wybrał prawo, aby naprawiać świat — i pięknie było na to patrzeć. Ale po sześciu czy siedmiu latach znowu stał się ponury. Dwa miesiące temu uznał, że nastał czas Trybulacji i pozostawił wszystko Chrystusowi, aby zrobił z tym porządek. „Całe to cierpienie musi być jakimś znakiem”, powiedział. „Bo jeśli nie jest, życie nie jest warte,

by je przeżywać”. I na tym się skończyło. Te słowa przestraszyły mnie jak jasna cholera. Potem wyjechał do Los Angeles. Cecile i ja jesteśmy zrozpaczeni. Straciliśmy syna. To całe szaleństwo z końcem świata rujnuje nam interes. Co gorsza, nie jestem pewien, czy Alain nie wysadzi się dla Chrystusa. Chyba zaraz zwariuję.

Spojrzał poprzez tytoniową mgiełkę, oczy miał wilgotne. Rozpacz, jaką czuł Poincaré, była ogromna, lecz rozpacz Samuela go poruszyła.

— Rano wylatuję do Stanów — oznajmił. — Jeden z przystanków mam w Los Angeles. Mogę zabrać Alaina i przysłać do domu, żeby go odprogramowali.

— Odprogramowali... żeby znowu zobaczył te same nagłówki w gazetach? Henri, świat się pieprzy. Jak można na nim żyć? — Ackart potrząsnął głową. — Słuchaj, masz własne problemy, a ja nie mam prawa... Ale po prostu nie mogę tego tak zostawić. — Nagryzmolił adres. — Znajdź go. Jeśli uznasz, że jest niebezpieczny, zabierz go z ulicy, zanim stanie się coś złego.

21

Panie Panky-Rej, niech pan wejdzie!

Poincaré z czułością przypomniał sobie teściową Petera Roya, chociaż, szczerze mówiąc, zapomniał o niej aż do chwili, gdy znowu spróbował dogadać się z ponurym domofonem przy Massachusetts Avenue. Z brzękiem wpuściła go do budynku i powitała w drzwiach, tym samym uśmiechem oraz tym samym trzęsieniem się obwisłych policzków, które tak go urzekły podczas pierwszej wizyty. Tym razem w półmroku korytarza wyciągnęła ku Henriemu dłoń, grzbietem ku górze. Czekwała. Poincaré lekko się pochylił, pocałował grzbiet tej dłoni.

— *Enchanté* — odparła. — Mąż Rachel pana oczekuje.

— Mąż Rachel?

— Peter, mój zięć.

Za jej plecami pojawił się Roy.

— Gladys, znowu straszysz nam klientów?

Wracając do biura, poklepała go po ramieniu.

— Jesteś ojcem moich wnuków i płacisz mi, nie powiem więc niczego niemiłego. Jednak pan Panky-Rej mógłby cię co nieco nauczyć o dobrych manierach. Zacznij od całusa co rano. Na przykład tutaj. — Palcem wskazała policzek.

Roy odchrząknął.

— Henri, witamy w Ameryce.

Poincaré zapomniał też o przyjemnym wrażeniu, jakie zrobił na nim Peter Roy, przypominający mu małomiasteczkowych prawników, o których czytywał w młodości. Nosił szelki, muszkę i okulary połówki w drucianych oprawkach, a za nimi miał ciemne oczy mówiące o zasadach, których nie wolno naginać. Tyle że akurat ten małomiasteczkowy

prawnik zawiesił swój szyld nad salonem tatuazu w dużym mieście na Wschodnim Wybrzeżu.

— Gladys słyszała, że przyjdiesz i upiekła babeczki — oznajmił.

— Cicho! To niespodzianka! — Kobieta wyłoniła się zza rogu z blachą makowych babeczek, a Poincarému przypomniła się Felice Laval, gdy przyszła ich powitać, kiedy razem z Claire sprowadził się na farmę. Przytłoczony lichym stanem obejścia, cierpiąc brutalne wyrzuty sumienia, Henri właśnie wtykał dłoń w dziurę w fundamentach, której dotąd jakoś nie zauważył. Felice pojawiła się z koszem rogalików i dodającą otuchy wieścią, że polne myszy stanowią problem tylko przez dziesięć miesięcy w roku.

— Skoro znalazł się pan tak daleko od domu — oznajmiła teściowa Roya — pomyślałam, że doceni pan nieco amerykańskiej gościnności. Czy pańska żona piecze babeczki?

— Akurat teraz nie, madame.

Pokuśtykała w poszukiwaniu kawy znikając z pola widzenia. Poincaré, idąc do sali konferencyjnej, powiedział:

— Doceniasz, jak wielkie masz szczęście?

— Że mam Gladys? Połowa moich klientów przynosi jej czekoladki albo kwiaty. Druga połowa dziwi się, że jeszcze nie zwariowałem... Co mogę dla ciebie zrobić? Ostatnio mi się wydaje, że bez przerwy się spieszę. Kiedy byłem partnerem w śródmiejskiej kancelarii, kasującej pięćset dolarów za godzinę, ustawiałem zegar tak, aby odmierzał dziesięciominutowe odcinki, żeby co miesiąc wyrabiać swoją normę. Teraz ustaliłem stawkę, na jaką moi nowi klienci mogą sobie pozwolić — czterdzieści dolarów za godzinę, co nawet nie jest połową stawki dobrego masażysty — i ustawiam zegar na dwuminutowe odcinki, tak tylko, żeby mieć czym opłacić prąd. W śródmieściu nie byłem panem swojego czasu i nie jestem nim także tutaj. Żona mówi, że jeden więzienny mundurek zamieniłem na drugi.

— Ale ja nie jestem płatnym klientem — zauważył Poincaré. — Czy może jestem?

Roy uśmiechnął się.

— Siadaj, Henri. Jak sądzę, czekasz na nowe wieści. Madeleine Rainier już się do mnie nie odzywała. A sprawa majątku Fenstera została zamknięta. Wyjaśnione są wszystkie kwestie prawne, poza jedną. Walka o twardy dysk stała się jeszcze bardziej zaciekle. Eric Hurley, główny śledczy w sprawie z ramienia stanu, skontaktował się ze mną przed dwoma tygodniami, pytając, czy Fenster zawarł w testamencie jakieś dyspozycje dotyczące przekazania laptopa. Mam silne przeczucie, chociaż nikt nie pytał mnie o zdanie, że skoro James zostawił wszystko założonej przez siebie Lidze Matematycznej, mającej wspierać system edukacyjny w Cambridge, to na innych spoczywa obowiązek udowodnienia, dlaczego jego komputer i cokolwiek na nim zostało umieszczone, nie powinno również trafić do Ligi. Nikt nie wie, co jest na tym dysku. Jednak, powiedzmy, zainteresowanie jest spore.

— Odezwę się do Hurleya — powiedział Henri. — Spotkaliśmy się kiedyś.

— Powinieneś. Władze stanowe ostatecznie zwróciły mieszkanie Fenstera właścicielowi, który domagał się tego, żeby móc ponownie wynająć lokal. Śledztwo zablokowało to miejsce na — zaraz... o, to już byłyby ze cztery miesiące. Tamten facet zasłużył na swój czynsz.

— Oczywiście. A co z rzeczami Fensterera?

— Jak sądzę, gdzieś je przekazano. Właściciel mieszkania zlecił to dozorczy.

Poincaré przesunął po blacie stołu trzy zdjęcia tej samej osoby. Miodowoorzechowa skóra. Kruczoczarne włosy. Okrągła twarz. Jedna z fotografii pochodziła sprzed miesiąca ze strony internetowej wydziału matematyki Uniwersytetu Harvarda. Drugą przysłał e-mailem Rejestr Pojazdów Silnikowych Stanu Massachusetts. Trzecia była zdjęciem paszportowym, dostarczonym przez Konsulat Generalny Ekwadoru. Roy przestudiował fotografie.

— Lubi apaszki — zauważył. — A poza tym nigdy jej nie spotkałem.

— To Dana Chambi — wyjaśnił Poincaré.

— Doktorantka Fensterera? Po zamachu kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Głównie o Lidze Matematycznej i o tym, jak może stać się ważnym elementem dziedzictwa Fensterera. Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, ale wywnioskowałem, że jest bystra i sympatyczna. Czego chcesz od Dany Chambi?

— To osoba, którą interesuję się w związku ze śledztwem.

Roy złożył dłonie.

— Nie powinienem wyrabiać sobie opinii o kobiecie, którą znam tylko telefonicznie. Mówiąc szczerze, była wyłącznie użyteczna. Mówisz, że to morderczyni?

— Mówię, że to osoba, którą interesuję się w związku ze śledztwem.

Roy pokiwał głową.

— No dobrze. Mogę powiedzieć, jak ją znaleźć, ale nie mogę powiedzieć gdzie, jeśli to w ogóle brzmi sensownie. Jest „specjalistą-rezydentem” na stronie internetowej Ligi Matematycznej. Uczniowie po zalogowaniu znajdują na stronie zestawy naukowe, łamigłówek, labirynty i tak dalej. Jest tam również lista dyskusyjna, którą Chambi monitoruje, udzielając darmowych porad edukacyjnych. Mówiła, że to sposób na to, aby kontynuować misję Fensterera. Stworzyła tę całą stronę i będzie wszystko prowadzić przez lato na zasadzie eksperymentu. A potem stronę przejmą inni tutorzy. Fundusz Fensterera płaci niewielkie pieniądze za reklamowanie jej tutaj, w Cambridge. Panna Chambi zajmuje się resztą, za darmo. Ta strona robi wrażenie pod każdym względem. Zawiera kompletny program nauczania matematyki, uzupełniający to, co jest na lekcjach. Rozwijając ją, brano pod uwagę system nauczania i najwyraźniej istnieje poparcie, aby wprowadzić to do programu szkolnego. Sądzę, że na letnich zajęciach uzupełniających już z tego korzystają. Czyli że możesz znaleźć Chambi w Internecie. Gdzie jednak przesiaduje fizycznie, można już tylko zgadywać.

— Gdzie jest ta strona? Na jakim serwerze wynajmowane jest dla niej miejsce?

Roy otworzył drugą teczkę.

— Wszystkie koszty pokrywa Liga Matematyczna. Domena, hosting... — przewertował kilka stron. — Tak, tutaj to jest. — Wskazał kopie faktur, gdzie Liga figurowała jako płatnik.

— Pierwsze czeki na pokrycie kosztów wystartowania ze stroną wystawiła Gladys. To roczna opłata, niezbyt duża. Jestem opiekunem Ligi, w każdym razie tymczasowym. Zgodnie z instrukcjami panny Chambi wykupiliśmy nazwę domeny, zapłaciliśmy za miejsce na serwerze. Firma, z którą to załatwialiśmy, mieści się w Filadelfii, jej serwery mogą znajdować się gdziekolwiek. Chambi może sobie wędrować po świecie i jednocześnie cały czas zajmować się stroną, bez żadnej szkody dla jej użytkowników. Nie ma tam nic, co mogłoby pomóc w ustaleniu jej obecnego miejsca pobytu. Możesz nakazać firmie dokonanie lokalizacji, ale skierują cię tylko z powrotem tutaj, bo jesteśmy dla nich jedynymi osobami, które rzeczywiście istnieją.

— Ale na pewno loguje się do serwera, używając niepowtarzalnego numeru IP.

— Nie. Wszystko, czego jej trzeba, to nazwa użytkownika, hasło i już można wchodzić. Tak samo jak ty mógłbyś przysiąc się do czyjegokolwiek komputera gdziekolwiek na świecie i mieć dostęp do swojego konta mailowego. Jeśli chcesz ją znaleźć, a ona tego nie chce, wszystko, co musi zrobić, to nie używać dwa razy tego samego komputera. Henri, nie znam się na twojej pracy, ale panna Chambi wywarła na mnie wrażenie osoby otwartej i sympatycznej. Bez wątplenia jest bardzo zaangażowana w opiekę nad dziedzictwem Fenstera. Zobacz zresztą sam. — Roy nagryzmolił na kartce adres strony internetowej.

Poincaré wstał, złożył kartkę z adresem i schował ją do kieszeni.

— W tym roku Liga Matematyczna będzie sponsorowała darmowe korepetycje we wszystkich szkołach w Cambridge — z prawdziwymi, żywymi korepetytorami. To wszystko zainspirował doktor Fenster. Swoją drogą, znalazłeś jego świadectwo urodzenia?

Dzień po ich ostatnim spotkaniu w kwietniu Poincaré polecił zespołowi prawniczemu Interpolu, aby załatwił mu nakaz. Nie zdziwił się, że zajęło to aż trzy miesiące. Efekty znalazł w korespondencji, przeglądając teczkę z dokumentami, które Montforte zgromadził pod jego nieobecność.

— To dziwne — powiedział detektyw. — Urząd adopcyjny w Ohio znalazł cały długi ciąg dokumentów, dotyczących wędrowni Fenstera po swoim systemie, ale nie potrafił zlokalizować jego aktu urodzenia. Powiedzieli, że się „zawieruszył”. Nie ma nic z okresu sprzed zmiany nazwiska przez pierwszą rodzinę zastępczą. Najwyraźniej nigdy się nie urodził.

Roy uśmiechnął się.

— Biurokraci... Mam z tym do czynienia codziennie. — Wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. — Henri, ostatnia sprawa. Prośba o przysługę.

— Oczywiście.

— Kiedy będziesz stąd wychodził, nie całuj mojej teściowej.

To, co rzuciło się Poincarému w oczy już przy pierwszym spotkaniu z dozorcą, jego

nieśmiałość — Jorge Silva unikał spojrzenia detektywa, nerwowo pociągał za dłonie — teraz wydawało się wręcz aktem heroizmu. Ten człowiek, dobrze po siedemdziesiątce, wstawał i zajmował się obrzydliwym ceglany pudłem z taką troską, jak gdyby to był zamek Windsor. Starannie utrzymane klomby z niecierpkami, pomalowane poręcze, przyszczyżona trawa, pouzupełniana zaprawa między ceglami. Wszystko opowiadało o rzeczach, które Henri dostrzegł już podczas pierwszej wizyty. Zastał dozorcę krzątającego się przed budynkiem.

— Zaraz skończę — powiedział Silva.

Zamiatął ściętą trawę w schludny stosik, który potem chował do worka, zamiast spychać z powrotem na trawnik. Oparł się ciężko na miotle i sięgnął po papier od cukierka.

— Ech, dzieciaki z tej ulicy — skwitował, obracając papiera w dłoni. — Połowa chodzi na Harvard, połowa na MIT, a żaden z nich nawet się nie zastanowi, nim naśmiecici w swojej okolicy. Czego ich tam uczą?

Poincaré wyjął legitymację i już miał się przedstawić, gdy Silva powiedział:

— Inspektorze, z moją pamięcią wszystko w porządku. Złapał pan tych ludzi, którzy zabili Jimmy’ego?

— Jeszcze nie — odparł Henri.

— To na co pan czeka?

— Panie Silva, na to trzeba czasu.

— Wie pan, ja mogę już nie mieć czasu. Niech mi pan powie, co nowego? — Silva wrzucił papiera do worka. — W zeszłym tygodniu wynajęto to mieszkanie.

— Słyszałem — odparł Poincaré. — Czy policja stanowa dużo tam zostawiła?

Dozorca pokiwał głową.

— Powiedzieli mi, żebym to wszystko sobie zatrzymał, spalił albo komuś oddał. Nic ich to nie obchodziło. Meble oddałem organizacji dobroczynnej. Ubrania były w świetnym stanie, ale je wyrzuciłem. Nie mogłem znieść myśli, że będzie je nosił ktoś inny. Zatrzymałem jego książki, ale żadnej nie mogłem przeczytać. Tylko kilka jest po angielsku. Żadnej po portugalsku. Może uniwersytet by je chciał.

— A jego zdjęcia? — zapytał Poincaré.

— Te wzięłem. Zatrzymałem sobie dwa. Resztę może pan zabrać. Myślę, że powinny trafić do jakiegoś muzeum. Pokażę panu.

Mieszkanie Silvy mogło się podobać Fensterowi. Poincaré zjawił się bez zapowiedzi, a jednak zastał skromny, pozbawiony ozdób lokal tak czysty i schludny, jakby miał być wystawiony na sprzedaż. Dozorca zerknął na kieszonkowy zegarek.

— Red Soksi właśnie zaczęli mecz w parku Fenway. Mogę włączyć radio i pokazać panu, co razem z Jimmym robiliśmy podczas zapisywania wyników.

Poincaré zadzwonił do biura Hurleya i umówił się z nim na spotkanie nazajutrz rano w komendzie policji w Cambridge. Poszukiwania Dany Chambi — „specjalisty-rezydenta” — mógł prowadzić online, w każdej chwili. Zdjął więc marynarkę i zawiesił na jednym z

dwóch krzeseł przy stole Silvy.

— Pamiętam, jak pan opowiadał, że wspólnie słuchaliście relacji z meczów i jedliście pizzę. Może coś zamówimy? — zaproponował Poincaré.

Silva zadzwonił po pizzę i włączył radio.

— Jimmy nie oglądał telewizji — powiedział. — Mówił mi, że kiedy słucha radia, przypomina sobie dzieciństwo. Miał cztery, może pięć lat, przybranych rodziców, którzy, jak opowiadał, zawsze ściśle przestrzegali pory kładzenia się spać. Przemycił więc radio pod kołdrę i słuchał przez słuchawkę. Kiedy przychodził do mnie w odwiedziny, włączaliśmy radio, które też lubiłem. — Znowu spojrzął na zegarek. — Na pizzę poczekamy ze dwadzieścia minut. Niech pan tu wejdzie.

Poincaré wkroczył za nim do niewielkiej sypialni, którą zdołał jedynie krucyfiks na jasnoniebieskiej ścianie oraz wiszący naprzeciwko tryptyk, zabrany z mieszkania Fenstera: zdjęcie porostów z alaskańskiej tundry, morskiego jednokomórkowca, powiększone dziesięć tysięcy razy, oraz tkanki ludzkiego płuca. Gdyby nie podpisy po drugiej stronie, nie dałoby się odróżnić jednego od drugiego.

Poincaré usłyszał głośne kliknięcie zza ściany, po którym nastąpiło niskie buczenie — to uruchomił się bojler grzejący wodę w budynku.

— Proszę — powiedział Silva, wskazując kilka pudełek. — Książki i reszta obrazków, proszę bardzo.

Silva wyszedł odebrać pizzę, a Poincaré przewertował kolekcję Fenstera z niechęcią turysty, zmuszonego, by szybciotko obejrzeć Luwr. Miał tylko kilka chwil, a można by przy tym spędzić całe dni. Z sąsiedniego pokoju dobiegły odgłosy meczu. Gdy zawodnicy byli już przy pierwszej oraz trzeciej bazie i nie doszło do żadnych autów, sprawozdawca na jednym wdechu opowiadał, czego David Ortiz mógłby dokonać, gdyby tylko zrelaksował się na własnej bazie i ponownie odkrył swój zamach — Poincaré nadal przeglądał galerię Fenstera. Zdjęcie podpisane „Wzory erozji koryta rzecznego” wykazywało uderzające podobieństwo do obrazka „Wykres, kontrakty terminowe w przemyśle bawełnianym, 100 lat, do 1934 roku”. Znowu pojawiły się wizerunki Francji, dwa, a także gałęzie drzewa zestawione z żyłami ludzkiego oka. Na odwrocie każdego obrazka, nad każdym podpisem w obrębie jednego zestawu zdjęć, detektyw znalazł jakieś słowo albo wyrażenie — w przypadku erozji oraz bawełny pojawiał się wyraz „Różnica”, opatrzony wykrzyknikiem. Ostatni raz przejrzał całą kolekcję, notując wszystko, co pozapisywał na niej Fenster.

Drzwi mieszkania otworzyły się i zamknęły. To wrócił Silva. Zobaczył dwa zdjęcia, ułożone na swojej kanapie.

— To one! — oznajmił. — Właśnie o nich myślałem, żeby je sobie zatrzymać...

Siedzieli, jedząc pizzę i słuchając, jak Red Soksi gromią Jankesów.

— Pokażę, co robiliśmy z Jimmym — powiedział Silva. — Najpierw zapis wyników. Po tej stronie wypisuję graczy jednej drużyny, a tutaj drugiej, w kolejności uderzeń. — Dozorca tłumaczył zawiłości punktacji meczu baseballowego. Poincarégo uderzyła złożoność tego zapisu oraz jego potencjał do generowania całych gór danych.

— Zapisywałem punkty — mówił dozorca — a po każdej zmianie Jimmy umiał powtórzyć wszystkie zagrania z pamięci, nie zaglądając w moje notatki. To jest dosyć łatwe przez kilka pierwszych zmian — kto trafił, kto miał aut, kto złapał piłkę. Jeśli mecz trwał dłużej, to nadal potrafił to zrobić. Przez cały czas, aż do dziewiątki, odtwarzał przebieg meczu, uderzenie po uderzeniu, od pierwszej zmiany. Sprawdzałem w notatkach, czy się zgadza. Straszne było to, że potrafił tak zrobić z każdym słuchanym meczem. Sprawdziłem go kiedyś, używając do tego meczów, których słuchaliśmy razem. Niektóre były sprzed roku albo dwóch. Nie zrobił żadnego błędu! Wy, Francuzi, nie znacie się na baseballu. Czy pan sobie zdaje sprawę, że ludzie po prostu nie są w stanie czegoś takiego zrobić?

— Zdaję sobie sprawę — odparł Poincaré.

— No to, inspektorze, teraz coś jeszcze lepszego. Przyniósł kiedyś swój komputer i wszedł na stronę ze statystykami baseballowymi. Kiedy jakiś facet wykonywał uderzenie, to podawał mi średnią jego pojawień na pałce, procentową obecność przy bazie oraz stosunek liczby zdobytych baz ogółem przez uderzenie do liczby pojawienia się na pałce. Sprawdzałem to w komputerze i wszystko było dobrze! Zapamiętywał statystyki drużyny przeciwnej, przed każdym meczem, a potem mówił na przykład „ten i tamten ma dwieście siedemdziesiąt z dwoma autami i graczem na drugiej albo trzeciej bazie”. Kiedy pytałem, jak się tego nauczył, to patrzył na mnie spojrzeniem mówiącym „któż to wie?” Opowiadał, że zawsze tak potrafił, od dzieciństwa. Mówił, że tak zdobywał przyjaciół, kiedy się przenosił od jednej rodziny do drugiej. Powiedział, że przecież wszyscy lubią baseball.

Poincaré skończył drugi kawałek pizzy z pieczarkami i kiełbasą, a chociaż mecz miał potrwać jeszcze całe godziny, podziękował dozorczy, po czym zebrał swoje rzeczy, łącznie ze zdjęciami. Już przy drzwiach, Silva, wskazując na fotografie, powiedział:

— Patrzę na nie i myślę o Jimmym. Teraz, inspektorze, obaj będziemy o nim myśleć. Ale po nas już nikt. Niektórzy ludzie zasługują na to, aby żyć. A niektórzy na to, aby nigdy nie umierać.

22

Cześć. Jestem Antoine.

Dzisiaj jestem twoim tutorem.

Jak się nazywasz?

Nazywaj mnie tutorem, dobrze? Uczysz się w szkole Cambridge Rindge and Latin?

No tak. Letni program korepetycyjny, dziesiąta klasa.

Świetnie. I o co chodzi?

Mam problem z takim zadaniem. „Za cztery lata Jon będzie miał dwa razy więcej lat niż Matt. Dwa lata temu Matt był o 1/4 młodszy od Jona. Ile lat mają teraz obaj bracia?” Potrafię znaleźć odpowiedź, jak zaczynam od wieku jednego roku dla

Mata i próbuję kolejno z różnym wiekiem. Wychodzi, że Matt ma 5 lat, a Jon 14. Nauczyciel mówi, że nie o to chodzi.

Zgadza się. Nie używaj brutalnej siły. Używaj mózgu. Pozwól, żeby matematyka wszystko zrobiła za ciebie.

Poincaré wcześniej przepracował sobie całą sprawę i poświęcił dziesięć minut na zrekonstruowanie problemów oraz sposobu myślenia dziesięcioklasisty. Zmierzając w kierunku wskazanym przez Chambi, napisał:

$2M = 10$. $M = 5$. Matt ma 5 lat.

A to znaczy, że ile lat ma Jon? Wykorzystaj wiek Matta, układając równanie dla Jona.

$J = 4M - 6$. $J = 4(5) - 6$. $J = 14$. Jon ma 14 lat.

Świetnie, Antoine!

Dziękuję, ale mam jeszcze jedno pytanie.

Jakie?

Matematyka jest tylko na papierze albo w mojej głowie. A co, jeśli Jon i Matt to prawdziwi ludzie? Jak matematyka łączy się z prawdziwymi rzeczami?

Pytanie godne prawdziwego matematyka! Dobrze. Ale u mnie jest już za późno, żeby się w to zagłębiać. Chce mi się spać. Napisz do mnie jutro albo pojutrze z kolejnym zadaniem. Kiedy kończysz lekcje?

Zwykle mam dostęp do komputera w bibliotece do trzeciej.

Dobrze. Trzecia po południu za dwa dni. Na pewno będę online.

Poincaré spojrział na zegarek.

Dopiero siódma wieczorem. Już chce ci się spać?

Antoine, mam za sobą długi dzień.

Dobrze, dziękuję. Domyślam się, że nie ma cię w Cambridge.

Dobrej nocy.

Dla niej owszem, pomyślał Poincaré. Ale w Cambridge, w Massachusetts słońce jeszcze nie zaszło. Wylogował się ze strony Ligi Matematycznej i wysłał maila do kolegi z Lyonu, Huberta Levengera, który kierował niedawno powołanym biurem zajmującym się tropieniem cyberprzestępców. W trakcie ostatniej rozmowy Levenger zaoferował, że zbada stronę Ligi Matematycznej oraz wysledzi IP osób rozmawiających na niej z Poincarém, pod warunkiem że nie użyją żadnych sztuczek maskujących adres.

— Jeśli zdołamy ustalić IP — tłumaczył Levenger — zdołamy zidentyfikować dostarczyciela Internetu, dzięki któremu te osoby łączą się z siecią, będziemy mogli też ustalić przynajmniej kraj. Opierając się na usługodawcy, zdołamy ustalić miejsce pobytu z dokładnością do stu kilometrów, może większą.

Poincaré czekał więc na zwrotnego maila. Kiedy przyszedł, okazało się, że nie jest

odpowiedzią, na którą liczył.

Osoba, z którą rozmawiałeś, używała jakiegoś serwera Proxy, umiejscowionego między jej komputerem a Ligą Matematyczną po to, by logować się na serwerze jako poświadczony użytkownik. Henri, mogła być wszędzie. Kiedy znowu będziesz z nią czatować, daj znać. Teraz już jestem zmęczony. Do zobaczenia!

Levenger wyświadczył mu przysługę, zostając w Lyonie aż do pierwszej nad ranem. Poincaré uwiadomił sobie, że skoro Chambi czuła się zmęczona, to również nie przebywała w Ameryce. Siódma wieczorem w Bostonie to tylko ósma wieczorem w Brazylii i Buenos Aires. Sądząc ze słów Chambi, u niej było już późno. Hongkong, oddalony od Bostonu o trzynaście godzin do przodu, raczej nie wchodził w rachubę. Detektyw w zasadzie wykluczył Daleki Wschód. Uznał, że ma do czynienia z Europą albo Afryką. Chambi rozmawiała z nim między północą w Lizbonie a pierwszą nad ranem w Johannesburgu.

Zalogował się na swoje konto w Interpolu, żeby potwierdzić wydanie za Chambi Niebieskiego Listu Gończego. Tuż przed wyjazdem do Stanów zdołał opanować wściekłość tak, aby do własnych poszukiwań zaprząć Interpol. Monforte zatruł wszystko, czego dotknął w życiu Poincarégo, lecz nawet jeśli Interpol nie mógł zagwarantować mu osobistego bezpieczeństwa, całkiem dobrze wychodziło im śledzenie oraz aresztowanie uciekinierów przekraczających granice państw. Chambi nie została jeszcze oficjalnie oskarżona, nie można więc było jej zatrzymać. Henri wydał list gończy, pozwalający bez aresztowania zbierać informacje o miejscu pobytu i poczynaniach danej osoby. Czerwony list gończy wydany za Rainier pozwalał ją aresztować. Teraz, gdy obie kobiety na dobre zniknęły z pola widzenia, cały system listów gończych niewiele dawał, ale detektyw spodziewał się, że w końcu któraś z nich popełni błąd, a wtedy zacznie się pościg. Montforte zajął się szczegółami, Poincaré uaktualniał profil Chambi, biorąc pod uwagę jej prawdopodobne aktualne miejsce pobytu. Zanim poszedł na Harvard Square, żeby zjeść kolację, napisał jeszcze wiadomość tekstową do Giseli De Vries:

Dana Chambi, narodowość ekwadorska. Czy była na liście hotelowej z Amsterdamu?

Wcisnął „Wyślij wiadomość”, przekonany, że De Vries odpowie mu w ciągu godziny.

— **Ominęła pana najgorsza burza** — oznajmił Eric Hurley, stojąc w drzwiach Komendy Policji w Cambridge i przyglądając się niebu. — Wytrzyma pan amerykańską kawę? To zaraz obok. Chodźmy.

Nie czekając na odpowiedź, zaprowadził Poincarégo do kawiarni o nazwie Busy Bee, gdzie pozdrowił kobietę stojącą za kontuarem i wcisnął ogromne cielsko za stół.

— Sprawa tego Fenstera robi się coraz ciekawsza — oznajmił. — Annie, kawa i babeczka kukurydziana. Grillowana! To samo dla kolegi.

— O co chodzi z tą kawą i babeczkami? — zapytał Poincaré.

— Niech pan posłucha, inspektorze. Minęły już ponad dwa miesiące, od kiedy pan tutaj był ostatnio. Musiał pan przez ten czas przebywać poza naszym zasięgiem, bo tamten dzieciak, agent Johnson, odezwał się w końcu do mnie. Powiedział, że nie ma z panem

kontakty. Nie wiedziałem, że ten cały Fenster wyczyścił mieszkanie trzy razy, zanim poleciał do Amsterdamu.

— Rozmawiał pan z dozorcą?

— Nie. — Hurley poprawił węzeł krawata w obrzydliwe, kolorowe wzory. Szyja przelewała mu się znad pożółkłego kołnierzyka. — Skoro to miejsce zostało tak wyczyszczone ostatnim razem przez ekipę, która powycierała wszyściutko, jakim cudem technicy kryminalistyczni w ogóle coś znaleźli? W moim raporcie napisano o tuzinach odcisków palców pasujących do tych, które pan zdjął z ciała w Amsterdamie. I bezpośrednio pasującym do siebie DNA z dwóch próbek moczu na brzegu sedesu i włosa z nietkniętymi cebulkami na szczotce. O czymś takim przecież nie powinno być mowy, nie w tak dokładnie wyczyszczonym mieszkaniu.

— To jest ten raport? — zapytał Poincaré.

Hurley przesunął kopertę po stole.

— Pańska kopia. Johnson okazał się lepszy, niż sądziłem. Zdjął zestaw odcisków z klawiatury komputera, z naczyń kuchennych, z ram obrazów i okładek książek Fenstera. Te odciski pasowały do odcisków już odnalezionych. Czyli, jak na razie, żadna niespodzianka. Zdjął nawet odciski z cholernych żarówek. Wszystko doskonale pasuje. Ale potem było to.

Hurley otworzył własny egzemplarz raportu.

— Przeoczyliśmy drugi zestaw odcisków, który zdjął z lepkiej strony taśmy klejącej na komputerze Fenstera. Pasowały do odcisków zdjętych przez Johnsona z wnętrza książek. Było kilka błyszczących stron, dało się z nich ściągnąć świetne odciski. Czyli że mamy w tym mieszkaniu dwa zestawy odcisków. Niech pan mi powie, inspektorze, czy pan słyszał o jakiejś ekipie sprzątającej, która wyciera poszczególne strony każdej książki na półce?

— Nie — odparł Poincaré.

— Właśnie. Zadzwoiłem do tych firm i powiedzieli mi, że powycierali okładki. Ale nie wnętrza. No bo po co by mieli?

— A co z zębem w pudełku po cygarach? — zapytał Poincaré. — Poprosiłem Johnsona, żeby go zbadał.

Hurley zrobił na stole miejsce na kawę i babeczki.

— DNA z mlecznego zęba pasuje do DNA z moczu i włosa, które zgadza się z waszymi wynikami z Amsterdamu. Czyli, podsumowując, ten Fenster dotykał swoich książek, ale w żadnej nie przeczytał nawet strony? A może kto inny czytał jego książki, ale nie dotykał okładek? I ten sam ktoś zrobił te wszystkie notatki na marginesach, w pięciu językach, tym samym charakterem pisma i przykleił do komputera taśmę z kilkoma słowami? Inspektorze, zakładam, że w Amsterdamie zbadaliście właściwe ciało.

Poincaré usiłował ratować kawę cukrem.

— Tak, badałem je — powiedział. — To, co z niego zostało.

— No, to mamy zagadkę. A jest jeszcze to.

Wyjął drugi zestaw kopert i wręczył Henriemu.

— Kopie skarg, złożonych kilka tygodni temu do Sądu Hrabstwa Middlesex, w związku z ustaleniem prawa własności do dysku twardego Fenstera, obecne jako dowód pozostającego pod opieką władz stanowych. Harvard i jakiś człowiek o nazwisku Charles Bell wynajęli kancelarie prawnicze, które inkasują sześćset dolarów za godzinę.

— Co jest na tym dysku?

— Każdy chciałby wiedzieć. Kazałem się tym zająć naszym najlepszym ludziami, ale nie zdołali uzyskać dostępu do tego cholerstwa, nawet po miesiącach prób. Najwyraźniej Fenster wymyślił takie hasło, którego zwykli śmiertelnicy nie są w stanie ogarnąć. Do tej pory ustaliliśmy tylko, że hasło składa się z sześćdziesięciu siedmiu znaków. Inspektorze, w całym słowniku nie ma takiego wyrazu. Kończą mi się już środki. Oficjalnie, z naszej strony, sprawa jest zamknięta. Zrobiliśmy swoje, nasze wyniki potwierdzają wasze, nie do nas należy prowadzenie śledztwa w sprawie tego zabójstwa. To znaczy, że nie dostanę już ani grosza na analizę danych. Budżet stanu jest zbyt ograniczony, a my mamy do zrobienia jeszcze robotę z ośmiu miesięcy. Oficjalnie już skończyliśmy. Ale tak po mojemu, sprawie daleko do zakończenia, w każdym razie dla pana. Raport FBI skomplikował sprawę. I jest jeszcze ten twardy dysk.

— Co pan z tym zrobi? — zapytał Poincaré.

— To zależy.

Detektyw Interpolu upił łyk kawy.

Hurley nachylił się ku niemu na tyle blisko, że dało się policzyć pory na nosie. Za blisko.

— Wszyscy wiemy, że laboratorium kryminalistyczne tego stanu ma swoje problemy. Gubią nam się różne rzeczy. Dysk w tej chwili jest na półce na dowody w laboratorium w Sudbury.

Z bocznej kieszeni marynarki Hurley wyciągnął zapieczętowaną kopertę. Wyglądała, jakby było w niej coś ciężkiego.

— I pomyśleć, że władze stanu zamykają sprawę akurat wtedy, kiedy robi się ciekawa... Widziałem już za dużo — dodał Hurley. — Moja robota jest teraz uzależniona od budżetu, nie jak za dawnych lat, kiedy szef po prostu mówił: „Znajdź mi tych skurwysynów”. W lutym przyszłego roku stuknie mi trzydzieści lat pracy i wtedy stąd spadam. Swoją drogą, w samą porę, biorąc pod uwagę, jaki się zrobiłem zapominalski. Co jakiś czas wychodzę sobie na kawę i naprawdę czegoś zapominam, na przykład kluczy albo komórki. Właśnie dlatego postanowiłem z godnością odejść na emeryturę, zanim mnie wykolegują. Niech pan będzie w kontakcie, dobra... I zapłaci ten rachunek.

Hurley wysliznął się zza stolika i wyszedł z Busy Bee, nie oglądając się za siebie. Poincaré wstając, zobaczył, że Amerykanin zostawił przy swoim miejscu kopertę. Detektyw ponownie usiadł. Nie znał Hurleya, który dziesięć tygodni temu okazywał mu jedynie pogardę. Gdyby ten facet, udając kogoś miłego, był teraz na podsłuchu i wrabiał go właśnie w przyjęcie kradzionych dowodów, kariera Henriego dobiegłaby końca, w dodatku zostałyby nieźle umoczone. Ale to przecież nie miało znaczenia. Podniósł kopertę, czując jej ciężar i wsunął do teczki.

Przed kawiarnią miał wrażenie, że słyszy śmiech Ludoviciego, drwiącego z Henriego i jego gadki o niedozwolonych dowodach. Gdy zadzwonił telefon, spodziewał się, że usłyszy Paola, mówiącego serdecznym tonem: „Dużo czasu ci to zajęło, Henri, ale witaj w prawdziwym świecie!” Jednak ekran zamigotał, pokazując wiadomość tekstową od niezawodnej De Vries.

Chambi zatrzymała się w pensjonacie, dwie ulice od Ambassade. Zameldowała się tydzień przed zamachem, wyjechała w dniu zamachu. GDV.

Chambi była więc w Amsterdamie i w Paryżu, nie mając żadnego konkretnego powodu, aby zabijać Fenstera czy Chloe. A jednak się tam zjawiała, a oni nie żyli. Tylko Poincaré, sam Poincaré stanowił ogniwo. Gdyby ją znalazł, zabiłby. Serce szarpnęło, zażył kolejną pigułkę.

23

Widok z dwudziestego dziewiątego piętra wieżowca przy State Street się nie zmienił, podobnie jak przelotny, chociaż intensywny zawrót głowy po wyjściu z windy prosto do przeszklonego biura Charlesa Bella. Recepcjonistka skierowała Poincarégo do tej samej sali konferencyjnej, co przed miesiącami. Bell wywarł tak trwale niemiłe wrażenie, że Henri aż się spocił, chociaż wentylowane powietrze miało przyjemnych dwadzieścia stopni Celsjusza. Czuł się źle, poprosił o wodę.

— Inspektorze! Całe miesiące minęły! Niesamowite widzieć pana ponownie!

Podobnie jak widok z tego biura na Zatokę Bostońską, tak i mężczyzna wchodzący do sali konferencyjnej w ogóle się nie zmienił. Uśmiech miał szeroki niczym kontynent oraz pozbawiony chociażby milimetra głębi. Poincaré spotykał już mniej wypacykowane wersje Charlesa Bella na różnych targowiskach, od Nowego Jorku po Marrakesz. Najważniejszy był uśmiech. Jeśli dywanik okazywał się mieć mniej splotów, niż reklamowano, cóż to szkodziło? Jedno mrugnięcie okiem i oto specjalna zniżka dla naszych najlepszych klientów!

— Panie Bell — powiedział — dziękuję, że tak szybko zgodził się pan ze mną spotkać.

— Charles, nie pamięta pan? Dlaczego wy, Europejczycy, zawsze jesteście tacy formalni? Inspektorze, mam nadzieję, że przynosi pan wieści o postępie w śledztwie.

— Pracujemy nad tym. Charlesie. To wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć. Ale kiedy prowadząc śledztwo w sprawie tego morderstwa, byłem w mieście, przyszło mi do głowy kilka pytań. Można? — Wyjął zdjęcia Chambi oraz Rainier, wypatrując jakichś pęknięć maski.

— Ach, Dana! Wielki talent. Próbowałem ją wynająć, proponując stypendium do ukończenia doktoratu, ale odparła, że już ktoś inny to zrobił i że wraca do Ekwadoru, kiedy tylko skończy doktorat. Fenster i ci jego altruści. Nie mogła być w nic zamieszana.

— A ta druga? — zapytał Poincaré.

— Nigdy jej nie widziałem.

— Kiedy ostatni raz widziałeś pannę Chambi?

— Dwa miesiące temu, co najmniej. Skontaktowałem się z nią po śmierci Jamesa. Znowu powiedziała „nie”, jak zwykle uprzejmie, i wyjechała z Bostonu, nie zostawiając adresu. Aż do tej chwili, mniej więcej przez rok, płaciłem jej honorarium za pozostawanie do dyspozycji. Wie pan, kilkaset dolarów miesięcznie, żeby często tutaj wpadała i rozmawiała z moimi ludźmi.

— Po to, żeby...

— Żeby ją zachęcić do pozostania. Bo po co innego? Niestety, tutaj zawiodła jedna z moich metod marketingu personalnego.

— Rozmawiała z pańskimi pracownikami?

— O to właśnie chodzi. Musimy być na bieżąco z nowymi trendami w budowaniu modeli matematycznych. Nikt lepiej niż doktorant nie zapewni nam stałego wglądu w najświeższe nowinki. Poznała nasze operacje, ale jak już mówiłem, nie chwyciła przynęty. Próbowałem ją odnaleźć na kilka sposobów, zaczynając od ambasady Ekwadoru. Niech mi pan powie, jeśli się gdzieś pojawi, dobrze?

Poincaré usadowił się w fotelu i rozpiął kołnierzyk. W teczce miał twardego dysk w kopercie od Hurleya, którą Bell rozerwałby własnymi zębami, gdyby tylko wiedział.

— Doktor Fenster miał laptop. Najwyraźniej ty i uniwersytet nie potraficie dojść do porozumienia, do kogo należy.

— Krążą takie słuchy.

— Owszem.

Poincaré rozluźnił krawat.

— Inspektorze, nie cierpię zastraszania. Harvard nie ma żadnego prawa do sprzętu, który kupiłem Fensterowi. Czy im nie wystarczy, że dałem na uniwersytet prawie osiem milionów dolarów, na te komputery, które połączyli w potężną sieć gdzieś w podziemiach Centrum Naukowego? To szaleństwo. Te maszyny kosztowały najwyżej pięć milionów. Uniwersytet wziął sobie do kieszeni trzy miliony. Totalny przekręt — James o tym wiedział i ja o tym wiedziałem. Dlatego jemu płaciłem osobno, na drobne wydatki. Skorzystał z tych pieniędzy, żeby kupić laptop — powiedział mi to wprost. Chcę tylko tego, co moje. A jedyne, co zrozumie taki zastraszający kogoś osiłek, to cios w zęby.

— Czyli że założył pan sprawę?

— W Ameryce tak właśnie walczą ludzie, którzy mają pieniądze. Wydałem już dwadzieścia tysięcy na prawników i jestem gotów wydać jeszcze dziesięć razy więcej. Zwykle uniwersytet w bezczelny sposób bierze wszystko, czego chce. Ale nie tym razem.

Twarz mu poczerwieniała, zachowywał się i mówił jak człowiek mocno przekonany o słuszności swoich racji.

Poincaré nie wierzył w ani jedno jego słowo.

— Wiesz, Charlesie, rozmawiałem z Peterem Royem, prawnikiem Fenstera, i

dowiedziałem się, że w swoim testamencie Fenster zostawił wszystko Lidze Matematycznej z Cambridge. Jeśli nie przekazał laptopa bezpośrednio tobie, to może Liga Matematyczna ma do niego największe prawa? Widzę jednak, że do tej pory nie uwikłała się w spór. Czytałem akta.

— Czy to taka pańska rozrywka czytanie akt sądowych?

Poincaré czuł się zbyt chory, aby odparować.

— Inspektorze, proszę się tym nie kłopotać — mówił dalej Bell. — Doszedłem już do porozumienia z kierownikiem naukowym liceum. Jeśli przegram w sądzie, poprę roszczenia Ligi Matematycznej do twardego dysku. Oni wygrają, a przez wzgląd na to, co już zapłaciłem, dadzą mi ten dysk, a raczej wypożyczą na jakiś czas. Harvard dostanie klapsa, a Liga Matematyczna nie będzie musiała się martwić o dofinansowanie przez najbliższe dwieście lat. I przy okazji wesprę sprawę bliską sercu Jamesa.

— Doskonale — powiedział Poincaré. — Słyszałem, że jest pan hojny, teraz widzę, że i hojny, i sprytny.

Bell spojrział na swoje odbicie w szybie, poprawił mankiety.

— To godne podziwu, że wspomógł pan w ten sposób Ligę Matematyczną. Trudno sobie jednak wyobrazić, aby zawartość dysku twardego Fenстера nie miała nic wspólnego z pańską hojnością. Jak pan sądzi, co się na nim znajduje?

Bell przyglądał się, jak na lotnisku ląduje samolot Aer Lingus.

— Wyjaśnijmy coś — odezwał się w końcu. — Opowiedziałem panu o związkach Fenстера z naszą pracą, o naszych pogawędkach. To, czego dokonaliśmy w firmie dzięki naszemu budowaniu modeli rynku, wykracza poza to, o czym z nim dyskutowałem przy tych zeszlých ciastkach i kawie. Chcę twardego dysku dlatego, że go chcę. Dlatego że Harvard mnie wkurzył. Mają własne komputery, za które zapłaciłem, tak jak za wszystko, co na nich jest. A teraz chcą jeszcze dysku wartego czterysta dolarów jako wisienki na ukoronowanie skasowanych dwudziestu pięciu miliardów dolarów dotacji, które i tak utoną jak kamień w wodzie, bo oni nie inwestują w moje fundusze. Zamierzam utrzyć im nosa i nie liczę się z kosztami. I mam nadzieję, że zjawi się pan z jakimś innym pytaniem, bo możliwości odpowiedzi na to już się wyczerpały. Jak się po francusku mówi... „wyczerpanie”? — Bell odwrócił się z powrotem w stronę pokoju.

Poincaré usłyszał pytanie, nie potrafił jednak udzielić odpowiedzi. Osunął się na bok stołu, łapiąc za pierś.

Część III

*Kto kopał kanały ulewie
Lub drogę chmurze ze grzmotem.*

Księga Hioba (Isięga 38, werset 25)

Obudził się bez identyfikatora na dużym palcu stopy ani bez monet na oczach. Widział mrugające monitory, słyszał pisk butów na gumowych podszewkach, dochodzący z korytarza. Jeśli potrzebował jeszcze jakichś dowodów na to, że nie umarł, dostarczała mu ich każda część ciała, boląca jak po obiciu rękojeścią od pistoletu. Czyli jednak żył. Chociaż nie czuł się najlepiej. Spod kołdry biegła jakaś rura do torby, której wołał nie przyglądać się dokładnie. W oba ramiona i w wierzch każdej dłoni miał wkłute wenflony. Czujnik przyczepiony do palca monitorował poziom tlenu we krwi; z czujników na piersi biegły kable, a na bicepsie umieszczono mankiet, co dziesięć minut napełniający się powietrzem i budzący Henriego, gdy próbował się zdrzemnąć. Trafił do porządnego szpitala.

— Myślę, że bywało już z panem lepiej — stwierdził lekarz, obchodząc zasłonę. Wertował kartę pacjenta i sprawdzał wskazania monitorów. — Po pierwsze, trzeba zmienić lekarstwa. Pańskie serce dobrze zareagowało na dożylnie dawkowanie środka przeciwko arytmii, będziemy więc to kontynuować pod postacią pastylek. Teraz pańskie serce bije w normalnym rytmie sinusoidalnym, panie... — zerknął do karty — inspektorze Poincaré. To jest dobra wiadomość.

Mężczyzna miał na fartuchu wyszyte „Maxwell Beck. Dyrektor oddziału kardiologii klinicznej”. Poincarégo pospiesznie przewieziono na ostry dyżur jednego z bostońskich szpitali uniwersyteckich; później, kiedy podryfował w wywołany lekarstwami sen, przeniesiono go na oddział kardiologii — gdzie teraz leżał, przywiązany do łóżka niczym pies do ogrodzenia. Wyjąwszy narodziny syna i wnuków, nie miał ani jednego dobrego wspomnienia związanego ze szpitalem. Zwalczył silny impuls, aby wyrwać tubę i uciekać.

— Skoro rytm jest stabilny — powiedział — to mogę stąd wyjść.

Beck osłuchiwał mu pierś stetoskopem, potem sprawdził puls na przegubach i kostkach stóp.

— Inspektorze, pański normalny rytm to była dobra wiadomość. Są złe. Zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo był pan odwodniony? To spowodowało migotanie przedsionków. Może pana zreperowaliśmy, ale prawda jest taka, że przez miesiąc nie powinien pan robić niczego innego, niż tylko spać i jeść. Dokładnie tak. Jest pan niebezpiecznie bliski totalnej zapaści.

Wskazówka przesuwająca się na ściennym zegarze nie powalała na żadną zapaść.

— Pójdźmy na pewien kompromis — zaproponował Poincaré.

— Naprawdę, trudno, żeby pan teraz...

— Proszę mnie wypisać dzisiaj po południu, do godziny szesnastej. O dwudziestej pierwszej mam samolot do Quebecu, a wcześniej muszę pojechać do hotelu i zabrać swoje rzeczy. — Poprawił się na łóżku, przez co szarpnął rurkę pod pościelą. — Czuję się dobrze

— oznajmił.

— W porównaniu do czego? Śmierci?

— Niech pan mi wyjmie rurki, na początek.

Poincaré zerknął za częściowo odsuniętą zasłonę, starając się przynajmniej myślami znaleźć gdziekolwiek indziej, i ujrzał kompletnie ubranego mężczyznę wiezionego na łóżku szpitalnym. Idąca za nim kobieta równie dobrze mogłaby kroczyć za karawanem.

— Zanim pana wypuszczę — oznajmił Beck — muszę poznać wyniki testów enzymów sercowych. Jeśli wszystko będzie w porządku, może być ta szesnasta. Moje zadanie to przywrócić panu rytm sinusoidalny. Potem może pan już sobie kopać własny grób. Ludzie tak robią. Możemy poradzić coś na pańskie migotanie przedsionków — kontynuował lekarz. — Co je u pana wywołuje? U niektórych kofeina. Może to być też zimny napój w upalny dzień. Albo obfity posiłek późnym wieczorem. Czasem sporo alkoholu. Czy pan wie, że coś to u pana wywołuje? Chciałby pan tego unikać?

— Tak naprawdę, to nie potrafię tego stwierdzić — powiedział Poincaré, sądząc, że ataki powoduje całe jego życie i że ktoś już wykopał mu grób. — Ataki pojawiają się same z siebie. Równie nagle ustępują. Próbuję je ignorować.

— Co, jak sędzę, jest trudne.

Poincaré pokiwał głową.

— A jak było z pańskim ostatnim atakiem? Niech mi pan opowie, co się działo?

Pytanie przypomniało mu wizytę u Charlesa Bella i potencjalny spory problem. Poincaré rozejrzał się po pokoju, następnie poprosił lekarza o otwarcie szafki. Zobaczył tylko swój garnitur oraz buty.

— Czy pod moim łóżkiem jest jakaś aktówka?

Beck spojrział.

— Niczego takiego nie widzę.

— Czy u was, na ostrym dyżurze, kiedy się kogoś przyjmuje, spisuje się jego rzeczy osobiste?

— Pańskie przedmioty wartościowe znalazły się w szpitalnym sejfie. Nie martwiłbym się tym. — Lekarz zerknął na kartę Poincarégo. — Widzę, że z ostrego dyżuru zadzwonili do pańskiego szefostwa w Lyonie. To był jedyny numer kontaktowy, jaki zdołaliśmy odnaleźć u pana w portfelu, a kiedy przyjeżdża ktoś z problemami kardiologicznymi, szukają najbliższej rodziny. Tutaj jest notatka, że nagrali się na sekretarkę.

Poincaré spróbował unieść się na łóżku. Skoro Monforte był już na wylocie, Henri musiał opuścić szpital, zanim nowy dyrektor zdoła go zlokalizować i odwoła z akcji ze względów zdrowotnych. Beck oparł się na parapecie i uważnie przyglądał pacjentowi.

— Niech pan bierze swoje nowe lekarstwa i obieca, że się będzie nawadniał, osiem szklanek dziennie.

— Wliczając wino?

— Nie. Ale jeśli pan pije wino, to niech będzie czerwone. Dobrze pan sypia?

— Nieszczególnie.

Poincaré zerknął na ścienny zegar.

— Mógłby pan mi załatwić komputer? Powinienem się z kimś spotkać online o piętnastej.

Beck skrzyżował ramiona.

— A słyszał pan, jak mówiłem o zapaści?

To nie była uczciwa walka. Z Poincarégo wychodziły i wnikały w niego rozmaite przewody. Miał cienką szpitalną koszulę na ciele pachnącym zastałym potem. Dokonał kalkulacji.

— Pan pozwoli, że wyjaśnię — oznajmił. — Osoba, której szukam, przecięła rurę respiratora u sześciolatniej dziewczynki, zabijając ją. Prawdopodobnie ta sama osoba zabiła lub wzięła udział w zabójstwie geniusza, który rodzi się raz na pokolenie. Wykorzystała do tego zmodyfikowany materiał wybuchowy, taki, którego chętnie by użyło wiele organizacji terrorystycznych. Muszę stąd wyjść do szesnastej, a dostać się do komputera o piętnastej. Zdaję sobie sprawę, doktorze Beck, że nie jestem w takim położeniu, aby móc stawiać jakiegokolwiek warunki. Ale muszę stąd wyjść.

— A co się stanie, jeśli pan się wykruszy? — zapytał lekarz.

Dobre pytanie. Poincaré uznał, że pewnie nic. Interpol zostawi tę sprawę. Amerykanie zajmą się pilniejszymi rzeczami. Zapomną o Fensterze. Etienne się go wyrzekł. Claire może już nigdy się nie obudzi. Jedyne, co mógł zrobić, to spojrzeć swojemu strażnikowi w twarz i skłamać.

— Jeśli odpadnę, ktoś inny zajmie moje miejsce.

Beck podszedł do łóżka.

— Nie zadzwonię do pańskich przełożonych i nie będę się domagał, aby pana odwołali, bo nie wiem, jak to jest ścigać mordercę, nie wspominając już o mordercy dzieci. Ale niech pan wypocznie. Gdy pan nabierze sił, będziemy mogli zreperować pańskie serce.

Wziął papierowy notatnik i naszkicował kontur serca, a potem narysował linie — nazwał je cewnikami — które będzie można wprowadzić przez tętnicę udową, ku górze, do serca, używając wymyślnej technologii. Wtedy chirurdzy wyślą impulsy radiowe, niszcząc komórki powodujące arytmie.

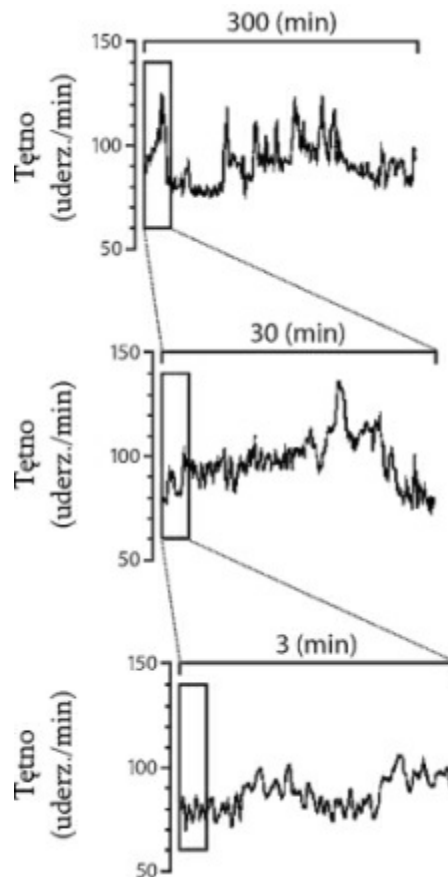
— Ostatnio — powiedział Beck — ta technika staje się bardziej nauką niż sztuką. Powinien pan się nad tym zastanowić.

— Zdoła pan przywrócić normalny rytm?

— Jeśli uzgodnimy, jak można zdefiniować „normalny rytm”, to tak. — Beck przewertował dane Poincarégo, szukając pliku wydruków, pozostawianych przez zespół pielęgniarstwa w aktach każdego pacjenta z migotaniem przedsionków.

— Zwykle dostałby to pan przy wypisie, ale skoro pan pytał...

Otworzył na stronie z kilkoma wykresami.



— Mówiąc „normalny”, sądzi pan pewnie, że zdrowe ludzkie serce tyka jak metronom. A właśnie, że nie. Te wykresy to elektrokardiogramy, pokazujące zdrowe serce przez trzy minuty, przez trzydzieści minut i przez trzysta minut. Niech pan zwróci uwagę, że tętno spowalnia i przyspiesza: to jest jakieś zakłócenie, ale takie w ramach znanych, zdrowych granic. W każdym przedziale czasowym, jaki wybierzemy do wykonania pomiarów, normalne serce może bić w rytmie siedemdziesiąt na minutę — jeśli ten rytm utrzymuje się ponad pełną minutę, to przez następne dwie godziny wzrasta do dziewięćdziesięciu, potem osiemdziesięciu, potem znowu do osiemdziesięciu pięciu. Normalny rytm serca ma swoją zmienność, której nie jesteśmy w stanie przewidzieć, bo w każdym systemie dynamicznym — a bicie ludzkiego serca to właśnie system dynamiczny — szczegóły poruszeń są tak głęboko zagrzebane w swojej złożoności, że stają się nawet ogólnie niemożliwe do rozpoznania.

— Bo?

— Bo w uporządkowanym systemie zawsze istnieje możliwość nieporządku.

Poincaré coś rozpoznał na tych wykresach.

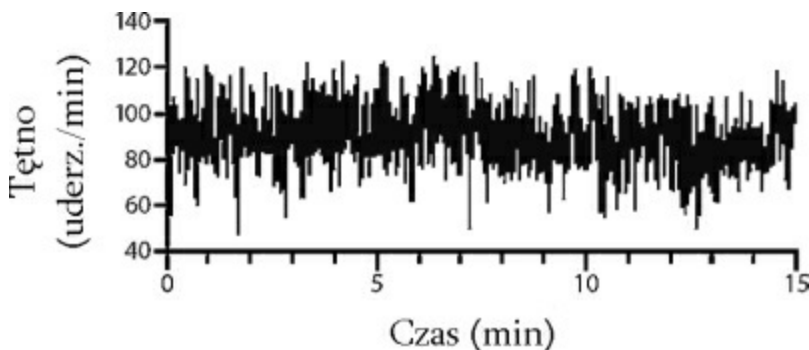
— W różnej skali mają ten sam kształt — zauważył.

— Zgadza się. Patrząc na jeden, widzi się wszystkie. Część zawiera w sobie całość.

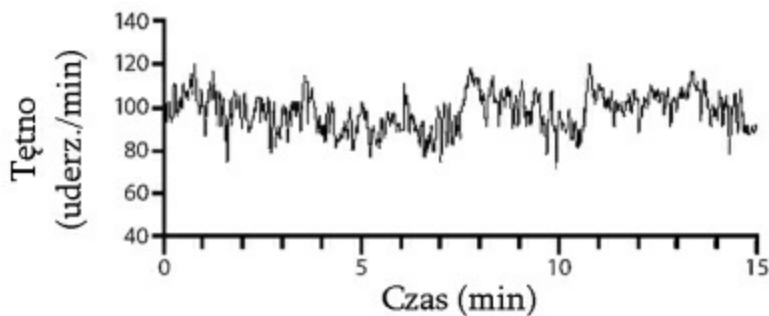
To fraktale. Poincaré obracał ten wyraz w myślach. Czuł, że ześlizguje się po równi pochyłej. Wypowiedział to słowo na głos.

— I znowu się zgadza, inspektorze. Trudno w to uwierzyć, ale kardiologowie dogadali się z matematykami. Ciągłe słyszę, że te wykresy wyglądają jak dzienne wahania rynku. Albo

jak Alpy. Oto skompensowany, piętnastominutowy wykres bicia pańskiego serca, kiedy został pan przyjęty z migotaniem przedsionków — oznajmił Beck, wyciągając stronę z karty Poincarégo. — Niech pan zobaczy, jak skurcze wahają się od pięćdziesięciu do stu dwudziestu, a potem znowu spadają w dół — dominuje chaos.



— Nie ma tutaj wyraźnego wzorca, co stanowi probierz migotania przedsionków. Teraz wydrukujemy skompresowany wykres pańskich ostatnich piętnastu minut w rytmie sinusoidalnym. — Wyciągnął kilka guzków na konsolce i pokazał wydruk.



— Niech pan spojrzysz, jaki jest u pana prawidłowy rytm, zróżnicowany, ale uporządkowany. Nie metronom, ale uporządkowany w granicach pewnego zakresu i rytmu. Szczególnie dużo mówią pierwsze uderzenia, które w normalnym, sinusoidalnym rytmie też są uporządkowane. W przypadku migotania przedsionków tymi odstępami rządzi chaos. Wtedy będzie pan miał powolny skurcz i rozkurcz, po trzech sekundach cztery gwałtowne uderzenia, po kolejnych dwóch powolne uderzenia, a potem przyspieszenie do stu dwudziestu. I tak dalej. W laboratorium elektrofizjologii mierzymy odstępy, używając matematycznego narzędzia, które się nazywa „wykres Poincarégo”. — Beck uniósł wzrok. — Jakieś pokrewieństwo? To chyba nie jest popularne nazwisko?

— Mój pradziadek pociąga za sznurki zza grobu.

— Jaki zbieg okoliczności!

Poincaré również miał taką nadzieję, bo w innym wypadku znaczyłoby, że to śledztwo samo go sobie wybrało.

— Inspektorze, niech pan spojrzysz. Chodzi o to, że mamy dziewięćdziesiąt procent szans na to, że na stałe przywrócimy panu rytm sinusoidalny, niszcząc komórki odpowiedzialne za popychanie pańskiego, skądinąd zdrowego, serca w wyolbrzymiony chaos migotania przedsionków. Bez źle funkcjonujących komórek nie ma tej kaskady do chaosu. Byłby pan

dobrym kandydatem do operacji.

Beck sprawdził godzinę.

— Mam następującą radę — niech pan złapie tego kogoś, kogo pan ściga, odpocznie kilka miesięcy, a potem pójdzie na operację. Jeśli chce pan ją zrobić we Francji, to jest dobry zespół w Bordeaux. Albo niech pan przyjedzie do nas, do Bostonu. Na razie dzięki nowym lekom powinien pan zaznać nieco ulgi. — Beck przyjrzał się pojemnikom z płynem do kroplówki i trącił przewód. — Wypiszę pana o szesnastej. I proszę wziąć sobie do serca to, co mówiłem o nawadnianiu. Jeśli pan umrze z wyczerpania, to będzie na mnie, a to byłoby nieprzyjemne dla nas obu.

25

Pielęgniarka, która odłączyła Henriego od kroplówki oraz torby na urynę, gdy brał prysznic, posłała po jego rzeczy. Poincaré wychynął z maleńkiej łazienki i zmierzył się z nieprzyjemną prawdą: torba na łóżku zawierała portfel, zegarek, obrączkę, telefon satelitarny, a także klucz hotelowy — nie było jednak aktówki. Pielęgniarka z ostrego dyżuru, która przyjmowała go poprzedniego dnia, nie pamiętała, czy widziała jakąś teczkę. Podobnie jak salowy, zawożący detektywa na oddział kardiologiczny. Jedyne, co Beck mógł zrobić w tej sytuacji, to wysłać wiadomość do Charlesa Bella oraz do dyspozytorni karetek. O godzinie piętnastej Poincaré, ubrany i gotów do wyjścia, zalogował się na stronie Ligi Matematycznej.

Hubert Levenger poinstruował go, że ma utrzymywać Chambi online i rozmawiać z nią przez piętnaście minut. Tyle czasu potrzebowało oprogramowanie tropiące, aby ustalić miejsce pobytu matematyki.

Cześć, tutorze.

Antoine, to ty? Jak tam twoje zadania?

Mam dzisiaj nowe. Pociąg osobowy wyjeżdża ze stacji o 7 rano. Jedzie 80 mil na godzinę. Express wyjeżdża ze stacji o 8 rano i jedzie 100 mil na godzinę. Po przejechaniu jakiej odległości i po jakim czasie ekspres minie pociąg osobowy?

Klasyka. Jak do tego podszedłeś?

Rozwiązałem to, rysując dwie linie, podzielone na godzinne odcinki, ale to przecież lekcja algebry.

Prawda. Używaj iksów i igreków. Używaj głowy, a nie palców. Ilu równań potrzebujesz?

Myślę, że jednego. Chce ci się spać?

Co za pytanie! Dopiero pora kolacji.

Zegarek Poincarégo wskazywał piętnastą dwanaście. Chambi nadal była gdzieś na wschodzie. Otworzył na ekranie drugie okienko, sprawdził. Kolacja o dwudziestej

pierwszej umiejscawiała by ją w okolicach Sofii albo Jerozolimy. Wątpił w to. Siedziała przy komputerze gdzieś między dziesiątym stopniem długości zachodniej a piętnastym stopniem długości wschodniej. Na globusie dawało to spory wycinek do przeszukania, no, ale już mniej niż całą kulę ziemską.

Sprawdził zegarek i zaczął przepracowywać zadanie razem z Chambi, co chwila udając nierozumienie, aby zyskać na czasie. Po dziesięciu minutach podał rozwiązanie.

100p = 80p + 80. 20p = 80. p = 4. Pociąg osobowy jedzie (p + 1) godzin = 5 godzin przy 80 milach na godzinę i przejeżdża 400 mil. Pociąg osobowy wyjechał o 7 rano + 5 godzin = 12 w południe.

Express jedzie 4 godziny przy prędkości 100 mil na godzinę i przejeżdża 400 mil. Ekspres wyjeżdża o 8 rano + 4 godziny = 12 w południe.

Dobrze, Antoine! Co jest dla ciebie trudne w takich zadaniach?

Nic, dopóki mi pomagasz! Chcę studiować matematykę, w college'u. Podoba mi się, że w matematyce na wszystko jest odpowiedź — wszystko działa. Nie tak jak w moim życiu.

Idź do college'u, Antoine. To jest zawsze dobry plan.

Chcę studiować z tobą, w Europie!

A kto powiedział, że jestem w Europie?

No, według twoich słów jest pora kolacji, czyli że jest u ciebie o cztery, pięć godzin później niż w Bostonie, prawda? Wiosną uczyliśmy się o strefach czasowych i dowiedziałem się, że o każdej porze gdzieś na planecie, w wąskim pasku biegnącym z północy na południe, ludzie zawsze jedzą kolację. Czyli że skoro teraz wzdłuż wschodniego wybrzeża USA jest 15.15 + 4 albo 5 godzin = pora kolacji = Europa!

Albo Skandynawia, albo Afryka. Ale i tak niezła robota. Przypomnij mi, ile masz lat?

Piętnaście.

Mówisz, jakbyś miał 35! Zawsze możesz się uczyć razem ze mną online. Ale teraz nie uczę w szkole. Wszędzie znajdziesz dobrych nauczycieli matematyki. Napisz do mnie maila, kiedy przyjdzie pora na kolejną sesję. Mam umówioną KOLACJĘ! Ciao.

Poincaré ponownie zerknął na zegarek. Potrzebował jeszcze trzech minut.

Ale jeszcze nie rozmawialiśmy o moim ostatnim pytaniu z poprzedniego razu!

Jakie to było pytanie?

O matematykę i prawdziwe rzeczy. Jak te wszystkie ikсы i igreki, które piszę na kartce, wiążą się z prawdziwymi pociągami?

Zasłone obszedł nowy gość, tym razem bez stetoskopu. Wkroczyła na salę Poincarégo z uśmiechem oraz identyfikatorem pokazującym, że jest kapelanem. Henri powitał tę kobietę niezbyt zadowolony, mając nadzieję, że szybko ją odprawi.

— Pan Poincaré? Jestem Rita Collins, pastor w...

- Dziękuję za wizytę, panno Collins, ale teraz jestem zajęty.
- Wie pan, chcemy odwiedzić wszystkich na oddziale. Widzę, że pan ma zostać wypisany. Czuje się pan lepiej?
- Miło z pani strony... Ale jestem teraz w samym środku.
- Oczywiście. Chciałabym więc życzyć panu zdrowia i zostawić pana z takim małym czymś. Wie pan, ludzie, którzy trafiają na oddział kardiologiczny, często zadają różne pytania. W takiej chwili to całkiem naturalne czuć się przygnębionym albo zastanawiać się, co dalej robić ze swoim życiem. Pan może sądzić, że tylko pańskie ciało przeżyło szok, ale rana często sięga głębiej. — Położyła broszurkę na stoliku obok łóżka. — Tutaj jest numer telefonu, jeśli chciałby pan porozmawiać — dodała, wychodząc z powrotem za zasłonę.

Teraz sobie przypomniałam! W matematyce używa się równania po to, żeby przedstawić... oznaczyć... coś istniejącego na świecie. Jeśli pytasz o to, jak zachowują się rzeczy wchodzące w skład świata, to dzięki dobremu równaniu możesz użyć matematyki, aby bez większych problemów znaleźć odpowiedź. Wyobraź sobie, że jedynym sposobem rozwiązania tego zadania z pociągami byłoby kupienie sobie biletu na pociąg osobowy, czekanie, aż podjedzie ekspres (jeśli znajdzie się jakiś, który jedzie w odpowiednim kierunku na równoległych szynach), a potem patrzenie na zegarek. To mnóstwo wysiłku, chociaż przy pociągach daje się zrobić. Jednak przy większości problemów nie da się po prostu kupić biletu.

Na przykład?

Na przykład kiedy musisz obliczyć kąt, pod jakim statek kosmiczny ma wejść w atmosferę, tak żeby się nie spalił albo nie odleciał w kosmos. Musisz określić te rzeczy z wyprzedzeniem i nie ryzykować ludzkiego życia. Antoine, muszę już pędzić! Ciao!

Zadzwoił do Lyonu.

Połączenie satelitarne z Europą było tak wyraźne i bez zakłóceń, że Poincaré słyszał głos z radia w biurze Levengera, podający wieczorne wiadomości.

— Hubercie, złapałeś trop?

— Tak, Henri. Problem polega na tym, że logując się na stronie w trakcie sesji, nasz obiekt użył dwóch serwerów proxy. Nie chciała zostać odnaleziona i wiedziała, jak to zrobić. Włamaliśmy się do loga tego drugiego serwera, tego połączonego ze stroną Ligi Matematycznej. To serwer belgijski, przypuszczalnie jest w Brukseli albo w Antwerpii. Prześledziliśmy pierwszy serwer aż do Włoch, ale tylko tak daleko zdołaliśmy dotrzeć, bo log był zabezpieczony. Oczywiście, mogła się zalogować na ten serwer z Ameryki Południowej albo z Azji.

— W Ameryce Południowej albo w Azji nie ma teraz pory kolacji.

— Czego?

— Nieważne. Nie umówiłem się z nią na następną rozmowę, ale jakby co, to dam ci

znać.

— Henri, spróbuj ją namówić, żeby ci wysłała maila. E-mail trzeba wysłać z jakiegoś określonego miejsca, a ja mogę je odnaleźć.

— Z nakazem czy bez?

Chwila przerwy.

— Niezbyt dobrze cię słyszę. Coś przerywa.

— To było tak tylko hipotetycznie, Hubercie.

— Tak myślałem. Udanych łowów. Poincaré odłożył telefon i napisał maila do Ludoviciego.

Chambi prawdopodobnie jest we Włoszech. Skontaktuj się z Lyonem i zmień zasięg niebieskiego listu gończego na Włochy, Austrię, Szwajcarię i Francję. Spotkanie jutro w Quebecu nadal aktualne. Śniadanie o ósmej, w hotelu. Przeciągnął się i zamknął oczy. O piętnastej trzydzięci nie miał już niczego do roboty poza oczekiwaniem na wyniki ostatnich badań krwi. Poincaré, chociaż nie przejmował się zbytnio własnym zdrowiem, chciał wiedzieć, czy przeszedł zawał, bo ta informacja określiłaby, jak ciężko może pracować w nadchodzących dniach. Potrzebował czasu i nie chciał odpaść, zanim znajdzie Chambi. Czekał więc, nie wychodził. Zaginęła mu teczka, nie miał żadnych akt do przeglądania. Wycelował pilotem w telewizor umieszczony wysoko na ścianie. Skakał po kanałach, aż natrafił na serwis informacyjny. Pozwolił, by buczał gdzieś w tle, a sam sięgnął po broszurę, którą zostawiła pastor, pojedynczy, błyszczący arkusz, zgięty na pół i zadrukowany po czterech stronach. Po tytule *Apokalipsa!* domyślił się zawartości i odczytał pierwszy z ośmiu ustępów, dowodzących zbliżania się Dnia Sądu Ostatecznego:

Potem ujrzałem innego anioła lecącego przez środek nieba, mającego odwieczną Dobrą Nowinę do obwieszczenia wśród tych, którzy siedzą na ziemi, wśród każdego narodu, szczepu, języka i ludu. Wołał on głosem donośnym: „Ulękniście się Boga i dajcie Mu chwałę, bo godzina sądu Jego nadeszła. Oddajcie pokłon Temu, co niebo uczynił i ziemię, i morze, i źródła wód!” A inny anioł, drugi, przyszedł w ślad, mówiąc: „Upadł, upadł wielki Babilon, co winem zapalczywości swego nierządu napoił wszystkie narody!”

— Coś takiego na intensywnej terapii? — zdumiał się.

Wrócił do oglądania dziennika. Jakaś krótko obcięta blondynka, wyglądająca tak samo jak wszystkie inne krótko obcięte prezenterki, odczytywała dzisiejsze wiadomości.

— Zamach bombowy w Bagdadzie pochłonął życie stu dwudziestu ośmiu osób, głównie dzieci z wycieczki szkolnej na miejscowe targowisko. Policja szykuje się do uderzenia odwetowego. Na Karaibach pełnia sezonu huraganów. Cyklon Elsa, kategorii czwartej, w Republice Dominikany pozbawił już dachu nad głową dziesięć tysięcy osób, a kolejnych dwieście tysięcy prądu. Teraz zmierza w stronę Florydy. Gdzie indziej...

Wyłączył, kiedy do sali weszła pielęgniarka z kartą wypisu.

— Może pan iść. Badania nie wykazały zawału. Tutaj ma pan instrukcje od doktora

Becka. — Kobieta dotknęła jego ramienia. — Niech pan wypocznie, inspektorze. Postój taksówek znajdzie pan przed głównym wejściem. Powodzenia.

Kiedy wyszła, Poincaré schylił się, aby zawiązać buty i przemógł zawrót głowy. Zza zasłony znowu ktoś wyszedł.

— Ale mnie pan cholernie wystraszył!

To był Charles Bell we własnej osobie i z tym swoim uśmiechem, o którym Poincaré chętnie by kiedyś zapomniał. W prawej ręce trzymał bukiet irysów. Lewą rękę biznesmena tylko zatrząsk teczki dzielił od jego obiektu pożądania. Henri, zanim wstał, by podziękować ostatniemu człowiekowi, z którym chciałby się spotkać w szpitalu czy gdziekolwiek indziej, sprawdził zamki swojej aktówki. Na żadnym nie dostrzegł śladów ingerencji. Jeszcze bardziej się uspokoił, widząc, że pierścienie zamków szyfrowych — zarówno z prawej, jak i z lewej — były w takim samym położeniu, w jakim zostawił je dzień wcześniej. Przestrzegając rytuału, już tak rutynowego, jak mycie zębów, od dziesięcioleci co tydzień zmieniał kombinację. I po raz pierwszy od ćwierćwiecza takie proste zabezpieczenie się opłacało. Musiałyby jeszcze dokładniej posprawdzać, przecież Bell był sprytnym i zdeterminowanym człowiekiem; ale twardy dysk Fensterera przypuszczalnie nadal był bezpieczny.

— Charlesie — oznajmił, wstając, by odebrać kwiaty. — Jak sądzę, zawdzięczam ci życie.

26

Bell podслуchał radę pielęgniarki i nalegał, że odwiezie Poincarégo do hotelu. Inspektor zgodził się, jednak potem nagle zrezygnował, gdy biznesmen skierował rozmowę na temat ich ostatniego spotkania.

— Inspektorze, mam nadzieję, że wyjaśniliśmy już wszystko, co pana trapiło. Nie lubię zostawiać niedokończonych spraw.

Samochód z rykiem wyjechał z podziemnego garażu, a Bell wygrzebał dziesięciodolarowy banknot dla parkingowego. Poincaré odwrócił się w stronę biznesmena.

— Jesteś gotów wydać setki tysięcy na prawników, żeby uzyskać twardy dysk pozbawiony znaczenia? I Uniwersytet Harvarda też? Jakoś wątpię, żebyście szli na wojnę tylko w imię zasad.

— Wydaję pieniądze firmy, nie własne.

— Tym gorzej — odparł detektyw.

Asystent otworzył drzwi od strony pasażera, a Poincaré od razu je zamknął.

— Wie pan co, panie Bell? Im więcej pan mówi, tym bardziej jestem stropiony. Teraz zamierzam się przespać, a potem przez kilka dni będę w podróży. Ale jeszcze zadzwonię. Jeśli wyjedzie pan z miasta, niech pan powie asystentce, gdzie mogę pana znaleźć.

Zostawił Bella przy krawężniku, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, i ruszył na czoło kolejki taksówek, nie odwracając się za siebie. A niech się teraz boi, pomyślał. Kilka chwil później otworzył aktówkę i przekonał się, że koperta od Hurleya jest nietknięta. No dobra, uznał, nawet jeśli Bell jest zabójcą, to przynajmniej uczciwym.

Poincaré przełożył lot na rano i wstąpił po drodze do sklepu z elektroniką po kabel, który połączyłby jego komputer z dyskiem Fenstera. Wziął prysznic, zamówił coś do jedzenia i poświęcił kilka godzin na rozwiązywanie zagadki, której przez całe miesiące nie zdołał rozwikłać zespół analityków, wyposażony w potężne komputery. Poincaré wierzył jednak, że ma nad nimi pewną przewagę: analitycy pracowali w laboratorium, wprowadzając przypadkowe liczby — Chambi nazwałaby to brutalną siłą. Henri widział mieszkanie Fenstera, rozmawiał z Royem oraz Silvą i nieco się dowiedział, jakim człowiekiem był matematyk. Czekало go wiele trudu, ale zasiadł do pracy i zdał się na szczęście początkującego.

Najpierw wpisał adres domowy Fenstera, manipulując skrótami oraz spacjami, dopóki nie uzyskał sześćdziesięciu siedmiu znaków. Nic. Korzystając z tuzinów kombinacji, wpisał nazwiska rodzin zastępczych, które przygarnęły matematyka. Potem nazwy zajęć prowadzonych przez Fenstera, ich liczbowe identyfikatory, a także różne wersje jego nazwiska oraz nazwiska Madeleine Rainier. Nic nie zadziało. Wreszcie zamknął komputer i wsunął twardy dysk pod poduszkę, tak jak zrobił kiedyś z książką przy okazji nieudanego eksperymentu w liceum, wieczór przed egzaminem. Ale tym razem, któż to wie? Może informacje z dysku w jakiś sposób dotrą do śpiącego mózgu?

W ciemnościach Poincaré myślał o Claire. Nie było sensu dzwonić do niej i mówić, że chorował. Zamiast tego wspominał lepsze czasy, kiedy jedno słowo wystarczało, by sprowadzić ją do swojego boku, właśnie tam, gdzie chciałby, by znalazła się teraz. Kiedyś wysłał Claire teleks z informacją o powrocie z delegacji w Libanie: „Air France, jutro 10 rano. Lot 2113. Bilet już kupiony. Ubrania na pięć dni nad ciemnym jak wino morzem. HP”. Nie pisał niczego więcej, pewien, że zdoła w niesłychanie krótkim czasie zreorganizować zajęcia i wysiądzie z samolotu w Atenach. Zjawiła się w słomkowym kapeluszu, ze składaną sztalugą, kostiumem kąpielowym i niewielu rzeczami więcej. Na promie z Pireusu wymiotowali na wzburzonym morzu. Dopiero kiedy zeszli na ląd i wykąпали się, Claire wręczyła mu parę kąpielówek, a potem wezwała taksówkę.

— Perivolos — powiedziała kierowcy, Henri zaś nie miał pojęcia, czym może być owo Perivolos. Trzydzieści minut później wylądowali na pasie czarnej, wulkanicznej plaży. Claire przysunęła się do jego boku, a Henri kontemplował chmury, mając wrażenie, że pływa w czasie.

Tamtego wieczoru usiadła naprzeciwko niego przy nakrytym kraciastym obrusem stole, nie tylko w kafejce, ale w ogóle w mieście uczepionym klifu, nad obmywaną morzem skałą. Przez trzy dni pili za dużo wina i drzemali, obejmowali się w łóżku pod oknem wychodzącym na morze — oboje mieli już tyle lat, aby wiedzieć, że to nie może trwać wiecznie. Życie, albo śmierć, wtrąci się i chwila zniknie. Wtedy nie zniknęła, ani nie

zniknęła teraz. Jeszcze nie.

Quebec było jedynym miastem w Ameryce Północnej otoczonym warownymi murami. Gdy taksówka zbliżała się do jednej z bram fortyfikacji, Poincaré miał wrażenie, jakby w trakcie krótkiego lotu z Bostonu zбочył na wschód i trafił do średniowiecznej Francji.

— *Où voulez-vous aller?* — zapytał kierowca.

— Chateau Frontenac.

Chateau Frontenac wznosił się tylko kilka ulic od hotelu. Henri chciał go zobaczyć raz jeszcze. Ranek był pogodny, a po zażyciu nowego lekarstwa czuł, jak wraca mu energia.

— *C'est impossible, monsieur.*

Poincaré wkrótce zrozumiał, dlaczego. Na pierwszym transparencie, który ujrzał, widniało: „Kryminaliści z G-8 precz z Quebecu!” Początkowo myślał, że liczba 32 umieszczona na drzewach i pobliskich budynkach ma coś wspólnego ze szczytem, potem jednak przypomniał sobie o Żołnierzach Wniebowstąpienia. Na złożonej gazecie, którą trzymał na kolanach, widniała data czternastego lipca, co znaczyło, że Jezus, zakładając, iż nie utknie w korkach, odkupi świat już za miesiąc.

— Wokół Frontenac ustawiono kordon bezpieczeństwa? — zapytał.

Kierowca pokiwał głową, a wkrótce Poincaré sam zobaczył policjantów. Sześć przecnic dalej ulicę zabarykadowała kanadyjska żandarmeria, uzbrojona w broń automatyczną. Bliżej hotelu posterunki rozstawiło wojsko. Poincaré wiedział też, że organa bezpieczeństwa z każdego kraju G-8 zapewniły swojej głowie państwa własną ochronę. Starówka została odcięta, nawet legitymacja Interpolu nie mogła mu utorować drogi i pozwolić na spacer do hotelu.

Inną sprawę stanowił szczyt Frontu Wyzwolenia Tubylców. Quito i spółka chcieli przyciągnąć jak najwięcej osób oraz zwrócić uwagę jak największej liczby dziennikarzy. Przez trzy lata FWT organizował kontrszczyty G-8, korzystając z odbitego światła prasowych reflektorów skierowanych na przywódców świata, którzy zdominowali globalną gospodarkę. Rzecznik FWT mógł przedstawić własne racje, związane ze sprzeciwem wobec globalizacji, uczestnicy konferencji brali udział w sesjach dotyczących spraw od wydajnego rolnictwa aż po ochronę języków tubylczych.

O ósmej trzydzieści Poincaré zameldował się w pokoju w Hotel Sainte-Anne i zastał Paola w jadalni nad talerzem pełnym sera, wędzonego mięsa oraz ciastek. Czytał „Le Soleil du Québec”. Poincaré usiadł.

— Czyli że w ogóle zrezygnowałeś ze snu? Jesteś cudem medycyny — stwierdził Ludovici.

— Też się cieszę, że cię widzę. — Poincaré wskazał gazetę. — Coś ciekawego?

— Wciąż te same rozróby. FWT ogłosił wczoraj raport, w którym oskarża państwa G-8 o promowanie nowego kolonializmu. To wyrażenie chyba się przyjmuje. — Ludovici wkroił się w szczególnie dojrzały kozi ser i rozsmarował go na chrupiącym pieczywie. — A tak poza tym jak zwykle wojny i zaraza. Jak tam było w Bostonie?

— Pożytecznie.

Paolo uniósł brew.

— Słyszałem, że miałeś jakąś przygodę. Zostań tutaj, a ja przyniosę ci coś do jedzenia.

— Nie jestem już pacjentem. Sam sobie przyniosę.

— Siedź!

Poincaré rozłożył serwetkę i rozmyślał o czekającym go dniu, Ludovici ustawił się w kolejce do bufetu. Quito miał przemawiać na wiecu w parku naprzeciwko Frontenac. Potem Henri planował się z nim spotkać i zapytać o Chambi.

— Po dwie sztuki wszystkiego — oznajmił Paolo, wracając z talerzem równie wysoko załadowanym, jak jego własny. — Jedz, to nie padniesz, gdy usłyszysz, jakie mam dla ciebie wieści. I pamiętaj, że nie wypada zabijać posłańca.

Poincaré zagłębił łyżeczkę w jajku na miękko.

— No co, nie chcesz się dowiedzieć?

Henri odłożył łyżeczkę

— Domyślam się.

— Henri, dostałeś awans. Gratulacje. Już nie będziesz w terenie, trafisz do komórki administracyjnej, stworzonej specjalnie dla ciebie. Zostajesz wyłączony ze sprawy nadchloranu amonu.

— Kiedy ostatnio sprawdzałem, ta sprawa nazywała się Fenster.

— No, Henri. Od kiedy Interpol martwi się śmiercią jednej osoby, nawet kogoś takiego jak Fenster? Nie od tego jesteśmy. Nasze zainteresowanie zaczyna się i kończy na usunięciu z rynku przepisu na podrasowane paliwo rakietowe. Takie mam instrukcje. Swoją drogą, to właśnie ja mam ciebie zastąpić.

— W tamtym pokoju hotelowym zginął człowiek.

— Prawda — i to pozostanie niewyjaśnione, chyba że Amerykanie coś zainwestują. Jednak cokolwiek zrobią, to my znajdziemy źródło materiału wybuchowego. Coś z tego jest dla ciebie niespodzianką?

— Nic — odparł. — Nic a nic. Masz rację.

Gdy Poincaré jadł, Paolo opowiadał, że na szyję Montforte'a spadł w końcu topór. Nowy dyrektor, Amerykanin z Wydziału do spraw Tytoniu i Broni Palnej, wprowadził zasadę, że wszyscy czynni agenci, którzy skończyli pięćdziesiątkę, od razu idą na emeryturę. Co do Poincarégo zaproponowano mu obsadzenie świeżo stworzonego stanowiska.

— Coś w rodzaju starszego doradcy agentów terenowych — wyjaśniał Ludovici. — Będziesz Agentem Nadterenowym. Dyrektor wysłał mi dzisiaj wiadomość tekstową i poprosił, żebym się ciebie zapytał, jak tam twoje serce. Dostali wiadomość ze szpitala w Bostonie, był wściekły, że nie może się do ciebie dodzwonić. Próbowaleś kiedyś włączyć telefon?

— Jest włączony.

— A ty nie odbierasz?

— Kiedy dzwonił, byłem zajęty — odparł Poincaré. — A z moim sercem wszystko w porządku.

— Wyjąwszy to, że przez nie trafiłeś do szpitala. Ten nowy szef, Felix Robinson, nie lubi ryzykować. Wie, co przytrafiło się twojej rodzinie. Słyszał, że oberwałeś w Hadze od żony Banovicia i od początku się zastanawiał, co tam, do cholery, robiłeś. Obroniłem cię, mówiąc, że to przykład twojego profesjonalizmu, jakieś takie pierdoły o przywiązaniu do sprawiedliwości. Jakby to mogło wyjaśnić, dlaczego siedziałeś na galeryjce ze spluwą — o czym, swoją drogą, Robinson nie wie. Może miałem mu powiedzieć, że chciałeś zabić Banovicia? A teraz zawał? Rozpadasz się — i lepiej odpuść, zanim wpakujesz siebie albo firmę w jakieś tarapaty. To jego słowa, nie moje.

— To nie był zawał.

— Nie obchodziłoby go nawet, gdyby to były tylko hemoroidy. Masz tydzień. Chce, żebyś był w Lyonie dwudziestego trzeciego po to, żeby zwrócić odznakę i broń. Chce też, żebyś posiedział w domu z rodziną. Założy ci bezpieczną linię do Fonroque, żebyś mógł wspierać takich szajbusów jak ja. Tak byłoby doskonale — sącyłbyś kiepskie wino i rozdzielał mądrości.

Poincarégo przepęłnił podziw dla nowego dyrektora. Dymisja przez awans, sprytne.

— Czyli że mam o tym myśleć jako o swoim ostatnim przydziale.

— Powiedziałbym raczej, że jako o odpoczynku po swoim ostatnim przydziale, bo skoro nie rozwiązałeś sprawy przez trzy miesiące, nie rozwiążesz jej w tydzień. Henri, może tak będzie najlepiej. Może pora się zatrzymać.

— Tak sądzisz?

— Sam nie wiem.

— Zatrzymam się, kiedy złapię Chambi.

— Zatrzymasz się dwudziestego trzeciego. Mam się spotkać z tobą w Lyonie, przekażesz mi wszystko, co masz.

Poincaré odłożył nóż i widelec.

— Paolo, ona była w Amsterdamie. Gisele potwierdziła, że Chambi wyjechała w dniu zamachu. Kiedy wypytywałem ją w Bostonie, była zbyt zdenerwowana, żeby rozmawiać o sprawie Fenstera. Teraz całkiem zniknęła.

Ludovici wziął plaster szynki.

— Za mało — odparł, wypychając nim usta. — Chcesz ją znaleźć w związku z Chloe, a nie Fensterem czy paliwem raketowym. Przynajmniej pod tym względem nowy dyrektor zgodził się z Montforte'em. Zrobił odnalezienie Chambi priorytetem, ale jednocześnie oddzielną sprawą. Interpol ją znajdzie. Odpuść. To maćci twój osąd sprawy.

— Te sprawy się ze sobą wiążą.

— Jak?

— Jeszcze nie wiem.

— No i proszę bardzo.

— Paolo, na tym polega śledztwo. Zaczyna się od pytań, nie od odpowiedzi.

— Właśnie na tym polega ta robota. Jasna cholera...

— Ona jest w to zamieszana. Dlaczego Chloe została zaatakowana akurat przez asystentkę Jamesa Fenstera? Ja jestem ogniwem. Prowadziłem śledztwo w sprawie Fenstera. Ktoś chciał, żebym odsunął się od sprawy, bo znalazłem się za blisko czegoś i nie wiem, co to było.

— A ja mam ścigać dookoła świata cień tej kobiety, opierając się na twoich przeczuciach? Kiedy ta sprawa będzie już moja, zacznę od Laboratorium Napędu Odrzutowego i ustalę sygnaturę chemiczną bomby, potem dowiem się, jak Madeleine Rainier, sprzedawczynie antyków, zdołała sobie ubrudzić ubranie nadchloranem amonu. Jeśli masz już kogoś szukać, to poszukaj jej.

— Właśnie to robię — odparł Poincaré. — Za dwa dni będę w Laboratorium Napędu Odrzutowego, a dzisiaj wieczorem lecę do Minneapolis, gdzie urodziła się Rainier. W aktach zostawiłem swoje notatki.

— Henri, wracaj do Francji, weź sobie tydzień wolnego. Zrelaksuj się, chociaż raz w życiu.

— Nie, dziękuję.

— Jak chcesz. Tymczasem ja będę w Fort Benning.

— W Georgii? Co tam będziesz robił?

— Brał udział w Międzynarodowym Konkursie Snajperskim, w bazie wojskowej. Nie mogę się doczekać.

— Daj z tym spokój. W tej pracy używa się mózgu, nie broni.

Kelner nalał im wody do szklanek.

— O co ci chodzi? Biorę sobie tydzień urlopu i mam zaszczyt być jedynym członkiem włoskiej reprezentacji spoza wojska. Słuchaj, nigdy dobrze nie grałem w piłkę nożną. Ale to? Mogę sprawić, że Włochy będą numerem jeden na świecie.

— Co dokładnie robiąc?

— Strzelanie do celów w powietrzu, strzelanie w konwoju, nocne strzelanie, operacje antysnajperskie i kto wie co jeszcze? Odstrzeliwanie puszkę z brzoskwiń z odległości trzystu metrów. Startuje trzydzieści zespołów strzeleckich, łącznie z amerykańskimi żołnierzami, a zwycięzca może się potem chwalić przez rok. Ten strzelec, który indywidualnie zdobędzie najwięcej punktów, wygrywa parę kowbojek z wężowej skóry. Zamierzam sprawić, że Włosi wygrają i zamierzam nosić te buty.

— Doskonale — odparł Poincaré.

Ludovici złamał bagietkę.

— Oszczędź mi tego sarkazmu. Ty sobie robisz kiepskie wino, a ja mam to... — Uniósł palec wskazujący prawej dłoni, ten, którym pociągał za spust. — Co jest talentem danym przez Boga.

— I to właśnie miałem na myśli — odparł Henri. — Idź i wygraj ten konkurs. Jesteś najlepszym strzelcem wyborowym, jakiego znam. Co do przekazania śledztwa, cieszę się, że właśnie ty je bierzesz. — Oparł widelec o brzeg szklanki z wodą. Obaj patrzyli, jak sztuciec się chybotze, a potem łapie równowagę. — Cieszę się też, że tutaj dzisiaj przyszedłeś. Jesteś jedyny, do którego mógłbym zadzwonić.

Ludovici przyłożył serwetkę do ust.

— Paolo, wszystko jest w porządku.

— Nie zamierzam pozwolić ci tutaj umrzeć. Wracaj do Francji.

— Nikt jeszcze nie umiera.

— To dokończ to cholerne śniadanie. Szczyt FWT kończy się wiecem pod Frontenac. Z całego świata przyleciało tysiąc dwustu delegatów, z czym, za jakie pieniądze, nie jestem w stanie powiedzieć. Jednak tutaj są i będą protestowali przeciwko G-8. Wczoraj widziałem Quito na mniejszym wiecu pod parlamentem i przekazałem mu wiadomość, tak jak prosiłeś. Powiedział, że oczekuje jutrzejszego spotkania.

— Tak właśnie powiedział?

— Chce osobiście przekazać ci kondolencje. — Ludovici postukał w stół, aby zwrócić uwagę kelnera, spoglądającego w każdym kierunku, tylko nie w stronę Poincarégo. Wypił kolejny łyk kawy.

— Co będzie następane? — zapytał w końcu. — To znaczy, po Interpolu. Co będziesz robił?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, czy w tym tygodniu znajdę Danę Chambi.

27

Kiedy Poincaré pojawił się na miejscu, gdzie odbywał się wiec, zobaczył wynajęte propanowe piecyki, przenośne sanitariaty oraz napędzany gazem agregat, zasilający nagłaśnianie i oświetlenie — kable rozłożono starannie i zabezpieczono. Ujrzał także namiot do udzielania pierwszej pomocy i platformę zapewniającą dziennikarzom dobry widok na tłum pod mównicą oraz wznoszący się za nią Chateau Frontenac. Stanowiło to imponujący pokaz logistyki. Na miejscu były bębny, na których wybijano rytm, niesłyszany w Quebecu od czasów Champlaina.

Delegaci byli różni, nastrój raczej wesoły, chociaż pełen napięcia. Po drugiej stronie zapór stali policjanci w pełnym rynsztunku bojowym. Między policją a Chateau wojsko regularnie patrolowało niewielki park, z bronią automatyczną, zawieszoną na ramionach. Nieopodal unosił się śmigłowiec. Na skraju tłumy przechadzali się mężczyźni w ciemnych okularach oraz luźnych kurtkach, mówiący do kołnierzy. Kanadyjczycy musieli zapewnić wolność zgromadzenia, bo nie chcieli wyglądać w oczach międzynarodowej prasy na

zbirów z czasów sowieckich, ale wolność obejmowała przemowy, nie poruszanie się. Nikt z FWT nie mógł zbliżyć się do Chateau.

Oprócz, w pewnym sensie, Quito. Poincaré patrzył, jak prezydent Frontu Wyzwolenia Tubylców, skromny pasterz, który stał się ekonomistą, wstępuje na ruchomą platformę, stanowiącą coś na kształt muru obronnego. W chwili, gdy podchodził do mikrofonu, jednym okiem zerkając na kamery, Henri zrozumiał, że Indianin używa technologii Zachodu przeciwko niemu samemu, tak jak użył Internetu, aby na całym globie zgromadzić wirtualną nację. Zwracając się do świata, mówił krótko i zwięźle.

— Nazywam się Eduardo Quito. Jestem synem, wnukiem i prawnukiem pasterzy, których przodkowie żyli w czasach przed hiszpańską inwazją. Moi ziomkowie pierwotnie byli pasterzami. Tych, których nie zabiły hiszpańskie topory i lance, zabiły zarazy. Wtedy uciekli w góry. Jednak żołnierze ich ścigali. Cierpieliśmy i umieraliśmy. Teraz żyją nas setki tam, gdzie kiedyś żyły setki tysięcy. Z trudem staram się uczyć młodych starych obyczajów, szlocham jednak, bo sam tak niewiele o nich wiem. Nazywam się Eduardo Quito.

Sięgnął do dużej glinianej misy i wyjął coś, co wyglądało jak kamyczek, taki, który wytrzepuje się z buta. Uniósł ten kamyczek wysoko, aby wszyscy go zobaczyli, odwrócił się i cisnął w policyjne barykady. Kamyk z brzękiem odbił się od tarczy funkcjonariusza, który pewnie nie więcej niż rok temu ukończył akademię. Quito odwrócił się, pomógł wejść na scenę jakiejś starej kobiecie. Miała na sobie skórzane legginsy oraz skórzaną kurtę obszytą białym futrem, powiewającym na wietrze.

— Matko — powiedział — przemów.

Przemówiła. I tak oto przemawiali, kobieta za kobietą, mężczyzna za mężczyzną, pasterz renów z Laponii, Buszmen z Kalahari, Siuks Lakota, szaman Kayapo z Amazonii. Powoli i bez żadnych nakazów setki ludzi uformowały kolejkę, wijącą się poprzez teren zgromadzenia, aż do zaimprovizowanego podium. Każdy mówca opowiadał historię o zniszczeniu jakiegoś świata, a potem unosił kamyk i ponad tłumem ciskał nim w policję. Wielu płakało, a od czasu do czasu ktoś wznosił rozzwierający okrzyk. Przez cały czas bębniarze wybijali rytm.

Rozdzwoniła się komórka Poincarégo. Zobaczył, że to ktoś z Lyonu, więc nie odebrał. Telefon zadzwonił znowu, a wtedy go wyłączył. O godzinie piętnastej wyczuł zdenerwowanie policjantów, o których tarcze uderzały kolejne kamyki. Policja konna zaczęła ściągać cugle niespokojnym wierzchowcom. Quito nie tylko wymanewrował Kanadyjczyków, on ich podjudzał. Obrady zgromadzenia emitowano teraz na cały świat, a poobijawszy się między satelitami, bez wątpienia trafiały na drugą stronę parku, do prezydentów i premierów zgromadzonych w dobrze strzeżonym Chateau. Zapadł zmierzch. Organizatorzy wiecu wystawili stoiska z jedzeniem, ale miejscowi sprzedawcy z obrębu murów Starego Quebecu i spoza nich zaczęli zjawiać się z kanapkami oraz okrzykami zachęty, wołając *Vive la manifestation!* Tłum gapiów coraz bardziej rósł, zaczynał wykrzykiwać hasła przeciwko policji. Poincaré nie spodziewał się tak długiego

zgromadzenia, Quito i kucharze zaczęli rozdawać zupę i kawę, dla starszych ustawiono krzesła, porządkowi z odznakami pilnowali, by utworzono kolejki. Przemawiały coraz to nowe osoby, wreszcie Poincaré dostrzegł niskiego mężczyznę o szerokiej twarzy i czekoladowej skórze, który podszedł do mikrofonu. Uwagę detektywa zwrócił jego gest. Przed rozpoczęciem przemowy mężczyzna uniósł ramiona.

— Bracia i siostry! — zawołał. — Pochodzę z ludu Pitjantjajara, z Pustyni Zachodniej, z łądu nazwanego przez najeźdźców Australią. Kiedy miałem sześć lat, agenci okupacyjnego rządu ukradli mnie i całe moje pokolenie z naszych domów, oddali na wychowanie do misji, aby nas ucywilizować, żeby nas nauczyć sobie usługiwać. Uciekłem, kiedy miałem osiem lat, a oni mnie złapali i pobili. Uciekłem dwa lata później. Na dobre uciekłem, gdy miałem lat dwanaście, aby pić whiskey i wędrować. Stare drogi utracono, nowe drogi są puste. Moi rodzice umarli, nie wiedząc, co stało się z ich dziećmi. Jestem z ludu Pitjantjajara z Pustyni Zachodniej, z kraju nazwanego przez najeźdźców Australią.

Mężczyzna odszedł od mikrofonu, otworzył scyzoryk, uniósł go nad głowę i przesunął ostrzem po wnętrzu dłoni. Popłynęła krew, obtoczył w niej kamyk. Nie rób tego, pomyślał Poincaré. Wygrywasz, nie rób tego. Jednak mężczyzna odwrócił się i cisnął kamieniem w policyjną zaporę, a scyzoryk niegroźnie upadł na platformę. Kamyk zadzwięczał o tarczę i zostawił czerwoną kropkę. Henri zorientował się, że zapadła głucha cisza. Niczym na zwolnionym filmie widział, jak u jego stóp trzęsienie ziemi otwiera rozpadlinę. Równowaga, panująca przez cały dzień, teraz pękła z trzaskiem. Usłyszał gwizdek. Zaczęło się starcie.

Delegaci FWT runęli na barykady, ciskając w policję wszystkim, co tylko mieli pod ręką, a ta odpowiedziała gazem łzawiącym i gumowymi kulami. Padali mężczyźni, kobiety, podnoszono ręce do zakrwawionych głów, krzyczano. Przewrócono kuchenkę, rozlał się tłuszcz. Delegaci, którzy parli do ataku, zaczęli pchać się z prawej strony Poincarégo, oddzielając go od Ludoviciego. Policja przeszła przez zaporę, krocząc z uniesionymi pałkami. Z lewej i z tyłu sklepy zamykały wszystkie wyjścia, a inspektor znalazł się w kleszczach. Razy spadły wpierw na bębniarzy, którzy utrzymywali pozycję i znosili ciosy, jakby byli chorążymi w samym środku bitwy. Padli tam, gdzie stali. Ze zbiorników parował gaz łzawiący. Niektórzy delegaci, na kolanach, z uniesionymi ramionami, modlili się. Inni owinęli twarze koszulami, miotali brukowce. Wszystko filmowały kamery.

Jakiś policjant bił mężczyznę stojącego z lewej strony Poincarégo, potem odwrócił się do detektywa i uniósł pałkę. Gdy Henri skulił się, aby się osłonić, usłyszał trzask — odgłos silnego, elektrycznego impulsu. Policjant runął na ziemię. Oddychał, ale cały dygotał. Potem w głowie detektywa rozbrzmiał gong, a nogi się pod nim ugięły. Zanim stracił przytomność, poczuł parę silnych rąk, które złapały go pod pachy i odciągnęły.

Poincaré, nie wiedząc po ilu godzinach, obudził się w jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu z sofami, stolikiem kawowym oraz barkiem.

— Paolo?

Zamrugał i uniósł dłoń do pulsującego bólem czoła.

— Jak ty...

Nigdzie nie zobaczył Ludoviciego. Kiedy próbował wstać, poczuł czyjąś dłoń, położoną na ramieniu.

— Zadano panu paskudny cios — oznajmił znajomy głos. — Ma pan szczęście, że moi ludzie byli w pobliżu. Teraz już pan wie, jak wygląda życie po naszej stronie barykady!

— Quito?

— Do usług, inspektorze. — Wszedł w pole widzenia Poincarégo, razem z nim jakiś mężczyzna, który bardzo go przypominał, był jednak młodszy i jeszcze potężniej zbudowany.

— Może pan podziękować mojemu asystentowi Juanowi za swoją... jak to mówicie? Swoją „ewakuację”.

Poincaré wstał i zobaczył, że znalazł się z dala od zamieszania, w hotelowym pokoju. Quito zaczął przechadzać się po dywanie.

— Inspektorze, może pan mi wierzyć albo nie, ale nie chciałem przemocy. Zdobywaliśmy sympatię świata. Czułem to!

Poincaré się z nim zgadzał.

— To było błyskotliwe przedstawienie. Jednak co do tego, że pan nie spodziewał się zamieszek... Każda chwila tego wiecu została zaplanowana. Sądzę, że to pan posłał aborygena, aby podjudził tłum?

— To obraźliwa nazwa.

— Tego człowieka, który się pociął. To też pan wyreżyserował?

Quito zatrzymał się.

— Cóż mogę powiedzieć? Tworzę ogrody ozdabiane posągami, a po tych ogrodach przechadzają się ludzie. Inspektorze, jestem artystą, a te działania to moja sztuka. Zobaczył pan, jakie emocje wzbudzają te wydarzenia. Nie kazałem mu tego robić. Wolałbym, żeby się nie pociął, ale przecież co on takiego złego zrobił? To był tylko kamyk, taki sam jak cała reszta. Zapewniam pana, że rozlana krew, sama w sobie, nie stanowi problemu. Problem polega na tym, że przez pięćset lat to była nasza krew, nigdy wasza.

— Jeśli to coś warte, to wzbudziliście moje współczucie.

— Na to jest już za późno — powiedział Quito, znowu się przechadzając. — Już panu mówiłem w Amsterdamie. Nie będziemy czekać spokojnie na innych, aż nas uratują.

— Zmiażdżą was.

— Już nas zmiażdżyli.

Poincaré pomacał bandaż na czole.

— Co się wydarzyło?

— Wydarzyło się to, że jeden z kanadyjskich stróżów prawa uderzył pana pałką po głowie. Obserwowałem pana w tłumie, od kiedy pański asystent powiedział mi, że pan przyjdzie. Muszę przyznać, że trudno było pana nie dostrzec, z tą bladą cerą i w garniturze. — Quito roześmiał się. — Kiedy moja ochrona wybawiła mnie od kłopotów, posłałem

Juana, żeby zaprowadził pana do samochodów — ale trochę się spóźnił. Teraz jest pan pod miastem, w bezpiecznym miejscu. Pozwoliłem sobie nakazać swojemu lekarzowi, by nałożył panu szwy, kiedy był pan nieprzytomny. Teraz, jak sędzę, zdobył pan swoje pierwsze szramy bitewne!

I znowu Henri przesunął palcami po bandażu i rzeczywiście, wyczuł rząd szwów. Quito jakby czytał mu w myślach.

— Inspektorze, niech pan to uzna za memento. Coś, co ma panu przypominać o mnie za każdym razem, kiedy spojrzy pan w lustro. I proszę się nie martwić. My, dzikusy, wierzymy w istnienie zarazków. Mój lekarz używał sterylnych igieł oraz antyseptyków, a to zostawił dla pana. — Wyłowił z kieszeni fiolkę pastylek. — Dawka baktrimu na kilka dni, jak sędzę po to, żeby nie zaatakowały pana żadne paskudne zarazki.

— Pański lekarz?

— Niech pan nie będzie taki zdziwiony. Mocarze z Chateau też mają swoich. Kiedy się postarzałem, żona mnie nakłoniła, żebym podróżował z lekarzem. Czego pan się spodziewał po ubogim, andyjskim pasterzu? Opatrunku z przeżutego tytoniu? Ha!

— Co się stało z moim partnerem?

— Tego młodzieńca aresztowano razem z innymi. Jednak dzisiaj wieczorem policja wypuściła tych ludzi, nawet nie stawiając im zarzutów — dostali takie polecenie od sędzi, która widziała zajścia w telewizji. Powiedziała, że wzruszyła się do łez. Pan Ludovici zapewne wrócił już do swojego hotelu i martwi się o pana.

Poincaré spróbował się podnieść.

— A czy ja powinienem się martwić?

— Pan mnie obraża, Juan odwiezie pana do hotelu, gdy tylko tutaj skończymy. Wie pan, polubiłem pana od naszego pierwszego spotkania. Chodzi o nasz *tenaz* — o nasz upór buldoga. Wciąż pan tutaj jest, prowadzi swoje śledztwo, po tym wszystkim, co pan wycierpiał. Bardzo mnie przygnębiło to, co przeczytałem o nieszczęściu pańskiej rodziny i o śmierci pańskiej wnuczki. Kto zrobiłby coś takiego? Ten człowiek, o którym podsłuchałem w Amsterdamie?

Poincaré wpatrywał się w niego.

— Obawiam się, że złe wieści rozchodzą się szeroko.

— Profesorze, zjawiłem się tutaj w sprawach zawodowych.

— Jestem tego pewien. Powiedziałem panu już wszystko, co wiem na temat zabójstwa Fensterera. Może pan chce mnie zapytać o coś nowego? Szkoda byłoby przebyć taką drogę, zarobić siedem szwów i niczego się nie dowiedzieć. — Quito skinął na asystenta, który wyszedł do sąsiedniego pokoju i zamknął drzwi.

— Inspektorze, co mogę dla pana zrobić?

Poincaré wstał z trudem, chwiejnym krokiem podszedł do stolika. Położył na blacie trzy zdjęcia Dany Chambi.

Quito natychmiast sięgnął po jedno.

— Dana!

— Zna ją pan?

— Oczywiście. FWT opłacił jej studia na Harvardzie. Nigdy by sobie nie mogła pozwolić na lot do Bostonu, nie mówiąc już o czesnym. Zaczęła pisać doktorat, ale uniwersytet nie miał dla niej żadnych pieniędzy. Dlatego zwróciła się do FWT o stypendium, a my, komitet odpowiedzialny za takie sprawy, przyjrzelśmy się jej aplikacji. Niesamowicie błyskotliwa kobieta, ale ostatnio trochę nieprzewidywalna.

Poincaré usiadł na fotelu.

— Okazało się, że pracowała dla Fensterera.

— A dlaczego nie? Znalazła go, potem znalazła mnie. Kiedy skończyłem współpracować z Jamesem, nie było między nami żadnych złych emocji.

— Pan mi mówi, że ze wszystkich matematyków na świecie, z którymi mogła studiować Dana Chambi, wybrała sobie akurat Jamesa Fensterera, który akurat współpracuje z panem? Czy Fenster wiedział o tym powiązaniu?

— Nigdy nie pytałem. A powinienem?

— Mówi pan, że to przypadek?

— Czysty.

— Profesorze, w jaki sposób była nieprzewidywalna?

— Miała składać raporty, powiadamiać nas o postępach. W maju niczego od niej nie usłyszeliśmy, po wiosennym semestrze, potem minął jeszcze czerwiec, i wtedy spróbowaliśmy się z nią skontaktować. I nic. Teraz się martwimy i szukamy jej. Wie pan, że porzuciła Harvard.

— Tak, wiem.

— Inspektorze, ona jest jedną z nas. Chcę jej pomóc znaleźć nową posadę, tak żeby mogła dokończyć swoje badania. My, dzikusy, jeśli chcemy poprawić nasze położenie, potrzebujemy takich Dan Chambi. Sądziła, że bada zapobieganie chorobom, ale szykowałem ją na stanowisko przywódcy FWT. Nie będę żył wiecznie.

Poincaré miał zeszywniały kark i chciał się napić. Ale nie tutaj.

— Na pewno wywarła na panu wielkie wrażenie. Na każdym je wywiera. Raczej niemożliwe, aby była powiązana z zabójstwem Fensterera. Naprawdę pan w to wierzy?

— Na razie jeszcze w nic nie wierzę — stwierdził Poincaré. Co było prawdą. Z jednej strony, przebywała w Paryżu i Amsterdamie. Z drugiej, wszyscy, którzy ją spotkali — Roy, Bell, Quito i nawet on sam, na podstawie dziesięciminutowej rozmowy — odnosili wrażenie, że nie była zabójczynią. — Czy spotkał pan pannę Chambi w Amsterdamie? — zapytał. — Przebywała tam przez kilka dni przed zamachem.

Quito wydał się szczerze zdumiony tą nowiną.

— Niemożliwe. Przecież wiedziałyby o naszej akcji w Amsterdamie przeciwko WTO. Znalazłaby mnie. Nie ukrywałem się. Trudno w to uwierzyć.

— Mam dane z hotelu i potwierdzony podpis. Niech pan uwierzy.

— Towarzyszyła Fensterowi?

— Albo nie.

— Nie miała powodu, żeby robić mu krzywdę.

— To kto podłożył bombę?

Quito zbliżył się do okna i uniósł zasłonę.

— Już przez to przechodziliśmy. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć, wyjąwszy to, że bliskość jakiegoś zdarzeniu wcale nie czyni mordercy — ani ze mnie, ani z pana, ani z kogokolwiek. — Quito przeszedł przez pokój i uniósł dłoń. — Zawrzyjmy układ, pan i ja. Jeśli znajdę Danę, zadzwonię do pana. Jeśli pan ją znajdzie, odwzajemni pan przysługę. Życzę miłego wieczoru... i niech pan na siebie uważa.

— Jeszcze jedno pytanie... — odezwał się Poincaré.

— Nie sędzę, inspektorze. Niech pan odpocznie. Wygląda pan na bardzo, bardzo zmęczonego.

28

Sprawdziłem wszystkie szpitale — powiedział Ludovici, kiedy Poincaré o drugiej wszedł do hotelowego holu. — Obdzwońnię przychodnie. Zadzwoniłem do kostnicy. Chryste, Henri, nie wyglądasz lepiej od trupa.

Poincaré opowiedział to, co zdołał zapamiętać, okazało się, że nie pamięta mniej więcej dwóch godzin. Policjant z pałką upadł, porażony paralizatorem. Uderzył go ktoś inny, przypuszczalnie człowiek od Quito. Teraz jednak nie starał się tego zrekonstruować, zresztą ból dudniący w głowie czynił wszelkie spekulacje pozbawionymi sensu. Dostał pałką, czuł się słabo i miał mdłości.

— Nie wierzę Quito — stwierdził. — Nie mówi mi tego, co wie o Chambi.

Ludovici wzniosł oczy.

— Nie zaczynaj wszystkiego od nowa.

Na policzku miał paskudnego siniaka i kuśtykał.

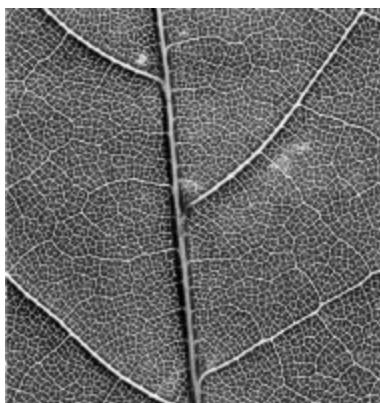
— Paolo, zostań mi tydzień, żeby zrobić to po swojemu. Do zobaczenia w Lyonie.

Poincaré ruszył w stronę windy.

— W porządku. Dobra. A co ty na to, żebyśmy już nie rozmawiali o sprawach zawodowych i obaj zażyli coś przeciwbólowego? Wiesz, naprawdę tłułem jakiegoś policjanta, aż padł. Miał w dupie, że macham mu odznaką przed twarzą. Od kiedy przeszedł przez barierę, zachowywał się jak lunatyk. Czego ich tutaj uczą? — Ludovici wskazał na alkowę. — Zamówiłem butelkę i dwa kieliszki, uznając, że prędzej czy później się pojawisz. Chodź, opowiesz mi o wszystkich zamieszkach, w jakich brałeś udział, a ja mogę ci powiedzieć, jak chcę pozwać kanadyjską policję za nadmierną brutalność.

Tamtej nocy Poincaré nie spał. Pił z Ludovicim do czwartej nad ranem. Potem

wyprawił go na konkurs snajperski i powędrował do swojego pokoju, trzymając się ścian. Obejrzawszy ranę — lekarz Quito nałożył na nią schludny rząd szwów — otworzył na łóżku teczkę z materiałami dotyczącymi sprawy Fenstera. Porozkładał zdjęcia Rainier i Chambi, przeglądał obrazy z galerii Fenstera, z żadnym jednak nie potrafił powiązać żadnej historii, chociaż miał podpowiadaną przez instynkt pewność, że skądś zna te obrazy. Ponownie przyjrzał się zdjęciu pojedynczego liścia — wizerunkowi, który fascynował go od miesięcy, nawet w Fonroque, kiedy przebywał z dala od śledztwa. Sposób, w jaki Fenster przyciął wizerunek liścia, zachęcał do uważnego przyjrzenia się temu, co niezwykle, w czymś całkiem zwyczajnym. W liściu.



Tym razem wizerunek wzbudził u Poincarégo niesłychane zakłopotanie. Kiedy go zobaczył, od razu pomyślał o planach: ulicach, osiedlach, zespołach budynków. Miał taki zwyczaj, aby odwiedzając jakieś miasto, drukować sobie plany z Internetu — widok z powietrza, pozwalający się lepiej zorientować w odległościach i kierunkach. Wyjął swój plan Quebecu, potem złożył go w kwadrat i umieścił na łóżku, obok liścia.



To nie była żadna metafora. Miasta nie przypominały liści, lecz nimi były, w taki podstawowy sposób, zorganizowane według tej samej zasady, górującej nad biologią, wręcz uprzedzającej biologię. Poincaré przyglądał się tym samym strukturom — szlakom służącym do transportu paliwa, usuwania odpadków i komunikacji. Nie istniała żadna komórka pozbawiona połączenia z główną linią, komórki stykały się ze sobą, aż do wyraźnej granicy. Procesy życiowe zachodzące w komórkach podtrzymywały funkcjonowanie organizmu. I miasta, i liścia. Co jeszcze? Poincaré dostrzegł to, co widział Fenster. Wciąż jednak opierał się dokonaniem przez Fenstera przejściu od rzeczy, których

każdy może dotknąć — liści i popękane go asfaltu — do tworów tak abstrakcyjnych, jak globalna gospodarka oraz dystrykty Francji. Wziął ołówek, papier i naszkicował przepływ akredytyw, umów handlowych oraz cenników, jak gdyby stanowiły elementy składowe organizmu, który wytworzył szlaki transportu do i z centrów produkcji. Potrafił to zobaczyć, nie potrafił zaakceptować.

Kiedy wstało słońce, Poincaré wiedział, że przez tę bardzo długą noc przebył już wraz z Jamesem Fensterem połowę drogi; nie przemierzył jednak całego dystansu. Zebrał materiały, zasunął zasłony hotelowego pokoju, po czym przespał cały dzień. Wstał o piątej, na kolację i wieczorny lot do Minneapolis. Wziął prysznic, schludnie się ubrał, co przynajmniej odświeżyło go wewnątrz. Z zewnątrz już tak dobrze nie wyglądał. Lustra nie kłamią, nie kłamali też Quito i Ludovici. Przynajmniej serce wciąż zachowywało się przyzwoicie. Zjadł porządny posiłek, potem znowu położył się spać.

Z okna samolotu Poincaré przyglądał się zorzy polarnej, wijącej się szerokim, zielonym pasmem. Już coś takiego widywał. Kiedyś, na północnych rubieżach Norwegii wytropił pedofila rozpowszechniającego dziecięcą pornografię. W miejscowości, gdzie przez kilka miesięcy w roku nie świeciło słońce, pewien hotelowy recepcjonista zgromadził najokropniejszy zbiór zdjęć molestowanych seksualnie nieletnich, jaki tylko można sobie wyobrazić. Niektórzy ze sfotografowanych mieli zaledwie rok. Dla zysku rozprowadzał te zdjęcia za pośrednictwem Internetu. Cud współczesnej techniki. Szczupły, nieśmiały ojciec trojga dzieci szedł wtedy do radiowozu — jedyne go w całym kluczu małych miejscowości na dalekiej północy, a agenci nieśli do czekającej już furgonetki komputery i segregatory. Poincaré oparł się o jakiś słupek i wpatrywał w niebo, bardzo podobne do tego widocznego teraz z samolotu. Gdyby właśnie w tamtej chwili ktoś postukał go w ramię i oznajmił: „To walczą dinozaury i właśnie stąd się bierze zorza polarna”, mógłby odpowiedzieć „A dlaczego nie?” Mając książkową wiedzę, która niczego nie wyjaśniała, przyglądał się cząsteczkom spływającym ze słońca i eksplodującym w atmosferze, a jednocześnie na dole ze zdziwieniem przypatrywał się żonie pedofila, całkiem oszołomionej, gdy policja wyprowadzała obcego człowieka, kiedyś nazywanego przez nią mężem. Jak można było cokolwiek z tego zrozumieć?

I jak zdołał przeżyć pięćdziesiąt siedem lat, zupełnie nie dostrzegając tego, co widział Fenster i co Chloe zauważyła tamtego dnia w Fonroque? Symetrię w symetrii, niewidzialną, a jednak tak bliską jak następne uderzenie serca. W jego elektrokardiogramie mieszkała symetria taka sama jak w błyskawicach, drzewach oraz stopniowym rozrastaniu się miast. Nie ważył się zapytać, gdzie albo czym to wszystko się kończy, bo takie pytanie równało się zaproszeniu do rozważań, na które nie miał ochoty. Pewien był jednego — dla Fenstera cały świat na górze i na dole migotał jak zorza, a to migotanie stanowi klucz do zabójstwa matematyka.

Poincaré odwrócił się od okna.

Budynek publicznej służby zdrowia w Minnesocie, przy Robert Street, był długim, stosunkowo niskim gmachem z kamienia oraz wysokich, szklanych płyt. Niczym u jakiegoś

owada część stalowego szkieletu wystawała na zewnątrz. Poincarégo powitała kierowniczka biura i bez większych formalności zaprowadziła do pomieszczenia aż po sufit zastawionego skrzyniami. Wystarczy jeden papieros, pomyślał, a piętnaście tysięcy osób przestanie istnieć na papierze.

— To są tylko porady zdrowotne i wewnętrzne notatki służbowe — wyjaśniła kobieta, widząc jego konsternację. — Najważniejsze dane zostały zdygitalizowane i mają kopie zapasowe, zarówno na naszym komputerze, jak i na komputerach znajdujących się poza stanem. Proszę za mną. Sądzę, że mam to, czego pan szuka.

Była w odpowiednim wieku, aby pamiętać czasy, gdy przeglądało się ważne dane schowane do pudełek po butach.

— Pani Reynolds, nie zajmę pani dużo czasu.

— To dobrze — odparła. — Bo nie mam dużo czasu.

Dotarli do niewielkiego, pozbawionego okien pomieszczenia, które w swoim poprzednim wcieleniu było składzikiem dozorczy. Zlew przy jednej ze ścian zapełniały wyrzucone papiery. Półki zastawiono broszurami, schludnie ułożonymi w pudełkach. Na drzwiach, co dziwne, wisiała plakietka z nazwiskiem Reynolds. Pracowała więc w magazynie umieszczonym w magazynie.

Usiedli przy biurku, a Poincaré wyjął odpis aktu urodzenia Madeleine Rainier, który polecono mu przynieść.

— Ósmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, Centrum Medyczne hrabstwa Hennepin. Mogę zobaczyć oryginał albo państwa kopię cyfrową?

Kobieta obejrzała wersję dokumentu przyniesioną przez Poincarégo.

— Dwie sprawy — oznajmiła. — Po pierwsze, papierowe oryginały trzymamy w sejfie, w rejonie Iron Range. Najlepsze, co możemy zaoferować, to kopia cyfrowa. Po drugie, ma pan certyfikowaną kopię. Widzi pan ten symbol, tutaj? To pełnoprawna kopia, chociaż może być pozbawiona kilku informacji. Niech pan da mi chwilę. — Odszukała Rainier w internetowej bazie danych. Kiedy ekran się odświeżył, sięgnęła po okulary, wiszące na łańcuszku. — Rodzice ci sami. Adres się zgadza. Te same dane. Ma pan autentyczne dane — potwierdziła, unosząc wzrok.

Przekreśliła monitor w stronę detektywa i zaczęła porównywać papier trzymany w ręku z informacjami wyświetlanymi na ekranie.

— Co to za symbol na oryginale? — zapytał. — Nie ma go na mojej kopii.

Kobieta odwróciła monitor z powrotem do siebie.

— Tak jak mówiłam, na certyfikowanych kopiach pomija się informacje niezwiązane z potwierdzeniem obywatelstwa albo miejsca urodzenia. Ten symbol pokazuje, że Madeleine Rainier miała bliźniacze rodzeństwo.

Kliknęła na link i pojawił się drugi zapis.

— Brat. Marcus... kilo trzydzieści pięć i dwadzieścia dekagramów, urodzony osiem minut po niej. — Sprawdziła dane Madeleine Rainier. — I słabszy. Siostra miała dwa i pół kilogramy, osiem dekagramów.

Poincaré odsunął się od niej na krześle.

— Dziwne.

— Inspektorze, na tym właśnie polega różnica między kopią certyfikowaną i niecertyfikowaną. Czy pan mnie słuchał? Niektórzy ludzie nie dbają, czy ktoś inny wie, że mają bliźniacze rodzeństwo i to ich sprawa. Zakładamy jednak, że większość ludzi ceni swoją prywatność i we wszystkich certyfikowanych aktach urodzenia, które wysyłamy mailem z tego biura, umieszcza się tylko jedno nazwisko.

Przypominała mu nauczycielkę, którą musiał znosić w pierwszej klasie podstawówki. Przygwoździła go spojrzeniem.

— Zrozumiał pan?

— Zrozumiałem — odparł.

Poprosił o kopię pełnego aktu urodzenia Rainier oraz jej brata, a potem wskazał, że jest tam ten sam adres.

— Mieszkali w Minneapolis. Czy ta ulica jest gdzieś niedaleko?

Odwróciła się od monitora.

— Pan przyjechał z Francji?

— Zgadza się.

— To jest niedaleko, czterdzieści minut samochodem.

Poincaré tropił już seryjnych zabójców z wielkich, rozrośniętych rodzin, na których procesach rodzeństwo oraz rodzice załamywali ręce, mówiąc „W ogóle się tego po nim nie spodziewaliśmy”. Banović miał braci, a francuski Kuba Rozpruwacz, Joseph Vacher, siostrę. Poincaré sądził dotąd, że ktoś tak wypaczony, by trafić na jego listę osób zamieszanych w sprawę, nie mógł być kimś innym jak samotnym, nieszczęśliwym dzieckiem.

Rainier miała brata. Poincaré wątpił, żeby to jakoś istotnie wpłynęło na śledztwo, wątpił również, by po prawie trzech dekadach znalazł w jej domu rodzinnym cokolwiek użytecznego. Podał szoferowi adres i usiadł, przypominając sobie wszystko, co wiedział na temat Madeleine Rainier. Po czterdziestu czterech minutach — nie mniej, niż się spodziewał po tym, co usłyszał od Reynolds, trafił na osiedle przy ulicy nie szerszej od ścieżki rowerowej, biegnącej wzdłuż brzegu kilku połączonych jezior. Domy były z cegły, dostojne, o starannie utrzymanych trawnikach oraz szerokich oknach, za którymi widać było grube zasłony i żyrandole. Kierowca zatrzymał się przed jednym z większych budynków, a Poincaré ruszył tarasowym chodnikiem do portyku podtrzymywanego przez cztery wielkie kolumny. Zapukał, podziwiając widok na jezioro aż po wieżowce Minneapolis.

Otworzył mu człowiek tak przygarbiony, że by powitać gościa, musiał zadrzeć głowę.

— W czym mogę pomóc? — Jego mocny głos zaskoczył Poincarégo.

Henri pokazał odznakę, której mężczyzna przyglądał się uważnie, jakby była relikwią. Przenosił spojrzenie na zmianę z odznaki na detektywa.

— W dawnym życiu byłem sędzią federalnym — oznajmił. — Czyżby jedna z moich

spraw właśnie powróciła, aby mnie teraz ukąsić?

Z korytarza ktoś zawołał:

— Nate, kto przyszedł?

— Kochanie, chwileczkę... O co panu chodzi?

— Pan Rainier?

Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

— Nie. Nathan Jorgenson.

Poincaré pokazał mu akty urodzenia, wskazując adres podany na każdym z nich. Potem na nazwiska.

— Monsieur, czy przyszedłem w niewłaściwe miejsce?

Mężczyzna przyglądał się dokumentom, potem po chwili znowu zadarł głowę.

— Nie widziałem tego nazwiska ani nie myślałem o tych ludziach już od bardzo dawna. Proszę wejść, inspektorze. Moja żona powinna tego posłuchać.

Poincaré poszedł z nim do holu, z którego widział salon, pokój muzyczny, klatkę schodową, jadalnię oraz kuchnię. Na tyłach domu weszli do najmniejszego z pokojów, z oknem wychodzącym na zielnik. Pani Jorgenson siedziała na wózku obok piecyka. Odłożyła haftowanie i uśmiechnęła się, a mąż przedstawił jej gościa. Poincaré zauważył na ścianach koronki.

— Pani je sama zrobiła? — zapytał. — Ładniejszych nie widziałem nawet w Brugii. Skąd pani bierze tyle cierpliwości?

Pani Jorgenson roześmiała się i poklepała po nogach.

— Właśnie stąd. Siedzenie to moja specjalność. I chociaż cała reszta już się rozpada, moje ręce i oczy ciągle są wystarczająco dobre, żebym mogła wyszywać. Inspektorze, co możemy dla pana zrobić?

— Anno, pan przyszedł zapytać o dzieci Rainierów.

Mąż usiadł obok niej.

Poincaré wyjaśnił, o co chodzi, i przez chwilę, gdy Anna i Nathan Jorgensenowie radzili sobie z różnymi emocjami, zastanawiał się, czy będzie miał okazję wspólnie zestarzyć się z Claire. Czy będzie żył wystarczająco długo, aby zobaczyć ją na wózku?

— To strasznie smutna historia — zaczął pan Jorgenson. — Nigdy nie spotkaliśmy tych dzieci. Była ich trójka.

— Trójka? Z tego, co zrozumiałem, Madelaine miała tylko brata bliźniaka.

— Miała także starszego brata. Kiedy zdarzył się wypadek, miała dwa lata, a starszy brat cztery. Kupiliśmy ten dom rok później... Rainierowie byli młodą, pracującą rodziną. Ojciec był chyba prawnikiem, a matka wykładała na uniwersytecie. Dzieci spędzały piątkowy wieczór w domu z opiekunką. Rodzice pojechali do teatru, a kiedy wracali, jakiś pijak przejechał na znaku stopu i ich zabił. Nie mieli krewnych, a co ważniejsze, nie zostawili testamentu. Nigdy tego nie rozumiałem — no, kiedyś słyszałem, że ta rodzina przeprowadziła się do Bliźniaczych Miast po jakimś nieudanym interesie, gdzieś głębiej na

wschodzie. Myślę, że bliźniaki urodziły się właśnie tutaj. Starsze dziecko przyszło na świat w Massachusetts. Albo w Connecticut. Tak właśnie było. Przyjechali z New Haven. Matka wykładała w Yale.

— Ale ten dom — dopytywał się Poincaré. — Jak mogli sobie na niego pozwolić?

— Najwyraźniej kobieta była doskonałym chemikiem i uniwersytet, żeby ją zwabić, kupił im ten dom i spłacał kredyt. Rainierowie nie byli właścicielami. W tamtym dawnym interesie wszystko pozamykali i zaczęli od nowa. Spieniężyli nawet swoje ubezpieczenie na życie, żeby pospłacać długi. Honorowe posunięcie. Uniknęli bankructwa, ale to ich zrujnowało. Smutna sprawa. Dzieci zostały bez grosza.

— I bez rodziny, która mogłaby je przygarnąć! — dodała żona Jorgensona. — Zostały u sąsiadów, dopóki nie pozałatwiano wszystkich spraw. Bardzo długo dyskutowano o tym, co zrobić, ale w końcu nikt z sąsiadów nie chciał przygarnąć trójki sierot bez grosza przy duszy. Stan oddał je do adopcji. Wiem, że zostali rozdzieleni, ale nie wiem, co się z nimi potem działo.

Białe włosy Anny Jorgenson były rzadsze niż u jej męża. Nogi okrywał kraciasty kocyk.

— Wiem, że całą sprawę załatwiono, zanim się tutaj sprowadziliśmy. Ale chciałabym, żebyśmy to my je przygarnęli. Przyjechaliśmy z innego stanu. Nie wiedzieliśmy o wypadku. Czasem się zastanawiam, co by było, gdybyśmy lepiej zgrali się w czasie. Moglibyśmy je wziąć i przynajmniej miałyby siebie nawzajem, ten dom i okolicę. — Przyłożyła chusteczkę do nosa. — Inspektorze, mieliśmy pięcioro dzieci. Co to dla nas jeszcze troje? Wie pan, serce pęka.

29

Poincaré po przebudzeniu usłyszał o samobójczym zamachu bombowym na Piccadilly Circus, nieopodal Shaftesbury Memorial. Poranne wiadomości pokazywały tylko porozbijane sklepy oraz łkających świadków, opowiadających, że jakiś człowiek krzyczał „Jezus Panem!”, a zaraz potem się wysadził. Błysnęło, a porozrywane części ciała wymieszały się z letnimi sukienkami i bluzkami. Rezultat: dwunastu zabitych, w tym ciężarna matka trojga dzieci.

Ten spektakularny zamach dla Jezusa był pierwszy na brytyjskiej ziemi. Do tej pory ucierpiało już sześć innych krajów Unii Europejskiej, wysadzano się również w Stanach Zjednoczonych, w Rockefeller Center i na Fisherman's Wharf. Poprzedni zamachowcy mieli na sobie kamizelki wypchane materiałem wybuchowym, kulkami oraz śrubami, ukryte pod luźnymi, białymi szatami. Stanowiło to cechę na tyle charakterystyczną, że wszędzie bacznie obserwowano Żołnierzy Wniebowstąpienia. Zamachowiec z Londynu uniknął wykrycia, bo schował kamizelkę pod turkusową, hawajską koszulą w palmy i ananasy. Na filmie, wysłanym do redakcji „Timesa”, przemawiał o Trybulacji ze starannym brytyjskim akcentem, co stanowiło nowość, bo początkowo podejrzenia skupiały się na amerykańskich ewangelikach.

— Żyjemy wśród zamętu — oznajmiał, stojąc w długich szatach przed kamerą internetową. — A ja muszę wnieść weń swój wkład. Liczę tylko, iż moja męczeńska śmierć przyspieszy Drugie Przyjście i ześle na nas wszystkich błogosławieństwo.

Oświadczył, że jak najszczerzej wierzy, iż zabijając siebie, trafi prosto do raju. Podziękował również za to, że będzie miał zaszczyt towarzyszyć wszystkim, którzy wraz z nim umrą, w drodze ku prawicy Pana. Poincaré myślał o tym, jak zwyczajnie wyglądał ten człowiek, jak ktoś z sąsiedztwa, chadzający z rodziną na spacer po parku. Skoro on się wysadził, każdy był już podejrzany.

Tak jak można się było spodziewać, przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego, Kościołów prawosławnych, Kościoła anglikańskiego oraz głównego nurtu protestantyzmu szybko i w jak najostrzejszych słowach potępili przemoc szerszą w imię Chrystusa. Jednak ich gniew nie zdołał wcześniej powstrzymać zamachów dla Jezusa, teraz więc nikt ich nie słuchał. Niewiele osób uspokajały słowa rozmaitych osobistości, radzących, by nie wyolbrzymiać mało prawdopodobnego zagrożenia. Według danych statystycznych ryzyko śmierci z rąk wniebowstąpieńca wynosiło mniej więcej tyle samo, ile wskutek bezpośredniego trafienia asteroidą. Ale i tak pojawiło się nowe straszdyło — biały, chrześcijański fundamentalista, pragnący szerzyć zniszczenie w imię wyższego dobra. Kabulscy zamachowcy dżihadyści mieli teraz kuzynów — Jonesów i Bellinghamów, wysadzających się w powietrze na Piccadilly Circus. Nastolatek, który przeżył londyński zamach, podsumował ogólny nastrój takimi słowami: „Nie mogę nawet wyjść po skarpetki i nie ryzykować przy tym życia. O co, cholera, tutaj chodzi?”.

W holu gmachu Elmera L. Andersena, w śródmieściu Saint Paul, tam gdzie mieściła się siedziba opieki społecznej, Poincaré spojrzął na listę biur i prędko odnalazł Urząd Adopcyjny Stanu Minnesota. Tam jednak uprzejmy urzędnik ostatecznie odprawił go z niczym.

— Proszę pana, nie mogę ujawniać danych osobowych bez nakazu sądowego.

Urzędnik grzecznie trwał na swoich pozycjach, niezależnie od tego, ile razy Poincaré próbował dostać się do akt Rainierów. Wreszcie detektyw usłyszał, że jeśli bardzo mu zależy, może udać się do policji stanowej, gdzie się uwierzytelnia, a stamtąd skierują go do sądu administracyjnego po nakaz wydania odpowiednich akt.

— Nie wiem, o co panu dokładnie chodzi, widywałem już jednak wszelkiego rodzaju nieszczęścia, spowodowane przedostaniem się danych osobowych w niepowołane ręce. Widziałem ujawnianie takich informacji, których nawet adoptowani nie znali — na przykład o rodzicach biologicznych i ich finansach. Jestem pewien, że ma pan swoje powody, ale my też mamy swoje. Jeśli chce pan coś zobaczyć, potrzebuje pan nakazu z sądu.

Poincaré resztę poranka poświęcił na spotkanie z policją. Zjawił się w Saint Paul na tyle wcześnie, że biura Interpolu w Lyonie były jeszcze otwarte i dało się sprawdzić wiarygodność jego pełnomocnictw. Policja, która obejrzała także i ściągnęła sobie czerwony list gończy za Rainier, okazała się pomocna — jednak nie na tyle, by oszczędzić

detektywowi kilku godzin wypełniania formularzy. Jakiś pracownik zaprowadził go wreszcie do pobliskiego sądu, gdzie znalazłszy odpowiednią sędzinę, pospieszył przedstawić jej swoją sprawę. Zanim Henri zdołał wykrztusić słowo, dano mu do zrozumienia, iż cokolwiek ma do załatwienia, to, czym teraz zajmuje się sędzia, jest ważniejsze. W przerwie rozprawy zerknęła na zegarek i oznajmiła:

— Rozumiem pana prośbę, inspektorze. Jakaż to pilna sprawa wymaga ujawnienia informacji o Marcusie i Theodorze Rainierach, skoro to ich siostrę pan ściga? Ma pan dziewięćdziesiąt sekund.

— Może szukać u nich schronienia, wysoki sędzie.

Sędzina uniosła brew.

— Wedle akt, ostatni raz widzieli się dwadzieścia sześć lat temu. Niech pan poda coś lepszego. Powtarzam, jakaż to pilna sprawa? Ma pan sześćdziesiąt sekund.

— Mogą znać jej miejsce pobytu.

— To by zakładało, że ich zlokalizowała. W każdym razie nie przekonał mnie pan. Odmawiam. Podpiszę tylko nakaz w stosunku do akt Madeleine Rainier — i nikogo innego.

Weszła do swojego gabinetu, zamykając Henriemu drzwi przed nosem, zanim zdołał powiedzieć „dziękuję”.

Nie tracąc czasu, wrócił do biura adopcyjnego, gdzie już czekał na niego urzędnik z aktami Rainier, umieszczonymi na czytniku mikrofilmów.

— Policja mnie powiadomiła i znalazłem te dane. Proszę bardzo.

Przysunął do czytnika drugie krzesło. Detektywowi od razu rzuciło się w oczy zdjęcie Rainier w wieku dwóch lat i czterech miesięcy: proste jasne włosy, owalna twarz, dołek w brodzie, te same szare oczy — bez wątplenia ta sama osoba, która ćwierć wieku później zdawała się zbyt krucha, aby osadzić ją w areszcie. Uważnie wczytał się w akta, zrobił notatki i poprosił urzędnika o wykonanie kopii.

— W jaki sposób mógłbym się dowiedzieć, czy próbowała skontaktować się z braćmi? — zapytał. — Czy się państwo nie spodziewacie, że dziecko, które dowie się, że zostało adoptowane i ma rodzeństwo, będzie chciało je odnaleźć? Na pewno trzymacie takie dane.

— Owszem — odparł urzędnik, sprawdzając nakaz administracyjny. — Ale nie ma pan do nich dostępu. — Wzruszył ramionami. — Wiem, że to frustrujące. Niech pan jednak wyobrazi sobie, że jest Marcusem albo Theodorem Rainierem, albo jak się tam teraz nazywają. Ma pan dwadzieścia osiem lat albo — sprawdził w aktach — trzydzieści. I nagle do pańskich drzwi puka agent Interpolu z pytaniami o siostrę, której nigdy pan nie znał. To nie byłby dla pana problem?

— Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa — odparł Poincaré.

— A ci dwaj mężczyźni mają prawo, aby ich życie nie wywróciło się do góry nogami. Ale nie będziemy rozprawiać o tym w nieskończoność. Sędzia powiedziała „nie”. — Urzędnik sięgnął pod biurko po spis telefonów i znalazł nazwisko wymienione na informacji o adopcji Rainier. Zakreślił je, następnie odwrócił spis do Poincarégo. — Taki

sam adres. Cały czas tam mieszkają, w każdym razie mieszkali przed rokiem, kiedy wydrukowano ten spis. Powodzenia.

Dom stał na zachodnich peryferiach Saint Paul, na narożnej działce otoczonej rdzewiejącym płotem. Większość betonowej płyty umieszczonej w miejscu, które mogłoby uchodzić za podwórze, zajmował aluminiowy basen o zapadających się bokach i wypełniony liśćmi. Z tyłu, za domem, z wilgotnej piaskownicy niczym kości sterczała huśtawka. Kiedy detektyw zapukał, nikt mu nie odpowiedział. Pomyślał, że może dom jest opuszczony. Obszedł budynek, zapukał do drugich drzwi. Znowu nic. Ostatni raz zapukał do drzwi frontowych, gotów już odejść, kiedy niespodziewanie w przedpokoju zapaliło się światło. Otworzył mu jakiś mężczyzna, osłaniając oczy. Miał na sobie poplamiony podkoszulek i nic poza tym. Poincaré się przedstawił.

— O co, kurwa, chodzi?

— Pan się nazywa Richard Scott?

— Zapłaciłem podatki i rachunki za ten miesiąc. Wynocha.

Poincaré wsadził stopę między drzwi. Gdy Scott chciał zamknąć drzwi, odbiły mu się w twarz.

— Oż, ty sukinsynu!

— Madeleine Rainier.

— Coś pan powiedział?

— Szukam Madeleine Rainier. Albo Madeleine Scott?

— Skąd pan ją znasz? Kim pan jesteś? — Przesunął dłonią po brudnych włosach i zamrugał, rażony popołudniowym słońcem.

— Panie Scott — odezwał się Poincaré. — Niech pan włoży spodnie i porozmawiamy.

— Wie pan coś o Maddy?

— Niech pan się ubierze, panie Scott.

Mężczyzna wyglądał starzej niż na swoje sześćdziesiąt trzy lata. Chwiejąc się, usiadł na fotelu, tego samego koloru co jego trupia twarz. Ciężki los pozbawił wnętrza zarówno Scotta, jak i mebel. Dom cuchnął śmieciami.

— Dobre czasy — powiedział Scott. — Czego pan chcesz?

Pracował kiedyś jako konserwator w jednym z miejskich zakładów General Mills. Tak jak wszystkich w Bliźniaczych Miastach dwadzieścia pięć lat temu, również jego i jego żonę, Irnę, nauczycielkę w szkole, poruszył smutny los dzieci Rainierów.

— Całymi dniami rozpaczano w gazetach, aż wreszcie Irma się złamała. Byliśmy po trzydziestce i nie mieliśmy własnych dzieci. Próbowaliśmy. Rok wcześniej zaakceptowano nas jako rodziców adopcyjnych i czekaliśmy tylko na odpowiednią sytuację. Potem zdarzył się ten wypadek, a Irma już nie potrafiła przestać myśleć o tamtej trójce cudownych dzieci. Może pan widział zdjęcia? Zaraz się skontaktowaliśmy z wydziałem opieki społecznej. Zmitrężyli trochę, aż pewnego dnia zadzwonili i powiedzieli, że wszystko trzeba załatwić od razu. Mówili, że możemy zaadaptować jedno z trójki dzieci, nie wszystkie. Ale my

chcieliśmy wszystkie. Oszczędzaliśmy od lat i zbudowaliśmy ten dom właśnie z myślą o rodzinie. Powinien pan wtedy go zobaczyć, wszystko było nowe i odmalowane. Sam go postawiłem. Stać by nas było. Nie byliśmy bogaci, ale dalibyśmy radę z publicznymi szkołami i stanowym uniwersytetem. Błagaliśmy ich. Ale jakiś człowiek zajmujący się całą sprawą, taki w muszce i z całym rzędem skrótów przed nazwiskiem, powiedział „nie”, mówił, że w interesie dzieci leży to, aby zostały rozdzielone. W jakim ich interesie? Nie robi się dzieciom czegoś takiego, zresztą dwoje było bliźniakami. Tamten człowiek miał ukończone te wszystkie szkoły, ale gdzie miał zdrowy rozsądek? Już lepiej byłoby dla tych dzieci, gdyby były pieskami ze schroniska. Jakby chodziło o szczeniaki, to przynajmniej mógłbym zabrać całą trójkę do domu.

Scott zaprowadził Poincarégo do wąskiej kuchni, proponując mu kawę. Błat i zlew zawalone były brudnymi talerzami oraz niedojedzonymi posiłkami na wynos. Chodziło tam również robactwo, a inspektor uznał, że ryzykuje, nawet wdychając powietrze. Scott namawiał, Poincaré odparł więc, że chętnie wypije filiżankę.

— I kazali nam wybierać — ciągnął Scott. — Pieniłem się ze wściekłości, ale przecież nie można się wydzierać na pracowników socjalnych, bo jeszcze uznają, że człowiek się w ogóle nie nadaje do wychowywania dzieci! Irma wzięła mnie za rękę i powiedziała, że ci ludzie to przecież profesjonaliści, że wiedzą, co jest najlepsze, a ona chciała mieć córkę. Zawsze chciała mieć córkę. Mówiłem, że takie rozdzielanie jest wbrew naturze, że nie chcę brać w tym udziału — oni będą cierpieć, nawet jeśli nie będą się wzajemnie pamiętać. Irma ciągle powtarzała, że chce córkę i że to nasza szansa. Tak jak przy kupowaniu samochodu — decyduj się teraz, bo później oferta będzie nieaktualna.

Scott przeprosił na chwilę i zza sąsiednich drzwi Poincaré usłyszał brzęk szkła. Wyglądało na to, że żona umarła kilka lat temu, a sam Scott miał już niedługo iść w jej ślady. Każda pozioma powierzchnia, której nie przykrywały brudne naczynia, była zarzucona stosami przykurzonych magazynów. Przy ścianach, po trzy, jedno na drugim, stały pudła z zepsutym sprzętem kuchennym oraz książkami o polowaniu na kaczki i robieniu szafek.

— Napije się pan czegoś mocniejszego? — zapytał Scott zza drzwi.

Poincaré odmówił.

— Co pan tutaj robi?

— Szukam pańskiej córki.

— Chcieliśmy ją odnaleźć!

Scott wygrzebał ze słoika jeszcze jedną łyżeczkę kawy rozpuszczalnej i zaproponował gościowi, że zrobi mu kolejną filiżankę. Potem znowu przeprosił na chwilę. Tym razem przez otwarte drzwi Poincaré usłyszał plusk.

— Odejście Maddy zabiło Irmę — zawołał Scott z łazienki. — Potrwało to dziewięć lat, ale ją zabiło.

Nie usłyszał szumu wody. Scott wrócił do Poincarégo.

— Boże, jak my się staraliśmy, żeby była szczęśliwa. Z tyłu zbudowałem jej plac zabaw.

Irma przez tę swoją pracę wiedziała wszystko o dzieciach i powiedziała: „Richie, daj jej czas, ona musi dojść do siebie”. Czy szesnaście lat to nie jest wystarczająco dużo czasu? Nigdy nie potrafiłem zapomnieć o tym, co władze stanowe zrobiły tym dzieciom. To prześladowało Maddy... Ale nasza Maddy była mądra. To dziecko było wręcz urodzone do nauki — dokładnie tak, jak ja nie byłem. Pomyślałem, że tym lepiej dla niej. Oszczędzałem przez te wszystkie lata, a co mieliśmy zrobić z pieniędzmi? Daliśmy jej wszystko najlepsze, co tylko mogliśmy, daliśmy jej nasze nazwisko. Ale nigdy nie była szczęśliwa i nie sądzę, żebyśmy my byli szczęśliwi. To dobijało Irmę. Kiedyś zabrałem Maddy na śniadanie, jak była w ostatniej klasie. Miała wtedy osiemnaście lat i przyjęto ją do szkoły na wschodzie, na pełne stypendium. Składała papiery tylko do college'ów w innych stanach. Uznałem, że już czas, żeby poznała swoją przeszłość. Irma mówiła mi, że bym tego nie robił, że może potem już nigdy do nas nie wrócić... i miała rację. Maddy wtedy siedziała po drugiej stronie stołu i była bardzo cicha. Wiedziała, że została adoptowana — powiedzieliśmy, że rodzice zginęli w wypadku w Kalifornii. Chcieliśmy jej zaoszczędzić powracania do tych wszystkich artykułów w gazetach. Powiedziałem jej o braciach i następnego dnia już jej nie było. Pocałowała mnie i Irmę na do widzenia, tak jak zawsze co rano. Poszliśmy do pracy, ale ona zawróciła po swoje rzeczy i było po wszystkim. Już nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy. Nigdy też nie pojawiła się w tamtym college'u. Ostatnie, co o niej usłyszeliśmy, zaledwie rok później, to że zmieniła nazwisko na Rainier. Dostaliśmy notkę od stanu. Właśnie wtedy Irma zaczęła umierać.

— Panie Scott, od tamtej pory nie miał pan z nią kontaktu?

— Żadnego przez dziesięć lat. Nagle, dwa tygodnie temu, dostałem list. Maddy pisała do nas tak, jakby wyjechała dopiero wczoraj. Żadnego adresu zwrotnego. Znaczką były z Europy, tak sądzę. Napisała, że musiała wyjechać wtedy, kiedy wyjechała, w taki sposób, w jaki to zrobiła, i jest jej przykro, że nas zraniła. Wiedziała o Irmie, bo sprawdzała, co się z nami dzieje, i że wciąż nas kocha, jednak było dla niej czymś strasznym przez całe dzieciństwo nie wiedzieć, że ma braci. Powiedziała, że jako dziecko codziennie przez to cierpiała, bo pamiętała ludzi, którzy byli dla niej ważni. Śniło jej się, że bawi się z dwoma takimi samymi chłopcami, ale nigdy nie potrafiła dostrzec ich twarzy. Wiedziała, że ich rozdzielenie nie było naszą decyzją, ale powrót do tego domu był dla niej zbyt trudny.

Scott otworzył kredens i wyjął kopertę.

Poincaré założył rękawiczki, przeczytał list. To wyglądało na odręczne pismo Rainier. Chcąc nabrać tak dużej pewności, jak tylko mógł poza laboratorium, otworzył swoją teczkę z aktami z Amsterdamu i znalazł fotokopię jej meldunku w hotelu Ravensplein.

— Czy ma jakieś kłopoty? — zapytał Scott.

— Możliwe. Ostatnim razem widziałem ją w Amsterdamie, ponad trzy miesiące temu. Muszę ją znaleźć. Mogę zrobić zdjęcie tego listu? Przydałaby się też koperta. Chciałbym wykonać kilka testów.

— Myślę, że tak... pod jednym warunkiem.

— Jakim? — zapytał Poincaré.

Richard Scott odwrócił się w stronę okna.

— Jeśli pan znajdzie Maddy, niech ją pan poprosi, żeby mnie odwiedziła.

Kiedy to powiedział, wąska, brudna kuchnia nagle stała się bardzo mała. Ten człowiek przywołał niepokojącą prawdę. Jeśli do Poincarégo nie powrócą Claire, Etienne, Lucille oraz chłopcy, to taka kuchnia kiedyś stanie się jego kuchnią. Scott patrzył na detektywa, jakby stanowił lustro pokazujące przyszłość, spoglądał przekrwionymi, mętnymi oczyma, nieogolony, z gorzką kawą w jednej ręce i połową szklanki trującej whiskey w drugiej. Poincaré milczał. Nikt nie byłby w stanie czegokolwiek powiedzieć, siedząc w obliczu takiej ruiny.

— Inspektorze, czy ona ma jakieś problemy? Co jej się stało?

— Ktoś zginął. Był zamach bombowy.

Mężczyzna odstawił whiskey, potem kawę.

— Mówi pan, że Madeleine była w to zamieszana?

Poincaré pokiwał głową.

— To niemożliwe — odparł Scott. — Nawet jeśli córka się nas wyrzekła, to przecież znam jej serce. Była miła. Jest miła. Kiedyś wróciła do domu bez zimowego palta. A w Minnesocie jest naprawdę zimno. Irma zapytała, co się stało, a Maddy odparła, że jakieś dziecko na przystanku miało tylko sweter, więc dała mu palto, bo nie miało swojego. Nie — powtórzył Scott — ona nikogo nie zabiła.

— A jeśli fakty wskazują na coś przeciwnego? — zapytał Poincaré.

— To niech pan lepiej sprawdzi te fakty.

Gdzieś ponad Saint Louis Poincaré starał się zasnąć. Wciśnięty w siedzenie przy oknie, próbował znaleźć sobie wygodną pozycję, ale nie potrafił. Kobieta przed nim odchyliła oparcie fotela. Młody człowiek z prawej drzemał z otwartymi ustami, cicho chrapiąc, na kolanach trzymał rozłożoną książkę *Jak skorzystać na Wniebowstąpieniu*. Jego ciało było tak podziurawione, że mógłby konkurować ze Świętym Sebastianem: w obu uszach miał stalowe mieczyki, agrafkę w nozdrzu, kółka w brwi, dolnej wardze i gdzie tam jeszcze kto wiedział pod poszarpanym podkoszulkiem i dzinsami. Brakowało mu tylko dobrej sprawy i przedwczesnej śmierci — może wtedy ktoś postawiłby mu kapliczkę.

Samolot leciał na południe, wzdłuż Missisipi, potem zakręcił ostro w stronę Los Angeles. Kilka rzędów przed detektywem jakaś młoda kobieta wygramoliła się ze środkowego fotela i zaczęła przedzierać do toalety. Poincaré zwrócił na nią uwagę, już gdy wchodził na pokład. Pewna siebie, włosy miała spięte z tyłu, a na ramieniu torbę pełną książek. Zobaczył ją i zapłakał nad utraconą dorosłością Chloe. Nad perłami, których nigdy jej nie kupi. Nad butelką, której nigdy nie wypiją wspólnie w paryskiej kafejce późnym wieczorem, gdy ona, pełna entuzjazmu za sprawą nowych studiów, nowego chłopaka albo pierwszej pracy, opowie mu o tym, nie dostrzegając, że słucha nie tyle jej słów, co muzyki głosu. Czy naprawdę odeszła? Czy możliwe, że go nie powita, gdy samolot wyląduje w Los Angeles? Poincaré czuł ból nie do ukojenia. Gdyby potrafił się modlić i czytywał

Biblię, mógłby poprosić o siłę, by pogodzić się z tym, z czym już dawno temu pogodził się Psalmista: że dziecię nigdy do niego nie przybędzie, lecz raczej on, niezależnie jak długo to potrwa, musi czekać i pewnego dnia sam przybędzie do dziecięcia.

30

Laboratorium Napędu Odrzutowego przypominało Poincarému starą fabrykę. Zajmowało trzydzieści zakurzonych hektarów — na pierwszy rzut oka trudno było się spodziewać, że właśnie tutaj specjaliści od kosmosu analizują strukturę wiatru słonecznego albo szukają planet podobnych do Ziemi, orbitujących wokół dalekich gwiazd. Jednak wśród wielu budynków Laboratorium mieściły się zakłady, w których montowano pojazdy kosmiczne, a także wznosiło się centrum kontroli misji kosmicznych. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku, kiedy jakiś profesor z Kalifornijskiego Instytutu Technologii przeprowadzał tutaj próby pierwszych napędów raketowych, okolica była dosyć odludna. Z biegiem czasu ekspansja Pasadeny stopniowo pchała domy, a potem autostradę w stronę rozrastającego się kampusu, dlatego Poincaré dziwił się teraz niezwyklemu sąsiedztwu smażalni hamburgerów i sterylnych sal, gdzie najmniejszy pyłek mógł zrujnować misję kosmiczną wartą osiemdziesiąt milionów dolarów.

Okolice wyglądała przyjemnie, pełna starych drzew i co dziwne, niewielkich stad saren, wędrujących z gór San Gabriel. Inspektor umówił się na spotkanie z doktorem Alfonsem Meyerem, który pracował przy napędzie każdego z bezzałogowych pojazdów kosmicznych, jakie NASA wystrzeliło w ostatniej dekadzie, łącznie z łazikami marsjańskimi oraz pociskiem dalekiego zasięgu Deep Impact, odpalonym w serce komety mijającej Ziemię o czterysta trzydzieści milionów kilometrów. Henriego poprowadzono z punktu kontroli odwiedzających poprzez labirynt ponumerowanych budynków, pokazano niczym niewyróżniający się kompleks budynków biurowych, średnio wysokich. Potem idąc schodami w górę, trafił do dużego laboratorium.

Zaraz za podwójnymi drzwiami siedział Meyer, brodaty, uczesany w kucyk ledwie ogarniający siwiejące, brązowe włosy. Nogi w niebieskich dżinsach i sportowych butach wyłożył na zabałaganione biurko. Trzymał telefon za grzbiet słuchawki, tak jak to robią komiksowe opryszki, zastraszając swoje ofiary.

— I jeszcze jedna sprawa — wrzeszczał. — Pamiętaj, palancie, z twoją dupą będzie krucho, jak nie dostarczysz mi do piątku próbki tej nowej ceramiki!

Zakończył rozmowę, umawiając się na piwo i coś, co nazwał „wyścigiem w kanionie”, w tym tygodniu. Odwracając się na dźwięk uprzejmego pukania funkcjonariusza ochrony, Meyer zerknął na Poincarégo, a potem na swój duży zegarek.

— Nie wierzę własnym oczom! Prawdziwy agent Interpolu! Oficjalnie twierdzą, że to na pewno pierwsze zabójstwo przy użyciu paliwa raketowego!

Wstał, aby z rozmachem uścisnąć Poincarému dłoń. Otworzył lodówkę pełną bezalkoholowych napojów i zaproponował gościowi wybór sześciu odmian dietetycznej

coli. Przy biurku miał pusty półlitrowy pojemnik po lodach.

— Jest pan jakimś krewnym Jules'a Henriego?

— Tak, dalekim — odparł Poincaré.

— Naprawdę? Wie pan, jaki był ostatni problem, nad którym pracował? Stabilność wszechświata. Używał do tego tylko ołówka, papieru i swojego niezwykłego umysłu... Swoją drogą, mam dobre wieści. — Meyer roześmiał się tubalnie. — Czy pan też się czymś takim zajmuje? Udowadnianiem, że wszechświat się nie rozpadnie, kiedy jemy kolację?

Poincaré nie całkiem wiedział, czego może się spodziewać po kimś, kto ma doktoraty z inżynierii chemicznej oraz mechanicznej, licencję pilota, a także śpiewa w chórze metodystów. Meyer mógł być doskonałym kompanem do kieliszka. Stoły w laboratorium miał całe zavalone elementami silników, pojemnikami z wypisanymi na nich długimi nazwami związków chemicznych, centryfugami, komorami mieszania. Przy trzech oddzielnych stanowiskach przez sufit biegły trzy duże kominy wentylacyjne. Poincaré naliczył osiem komputerów i cztery lodówki, jedną ze znakiem ostrzegającym przed promieniowaniem. Z tyłu laboratorium jakiś technik pracował pod dużym czerwono-żółtym znakiem, głoszącym: „Uwaga, niebezpieczeństwo. Przed wejściem rozładuj elektryczność statyczną”.

Poincaré poznał w swoim życiu naukowców niepragnących niczego bardziej jak kupienia im drogich zabawek i pozostawienia w spokoju. Meyer wydawał się jednym z nich. Jego laboratorium stanowiło wycinek rajy dla dorosłych, gdzie podstarzali chłopcy mogą budować rzeczy, robiące wielkie „bum”. Naukowiec nalegał, aby oprowadzić Poincarégo po laboratorium i zrobić mu krótki wykład o ewolucji napędów odrzutowych. Kiedy mijali komory spalania oraz symulatory, Henri zobaczył miniaturowe silniki, baterie słoneczne, lasery, hydroponiczną trawę rosnącą pod lampami cieplnymi — dowiedział się, że to do badań nad pozyskiwaniem energii. Dwadzieścia minut później przyłapał się na tym, iż przy biurku Meyera kontempluje zdjęcie wielkości plakatu.

— Dobre jest, osobiście to moje ulubione.

Poincaré obejrzał fotografię z każdej strony.

— Jestem w placówce NASA, czyli że wszystko, co oglądam, powinno być mi bardzo dalekie — zauważył. — Ale jeśli pan mi powie, że to wycinek trzustki powiększony pod mikroskopem, wcale nie będę zaskoczony.

Meyer roześmiał się.

— To jest coś jeszcze bardziej dalekiego niż ta pańska trzustka.

— Jak dalekiego?

— Osiem miliardów lat świetlnych, mniej więcej. To komputerowa symulacja gromady galaktyk w szczególnie zapchanej części wszechświata. Wstawka to rentgenowskie zdjęcie prawdziwej gromady. Co ciekawe, duże gromady galaktyk wyglądają identycznie jak małe grupy, a te odległe zasadniczo są takie same jak te bliskie — zakładając, że ma się dostęp do przesunięcia do czerwieni. Gromady galaktyk są jak matryoszki. Jeśli weźmie się

większą i mniejszą oraz zmieni skalę, nie zauważy się różnicy. Wstawka została wykonana przez obserwatorium rentgenowskie teleskopu Chandra. Pracowałem przy jego silnikach. Ale pan nie przyszedł tutaj po to, żeby porozmawiać o skali zjawisk kosmicznych. Niech mi pan powie, inspektorze, kto umarł?

Poincaré upewnił się, czy dobrze słyszał.

— Galaktyki też mają swoją skalę?

— Zgadza się, pod względem wielkości i odległości. O co chodziło z tym „też”?

— Proszę wybaczyć. Chodzi o matematyka, Jamesa Fenstera. Może pan go znał albo o nim słyszał?

— Tworzenie modeli matematycznych?

— Tak. Zabito go przez to, co wiedział, ale co to dokładnie było, tego już nie jestem pewien. Dlatego ważne jest, co mi pan powie, doktorze Meyer. Czytałem pański raport, jest bardzo dokładny w kwestii dodatków do paliwa raketowego. Pojawiłbym się wcześniej, ale... miałem kilka spraw do załatwienia.

Poincaré skrzywił się.

— Inspektorze, skoro teraz wzięli się do matematyków, to już nikt nie jest bezpieczny. Holenderscy chemicy zasadniczo dobrze określili, jakie to było paliwo, ale okazał się pan na tyle sprytny, żeby przysłać mi spalone pozostałości. To, z czym pan miał do czynienia, to był silniejszy i mniej stabilny kuzyn nadchloranu amonu — dokładnie dihydroksycyklotetrametylotetranitroamina nadchloranu potasu glinu. Pański zamachowiec wymieszał nitroglicerynę z kryształami wybuchowego oktogenu. Co akurat jest dla pana dobre, bo gdyby to było zwykłe paliwo raketowe, byłby pan w dupie. Każdy program kosmiczny, każdy program wojskowy, nawet każdy amator puszczający rakiety i wytwórca fajerwerków używa zwykłego, stałego nadchloranu amonu. Szukałby pan igły w niesamowicie wielkim stogu siana. Ale to pańskie paliwo z Amsterdamu ma dwie wyróżniające je cechy. To jest jakaś nić, której pan może się trzymać.

— W takim razie mam kilka pytań, jeżeli pan pozwoli.

Meyer ponownie opadł na fotel, splótł dłonie za głową.

— Proszę bardzo, inspektorze. Zegar tyka.

— Słucham?

— Nieważne. Proszę kontynuować.

Detektyw otworzył swoje notatki.

— Po pierwsze, wiem, że trudno się obchodzić z nitrogliceryną. A co z kryształami oktogenu?

— Też trudno. To delikatna substancja, która może wzrastać tylko w ściśle kontrolowanych warunkach — nawet nam nie jest łatwo się z tym obchodzić. Jest także kosztowna.

— Po co używa się oktogenu?

— Bo zmienia się tak regularny nadchloran amonu w materiał znacznie bardziej

energetyczny, jego prędkość rozprzestrzeniania się czoła fali spalania to około dziewięciu tysięcy metrów na sekundę. Oktogenu używa się w wojsku, razem z trotylem, do wytwarzania silnych ładunków kumulacyjnych. Ponadto problem z podwójnie zasadowym oktogenem polega na tym, że ma wykładnik ciśnienia wynoszący tylko zero przecinek czterdzieści dziewięć i płonie w tempie zaledwie, tak mniej więcej, centymetra na sekundę, czyli nie jest aż taki niestabilny, jak mógłby chcieć zamachowiec. Testy, które przeprowadziłem, wykazują, że dodatek trotylu do mieszanki podnosi wykładnik ciśnienia ponad jeden. Podwójnie zasadowy nadchloran amonu spowolni odpowiednio falę uderzeniową oktogenu, ale doprowadzi także do wytworzenia się bardzo gorących gazów i intensywnego spalania.

— Co sugeruje, że?

— Co sugeruje, że ten pański zamachowiec był cholernie dobrym chemikiem i równie dobrym specem od rakiet.

Poincaré ruszył za Meyerem do laboratorium i zatrzymał się przed pojemnikiem opisanym „Nadchloran Amonu”. Naukowiec otworzył pokrywę, wysypał na dłoń Poincarégo białe ziarenka.

— Niech pan zwróci uwagę na to, że nadchloran amonu jest bielszy od soli kuchennej. To utleniacz — dzięki temu ułatwia spalanie. Jeśli pan doda mu jako paliwo sproszkowany glin i połączy to wszystko polibutadienem zakończoną grupą hydroksylową, to po godzinie otrzyma pan stałe paliwo raketowe. Takie gumowate, trochę jak opona rowerowa. Polibutadien zakończony grupą hydroksylową, wiążąc to, również to stabilizuje, stanowi inhibitor spalania oraz paliwo dla oktogenu. Przy każdym starcie promu kosmicznego NASA zużywa około tysiąca dwustu ton oktogenu.

Poincaré zmiotł nadchloran amonu z powrotem do pojemnika. Kilka ziaren obracał między palcami.

— Czy zamachowiec mógł to kupić wszędzie w Europie?

— Naturalnie. Albo zrobić samemu. W moim raporcie napisałem, że ten facet albo pracuje dla nas, albo kiedyś pracował, ewentualnie pracuje dla odpowiedniego laboratorium we Francji, Rosji, może w Chinach. Ta mieszanina w trakcie wytwarzania jest po prostu zbyt niestabilna, żeby udało się ją uzyskać gdziekolwiek indziej niż w laboratorium, w ściśle określonych warunkach. Prawie wszystkie laboratoria uniwersyteckie, w których można by to zrobić, są jakoś powiązane z programem kosmicznym.

— Czyli że pan również mógł zrobić ten materiał wybuchowy? — zapytał Poincaré.

— Jasne.

— A gdzie pan przebywał przez pierwsze dwa tygodnie kwietnia?

Meyer zawahał się, a potem dostrzegł nieznaczny uśmiezek Henriego.

— Aha, to takie francuskie poczucie humoru.

— Będę sprawdzał pańskie alibi. Muszę.

Meyer chwycił ołówek i kawałek papieru leżące na półce.

— Wiedziałem, że to ktoś zrobi od chwili, kiedy znalazłem oktogen. Rodzina mojej żony ma domek na potoku pełnym pstrągów w Idaho. Miejscowy sklepik i stacja benzynowa będą miały wydruki z mojej karty kredytowej, z datami. Zostawiłem ślad tak długi, jak mój brzuch jest okrągły. Nie będzie żadnego problemu, żeby wszystko ustalić.

— Nie wątpię — odparł Poincaré.

— A jednak pan powinien, inspektorze.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ten pański zamachowiec musi wyglądać tak jak ja. Może poza końskim ogonem i sportowymi butami. Jestem właśnie takim typem człowieka, jakiego pan szuka.

— To może porozmawiamy jeszcze przez chwilę o czymś innym — powiedział Poincaré. — Dlaczego zamachowiec miałby sobie robić tyle kłopotu? Po co miałby używać nitrogliceryny i kryształków nadchloranu amonu, skoro równie dobrze Fensterera zabiłby gotowy plastik albo trotyl? Tak naprawdę wystarczyłaby kula.

Meyer odprowadził detektywa z powrotem do biurka.

— Tamte szczątki — powiedział — jak sądzę, były nieźle przypieczone?

— To prawda, tak spalone, że nie dawało się ich rozpoznać.

— Pański zamachowiec nie chciał, żeby można było zidentyfikować ciało. W każdym razie nie wizualnie.

Poincaré długo się nad tym zastanawiał. Jedyne, co pozostało do zrobienia, to ustalić, kto w Laboratorium, poza Meyerem, mógł wyhodować kryształy nadchloranu amonu bardzo dobrej jakości, przesznułować je na zewnątrz i wymieszać w Europie, tworząc wzmocniony oktogen. Inspektor doszedł do wniosku, że właśnie taki musiał być scenariusz zdarzeń. Cztery albo pięć kilogramów kompozytowego paliwa, potrzebnych, by wysadzić pokój hotelowy, nie przeszłoby niezauważone przez kontrolę na lotnisku. Ale pojemnik z solą kuchenną już tak. Meyer udzielił informacji bez wahania.

— W tym laboratorium każdy mógł wyhodować oktogen. Ale kiedy jestem na urlopie, zostają tutaj moi czterej ludzie. I znowu nie będzie pan miał problemu, żeby to sprawdzić. — Meyer sięgnął do małej lodówki w poszukiwaniu kolejnego napoju. — To musi być paskudna robota. Ma pan złapać faceta, który to zrobił, i przypuszczalnie cały czas unikać poważniejszych kłopotów. — Oderwał zawleczkę puszki i pociągnął długi łyk. — Za nic bym nie brał takiej posady.

Poincaré zajrzał do notesu.

— A co z Randalem Youngiem? Sprawdziłem dane ponad stu ludzi z tego zakładu i właśnie on się wyróżnił.

Meyer usiadł na rogu biurka.

— Sądzę, że nadawałby się do czegoś takiego.

— Dlaczego?

— Dlatego że był cholernie dobrym chemikiem i specjalistą od rakiet, po Akademii Górniczej Kolorado. Inspektorze, zamachowiec nie mógł sobie zrobić tej mieszanki

oktogeny z nitroglliceryną na tylnym siedzeniu samochodu. Po prostu jest za bardzo niestała, co oznacza, że ktokolwiek hodował kryształ, wymieszał też paliwo albo na miejscu, albo w pobliżu, zaraz przed detonacją. Pańscy holenderscy analitycy mieli rację, twierdząc, że zamachowiec używał jakichś reflektorów, aby skupić energię wybuchu i skierować w odpowiednim kierunku. To byłby klucz do tej zagadki. Ze znanych mi osób tylko jedna pasowałaby do tego wszystkiego: Randy Young, od razu sobie o nim pomyślałem. Jednak, A — umarł jakoś w marcu; B — to był dobry człowiek. Nie miał w sobie ani grama złości. Moim zdaniem, musi pan szukać wszędzie.

Poincaré pozostawił Meyera w jego laboratorium. Detektywa zaprowadzono teraz do biura Valerie Steinholz, dyrektor działu personalnego. W związku z tym, że śledztwo dotyczyło możliwej luki w zabezpieczeniach placówki, podała nazwiska oraz adresy sześciu pracowników, nie kłopotząc się kwestią prywatności danych, które tak bardzo przeszkadzały mu w Minnesocie. Wśród tej szóstki podejrzanych był sam Meyer, czterech członków jego zespołu oraz, rzecz jasna, Randal Young — zakładając, że potrafił działać z za grobu. Poincaré chciał dowiedzieć się czegoś więcej o asystentach z laboratorium. Young był interesujący, ale mało prawdopodobny. Czas się nie zgadzał.

Okazało się, że ani Meyer, ani nikt z jego laboratorium nie opuszczali w kwietniu Stanów Zjednoczonych, w związku z tym Poincaré zamierzał wkrótce rozmawiać z ich odpowiednikami w placówkach programów kosmicznych na całym świecie. To nie miało być łatwe, ale o tym, co robić dalej, i tak dowie się dopiero za dwanaście godzin. Pozostało tylko czekanie.

31

Tymczasem Poincaré wyruszył, aby odnaleźć Alaina Ackarta. Podał kierowcy adres otrzymany w Lyonie od Samuela.

Podróż zajęła około trzydziestu minut, lecz wywarła na inspektorze takie wrażenie, jakby staczał się po równi pochyłej, od miłych wzgórz Pasadeny, z palmami oraz podlanymi trawnikami, do ponurego, opasanego asfaltem serca Los Angeles. Nieopodal autostrady, na rogach ulic, ludzie pili z litrowych butelek schowanych do papierowych toreb. Widział potłuczone szkło na chodnikach i śmieci w rynsztokach. Lipcowe słońce prażyło, upał wzmagał się falami, w miarę jak detektyw zbliżał się do Duszpasterstwa Wszystkich Świętych, pojedynczej witryny w opuszczonym poza tym pawilonie handlowym. Szyld wisiał między łukami zlikwidowanego McDonalda i błyszczał, gdy Poincaré szedł przez sporą połąć piachu.

Staął pod dużym oknem. Jakiś geolog mógłby określić zygzakowate pęknięcie na szybie mianem miniaturowego uskoku San Andreas. Rzeczywiście, przypominało linie wykreślone na oglądanej przez Poincarégo mapie Kalifornii. Stanowiło też nieomal dokładną kopię układu chwastów wyrastających z chodnika. Taka zbieżność była już mu tak znajoma, że

ledwie zwracał na nią uwagę. Po otwarciu drzwi zobaczył ośmioro mężczyzn i kobiet w powłóczystrych szatach, w wieku od dwudziestu do dobrze ponad siedemdziesięciu lat, siedzących przy rzędzie rozkładanych biurków, przed komputerami, połyskującymi telefonami oraz maszynami do weryfikacji kart kredytowych. Każdy Żołnierz miał ma głowie zestaw słuchawkowy i zajęty był rejestracją napływających datków. Nastrój panował radosny, dziwiło jednak takie zestawienie pierwszego oraz dwudziestego pierwszego wieku.

— Bóg z tobą. — Jeden z operatorów zakończył rozmowę.

Na przeciwległej ścianie wisiało ogromne dwadzieścia siedem; na drugiej duża mapa Los Angeles, w którą wbito ponad sto opatrzonych proporczykami i ponumerowanymi pinesek. Poincaré miał nadzieję, że jedna z nich oznacza Alaina Ackarta. Ale gdyby nie szaty, centrum dowodzenia w Duszpasterstwie Wszystkich Świętych równie dobrze mogłoby stanowić kwatery główną jakiegoś polityka, starającego się właśnie o reelekcję.

Kobieta o siwych warkoczykach i pożółkłych zębach wstała, aby przywitać Poincarégo. Uśmiechnęła się, kiedy wyciągnął zdjęcie.

— Alain Ackart — powiedział. — Tuż po trzydziestce. Francuz. Zna go pani?

Spojrzała za Poincarégo na limuzynę Lincoln Town Car, zaparkowaną przy krawężniku.

— Utracił pan dziecko dla Chrystusa? A może jest pan z FBI? Co tydzień mamy najazd ludzi ze służb, szukających materiałów wybuchowych. Obawiam się, że za każdym razem ich rozczarowuję.

— Proszę odpowiedzieć.

— Pan się nazywa Ackart?

— Jestem przyjacielem rodziny.

— W takim razie, dlaczego nie spróbuje pan przyłączyć się do Alaina w Chrystusie, zamiast zakładać, że zwariował?

— Właśnie dlatego tutaj przyszedłem — odparł Poincaré.

Twarz kobiety złagodniała.

— Aby się do niego przyłączyć w Chrystusie? Bardziej pan wygląda na kogoś z wydziału tytoniu i broni palnej.

— Nie, madame. Przyszedłem po adres.

— Widzi pan tamto dwadzieścia siedem na ścianie? Jutro zastąpi je dwadzieścia sześć, a pojutrze dwadzieścia pięć. Czasu jest mało, a Bóg, który troszczy się zarówno o pana, o mnie, jak i o Alaina, prosi pana o powrót.

— Tak słyszałem.

— Jednak nie jest pan przekonany.

Przyznał, że nie jest.

— Dobrze — odparła. — Uczciwość popłaca. Niech pan przez chwilę uwierzy, że można wierzyć w Chrystusa i pozostawać zdrowym psychicznie. Wie pan, na świecie żyją dwa miliardy chrześcijan. Pan sądzi, że wszyscy jesteśmy chorzy psychicznie? Czy może

problem stanowi nadmiar wiary? Może Alain jest zbyt rozgorączkowany jak na pana gust?

— Madame, proszę o adres.

— Za chwilę. Najpierw niech pan mnie wysłucha. Jeśli pan się tutaj zjawił, aby go ratować, to niech pan się na chwilę zatrzyma i zastanowi nad ratowaniem siebie. Może pan, na przykład, zapytać, kto tak naprawdę ma problem?

— Problem polega na tym, że ludzie, którzy są mi bardzo bliscy, utracili syna.

— Rozumiem — odparła. — Uważam jednak, że albo duma, albo logika powstrzymują ich — oraz pana — od powrotu do Boga. On nie został utracony. Proszę zrobić jeden krok. To będzie najdłuższa droga, jaką pan kiedykolwiek przemierzał. Ale zarazem najkrótsza. Alain już zrobił ten krok. To złota droga.

— Jak ta, którą Dorotka szła przez Krainę Oz?

Poklepała go po ramieniu.

— Nie, nie tak naprawdę. Pan w coś wierzy, czy może to wszystko jest jedynie taką grą?

Poincaré nie miał czasu, by czekać na powrót Ackarta. Jeśli rozmowa zmieniałaby się w spór, ta kobieta niczego mu nie powie, odpowiedział więc całkiem szczerze:

— Wierzę w różne rzeczy. Wierzę, że świat jest chory. Wierzę, że cierpimy i nie wiemy dlaczego. Wierzę, że my oboje oraz cały świat potrzebujemy naprawy. — Kobieta czekała na coś więcej, ale to już był koniec.

— Dobrze, to już połowa równania.

— Może. Gdzie jest Alain?

Obeszła składane biurko. Zanim Poincaré zdołał wyciągnąć długopis i papier, usiadła za terminalem i nagryzmoliła adres.

— Proszę to pokazać kierowcy — oznajmiła. — Alain jest dzisiaj Prorokiem Sto Dwanaście. Kwartał północnozachodni, parcela ósma. — Zaprowadziła detektywa do mapy i wyciągnęła pineskę. — Dokładnie tutaj. To wiejska okolica, ale wiemy, że Chrystus przyjdzie do najmarniejszych z nas, zatem idziemy właśnie do nich. Niech pan powie Alainowi, że bus zabierze go o siódmej i że siostra Lucinda jest z niego bardzo dumna. Tym młodym człowiekiem kieruje Duch Święty. To pewne.

— Po co zbieracie pieniądze? — zapytał Poincaré, wskazując na telefony. — Po piętnastym sierpnia już nie będą potrzebne.

— Prawda, ale wcześniej mamy swoje wydatki. Jedzenie. Paliwo. Noclegownie.

— A co będzie szesnastego sierpnia?

— O co panu chodzi?

— Jeśli Chrystus nie przyjdzie?

Lucinda uśmiechnęła się. Nie widać było po niej żadnych oznak złości, żadnych oznak tego, że postradała rozum, nie tak jak u tamtego młodego mężczyzny na peronie bostońskiego metra. Nie miała oczu Charlesa Mansona. I w żadnym wypadku nie wysadziłyby się powietrze, żeby ułatwić nadejście Chrystusa. Jej wiara była prawdziwa, a Poincaré, chociaż tej wiary nie podzielał, dostrzegł właśnie najszczerze serce owego

ruchu, coś, co jeszcze musiał pojąć. Ruchu skupiającego prawdziwych ludzi, żyjących w ciężkich czasach i pragnących Zbawcy. Dla Lucindy piętnasty sierpnia stanowił po prostu piękny punkt przejścia w dziejach ludzkości.

— A jeśli to tylko słowa wątpiących? — odparła. — Proszę, jeśli ma pan jeszcze chwilę, niech pan pozwoli mi opisać Ziemię taką, jaka może być, jaka będzie za dwadzieścia siedem dni.

Zamknęła oczy, a Poincaré mógł sobie wyobrazić, że teraz widzi siebie samą, idącą ramię w ramię z bratnimi duszami poprzez łąki, za sobą mając burzowe chmury, a przed sobą jasne słońce. Na jej twarzy pojawił się spokój, kiedy zaczęła recytować:

— Zbudują domy i mieszkać w nich będą,
zasadzą winnice i będą jedli z nich owoce.
Nie będą budować, żeby kto inny zamieszkał,
nie będą sadzić, żeby kto inny się karmił.
Bo na wzór długowieczności drzewa
będzie długowieczność mego ludu;
i moi wybrani długo używać będą
tego, co uczynią ich ręce.
Nie będą się trudzić na próżno
ani płodzić dzieci na zgubę,
bo plemieniem błogosławionych przez Pana
są oni sami, i potomkowie ich wraz z nimi.
I będzie tak, iż zanim zawołają,
Ja im odpowiem;
oni jeszcze mówić będą,
a Ja już wysłucham.
Otworzyła oczy.

— Izajasz, księga sześćdziesiąta piąta, wersy od dwudziestego pierwszego po dwudziesty czwarty. Panie Przyjacielu Alaina Ackarta, cóż może być piękniejszego? Kto uznałby, że nie przyjmuje słów takiego błogosławieństwa? Pan? — Złapała go za rękę, łagodność nagle ustąpiła miejsca surowości i sile. — A teraz chcę trzydziestu sekund pańskiego czasu. Potem ja sobie pójdę, pan sobie pójdzie i już nigdy więcej się nie zobaczymy? Zgoda?

Podawała mu żądane informacje, a on miał wolnych trzydzieści sekund. Wciąż trzymała dłoń Henriego w swoich dłoniach.

— Jaki ból pan w sobie niesie? My wszyscy niesiemy ból, a jaki jest pański? Co zraniło pana tak głęboko, że pan nawet nie może na to spojrzeć w świetle dnia? Czuć taki ból — najgorszego rodzaju... to jak sprowadzać ten ból na siebie poprzez grzech. Niech pan poczuje ten ból. A teraz niech się pan go pozbędzie. Pan to potrafi, bo Chrystus wziął ten grzech oraz pański ból na swoje barki i umarł za nas. Jeśli uwierzysz, mój przyjacielu, jeśli

Go przyjmiesz jako swojego Zbawcę, pozbędziesz się swojego bólu, teraz i na zawsze. Możesz obrócić swoją złość w przebaczenie, tak jak nasz Pan tobie wybaczył. Wyobraź sobie czyste, słodkie Odkupienie. — Puściła go i pstryknęła palcami.

Wcale nie stało się jaśniej. Zdziałała tylko połowa formuły. Pojawiło się wspomnienie Claire o kamiennej twarzy. Zmarłej Chloe. Amputacji, przeszczepów skóry oraz potrzaskanych kości. Nienawiści. Człowieka w klatce, wrzeszczącego „będziesz cierpiał”. Poincaré nie potrafił wybaczyć i nigdy nie porzuci wściekłości. Zamrugnął, odwrócił się. Siostra Lucinda nie musiała oglądać jego łez.

Dzisiaj Prorok Sto Dwanaście nie otrzymał rejonu, w którym mógłby znaleźć wiele dusz pragnących Zbawienia. Kierowca Poincarégo wjechał na parking z grubego żwiru, otoczony przez sklep z dywanami, lombard oraz dwa tanie hostele — trochę daleko od tego Los Angeles z garniturami za tysiąc dolarów i samochodami ferrari. Ludzie zarabiali na chleb tylko drobne, oddając puszki i butelki do punktu skupu na tyłach sklepu z alkoholem. Ubrany na białą Alain Ackart stał przed początkiem kolejki, bez nakrycia głowy i w słońcu południa. Poincaré pomyślał, że uratuje go przynajmniej przed udarem słonecznym.

— Wujek? — Henriego przywitało radosne spojrzenie. — Jak miło cię widzieć! Skąd się tutaj wzięłeś?

To nie był tylko przelotny, powitalny uścisk. Poincaré przytulił najlepszego przyjaciela Etienne’a tak, jakby bał się, że zaraz mu się wyśliznie. Przez dłuższą chwilę głaskał go po włosach. Wdychał zapach, czysty i zdrowy, potem z ulgą pocałował kędzierzawe czoło. Henri, trzymając Alaina na odległość wyciągniętych ramion, przekonał się, że jego oczy są jasne, pełne radości ze spotkania.

— Przyleciałem do Los Angeles służbowo — oznajmił. — Twój ojciec mi o tobie powiedział. Musiałem zobaczyć te szaty na własne oczy.

Alain uśmiechnął się.

— Chce, żebyś mnie sprowadził do domu?

Poincaré odpowiedział po francusku.

— Nie, Alainie, jesteś dorosłym człowiekiem. Twoi rodzice nie mogą ci nakazać powrotu do domu. Chcą tylko wiedzieć, czy ci nic nie jest i czy wiesz, że cię kochają. Zawsze mają dla ciebie otwarte drzwi.

Przyglądało im się kilkanaście osób, niektórzy cały swój ziemski dobytek pchali przed sobą na sklepowych wózkach, razem z butelkami i puszkami. Jakaś niewysoka kobieta w bambusowym kapeluszu zawiesiła torby na tyczce dźwiganej na ramionach. Ktoś inny jechał wielkim, trójkołowym rowerem, za którym ciągnął się sznur dziecięcych wózków. Na każdym leżał worek, tak pękaty, że Poincaré wątpił, by w tym zakątku Los Angeles dało się jeszcze znaleźć jakąś puszkę albo butelkę.

— Całkiem nieźle wyglądasz — stwierdził Henri.

— Jak na wariata? — zaśmiał się Alain. — Tak mówi o mnie ojciec.

Poincaré szukał jakichś oznak szaleństwa.

— Co tutaj robisz?

— Głównie rozmawiam, jeśli ludzie chcą rozmawiać. A co tam u ciebie? Przepraszam, ale wyglądasz na znużonego... i starszego niż wtedy, kiedy widziałem cię ostatnio. Czy z rodziną wszystko w porządku? Co u Etienne'a?

Jeśli ktoś jeszcze wzbudzał u Poincarégo ciepłe uczucia, to na pewno ten młody człowiek. Zasłużył na prawdziwą odpowiedź i ją dostanie, ale nie tutaj.

— Porozmawiajmy. Zejdźmy na chwilę z tego słońca.

— Wujku, nie mogę, pracuję.

— Alainie, ratując dusze?

— Ci ludzie cierpieli — odparł Ackart. — Powinni wiedzieć, że ulga jest już blisko. — Wskazał liczbę dwadzieścia siedem, naklejoną na boku pojemnika na odpadki. — Muszą przyjąć Chrystusa do swoich serc. Żadnemu z nas nie zostało już wiele czasu. Moi rodzice zostali ochrzczeni. Wiem, że Etienne i ciocia Claire także. Ale ty, wujku... Pamiętam, że Claire mówiła...

— Alainie, to nie twoje zmartwienie.

— Ależ tak! Zasługujesz na spokój tak samo jak każdy inny!

Poincaré się z nim nie zgadzał. Kiedy się tutaj pojawił, zwrócił uwagę na pewnego mężczyznę, pchającego dwa wózki, każdy z górą puszek i butelek. Siwobrody był w wieku detektywa, spokojny, ogorzały od życia pod otwartym niebem. Długo dreptał w miejscu, aż wreszcie wybuchnął łamaną, lecz zrozumiałą francuszczyzną.

— *S'il vous, kurwa, plait!* Naprawdę ci odbiło, młody człowieku — przeszedł na angielski. — Przyłazłeś tutaj, w tych swoich szatach, żeby nauczać potępionych. A skąd ja mam wiedzieć, że nie zamierzasz nas wszystkich zabrać ze sobą, odpalając kamizelkę samobójcy? Co ty masz pod tymi szatami? Pokaż albo przysięgam, zadzwonię po gliny. — Uniósł telefon komórkowy.

Ackart cofnął się.

— Przyjacielu, nie jestem jednym z nich. Oni wypaczają Słowo Boże. Ubierają się tak jak my, ale nie mają z nami nic wspólnego. Ja tylko rozmawiam — jeśli i wy rozmawiacie. Pomoc już nadchodzi.

— Pomoc? Całe życie czekałem na pomoc i jeszcze nigdy ani Bóg, ani nikt inny nawet nie kiwnął palcem. No to przestałem jej szukać. Stan Kalifornia ma mnie gdzieś. Miasto też. Rząd federalny jest do niczego. Po kościołach są bardziej zajęci zbieraniem pieniędzy na spłatę długów księży pedofilów. Nikt się nie przejmuje, nawet jeśli mówią, że się przejmują. Co, myślisz, że możesz tak sobie głosić Ewangelię i od tego całe gówno zniknie? — Rozpostarł ramiona i dłonie. — Naprawdę jesteś wariatem, a ja wiem, co to znaczy być wariatem!

— Poczekaj — powiedział Ackart. — Tylko chwilę. Przyjmij Chrystusa do swojego...

— Mowa trawa! Pokaż mi, że nie masz żadnej kamizelki pod spodem. Bo inaczej, przysięgam, wykopię twoją chudą dupę z powrotem do Francji!

Poincaré zrobił krok do przodu, ale Ackart dał mu znak, aby się odsunął. Potem

inspektor zobaczył coś niezwykłego. Alain odwrócił się w stronę pozostałych i na krótko uniósł szaty.

— Dobra — stwierdził brodac. — Skoro to już wyjaśnione, teraz wynocha z mojej okolicy.

Ackart spróbował raz jeszcze.

— Wiem, że świat cię zawiódł. Ale oto nowina, która odmieni twoje życie. Już za dwadzieścia siedem dni...

Siwobrody wysłuchał go, potem wskazał szyld z napisem „Kupimy wszystko” i strzałką, wiszący za drzwiami, gdzie kolejno znikali mężczyźni oraz kobiety, dźwigający wyładowane worki.

— Jedyna nowina, jakiej mi potrzeba, to taka, która zapewni mi pełną miskę, już teraz! — Poklepał pękaty worek na śmieci. Poincaré usłyszał brzęk szkła. — Coś ci powiem — ciągnął mężczyzna — bo nie jesteś stąd. Zabierz to do swoich. Mówisz o odkupieniu. No to je tutaj masz, w amerykańskim stylu.

Pomimo upału siwobrody ubrany był w długi płaszcz, spodnie i buty o wzmocnionych stałą czubach. Pogrzebał w worku na śmieci, wyciągnął pustą puszkę po coca coli. Gwałtownie cisnął nią w Alaina.

— Weź to! Stań tutaj! No, dalej, synu. Ty i ci twoi bracia w białych szatach działają mi już na nerwy!

Poincaré widział, że Ackart nie ma pojęcia, jak zareagować na wściekłość mężczyzny. Stał pomiędzy nimi.

— Ja to zrobię — oznajmił.

Siwobrody zmierzył go spojrzeniem i wrzucił puszkę po coca coli z powrotem do worka.

— Cholera, jesteś jeszcze bardziej sterany ode mnie. Jednak dla ciebie i dla twojego pięknego garnituru tylko to, co najlepsze. — Wsadził Poincaré w dłoń inną puszkę, z napisem „Budweiser”. — To król piw, przyjacielu. Witaj w Los Angeles!

Poincaré, dla świętego spokoju, stanął w kolejce. Siwobrody szybko go zignorował i zajął się słuchaniem muzyki przez słuchawki. Jedna z kobiet w kolejce tańczyła bez muzyki. Kilka osób wśród upału oparło głowy o wózki i pchało je do przodu, w miarę postępu kolejki.

— Następnym! — zawołał mężczyzna z otwartych drzwi. Poincaré patrzył, jak ludzie przed nim rozdzielają zawartość pękatych toreb na puszkę, plastik i szkło, potem czekają na człowieka w gumowych rękawicach oraz grubym fartuchu, by oderwał od maszyny kwit, wyszczeł jakiś numer, następnie wrzucił każdą odebraną torbę na pas transmisyjny. Za budynkiem inspektor dostrzegł zgniatarki odpadków, a także kilka kontenerów podczepionych do ciągników. Kiedy mężczyzna w fartuchu odwrócił się do Poincarégo, zobaczył, że na wadze stoi tylko jedna puszkę po piwie.

— Co to jest, do cholery?

Siwobrody odezwał się, zanim Poincaré zdołał otworzyć usta.

— Marvin, on tutaj jest na wycieczce. Zważ mu puszkę.

— Zabieraj go stąd.

— Marv, prawo to prawo. Przyszedł tutaj, żebyście coś odkupili. Zważ to i wydaj kwit. Nieważne, ile to waży. Zawsze coś dostanie.

— Jimmy, to jest, kurwa, tylko jedna jednostka. — Pracownik skupu chwycił puszkę i cisnął przez ramię, nawet nie patrząc, a potem podszedł do maszyny tak skalibrowanej, by ważyła dziesiątki kilogramów pustych opakowań. Zerwał rachunek, podał Poincarému.

— Patrz. Mówiłem, że nic nie dostaniesz.

— Marv, to kwestia skali. No, szybciej. Chcę swój lunch.

— Zaraz was obu wykopię stąd na zbity pysk! — Mężczyzna podpisał rachunek i zanotował numer.

— Nie wracaj, aż nie będziesz musiał — powiedział. — Od tego miejsca zależy przetrwanie tamtych ludzi. Kiedy przychodzisz tylko z jedną puszką, marnujesz mój czas i grasz im na nosie. Spadaj.

Nieopodal wyjścia za starą, mosiężną kasą stała tęga kobieta w kwiecistej, hawajskiej sukience. Spojrzała na rachunek Poincarégo i zaśmiała się.

— Pięć centów?

Pokiwał głową.

— No dobra. — Sięgnęła do kasy i wręczyła mu drobniaka. — Tylko, kochanie, nie wydaj wszystkiego od razu.

Siwobrody wyłonił się z budy, chowając do kieszeni kilka banknotów.

— Typowy utarg — oznajmił. — Trzydzieści dolców. Wiesz, ile czasu trwa zebranie sześciuset puszek i butelek? W dobry dzień z pięć godzin. Zacząłem dzisiaj o czwartej rano.

Poincaré wyciągnął drobniaka.

— Proszę, jest twój.

Mężczyzna chwycił monetę, spoglądał na nią z wyrazem coraz większego zdumienia, otworzył usta z niedowierzaniem.

— Główka Indianina! Nie widziałem takiej pięciocentówki od czterdziestu lat! Patrz, z jednej strony profil Indianina, z drugiej bizon. Prawdziwa pięciocentówka z bizonem! Przyniosłeś mi nieco szczęścia, przyjacielu! Zastanów się dobrze, zanim mi ją oddasz. — Siwobrody zwrócił monetę, Poincaré sięgnął do kieszeni po dwudziestodolarowy banknot.

— Nie trzeba — odparł mężczyzna. — Lepiej to wydaj na tego naprawdę zbłąkanego chłopaka. A jeszcze lepiej, zatrzymaj pieniądze i przemów mu do rozsądku.

Poincaré wyjął drugi banknot dwudziestodolarowy.

— Tym razem nie powiem nie.

— Świetnie — odparł detektyw. — Jutro się wyśpij.

Gdy Poincaré opuszczał budynek, Alaina Ackarta nie było już w okolicy. Henri podszedł do swojego szofera, ten jednak zdrzemnął się i nie mógł powiedzieć, gdzie szukać Alaina.

Inspektor wrócił do hotelu, skąd zadzwonił do Samuela Ackarta: „Z twoim synem wszystko w porządku”, oznajmił. Wyjaśnił, że chociaż Alain nosi strój sekty, nie postradał rozumu i nie stanowi zagrożenia ani dla siebie, ani dla nikogo innego. Młody człowiek całym sercem wierzy, że Jezus nadejdzie, aby przywrócić Królestwo, czego ludzie nie potrafią uczynić. Jeśli nadejdzie, pomyślał Poincaré. Bał się o Alaina Ackarta i lękał się jego gorzkiego przebudzenia świtem szesnastego sierpnia.

Po obiedzie Poincaré przystąpił do drugiej próby uzyskania dostępu do dysku twardego Fenstera. Jeszcze w Cambridge wyliczył możliwą liczbę kombinacji hasła o sześćdziesięciu siedmiu znakach: 96×67 . Czyli dziewięćdziesiąt sześć, podniesione sześćdziesiąt siedem razy do kwadratu. Kalkulator podał następujący wynik, używając zapisu naukowego:

3.2172258856130695549449401501748e+132

Liczba była imponująca, Poincaré zapisał ją jako swoistą przestrożę. Dzięki temu, gdyby kiedyś przyłapał się na próbach losowego odgadywania hasła, spojrzalby tylko na tę górę zer i albo dałby spokój, albo uznał się za głupca.

```
32172258856130695549449401501748000000000  
0000000000000000000000000000000000000000  
0000000000000000000000000000000000000000  
000000000
```

Hurley miał rację. W żadnym języku nie istniał wyraz odpowiedni do tak wielkiej liczby kombinacji, a żadne komputery, poza wielkimi systemami wykorzystywanymi do symulowania eksplozji jądrowych, nie były na tyle potężne, aby złamać szyfr Fenstera w czasie krótszym niż lata. Człowiek, który potrafił odtworzyć każdy aut każdej zmiany każdego meczu baseballowego, jaki tylko widział albo z jakiego słyszał transmisję, mógł też zapamiętać przypadkową liczbę, składającą się z sześćdziesięciu siedmiu znaków. Ale patrząc od strony praktycznej, czy Fenster za każdym razem, gdy zasiadał do komputera, wystukiwał sześćdziesiąt siedem niepowiązanych ze sobą znaków? To byłoby chyba tak uciążliwe, że opierałby się raczej na jakiejś znanej sobie liczbie albo frazie. I to stanowiło jedyną nadzieję Poincarégo.

Tym razem zdecydował się na pojedynczy, ograniczony atak: wpisywał liczby, mające specjalne znaczenie dla każdego matematyka. Sześćdziesiąt siedem stanowiło liczbę pierwszą, co mogło okazać się kluczem do zagadki. A zatem, używając generatora znalezionej w sieci, Henri wyliczał siedemdziesięciosiedmiocyfrowe liczby pierwsze i kolejno wpisywał. Nic. Wpisał pierwszych sześćdziesiąt siedem cyfr liczby pi. Potem wpisał je od końca. Zaczął od drugiej wartości, potem od trzeciej, aż do dziesiątej. Nic. Znalazł w sieci artykuł, w którym stała Feigenbauma wyliczono do sześćdziesięciu siedmiu cyfr. I znowu nic. Spróbował z pierwszymi sześćdziesięciu siedmioma cyframi ciągu

Fibonacciego. Spędził nad tym całe godziny z takim samym rezultatem. Fenster mógł znać każdą z setek stałych albo ciągów matematycznych.

Obecne podejście Poincarégo było tylko o pół kroku lepsze od brutalnej siły. Jednak na monitorze nie wyświetlało się przecież obwieszczenie „Jesteś blisko — jeszcze tylko kilka prób”. Albo się mylił, albo nie, a przy każdej próbie zaczynał od początku. Poincaré musiał być od tego mądrzejszy. Teraz jednak czuł się zbyt zmęczony na bycie mądrym.

Wsadził twardy dysk z powrotem do koperty i poszedł spać.

32

Jak się okazało, ze wszystkich pracowników Laboratorium, których sprawdzał Poincaré, Randal Young jedyny wyjeżdżał z kraju — do Monachium. Daty wciąż się nie zgadzały, detektyw zadzwonił jednak do Valerie Steinholz, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Kiedy Young miał dwadzieścia sześć lat, zdiagnozowano u niego raka.

— Straszna tragedia — oznajmiła Steinholz. — Miał przerzuty na nerki, płuca, a pod sam koniec padło mu też na wzrok. Żeby jakoś funkcjonować, przeszedł kilka przeszczepów, cztery poważne operacje, aż wreszcie w lutym dał spokój. Wszyscy, którzy mieli okazję z nim pracować, bardzo go żałowali. Pochowano go, a na pogrzeb przyszły spokojnie ze dwie setki pracowników Laboratorium... Wdowa po nim ma na imię Julie, z dwójką dzieci mieszka wciąż w La Canada. — Steinholz podała adres.

Zgodnie z raportem, czytany przez Poincarégo dzisiaj rano, Young, razem z żoną, wybrał się dziewiątego marca do Niemiec, wrócił dziewiętnastego, a zmarł dwudziestego, na lotnisku JFK. Detektyw przeczytał też raport policyjny, a także kopie zarówno świadectwa zgonu, jak i notę o pogrzebie. Randal Young nie mógł dwunastego kwietnia podłożyć bomby w Amsterdamie. Ale zanim umarł, mógł skonstruować ładunek i podłączyć do niego zegar cyfrowy, chociaż umieszczenie bomby w pokoju hotelowym, który przed Jamesem Fensterem zajmowało wiele osób, wymagałoby czyjejs współpracy.

Do tego dochodziła też delikatność przewożonego materiału oraz kwestia bezpiecznego przechowywania substancji, zgodnie z tym, co mówił Meyer, niestabilnej. Poincaré miał jeszcze zbyt wiele pytań, aby opuścić Los Angeles, nie odwiedzwszy wcześniej wdowy. Zadzwonił do Julie Young. Zgodziła się na spotkanie pod warunkiem, że wybaczy bałagan oraz pudła, związane z przeprowadzką. Razem z dziećmi przenosiła się do Kolorado.

Po krótkiej jeździe autostradą 210 z Pasadeny Poincaré trafił do La Canada, jednej z wielu miejscowości rozrzuconych po Kalifornii Południowej niczym miejscowe skalne astry. Patrzył na dobrze utrzymane osiedla, pojawiające się jedno po drugim ze schludną regularnością. W większości były to domy w stylu misyjnym, pamiątka po hiszpańskiej przeszłości. Panował nastrój przywodzący na myśl śródziemnomorską zamożność dzięki tym wszystkim zielonym trawnikom, palmom, osłoniętym gankom i europejskim autom na kolistych podjazdach — takie skłonienie naturalnie karłowatej roślinności do

podmiejskiego, pnączowego wzrostu stanowiło pewien triumf. Kierowca zwolnił, zrobił zakręt w kształcie litery U i zatrzymał się przy krawężniku.

Otworzyły się drzwi, Poincaré usłyszał dwoje nawołujących się dzieci, głosy miały dziwnie stłumione. Zanim zdołał nacisnąć dzwonek, jeden z głosów zwrócił się do niego z wnętrza dużego odwróconego do góry nogami kartonu z wyciętym otworem. Detektyw ukląkł, dostrzegł piegi i rude włosy.

— Ziemianinie, zidentyfikuj się. Mamo, jakiś pan przyszedł.

Nacisnął dzwonek, zza rogu wyłoniła się Julie Young.

Rude włosy podtrzymywała bandana, rękawy koszuli miała podwinięte.

— Inspektorze, obiecywałam chaos i nie zawiedziemy pana. Carl, Sam — powiedźcie panu dzień dobry. — W stronę Henriego przesunęło się drugie pudło, połączone sznurkiem z pierwszym.

— Dzień dobry, Ziemianinie.

— Poddaję się. — Poincaré uniósł ręce.

Sądząc z wielkości pudeł, chłopcy byli w wieku jego wnuków. W innym domu, na innym kontynencie, klęczałby przed swoim własnym pudłem.

— Inspektorze, zapraszam na kawę, tylko nie mogę znaleźć żadnego kubka, żeby ją nalać. — Młoda wdowa zaprowadziła go do kuchni, gdzie uniosła plastikowy kubek. — Może wody? Gdzieś mam otwartą torbę chipsów.

Kredens leżał płasko na ziemi, połowę talerzy owinięto w gazety. Na blacie wznosiły się staranne stosy puszek oraz papierowych opakowań, częściowo spakowane kartony ograniczały przejście przez kuchnię do wąskiej alejki. Wzdłuż ścian, z tyłu domu, stały tuziny już pozamykanych oraz opisanych pudeł, ale pakowanie wcale nie wydawało się bliskie końca. Dalej była kuchnia, duże pomieszczenie z przyległym gankiem, na którym umieszczono podgrzewany basen. Za oknem rozciągała się panorama gór San Gabriel.

— Dziękuję, że zdecydowała się pani poświęcić mi czas — powiedział Poincaré.

Na nowo przewiązała bandanę i wróciła do pakowania naczyń.

— Przeprowadzamy się w poniedziałek. Damy radę... dopóki chłopcy to wytrzymują. Musimy sobie radzić, inspektorze. Ma pan jakieś pytania związane z Randalem?

Od razu ujęło go, jakie zwyczajne i solidnie podmiejskie było życie Youngów: zaradna, atrakcyjna żona, zdrowi synowie, ładna okolica, stabilna praca w NASA. Jak mieszkający tutaj człowiek mógłby przekroczyć ocean, aby podłożyć bombę pod hotelową umywalkę? Zobaczył jakąś fotografię.

— Ach. Widziałem paszportowe zdjęcie w aktach osobowych, ale nie oddaje całej prawdy. Przystojny mężczyzna!

— Czytał pan jego akta osobowe?

Podszedł, aby przyjrzeć się lepiej, ale Julie Young odłożyła papier pakowy i wcześniej niż detektyw podeszła do fotografii.

— Jezioro Tahoe, pięć lat temu. Byłam w zaawansowanej ciąży z naszym drugim synem,

Randal był wtedy jeszcze zdrowy. — Przysunęła zdjęcie Poincarému, aby mógł je dokładniej obejrzeć, lecz nie dała dotknąć.

— Lepsze czasy — oznajmiła.

Randy Young był wysoki, atletycznej budowy, miał piaskowo jasne włosy i przystojną twarz: szczupłą, o wąskich wargach i mocno zarysowanych kościach policzkowych. Wdowa po nim była niemal tego samego wzrostu, mocnej budowy, z rudymi lokami, które, jak widział Henri, odziedziczyły dzieci. Poincaré usłyszał jakiś okrzyk dobiegający z sąsiedniego pokoju, a Julie Young, spokojnie jak na świeżo owdowiałą kobietę, która znalazła się pośrodku chaosu na wpół spakowanego dobytku, zawołała do dzieci, aby rozmawiały sobie przez puszkę po soku pomarańczowym.

— Tajny szpiegowski sprzęt, tak żeby nikt nie mógł ich podsłuchiwać. — Julie odwróciła się w jego stronę. — Czasem, jak wracam z pracy, siedzą w pudłach i prowadzimy trójstronną rozmowę przez puszkę po soku. Randy, zanim umarł, planował im to zamienić na walkie-talkie. — Zdjęła z jakiegoś krzesła stos czasopism. — Obawiam się, że to jedyne miejsce, jakie mogę panu zaproponować w ramach gościnności... A zatem, jakie ma pan pytanie, inspektorze? Mam tylko tyle godzin, ile dzieli nas od przyjazdu ludzi z firmy przeprowadzkowej, w poniedziałek rano.

— Pani Young — zaczął Poincaré. — Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Zamachu bombowego. To było nietypowe przestępstwo, bo niewiele osób potrafiłoby wykonać i podłożyć taką szczególną bombę. Pański mąż był jedną z nich.

Julie Young sama siadła na krzesło, które przygotowała dla Poincarégo.

— Pani mąż pracował przy chemikaliach w Laboratorium Napędu Rakietowego. Przez trzy lata, jako student, pracował dla kompanii górniczej przy zakładaniu ładunków. I sprawdziłem, że w marcu oboje wybraliście się do Europy. Obecnie nie mam więc innej możliwości, jak uznawać pani męża za podejrzanego.

— Pan się myli — odparła. — Byliśmy w Europie, ale Randal był już umierający. Kiedy dokonano tego pańskiego zamachu?

— Dwunastego kwietnia.

— Jest pan pewien?

— Byłem tam.

— To przyjechał pan na próżno. W połowie marca byliśmy już w podróży, wypróbując jedną z ostatnich kuracji na raka. Jest taka klinika w Garmisch-Partenkirchen, gdzie odnosili pewne sukcesy przy leczeniu korą z południowoamerykańskiego drzewa. Kuracja nie zadziałała i wróciliśmy do Stanów Zjednoczonych akurat w samą porę, żeby zmarł na lotnisku, zanim złapaliśmy połączenie do domu. Nie wy dostał się nawet z lotniska JFK. Ale przecież pan jest z Interpolu. Pan o tym wie.

Poincaré żałował tego, co miał jeszcze do zrobienia.

— Ten człowiek ledwie unosił głowę znad poduszki — kontynuowała. Ciężko oparła się o stos pudeł, opisany „Garnki i rzeczy z kuchni”. — To wszystko, inspektorze. Daty się nie

zgadzają. Mam jeszcze sporo do zrobienia.

— A gdzie jeszcze byliście państwo poza Garmisch?

— Wylądowaliśmy w Monachium, pojechaliśmy pociągiem do Garmisch, zostaliśmy tam przez tydzień na kurację wyciągiem z kory, a potem, kiedy badania krwi nie wykazały żadnej poprawy, wróciliśmy do domu.

— Nie było państwa przez dziesięć dni.

— Trzy tygodnie przed zamachem. Po kuracji wyciągiem zatrzymaliśmy się w okolicy i czekaliśmy, czy lekarstwo pomoże. Po dwóch dniach klinika przekazała złe wieści. Wróciliśmy do domu.

Poincaré, spoglądając przez okno na góry San Gabriel, wspominał Garmisch-Partenkirchen.

— Myślę, że Alpy przypominały państwu dom. I przynajmniej górskie powietrze mogło państwa podnieść na duchu. Pani Young, gdzie pani spędziła ostatnie dwa dni pobytu? Może w jednej z pobliskich miejscowości?

Dwa dni wystarczyłyby, żeby pojechać do Amsterdamu i wrócić.

Zamyślona, przyglądała się podłodze kuchni.

— Uwielbiał góry — odparła. — Chwycilibyśmy się ostatniej szansy w każdej klinice. A dlaczego akurat Alpy? Randal chciał je jeszcze raz zobaczyć przed śmiercią. Zatrzymaliśmy się w miejscowości nieopodal kliniki.

— W Garmisch?

— To naprawdę ma niewielkie znaczenie.

Czasem Poincaré czuł się jak jakiś chirurg-rzeźnik, któremu płacą za wyciąganie odłamków bez znieczulenia.

— A jednak ma to znaczenie — odparł. — Jeśli chce pani usunąć męża z listy podejrzanych, musi mi pani powiedzieć, gdzie się zatrzymaliście. Jeżeli pani tego nie zrobi, zadzwonię do tamtej kliniki i sam to ustalę, zadzwonię również do hotelu i będę rozmawiał ze wszystkimi, z którymi on rozmawiał — w miarę możliwości. Skoro był taki słaby, jak pani mówiła, a nie mam powodów, aby w to wątpić, zdołam to potwierdzić i zostawię panią w spokoju. Wystosuję przeprosiny i skreślę go z listy podejrzanych. Zatem proszę powiedzieć: gdzie państwo się zatrzymali między wypisaniem go z kliniki a ostatecznymi wynikami badań krwi?

Drżała.

Poincaré czekał. Potrzebował odpowiedzi.

— W Scharnitz — oznajmiła.

— Tuż przy granicy Austrii? Znam to miejsce, przy linii kolejowej między Monachium a Innsbruckiem. Zatrzymaliście się państwo w hotelu?

— Tak.

— Jak się nazywał?

— Nie pamiętam.

— Proszę — nalegał detektyw. — To mała miejscowość i nie może tam być dużo pensjonatów. Jeśli będzie trzeba, obdzwonię wszystkie. Mogę także wysłać e-mailem zdjęcia pani oraz Randala.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Pan by to zrobił?

— Pani Young, jak się nazywał ten pensjonat?

— Nie zatrzymaliśmy się w pensjonacie.

— To gdzie?

— U rodziców Randala. Zabrałam go, żeby się pożegnał.

Rozsądne, pomyślał, ale dziwne.

— Pani mąż był obywatelem amerykańskim. Jego rodzice mieszkali w Austrii?

— Ojciec był dyplomatą, z Departamentu Stanu. Osiem lat przebywał na placówce w Monachium, przyjechał, kiedy Randal skończył dziewięć lat. Właśnie tam spędził najlepszą część dzieciństwa. Jeździł na nartach, wspinał się, chodził na piesze wycieczki. Kochali góry tak bardzo, że kupili sobie chatę jako bazę wypadową do wypraw w Alpy. Lewis i Francine na emeryturze osiedli w Scharnitz, a Randy odwiedzał ich, kiedy tylko mógł. Czuł się tam bardziej w domu niż tutaj, w Pasadenie. Gdy przez pierwszych osiemnaście lat życia człowiek przeprowadza się sześć razy, to tak naprawdę nie ma miejsca na mapie, o którym mógłby powiedzieć „stąd jestem”. Randy przyjechał tu, żeby się uczyć — chciał pracować w górnictwie, mieć coś wspólnego z górami. Poznaliśmy się na Cal Techu, kiedy robił dyplom.

— A pani czym się wtedy zajmowała?

— Też studiowałam chemię. Poznaliśmy się jako asystenci-wykładowcy na laboratorium z chemii organicznej.

— Rozumiem. Czy w Kolorado jest dużo pracy dla chemików?

— Nie ma, w każdym razie nie tam, gdzie się przeprowadzam.

— A pani wybiera się tam, żeby...

— ...żeby przez kilka lat skupić się na synach. Moja rodzina ma ranczo i uznałam, że to będzie dobrze dla dzieci, jeśli będą miały wokół kuzynów i wujków — może to pana satysfakcjonuje.

— Dlaczego od razu pani nie powiedziała? O rodzicach?

— Bo szanuję prywatność męża. I rozpacz jego rodziców. A teraz pan będzie ich nachodził. — Oczy zaszyły jej łzami.

— Tak, odwiedzę ich — potwierdził. — W obiegu znalazła się mieszanka chemiczna, która w niewłaściwych rękach może uczynić wielkie szkody. Która już uczyniła szkody. Umarł człowiek.

— Mój mąż też umarł!

— Wiem i bardzo mi...

— Niech pan się nawet nie waży.

Zamknęła się w sobie, ale nacisnął mocniej.

— Jeszcze jedna sprawa. — Sięgnął do kieszeni, wyjął zdjęcie paszportowe Jamesa Fenstera. — Czy widziała pani tego człowieka?

— Nie pan już idzie.

— Albo te kobiety? — Wyłożył zdjęcia Dany Chambi oraz Madeleine Rainier i przyglądał jej się uważnie. Oczy miała zaczerwienione, pierś unosiła się ciężko. Trudno byłoby wyłapać jakieś zmiany wyrazu twarzy. Patrzyła w stronę zdjęć, ale nie wydawało się, żeby je dostrzegała.

— Proszę mi wybaczyć wtargnięcie — powiedział, zabierając swoje rzeczy. — Wiem, że pani mąż miał czystą kartotekę. Nie miał nawet mandatów za złe parkowanie. Jestem pewien, że był właśnie takim człowiekiem, jak mówi pani i inni. Ale jestem już tak blisko potencjalnego zamachowca. — Pokazał wąską przestrzeń między kciukiem a palcem wskazującym. — Pani Young, jednego nie rozumiem. Czy pani mąż był człowiekiem religijnym? Może był praktykującym chrześcijaninem?

— Co?

— Koniec świata. Czy wierzył, że ten świat dobiega kresu?

— Pan oszalał?

Poincaré zrobił krok w stronę drzwi.

— Wczoraj wieczorem — powiedział — przeglądałem wyciągi z konta męża i pani. To piękny dom ze wspaniałym widokiem. W każdym razie zobaczyłem, że kredyt za ten dom, milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, został spłacony dwudziestego czwartego marca. Pomyślałem, że pewnie z ubezpieczenia na życie. Jednak do dwudziestego marca nie wróciła pani do Stanów, a pani mąż żył. Nie mogła pani tak szybko dostarczyć świadectwa zgonu firmie ubezpieczeniowej, takie firmy nie wypłacają świadczeń w ciągu trzech, czterech dni. Przy dużych wypłatach rutynowo sprawdzają, czy nie dochodzi do wyłudzenia. Tak zwykle mają się...

— Wynocha! — wrzasnęła.

Chwyciła talerz, a Poincaré przygotował się do uniku. Zamiast cisnąć naczyniem, Julie Young położyła je na prostokacie gazety. Z wilgotnymi oczyma opakowała i zaczęła mrużyć jakąś melodyjkę.

33

Poincaré z walizką w dłoni stał przed hotelem Casino Paris. Usłyszał znajomy baryton oraz poczuł na ramieniu klepięcie niedźwiedziej łapy Serge'a Laurenta.

— A sądziłeś, że Starego Świata już nic nie pobije pod względem uroku. Viva Las Vegas, Henri!

Poincaré odwrócił się, aby uściskać przyjaciela, zamiast niego jednak zobaczył ducha. Laurent popijał zielony płyn, pachnący jak płyn hamulcowy. Uniósł palec.

— Ciii — powiedział. — Jak o tym nie mówimy, to tego nie ma.

Poincaré odstawił walizkę.

— Byłeś u lekarza?

Laurent zakasłał i Henri pojął, że nie trzeba mu już żadnej diagnozy.

— Jutro wylatuję do Francji — powiedział. — Zabierz się ze mną.

— Wybacz — odparł Laurent. — Wysyłam raporty zgodnie z harmonogramem i te sztywniaki sądzą, że funkcjonują na poziomie do zaakceptowania. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

— Ale to ciebie zabija. Ile schudłeś?

— Wystarczająco. A jeśli cokolwiek trzyma mnie przy życiu, to praca. Daj spokój.

Poincaré wręczył bagaże boyowi hotelowemu.

— Znajdź nam jakiś bar, na litość boską.

Podążył za Laurentem przez kasyno — pozbawiony okien, wystylizowany na Paryż plac zabaw, jak sądził Poincaré, zaprojektowany tak, aby przypomnieć spacer wzdłuż Sekwany tym, którzy nigdy go nie odbyli. Stoły do gry rozmieszczono pod grynszpanowymi kratami, przywodzącymi na myśl stacje paryskiego metra. Na suficie rozpościerał się malowany wizerunek letniego nieba. A w sali, niczym nogi robotycznej Godzilli, sterczały dwie masywne, opatrzone dźwigarami podpory o połowę zmniejszonej wieży Eiffla — firmowego znaku kasyna. Efekt końcowy był zarazem nedorzeczny i hipnotyzujący. Wyglądał jak plan filmowy z prawdziwymi ludźmi wydającymi prawdziwe pieniądze, śmiejącymi się i pijącymi, generalnie bawiącymi się dobrze. Jeżeli to, co Poincaré zobaczył przy stole do blackjacka, stanowiło jakiś rzetelny wykładnik, zarząd kasyna powinien czuć się zadowolony. Kobieta, wyglądająca na znudzoną, w niebieskiej, wieczorowej sukni i diamentach, straciła właśnie tysiące, kiedy krupier pokazał waleta zamiast dwójki. W jednej chwili zniknęła równowartość czterech rat kredytu za winnicę. Jak to możliwe? Kobieta beztrąsko przesunęła kolejne stosiki żetonów na trzy tory do obstawiania. Krupier jednym wyćwiczonym ruchem zebrał zagrane karty oraz żetony i rozdał ponownie. Ponad zgiełkiem jednoręki bandytów i kosterów, wołających o siódemki, popłynęła muzyka Edith Piaf.

Laurent znalazł windę. Drzwi otworzyły się na bar na pierwszym piętrze, Poincaré przeczytał nazwę lokalu i powiedział:

— Żartujesz sobie.

— Risqué — oznajmił Laurent — to doskonała nazwa dla baru. Po prostu siedź cicho wystarczająco długo, żebym kupił nam coś do picia. Mają tutaj zaskakująco dobrą kartę win.

Rozmawiali po francusku. Jakaś młoda kobieta z bardzo głębokim dekoltem podeszła do nich, witając serdecznym *Bonjour*.

Poincaré zerknął na zegarek.

— *Bonsoir* — odpowiedział. — *Est-ce qu'on peut s'asseoir sur le divan près de la fenêtre?*

Kobieta spojrzała bezradnie.

— Okno — powiedział Laurent, uśmiechając się szeroko. — Możemy usiąść pod oknem?

Podeszli ku panoramie z widokiem na Las Vegas Strip. Dźwięki salsy pulsowały tak głośno, że prawie było je widać. Poincaré sięgnął po laminowaną kartę, która obiecywała klientom „połączenie elegancji i energii... dla wielu apetytów”.

— O co w ogóle chodzi? — zawołał, przekrzykując muzykę. Laurent, z zamkniętymi oczami i zdyszany, nie słyszał ani słowa. Poincaré potrząsnął jego ramieniem. — Dlaczego tu siedzimy?

— Zgaduj dwa razy.

— Serge, nie chce mi się bawić.

— Mnie też nie. Miałem składać raporty dotyczące Żołnierzy Wniebowstąpienia. W Las Vegas jest więcej dusz do zbawienia niż gdziekolwiek indziej na świecie, no może, poza Los Angeles. Henri, Las Vegas to centrala Wniebowstąpienców — rozkasłał się. — Poczekaj, aż zobaczysz resztę. Mają tutaj La Boutique, żeby dostarczyć przyjemności zakupów, La Cave z za drogimi winami, La Vogue z akcesoriami dla dam. Coś takiego znajdziesz tylko w Ameryce. Henri, to jest karuzela w pełnych światłach, taki komiks. Ale powiem ci, że na Le Boulevard nie obrobisz ci kieszeni. Poziom ochrony jest w tym kasynie niesamowity. — Przejrzał kartę win. — Powinieneś im sprzedać kilka tuzinów skrzynek. Biorą wszystko co francuskie, nieważne, że paskudne.

Ten przytyk zabrał całą wesołość. Poincaré spojrzał przez szybę na hotel Bellaggio, gdzie właśnie zaczął się pokaz fontann. Odwracając się ku barwnym rozbryzgom wody, opowiedział Laurentowi o chaosie panującym teraz w jego życiu. O tym, że utracił Claire, która jedną nogą stała na tym świecie, a drugą tam, gdzie nie potrafił dotrzeć; o Etiennie, który właśnie przeszedł całe trzydzieści kroków, zanim zemdlął z bólu; o tym, że Lucille po ostatnim przeszczepie skóry nabawiła się infekcji; że Georges, robiący coraz większe postępy ze swoją nową nogą, płacze za bratem i że Émile, zapadający w lżejszą już śpiączkę i budzący się z niej, ścisnął dłoń matki, zanim znowu osunął się w komę.

— A lekarze mówią, że to są postępy. Etienne ze mną nie rozmawia ani nie dopuszcza w pobliże dzieci.

Przyłożył dłoń do czoła, sprawdzając, czy nie dostał gorączki.

— Wykonywałeś swoją pracę — odparł Laurent. — Kto by się spodziewał, że taki wściekły skurwysyn jak Banović wypuści na ciebie swoje psy... Henri, już poleciałeś do Stanów, kiedy dowiedziałem się o Chloe. Tak mi...

Poincaré mu przerwał.

— Nie mówimy o twoim raku i nie mówimy o mojej wnuczce.

Serge przytaknął. Wzwał kelnerkę.

— Prosimy butelkę Lynch Bages, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi.

— Serge, cholera! To sześćset dolarów!

Gdy kobieta odeszła, Laurent się uśmiechnął.

— Co cię bawi?

— Bawi to, że po trzydziestu latach wciąż nie jesteś w stanie po prostu napić się dobrego wina. No, powiedz, przez ostatnie ćwierć wieku, ile razy widziałem, że siadasz i zatrzymujesz się chociaż na jedną, cholerną minutę? — Laurent przeciągnął się i oparł o kanapę. — Pamiętam, twój ojciec wróżył, że długo nie wytrwasz w tej robocie. A jeśli jakoś zdołasz, to nie będziesz mógł rozwinąć swoich danych ci od Boga talentów. Nieźle był postrzelony. Co on myślał, dając ci na imię Henri?

— Chciał mieć matematyka — odparł Poincaré. — Kogoś, kto by dalej prowadził rodzinny interes. — Zachichotał sam do siebie. — Ten gen go ominął, mnie też. Nie jestem Jules'em Henrim. Rozczarowałem go.

— I to jak cholera. Jestem jedyną osobą, która naprawdę uważała na lekcjach o francuskich bohaterach, wtedy gdy mieliśmy po dziesięć lat. Popraw mnie, jeśli coś źle zapamiętałem: twój pradziadek zaczynał jako inżynier górnictwa, badający wypadek, którego nikt inny nie potrafił wyjaśnić. Poszedł do zawałonej kopalni, drogą dedukcji ustalił przyczyny, napisał raport — a potem został inspektorem generalnym Corps de Mines, wtedy gdy był już światową sławą matematyki. Teoria chaosu. Względność. Topologia. Henri, ten człowiek zarabiał na życie dokopywaniem się do różnych rzeczy. Ty też się dokopujesz. Różnicie się tylko kopalniami. Dalej prowadzisz rodzinny interes. Twój ojciec tego nie dostrzegał — ale Jules Henri byłby z ciebie dumny.

Serge nikł w oczach. Jakże puste stanie się życie bez niego. Słuchali muzyki, dopóki nie przyniesiono wina. Po drugim kieliszku Poincaré wyobraził sobie, że wraz z przyjacielem siedzi na dziobie okrętu i w świetle księżyca ogląda wzburzone fale.

— Lyon chce się mnie pozbyć — oznajmił.

— Też dostałeś to rozporządzenie? Wiesz, myślę, że jesteśmy już panami w podeszłym wieku... — Laurent wyjrzał za okno. — Żadna z moich żon nie może się równać temu przyływowi adrenaliny, jaki daje mi praca w terenie. Wszystkie cztery pragnęły, żebym był w domu, ja chciałem być poza nim i dostałem dokładnie to, czego chciałem. A teraz, na koniec, mieliby się mną opiekować jacyś obcy. Do diabła z tym. Zamierzam umrzeć na kobiecie, a nie w szpitalu.

DJ zmienił muzykę z salsy na merengue, Serge zaczął wystukiwać rytm srebrnym nugatem na palcu.

— Nie obchodzi mnie, czy Las Vegas to tylko bajka. Uwielbiam to miejsce! — Zgiął się w nowym ataku kaszlu... a tym razem Poincaré dostrzegł na jego chusteczce czerwoną plamę. Laurent zauważył wyraz twarzy przyjaciela i powiedział:

— Nie wkurwiał mnie, stajesz się sentymentalny. I bez tego jest mi wystarczająco ciężko.

Poincaré zamknął oczy.

— Opowiem ci o swojej pracy. To będzie jakaś odmiana.

— Dawaj. Ale będzie nam potrzebna jeszcze jedna butelka, na którą nie mogę sobie pozwolić.

Laurent uniósł pustą karafkę, zamachał do kelnerki.

— Wiesz, jak gardzę Żołnierzami Wniebowstąpienia. Muszę jednak przyznać im jedno. Ten ich marketing, jeśli można tak to nazwać, jest po prostu świetny. Ilu teraz znajdziesz ludzi, którzy piętnastego sierpnia nie popatrzą w niebo?

Poincaré spoglądał poprzez łuk złączonych palców, obserwując fontanny.

— Na kalendarzu odmierzającym czas do Wniebowstąpienia, który wieczorem widziałem na lotnisku, widniała liczba dwadzieścia pięć. Przez pięć dni odwiedziłem pięć miast. Te kalendarze są wszędzie.

— Dokładnie o to chodzi — odparł Laurent. — Wśród Wniebowstąpieńców istnieją trzy nurty. Niegroźni są tacy, których widziałeś na rogach ulic w powłóczystych szatach, jak wygłaszali kazania, tacy, co nie pojęliby chrześcijańskiej teologii, nawet gdyby wsadzili paluchy w grób Świętego Augustyna. Najpoważniejsi z tego nurtu, też wystający na ulicach, rzeczywiście znają Ewangelię i szerzą Słowo Boże najlepiej jak potrafią. To są właściwi Żołnierze. Uważam ich za swoistych Świadców Jehowy w powłóczystych szatach. Wreszcie mamy schizmatyków w dwóch odmianach: jedni zabijają tych, którzy czynią dobro, aby w ten sposób przyspieszyć Drugie Przyjście. Boję się ich jak cholera.

— Ale nie tak, jak zamachowców samobójców, wysadzających się dla Chrystusa?

— Henri, to są samotne wilki. Zwykli schizmatycy działają w grupach, żeby ustalić listę celów. Zamachowcy samobójcy nie mają absolutnie żadnego związku z wniebowstąpieńcami. Nie mają celów religijnych ani politycznych, tylko zakładają szaty i krzyczą „Jezus!”, bo to czyni ich patologię jakoś tak wznioślejszą. Zdumiewa mnie za to odliczanie do piętnastego sierpnia. Wszyscy już znają tę datę. To się rozprzestrzenia jak pandemia grypy. Według tego samego modelu.

Poincaré wyprostował się.

— Nie bądź taki zaskoczony. Matematycy badają przenoszenie się plotki w ten sam sposób, co epidemiolodzy rozprzestrzenianie się chorób. Korzystają z modeli komputerowych, aby symulować ich rozchodzenie się i znaleźć sposób, by to blokować. W jednym wypadku masz do czynienia z wirusem, w innym z plotką o Drugim Przyjściu. Obie sprawy pozostawiają ślady: ludzi z gorączką albo kalendarze odliczające czas, jaki został do końca świata. Dynamika jest wyraźnie podobna. Gdyby nałożyć te punkty danych na mapę, wyłoni się coś interesującego. Będiesz mógł obserwować, jak plotka przenika miejsce pracy, miasto, hrabstwo, region — nawet kraj albo kontynent. Kiedy ustawisz wykresy przy sobie, nie odróżnisz rozprzestrzeniania się na jednym poziomie od rozprzestrzeniania się na drugim. Tak samo jest z grypą. Pamiętasz, jak w Amsterdamie Quito opowiadał nam o linii brzegowej Christchurch w Nowej Zelandii? Jeśli powiększy się wycinek wybrzeża, nie będzie można określić, co jest wycinkiem jednokilometrowym, a co czterdziestokilometrowym. Podobnie będzie z grypą i z plotkami. Kiedy widzisz część...

Poincaré znał resztę.

Spostrzegł, że trzyma rękę głęboko w kieszeni i gładzi kontury pięciocentówki z

bizonem, jakby głaskał wypolerowany kamyczek. Potarł monetę, sądząc, że może zaraz pojawi się jakiś dzinn, potarł, żeby odwrócić los, który okazał się taki zły. Potarł ją, aby właśnie tutaj, w kasynie, bo czemu nie, zmienił się na nowy, jakiś lepszy. Uznał, że przecież właśnie o to chodzi na tym świecie. Próbował zachowywać się dobrze i przyzwoicie, a dokąd go to zaprowadziło? I ludzi, których kochał? Puścił monetę, pozwolił, aby coś, przed czym opierał się tak długo, zaczęło domagać się, aby to nazwał.

Po drugiej stronie bulwaru Henri widział atomy złota, mierzone w mikronach, oraz galaktyki, mierzone w latach świetlnych, odbijające się w wodzie. Widział rzeki zawarte w górach, góry zawarte w drzewach oraz błyskawice uderzające w płuca przyjaciela, który mógł już nigdy nie zaczerpnąć pełnego oddechu. Od tygodni najgłębsze ze struktur śpiewały Poincarému niczym zastępy anielskie i nie potrafił się już dłużej opierać. Gdyby kasyno było kościołem, wypowiedziałby to imię. Jednak nie potrafił, jeszcze nie — bo rodzina gdzieś za oceanem była zdruzgotana, a przyjaciel umierał. Czy to Imię dopuściłoby do zamordowania dziecka? Do cierpienia niewinnych? Przez trzydzieści lat patrzył, jak dobrzy ludzie cierpią, wnosząc ręce ku Niebiosom. Wydał z siebie okrzyk, który Laurent omyłkowo wziął za pytanie.

— Henri, powiem ci, dlaczego plotki się roznoszą. Bo pragniemy jakiejś ścieżki wśród chaosu. Umieram. Nie sądzisz, że byłoby dla mnie miło tak teraz przyjąć Wniebowstąpienie i mieć widoki na zasiadanie po Prawicy Pańskiej?

— Nie jesteś wierzący? — zapytał Poincaré.

— Nie jestem.

— Myślisz, że potem już niczego nie ma?

— W ogóle nic — odparł Laurent. — I oto przychodzą wniebowstąpięcy i oferują pokój wieczny. Przyjmujesz to i jesteś szczęśliwy. Mógłbym to przyjąć, ale nie chcę. Czy to jakaś różnica?

— Nie wiem — odparł Poincaré.

— Wierzysz, że był jakiś Złoty Wiek? Jakiś Eden, świat bez cierpienia?

— Ja już nic nie wiem.

— Bo nigdy nie było inaczej. Ten świat zawsze będzie się zbliżał do kresu i mógłbym cię zanudzić, wymieniając kultury wróżące koniec świata, bo posprawdzałem wszystkie. Kiedy już obudzimy się szesnastego sierpnia, wniebowstąpięcy znowu będą tylko jedną z wielu marginalnych sekt. Zamachowcy przestaną się wysadzać dla Chrystusa, schizmatycy skończą z tymi swoimi zabójstwami, a życie powróci do normalności — czymkolwiek ona jest. I tak będzie, aż nie skończy się kalendarz Majów. To wywoła nowe halucynacje o własnych kształtach, które jeśli ich dożyję, będą wyglądały dokładnie tak samo, jak zarysy owego wniebowstąpięczego szaleństwa. I tak w kółko. Różne nazwy, ta sama sprawa.

Poincaré przemaszerował sobie dwoma palcami po ramieniu.

— Ścieżka przez chaos. Podoba mi się... Mógłbym przejść taką ścieżką prosto przez sprawę Fenstera. Jeśli wszyscy mówią prawdę, to nie mam nic. Mam twardy dysk z tajemnicami i jedną szansę na kilka miliardów miliardów, że się do niego włamię. Nie

złapałem zabójcy mojej wnuczki. Serge, myślę, że wszyscy mnie okłamują.

— No, to jest jakiś postęp. Musisz być już blisko! — Laurent uniósł kieliszek. — Za najlepszego wśród inspektorów, za Henriego Poincaré! Mojego inspektora generalnego Corps de Mines, tego, który w sztafecie pokoleń niesie rodowy płomień! Za górnika! Za dokopywanie się!

Stuknęli się kieliszkami.

Poincaré już dłużej nie mógł wytrzymać. Złapał Laurenta za kościste ramię.

— Zostań ze mną i z Claire. Dostaniesz u nas pokój. Albo jeszcze lepiej, umieścimy cię w jakimś boksie w stajni, tam gdzie się najlepiej nadajesz. Serge, nie umieraj w samotności.

Laurent wyszarpnął się z uścisku i sięgnął po papierosa. Potarł zapałkę, zaciągnął się tak głęboko, jak tylko pozwalały zniszczone płuca.

— Czy ty jesteś aż taki głupi?

— Cały czas palisz — i mnie się pytasz, czy jestem głupi?

— Tylko mówię, jaki ty jesteś głupi. Głupi na tyle, żeby samemu włożyć do mojej jamy razem z tym, co zostało z twojej rodziny — nie zamierzam tam siedzieć jakoś bardzo długo. Kiedy ostatni raz sprawdzałem, ta twoja jama była już wystarczająco głęboka. — Zerknął ponad ramieniem Poincarégo na wejście do baru i pomachał jakimś dwóm kobietom. — Ach, przecież umówiłem się o jedenastej. Drogie panie! Pozwólcie, że przedstawię mojego przyjaciela, Henriego. W kręgach policyjnych jest dość sławny. Też jest Francuzem.

Kobiety były pierwszej klasy, jednak chociaż realne, w takim samym stopniu stanowiły część komiksu Las Vegas, jak pomniejszona o połowę Wieża Eiffla. Dziewczyna przypominająca Marilyn Monroe objęła Laurenta w pasie. Druga oznajmiła:

— Chodź, kotku, zabaw się z nami. Serge dzisiaj w nocy potrzebuje nas obu, ale mamy koleżanki.

— Nie, drogie panie. On ma do wykonania ważne zadanie. Musi znaleźć odpowiedzi na wielkie pytania. — Laurent pocałował jedną z nich w czubek głowy i wyszeptał: — Jeśli możesz zachować to w sekrecie, wiedz, że jest górnikiem. Tylko nie mówcie nikomu. — Wysupłał na stół piętnaście studolarowych banknotów. — Spoglądając wprost na Poincarégo, oznajmił: — Żegnaj, Henri. Wątpię, żebyśmy się jeszcze kiedyś zobaczyli.

Odwrócił się od baru, ujął obie kobiety pod ramię i odszedł.

34

Wieczorem w korytarzu jakaś kobieta chichotała:

— Przestań, Boby! Rozepnę to, kiedy wejdziemy do pokoju!

W świetle komputerowego ekranu Poincaré rozłożył na hotelowym łóżku wszystko, co wiązało się ze sprawą Fenstera: teczki Roya, Bella, Quito, Rainier, Chambi, wydziału adopcji z Minnesoty, Laboratorium Napędu Rakietowego, Randal Younga, zamachu w

hotelu Ambassade, raportu Günter z sekcji, odciski palców zebrane przez agenta Johnsona, analizę DNA. Usiadł pośrodku z laptopem oraz twardym dyskiem Fenstera. Właśnie w kombinacji tych teczek mogło być ukryte albo hasło, albo przynajmniej klucz do niego. Tutaj — lub już nigdzie. Sześćdziesiąt siedem nieprzypadkowych znaków, dziewięćdziesiąt pięć możliwości dla każdego z nich. Jeżeli była to liczba znana matematykowi, jakaś stała albo ciąg, to nigdy jej nie odnajdzie. Tyle już wiedział. Jakaś fraza albo nic.

Zastanowił się, jak Jules Henri podszedłby do tego problemu. Pradziadek wołał ku niemu przez całe śledztwo, więc dlaczego w końcu nie przyzwać jego ducha? *Grand-père*, ty, który zostałeś pobłogosławiony darem wskazywania wielkich prawd, ukrytych w zwykłym widoku... Spójrz tutaj. Poincaré położył dłonie na teczkach. Co to jest? Czego nie dostrzegam?

Otworzył teczkę opisaną „Fenster, mieszkanie”, a w niej raport agenta Johnsona. Kolejno przeglądał obrazki z galerii. Tym razem zmusił się, aby zajrzeć głębiej, pod powierzchnię tego, co zgromadził Fenster. Krater meteorytowy na Marsie, sfotografowany z orbitalnego teleskopu, przypominał komórki ziemskiego liścia oraz ulice miasta. Wrócił do swoich notatek i ponownie przeczytał podsumowanie opisów zdjęć. Delta rzeki + kwiat kalafiora. Porost + Irlandia (widziana z kosmosu). Błyskawica + żyłki oka + popękany chodnik + drzewo + grzbiet górski. Przeczytał pięćdziesiąt takich zestawień i postarał się sformułować wniosek Fenstera tak bezpośrednio, jak tylko mógł: to, co na tym świecie było radykalnie i niepodzielnie sobą, jednocześnie wcale takie nie było. Okazywało się zarazem różne i wcale nie różne. Pojedyncze i mnogie. Takie samo.

Poincaré widział to w fontannach hotelu Bellagio. Przewrócił kolejną stronę notatek, tam gdzie zanotował wyrażenie, które Fenster zanotował nad swoimi opisami. „Taka sama nazwa”. „Różnica?” „Matematyka to sztuka”. Zajrzał do jeszcze jednej teczki, gdzie starannie przepisał to, co Jules Henri zauważył już przed wiekiem, a Fenster podjął, czyniąc dziełem swojego życia. Przeżuwając czubek ołówka, przeliczył litery w angielskiej wersji cytatu. Dwanaście. Policzył litery. Pięćdziesiąt pięć. Dodał spacje. Sześćdziesiąt sześć. Dodał kropkę — sześćdziesiąt siedem.

Wpisał do komputera to, co wszyscy widzieli, to, co kryło się w zasięgu wzroku, jak wszelkie tajemnice zgłębiane przez Jules’a Henriego i Fenstera, deklarację sięgającą głębiej niż biologia, starszą od tego świata czy jakiegokolwiek innego: „Matematyka to sztuka nadawania różnym rzeczom tej samej nazwy”. Tym razem ekran zamigotał, a plik otworzył się niczym róża o wyznaczonej porze.

Sen był tak realistyczny, że aż czuł słońce na twarzy — tyle że nie była to jego twarz, lecz również twarz jego matki albo jego ojca, nie potrafił określić. Emocje wprawdzie należały do niego, potem do nich, potem znowu do niego. Cała trójka spędzała poranek, wędrując po

niższych partiach Mont Blanc, wspinając się szlakami poprzez łąki, a za każdym zakrętem ukazywał się kolejny, oszałamiający widok na góry. Powietrze było przejrzyste; wiatr równomiernie spływał ze szczytu, kwitły szarotki, a dwunastoletni Poincaré, zadowolony, wdrapywał się powoli. Na jednym z zakrętów spojrzął w stronę rodziców. Zauważył, że się zatrzymali — żeby na niego popatrzeć. Właśnie w tym momencie snu stał się jednym z nich, albo obojgiem, patrząc przed siebie i machając ręką. Potem znów stał się sobą, zastanawiając się, dlaczego matka w tak cudowny dzień płacze — chociaż ze szczęścia, trzyma ojca za rękę i macha. Wtedy znowu znalazł się na dole, jak ona ściskając rękę i wznosząc wzrok ku sobie samemu, widocznemu na tle łąki oraz góry, z szerokim, błękitnym niebem za plecami. Poczul straszliwy ból, zarazem piękny i słodki, po czym obudził się w pracowni Claire, wiedząc dokładnie to, co wiedzieli jego rodzice: tracimy właśnie to, co kochamy najbardziej na świecie.

Wczoraj zjadł późną kolację, wspiął się do pracowni i padł na łóżko, o świcie budząc się z tego dziwnego snu. Zamierzał pozostać w Lyonie jedynie tyle czasu, ile zajmie odnowienie umowy najmu, spotkanie z nowym dyrektorem Interpolu oraz złapanie pociągu do Fonroque. Przez jakiś czas nie potrafił się zmusić do odwiedzenia pracowni albo załatwiania czegokolwiek w imieniu żony. Jednak umowa już się kończyła, musiał obejrzeć pracownię i umówić się z właścicielem. Claire nieprędko będzie tutaj malować, nie było sensu zresztą odnawiać umowy teraz, kiedy mieszkali tak daleko na południu, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę koszty. A jednak.

Miała tutaj wąskie łóżko i kuchenkę elektryczną, na wypadek maniakalnej, twórczej pasji, gdy nie chciała przerywać pracy powrotem do domu, na sen lub posiłek. Poincaré z trudem nauczył się jej nie przeszkadzać. Wybuchy kreatywności zaczynały się od informacji, że kontempluje właśnie nowy obraz i chciałyby spędzić nieco czasu w pracowni. Kiedyś, po czterodniowej nieobecności, zrobił błąd. Wspiął się na poddasze, potem zapukał do drzwi. Otworzyła, zobaczyła, że nad jej ramieniem zerka na obraz, umieszczony na sztaludze, a następnie podeszła do płótna i pocięła je szpachelką.

— Niegotowe! — krzyknęła. — Niegotowe!

Później, w jakiejś spokojniejszej chwili, uzgodnił z Claire, że codziennie zostawi mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Jeśli znajdzie taką wiadomość, nie będzie przeszkadzać. Jeśli nie znajdzie, będzie to oznaczało, że umarła i powinien pójść po ciało. Przepraszała Henriego za kryjącego się w niej Mr Hyde'a, wyjaśniała, że starała się go przed tym ochronić. W każdym razie już wie, na co się zdecydował.

To prawda. Poznali się na konkursie malarskim w Paryżu, gdzie wystawiała swoje prace i zdobyła pierwszą nagrodę. Claire nie było w pobliżu, gdy podszedł do jej obrazu — miniatury na desce, może przedstawiającej rozebraną kobietę, a może palmę kokosową, uginaną wichrem.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał jakiś głos z tyłu.

— Nie jestem pewien — odparł, ciągle wpatrując się w miniaturę. — Sądzę, że mi się podoba, chociaż nie umiem powiedzieć dlaczego. Jest na sprzedaż? — Odwrócił się, wtedy zaskoczyła go bezpośredniość jej spojrzenia. Włosy spięła w ciasny kok, w który

wsunęła pędzel. Dłonie od rana miała umazane farbą. Pachniała terpentyną.

— Obraz nie jest na sprzedaż — odparła. — Ale dam go panu.

To doprowadziło do wspólnej kolacji, która w swoim czasie zaprowadziła go do jej mieszkania.

Właśnie fakt, że Claire wciąż odchodziła i powracała, dawał Poincarému nadzieję, że wydobędzie się także z obecnych trosk. Gdy się obudził, ujrzał pracownię taką, jaką żona pozostawiła przed miesiącami: na sztaludze stał niedokończony miejski pejzaż. Chociaż — nie całkiem był tego pewien. Uznał, że chyba pejzaż. W tych smugach czerwieni i żółci rozpoznawał światła miasta. Nawet jeśli sam nie rozumiał sztuki Claire, szanował to, że inni ją doceniają. Miała zapewnione miejsce w galeriach Paryża, Mediolanu, Nowego Jorku, Los Angeles i Buenos Aires. To, co skończyła, pakowała i wysyłała, a jej agenci sprzedawali. Henri uznał wreszcie, że obrazy są wizualizacją nastrojów, mają wywoływać uczucia, tak jak muzyka.

Wiele lat później Poincaré cieszył się, że Etienne odziedziczył po Claire to, co najlepsze, jej brak lęku i geniusz pozwalający myśleć zarówno przestrzennie, jak i kolorystycznie. Usiadł w kącie łóżka i przyciągnął do siebie poduszkę, ale zapach żony już się ulotnił. Potem krążył po poddaszu, przesuwając dłońmi po tubach z farbą i urządzeniach, którymi rozpiniała płótna. Pogrzebał w gratach, których używała jako rekwizytów. Chociaż starał się ze wszystkich sił, nie potrafił, używając tych rzeczy, przywołać Claire. Już tutaj nie mieszkała.

Kiedy szykował się, by wyjść, zauważył skrzynię opartą o ścianę, zaadresowaną do agenta Claire w Nowym Jorku. Poincaré wiedział, co to jest. Portret, którym drażniła go przed miesiącami — sam pomysł go przerażał. W ciągu tygodni, jakie spędził w Lyonie, działając żonie na nerwy pracami przy zabezpieczeniu domu, pytała kilka razy, czy może zerknąłby na obraz, aby wyrazić swoje zdanie.

— Nie jesteś ciekawy tego, jak ciebie widzę? — pytała.

— Jestem — odparł. — Ale wiem także, że jeżeli zobaczę portret, poproszę, żebyś go nie sprzedawała. Ty mnie oskarżysz, że ci się mieszam do pracy, co będzie prawdą, no i się pokłócimy. Zatem nie, raczej nie.

Zapakowała malowidło. Teraz jednak wziął młotek i powyciągał gwoździe wzdłuż górnej krawędzi skrzynki, następnie przekreślił ją do góry nogami, dbając, aby cały czas odwracać wzrok. W końcu odszedł na środek pracowni i spojrzął. Aż przytrzymał się krzesła, bo Claire, mówiąc „To abstrakcja, nawet jak na mnie — nikt cię na tym nie rozpozna”, spektakularnie skłamała. Długo potępiała traktowanie obrazów jako fotografii. Nigdy jeszcze nie widział, aby pozwalała sobie na oddanie podobieństwa misy z owocami albo wiejskiej drogi, nie wspominając już o jakiejś osobie. Teraz jednak patrzył na mądrzejszego, szlachetniejszego siebie, w roboczym ubraniu, z sekatorem w rękę, siedzącego na pudle, na tarasie Fonroque. Za sobą miał dąb, dalej winnice. Włosy były rzadkie i siwiejące, mięśnie twarzy już nieco zwiotczałe. Oddała go wiernie, bezlitośnie i dokładnie, co chwyciło za serce. Pokazując mężczyznę wspinającego się przez całe życie

na stromą górę, który dopiero co przeszedł krok, może dwa po jej szczycie, przedstawiła także kogoś, kto zyskał na owym wysiłku. W oczach i ustach dostrzegł łagodność, pomimo całej brutalności związanej z jego pracą. W przechyleniu głowy i nie do końca stanowczym ułożeniu szczęk rozpoznał przerażenie tym, jak okrutny potrafi być świat. A w mocnej dłoni trzymającej sekator dostrzegł szacunek dla kogoś, kto umie reagować na to okrucieństwo. Przede wszystkim jednak Poincaré zobaczył uczucia, żywione przez artystkę do portretowanego. Patrząc na to płótno, był jak wdowiec, czytający nigdy niewysłane, najczulsze listy od swojej ukochanej. Obraz pogrążył go w smutku.

36

Poincaré położył kopertę na stole przed Hubertem Levengerem. Ten uniósł pakunek, czując jego ciężar.

— Mniejsze od pudełka na kanapki, większe od rolexa. Jakiś prezent? Nie trzeba było.

— Hubercie, to jest twardy dysk z laptopa IBM. Jest tam również kabel.

— Co jest na tym dysku?

— Ściana liczb: osiem milionów, plus minus, bez akapitów, po pięć kolumn na jeden ekran. Mam nadzieję, że znajdziesz w tym jakiś sens. Powiedz mi, co tutaj mam. Na dysku nie ma nic innego, co bym potrafił zobaczyć, ale może to również zdołasz sprawdzić.

— Zakładam, że masz na to jakieś papiery.

Hubert był mężczyzną o ascetycznym wyglądzie, który nie nosił ani nie jadał żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego — stanowiło to wyraz jego poglądów, z którymi Poincaré już dawno nauczył się nie dyskutować. Pojedyncze pytanie na ich temat zazwyczaj prowadziło ku długim sporom oraz podrzucaniu broszurek do domu. Ale poza tym Henri uważał Levengera za sympatycznego, solidnego kolegę.

— Szczerze mówiąc, ten dysk trafił w moje posiadanie bez żadnych papierów. Przepraszam. Powinieneś wiedzieć, skąd pochodzi.

— Pochodzi z bieżącego śledztwa.

Levenger puścił do niego oko.

— Przechodzą na ciebie złe zwyczaje Ludoviciego? Teraz jeszcze powiesz, że jeśli ktokolwiek zapyta, to nigdy tego nie widziałem.

— Proszę bardzo. — Poincaré wręczył mu kawałek papieru. — Oto hasło. Pamiętaj, żeby wpisać wielkie „M” i kropkę... Ładny dzieciak — powiedział, rozprostowując jedno ze zdjęć Levengera. — Ilu masz już wnuków?

— Ośmioro. Ta mała, z lokami, właśnie skończyła pięć lat. Powinieneś ją usłyszeć, jak śpiewa *Marsylianę*. Mogłaby roztopić Lodowiec Wilkinsa, gdyby tylko globalne ocieplenie nie zrobiło tego przed nią.

Levenger odczytał hasło na głos, bardziej jako pytanie niż stwierdzenie.

— Tu musi być z pięćdziesiąt znaków. Nawet skarbnica państwowa nie używa takich

haseł.

Poincaré wzruszył ramionami.

— A co ja tam wiem?

— Więcej niż mówisz. Ale niech to pozostanie między tobą a twoim spowiednikiem. Myślisz, że to prawda?

— Co?

— O tej matematyce i o różnicach.

Poincaré zerknął na zegarek.

— Hubercie, muszę lecieć, mam spotkanie z nowym dyrektorem. Myślę, że chyba już przechodzę na emeryturę... Ach, tak — przypomniał sobie w połowie drogi do drzwi. — Tak, w sumie w to wierzę.

— **Inspektorze**, bardzo się cieszę, że pana widzę!

Tym razem to Amerykanin, pomyślał Henri, przyglądając się swojemu ósmemu dyrektorowi wykonawczemu Interpolu. Pierwszego wyrzucono za niesubordynację, bo zadziałał zbyt agresywnie, chcąc schwytać złodzieja dzieł sztuki, który okazał się attaché prasowym ambasady Czech, i wywołał przez to spore zamieszanie, Poincaré nauczył się nie przywiązywać do szefów. Posada była częściowo polityczna. Dyrektorzy spędzali całe dni przy telefonie albo na korytarzach, starając się uzyskać zazwyczaj zgniły kompromis. Polityka zmuszała ich do wielkiej ostrożności, dlatego mimo międzynarodowego charakteru Interpolu wyciszali niektóre dochodzenia z obawy przed zirytowaniem państw członkowskich. Zbijali też polityczny kapitał, kłaniając się autokratom krzyczącym o „sprawach wewnętrznych”, gdy tylko jakieś śledztwo groziło wyjawieniem korupcji lub nadużyć władzy. Z drugiej strony, dyrektorami zostawali profesjonaliści z organów ścigania, gliniarze ciężko pracujący na dobre wyniki w terenie. Nie sposób służyć dwóm panom, dlatego szefowie pojawiali się i odchodzili. Od czasu do czasu któregoś wyrzucano z powodów niepolitycznych, jak na przykład Montforte’a. Felix Robinson zatrudniony został w reakcji na niekompetencję poprzednika. Były szef Agencji Antynarkotkowej w Waszyngtonie, słynny za sprawą statystycznego podejścia do kwestii przestępczości, ustalał priorytety działania w terenie tak, jakby rozwiązywał sudoku.

Henri spodziewał się jakiegoś robota, idąc jednak po nowym dywanie rozłożonym w pomieszczeniu, o którym przyzwyczał się już myśleć jako o biurze Alberta Montforte’a, na biurku nowego dyrektora z ulgą dostrzegł nieład. Robinson najwyraźniej niezbyt dbał o pozory. Wrażenie to wzmocniła jeszcze plama po kawie na krawacie oraz koszula prana znacznie częściej, niż mogła znieść jej przydatność do użycia. Henri wyciągnął dłoń na powitanie.

— Czytałem list sekretarza generalnego na temat pańskich kwalifikacji. Wszyscy jesteście pod wrażeniem. Witamy w Interpolu.

— Proszę mi mówić Felix.

— Dobrze. Cała przyjemność po mojej stronie. Henri.

Usiedli po swoich stronach dawnego biurka Monforte'a.

— Inspektorze, czytałem twoje akta. Brawo! Większość agentów wypala się już po piętnastu albo dwudziestu latach. Co jest twoim sekretem?

Poincaré przyglądał się, jak Robinson odprawia zwyczajowe uprzejmości.

— Feliksie, otaczają mnie dobrzy ludzie. To oni mnie motywują.

— Tacy jak Serge Laurent?

— Tacy jak Serge.

Dyrektor złożył dłonie i pochylił się do przodu.

— Henri, przekonasz się, że jestem bardzo bezpośredni. Obawiam się, że i ty, i on już skończyliście swoje zadania. Z pewnością wiesz, że prowadzi dochodzenie w sprawie Żołnierzy Wniebowstąpienia — którzy byliby tylko wrzodem na naszej wspólnej dupie, gdyby nie coś, co nazywa grupą schizmatyków. Mam powody, by sądzić, że Laurent nie jest całkiem zdrowy. A co ty o tym myślisz?

Proste pytanie, na które odpowiedź mogła kryć tysiąc pułapek.

Henri był na tyle ostrożny, by nie zaprzeczać, że dopiero co widział się z Serge'em.

— Mam swoją opinię na ten temat — odparł. — Laurent to najlepszy agent, jakiego znam. Usunie się z terenu, gdy uzna, że nie jest już w stanie dłużej pracować.

Robinson pokiwał głową.

— Do listy twoich cnót możemy jeszcze dodać lojalność. Wiem, że widziałeś się z nim w Las Vegas.

— Raportował o tym?

— Nie.

Robinson dał czas Poincarému, aby ten uformował sobie jego wyraźniejszy obraz.

— Żołnierze Wniebowstąpienia — mówił dalej dyrektor — z tą swoją siatką, podobną do Al-Kaidy, są tak zdecentralizowani, że najlepsze, co możemy robić, to udaremniać poszczególne ataki. Co też robimy. W zeszłym tygodniu w Lucernie była taka osoba, którą wybrali sobie na ofiarę egzekucji. Laurent powiadomił nas w ostatniej chwili. Cel stanowiła kobieta zajmująca się czystymi źródłami energii. Wyeliminowaliśmy komórkę. To oczywiście piękne i wspaniałe, ale operacje polegające na ratowaniu pojedynczych osób wysysają nasze ograniczone środki. Zatrudniono mnie, abym poprowadził Interpol w kierunku większej koncentracji działań i mniejszych kosztów, przy większych rezultatach. Jesteś tutaj od prawie trzech dziesięcioleci. Nie sądzę, żebyśmy mogli sobie dłużej pozwalać na ratowanie pojedynczych osób. A jakie jest twoje zdanie?

Znowu Robinson złożył dłonie i czekał.

Poincaré pomyślał, że nowy dyrektor zapewne zdobył szlify, podkładając innym miny i obserwując, jak reagują, kiedy na nie wejda.

— Zawsze warto ratować czyjeś życie — odparł. — Nie zazdroszczę nikomu o twojej pozycji, że musi dokonywać aż takich wyborów.

Dyrektor pokiwał głową.

— W Teksasie mamy takie powiedzenie „odetnij resztki”. Liczę, że w swojej nowej roli będziesz mówił wprost. Poproszę o prosty język.

— Moja nowa rola? — odparł Poincaré. — Ludovici coś o tym wspominał.

— Zgadza się. Chcę, żebyś został agentem nadzorującym wszystkie działania terenowe. Jest to stanowisko, które właśnie utworzyłem. Wiąże się z nim spora odpowiedzialność. Pozycja jest strategiczna, nie operacyjna. Chcę, żebyś podwyższył ogólny poziom myślenia w terenie, śledcze IQ, jeśli wolisz. Będziesz dla naszych agentów mentorem i powiernikiem. Poza tym będziesz definiował tę pracę. Nikt lepiej niż ty nie zna się na strategii ani nie ma lepszego instynktu. Chcę, żebyś od razu zszedł z terenu i się tym zajął.

— Schlebiasz mi — odparł Poincaré.

— Nikomu nie schlebiam — powiedział dyrektor. — Potrzebuję pomocy.

— Zakładam, że będą siedział za biurkiem gdzieś tutaj, w Lyonie?

— Właśnie tak. Ale nie ma powodu, żebyś nie mógł wykonywać tej pracy z Fonroque. Wiem, że masz tam winnicę. Możesz mi czasem przysłać trochę wina, chociaż radzono, żebym je wtedy przebadał na obecność arszeniku.

Poincaré się uśmiechnął.

— Feliksie, tak mówiąc wprost, a jeśli odmówię?

— Wtedy będzie tak — wyjaśniał Robinson. — Do końca dnia zdasz broń oraz odznakę Interpolu urzędnikowi na parterze. Na dole mają listę wszystkiego, co jest u ciebie w szafce, myślę więc, że będziesz skrupulatny. Jeżeli przyjmiesz nową posadę, a mam nadzieję, że tak, wydamy ci znowelizowaną legitymację, dającą wyższy poziom bezpieczeństwa, odpowiedni do mojego. Jednak poza kwaterą główną Interpolu nie będziesz miał już żadnej władzy. Henri, nie jesteś już agentem terenowym. Jeżeli zrezygnujesz, będziemy mieli dla ciebie zegarek i emeryturę. Może pożegnalną imprezkę przy zeschniętym cieście. Sam wiesz, jak to wygląda.

Poincaré wiedział, jak to wygląda.

— Poprosiłem Paola Ludoviciego, żeby pozostawał do dyspozycji. Zaznajomisz go ze wszystkim, co dotyczy śledztwa w sprawie nadchloranu amonu i przekazesz wszystkie swoje notatki. Rozumiesz?

— A robisz to, bo...

— Bo jeśli chodzi o pracę w terenie, uważam, że straciłeś perspektywę. Ta sprawa w Hadze, kiedy przyszedłeś na proces tamtego Bośniaka... to był błąd. Woźny sądowy powiadomił, że wpuścił cię do sali sądowej z bronią palną. Przyszedłeś tak na proces człowieka, który zaatakował twoją rodzinę? Nie wierzę, żebyś był zdolny do obiektywnego osądu sytuacji, a twój błąd źle by się odbił na Interpolu. Raport na ten temat trafił na moje biurko dopiero po paru tygodniach od zdarzenia, ale gdy już go miałem, wiedziałem, że trzeba od razu wycofać cię z terenu. Żyłeś w pożyczonym czasie, chociaż żaden z nas o tym nie wiedział.

Poincaré już polubił Robinsona. W niczym, co mówił Amerykanin, nie brzmiała ani jedna fałszywa nuta. Ten człowiek mógł uczynić wiele dobrego dla Interpolu.

— Feliksie, jestem poruszony twoją wiarą we mnie.

— Inspektorze, staram się zapewnić ci miękkie lądowanie. Potrzebuję pomocy i obsadzę to stanowisko albo tobą, albo kimś innym. Uwierz mi, gdybym chciał, żebyś odszedł, po prostu zmusiłbym cię do emerytury. Jak mawiamy w Ameryce, „bierz albo nie”. Przemyśl to sobie. Od godziny siedemnastej twoje przywileje w Interpolu zostają zawieszane. Z uprzejmości utrzymam ci komputerowy dostęp do naszych serwerów — tak, żebyś mógł monitorować postępy Ludoviciego w śledztwie. Czeka u siebie w gabinecie na akta sprawy. — Robinson odszedł biurko. — Henri, z tego co czytałem i słyszałem, jesteś dla nas zbyt cenny, abym pozwolił gdzieś cię zabić dlatego, że nie byłeś dostatecznie skoncentrowany. Niezależnie od tego, czy przyjmiesz tę nową posadę, skończyłeś już z pracą w terenie. I wcale nie o to chodzi, że nie rozumiem twojego rozkojarzenia. To, co przytrafiło się twojej rodzinie, przechodzi ludzkie pojęcie. Ponieważ zawiodła cię ochrona Interpolu, teraz przeglądamy i korygujemy procedury. Osobiście to nadzoruję. Tymczasem nie chcę jeszcze bardziej powiększać nieszczęścia twoją śmiercią. Miłego dnia, inspektorze.

Poincaré w drodze do gabinetu Ludoviciego zadzwonił do Fonroque. Eva powiedziała, że Claire drzemie. Spokojnie spędziła dzień, siedząc na tarasie.

— Monsieur, chce pan, żebym ją obudziła?

— Nie — odparł. — Powiedz mi tylko, czy coś mówiła, kiedy mnie nie było? Czy mówiła coś przez sen?

Na korytarzu minął go Levenger, trzymając kopertę z dyskiem i unosząc kciuk.

— Henri, przekazuję to dalej. Skontaktuję się z tobą, jak już będę coś miał.

Poincaré pomachał mu, dziękując.

— Nie, monsieur. Nic.

— A czy dzwonił Etienne?

W drodze do Lyonu Henri zatrzymał się w Paryżu, aby wypytać o syna i jego rodzinę oraz odwiedzić Chloe na cmentarzu Montparnasse. Został tam przez jakiś czas, czyszcząc granitową płytę. Odwrócił się, słysząc jakiś dźwięk. Zobaczył syna na wózku, pchanym przez pielęgniarkę. Etienne spojrzał ojcu w oczy. Poincaré chciał coś powiedzieć, ale syn pomachał na pomocnika, by wiozł go dalej.

— Tak. Etienne dzwonił i pytał się o madame.

— I nic nie powiedziała?

— Nie, monsieur.

— Pytał o mnie?

— To była krótka rozmowa — odparła dziewczyna. — Jeżeli pan chce, żebym przyłożyła madame słuchawkę do ucha, niech pan zadzwoni za godzinę.

Ludovici siedział w gabinecie i czytał akta sprawy, rozparty w fotelu. Nogi w kowbojkach z wężowej skóry wyłożył na biurko.

— Podobają ci się? — zapytał, kiedy Poincaré zapukał i wszedł do środka. — Włosi skopali wszystkim dupę. A twój szczerze oddany druh zgarnął pierwsze miejsce.

— Odstrzeliłeś ten meszek z brzoskwini?

— Cholera, odstrzeliłem meszek z meszka!

— Gratulacje, Paolo. — Położył teczkę na biurku, otworzył i wręczył przyjacielowi wysoki stos akt. — To wszystko, co mam na temat sprawy Fenstera i nadchloranu amonu — oznajmił, nie całkiem zgodnie z prawdą. Twardy dysk zachował dla siebie oraz Erica Hurleya. — Przygotowałem streszczenie z podsumowaniem, opatrzone indeksem. Poznasz najważniejsze elementy każdej kwestii, nie powinieneś mieć z tym żadnych problemów. — Wyłożył na blat zawartość kieszeni, pokazując, że nie ma nic do ukrycia. Były w nich spinacze biurowe, opakowania po gumie do żucia, drobniaki oraz jubilerska lupa.

— To dla ciebie — oznajmił, wręczając lupę Ludoviciemu. — Po to, żebyś nie przeoczył żadnego szczegółu. A monety... Stawiam pierwszą kawę i bagietkę.

Poincaré odliczył kilka euro i uśmiechnął się, gdy natrafił na amerykańską pięciocentówkę z bizonem, którą schował z powrotem do kieszeni.

— To dla mnie wcale nie jest łatwiejsze niż dla.

— Wszystko w porządku. Naprawdę.

— Przyjmiesz tę posadę?

— Nie jestem pewien — odparł.

— Nie wiem, czy mam nadzieję, że się zgodzisz, czy nadzieję, że jednak nie. W każdym razie nadal musisz mieć jakieś zajęcie. Może po to, żeby ci umysł nie zmarniał.

— To mądra rada dla emeryta. Dziękuję.

— A idź w cholerę... i nie wyłączaj telefonu. Mogę cię potrzebować.

Niezależnie od tego, czy Poincaré przyjąłby, czy nie nowe stanowisko i tak odchodził z pracy w terenie — długi rozdział kariery został zamknięty poleceniem służbowym, decyzją podjętą bez żadnych sentymentów. Może Robinson wyświadczał mu przysługę, zapobiegając przemianie we własną karykaturę? Każdy agent wiedział, że najgorsze to stać się kimś w rodzaju podstarzałego boksera, który nie wie, kiedy należy zejść z ringu.

Skierował się do swojego gabinetu. Przez ostatnich pięć godzin w roli agenta Interpolu kolejny raz studiował nagranie kamer ochrony, pokazujące Danę Chambi. Zapis trwał niewiele ponad dwie minuty. Odtworzył go następnym kilkaset razy — co w sumie dawało już tysiące. Korzystając z cyfrowego powiększenia, zidentyfikował torebkę Chambi, trop, który nie przyniósł żadnego pożytku. Mógł odczytać nazwisko lekarza na plakietce z ukradzionego kitla, nawet dostrzec, że na lewej nodze miała porwaną pończochę. Znał setki szczegółów: jednak niezależnie od tego, ile razy odtwarzał nagranie, nie umiał połączyć tego, co widział, z tym, co ludzie znający Chambi mówili na jej temat: uzdolniona badaczka, wykładowczyni obdarzona poczuciem humoru i potrafiąca zainteresować wykładem, wolontariuszka Ligi Matematycznej, żarliwy strażnik płomienia Jamesa Fenstera.

Uznał, że mogła być tylko albo jednym, albo tylko drugim. Świat zawodowych zabójców nie pokrywał się ze światem naukowców. A jednak na tym nagraniu zaproszyła ogień dla odwrócenia uwagi, a poza zasięgiem kamery zabiła dziecko. Poincaré nie potrafił tego rozwikłać. O godzinie szesnastej dwadzieścia dziewięć, kiedy trzydzieści jeden minut dzieliło go od zakończenia kariery trwającej trzy dekady, raz jeszcze odtworzył zapis kamer.

Klatki 000-0025: Obiekt pojawia się u dołu ekranu.

Klatki 026-058: Obiekt spogląda w prawo, spogląda w lewo, otwiera torbę.

Klatki 059-102: Obiekt wrzuca papier do kosza, wlewa substancję łatwopalną.

Klatki 103-114: Obiekt spogląda w prawo, spogląda w lewo.

Klatki 115-120: Obiekt zapala zapałkę, podkłada ogień.

Klatki 121-136: Płomienie. Obiekt wychodzi. Poincaré powiększył obraz ze sto siódmej klatki. Zobaczył Chambi, jak rozgląda się po korytarzu, aby sprawdzić, czy nikt jej nie widzi — oraz jak zapala zapałkę. Widok twarzy i szyi był wyraźniejszy niż na pozostałych klatkach. Pomimo pikselowego zniekształcenia, to na pewno była Dana Chambi. Z tym obrazem, widocznym teraz na ekranie, porównywał wszystkie fotografie Chambi, jakie tylko zdołał odnaleźć. Identyfikację potwierdzało również oprogramowanie Interpolu służące do rozpoznawania twarzy — a jednak Poincaré czuł, że ostatnie minuty swojej pracy musi spędzić na ponownej analizie. I znowu dostrzegł bezdyskusyjne podobieństwo. Wyjąwszy drobny szczegół, zbyt oczywisty, aby się nim zajmować. Na nagraniu Chambi nie nosiła apaszki, kryjącej zwykle paskudną, ameboidalną wyspę purpury na skądinąd nieskazitelnej szyi. Na wszystkich dwunastu fotografiach, które zebrał Poincaré, Chambi zawsze miała apaszkę. Gdy się spotkali pod aulą, nerwowo poprawiła chustkę, gdy rozmowa zбочyła w stronę Fenstera. Kontrast był wyraźny. Tam apaszka, tutaj brak apaszki.

Przyjrzyj się uważnie — powiedział sobie. Teraz widzisz zabójcę, starającego się uniknąć wykrycia. Żaden zabójca nie chce być przyłapany na gorącym uczynku ani schwytyany po nim. Rytm takiego życia wyznacza morderstwo, ucieczka, odbiór zapłaty i ponowne zabójstwo. A jednak kobieta widoczna na filmie nie zakryła znamienia o barwie portwajnu, które w gruncie rzeczy pełniło rolę identyfikatora z napisem „Cześć, nazywam się Dana Chambi!” Sprawdziła korytarz, dwukrotnie, bo nie chciała, by ją przyłapano. Ale dokładnie pokazała portwajnowe znamię, bo chciała, by je widziano.

Poincaré spojrział przez biurko na zdjęcie Claire i dzieci. Znowu okazało się, że odpowiedź miał pod samym nosem, chociaż do tej pory jej nie widział. To wcale nie była Chambi. To nie mogła być Chambi. Ludovici przysięgał, że Banović, posługujący się dawnymi agentami Stasi, nie nakazał takiego dokończenia sprawy. W takim razie zrobił to ktoś inny. Ktoś, kto pragnął unicestwić Poincarégo, niszcząc coś, co detektyw ukochał najbardziej. Uświadomienie sobie pomyłki nie poraziło Henriego. Teraz znajdzie tę osobę i wymierzy jej sprawiedliwość. Będzie już działał sam.

Część IV

*Kto ibisowi dał mądrość,
a rozum dał kogutowi?*

Księga Hioba (Isięga 38, werset 36)

Poincaré napisał krótkiego maila: „Panno Chambi, wiem, że to nie pani zabiła moją wnuczkę. Musimy się spotkać, proszę się ze mną skontaktować”. Nacisnął „wyślij”, po czym wyszedł na taras.

Burze, które przetoczyły się nad doliną w zeszłym tygodniu, oczyściły powietrze. Zbliżała się pora zbiorów, a bez pieniędzy dla robotników Poincarégo czekało przyglądanie się, jak tegoroczne owoce gniją na winoroślach. Nie przejmował się. Za kilka godzin, kiedy wstanie słońce, pocałuje Claire i otworzy sejf w piwnicy, w którym trzymał pistolet. Zabierze broń, a przed wyjazdem raz jeszcze pocałuje żonę — tę kobietę, bez której nie chciałoby mu się żyć. Pewnego dnia będzie żył bez niej, albo ona bez niego, bo tak już jest na tym świecie, że kochamy, jeśli możemy, i tracimy właśnie to, co kochamy.

W Monachium Poincaré wsiadł do pierwszego pociągu do Innsbrucka. Wsiadł w austriackiej miejscowości Scharnitz. Co prawda Julie Young nie chciała, aby tu przyjeżdżał, zostało mu jednak wystarczająco dużo dziennego światła, by odwiedzić księdza Ulricha z Pfarrkirche Maria Hilfe. Detektyw miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej o parafianach Lewisie i Francine Youngach, zanim spotka się z nimi osobiście. Zjawił się w miasteczku, mając niewiele więcej niż adres oraz nazwisko proboszcza, zaczerpnięte z Internetu.

Scharnitz było wręcz idylliczne, położone wśród łąk tyrolskich Alp. O tej porze dnia szczyty oświetlało zachodzące słońce, pogrążając dolinę w głębokim cieniu. W wyższych partiach gór leżał śnieg i Poincaré już widział ogłoszenia o promocyjnych cenach w pensjonatach narciarskich, wyraz nadziei na wczesny początek sezonu. Z garbów na niższych zboczach wyrastały wiecznie zielone rośliny, na dnie doliny skupiły się grubo belkowane domy o stromych dachach. Właśnie taki Tyrol pamiętał z młodości i właśnie tutaj, zdaniem żony Younga, Randal spędził szczęśliwe lata.

Poincaré wszedł do skromnego kościółka, na parterze znalazł kancelarię, gdzie tyłem do drzwi siedział jakiś mężczyzna w koszuli. Kiedy detektyw zapukał, mężczyzna, nie odwracając głowy, oznajmił:

— Do spowiedzi będzie można przyjść za piętnaście minut.

— Ojcie, to wizyta w innym celu.

Ksiądz wstał.

— Ach! Mam gościa! Proszę mi wybaczyć!

Poincaré przedstawił się i wyjaśnił, w jakiej sprawie przyszedł, pomijając tylko jeden drobny szczegół, że oficjalnie nie jest już agentem Interpolu. Kiedy skończył, Ulrich odparł:

— Inspektorze, proszę oszczędzić Lewisowi i Francine kolejnego wstrząsu. To straszne, utracić dziecko.

Poincaré nic nie powiedział. Okno za plecami księdza wychodziło na cmentarz.

— Smutna sprawa — ciągnął Ulrich. — Randal, w pełnym rozkwicie swojego życia, żonaty, z dwójką dzieci. Przyjechali chyba na początku marca. Jedno spojrzenie i już było wiadomo, że koniec jest bliski. Sporą część młodych lat spędził na nartach, w parku Karwendel. Przyjechałem do Scharnitz zaledwie dwa lata temu, świeżo po seminarium. Kiedy się dowiedziałem, że Randal wrócił odwiedzić rodziców, napisałem do swojego poprzednika. Najwyraźniej młody Young był doskonałym narciarzem. Zdaje się, że wciąż ma jeszcze kilka rekordów w kategorii młodzieżowej. W tamtych czasach jego ojciec był pracownikiem amerykańskiego Departamentu Stanu, na placówce w Monachium. Rodzina kupiła tutaj dom. Kiedy Lewisa wysłano na Daleki Wschód, zatrzymali dom i wracali do niego, gdy tylko mogli. Na emeryturze osiedli tu na stałe.

Nigdy wcześniej nie spotkałem Randala — opowiadał dalej ksiądz. — Jego rodzice to mili ludzie, teraz jednak całkiem załamani. Nie tracili nadziei, kiedy syn się tu zjawił razem z żoną. Przyjechał do spa niedaleko Garmisch-Partenkirchen, gdzie poddał się niekonwencjonalnej terapii leczącej jego typ nowotworu, najwyraźniej nieusankcjonowanej przez lekarską społeczność. Wyczerpali już wszystkie inne możliwości leczenia. Pojechali więc do tego spa i wrócili mniej więcej po tygodniu. Potem odlecieli do Stanów. Bardzo smutne. Nie do nas należy zrozumienie, dlaczego umiera ktoś taki młody. Trzeba wierzyć, że zawiera to w sobie jakieś dobro.

— Raczej wątpię — powiedział Poincaré.

— Tak naprawdę, to nie wiemy, inspektorze. Umiera jakieś dziecko. I może przez to rodzeństwo tego dziecka albo jego rodzice poświęcają lata na znalezienie lekarstwa, które później ratuje dziesiątki tysięcy istnień. Strata jest prawdziwa. Nikt tego nie umniejsza. Ale dobro, pojawiające się za sprawą straty, też może być prawdziwe. To są wzloty i upadki, wykraczające poza nasze rozumienie.

— **Kto tam?** — dobrze mówiła po niemiecku, chociaż z amerykańskim akcentem.

Poincaré odpowiedział przez zamknięte drzwi, po angielsku.

— Pani Young? Jestem z Interpolu — co było prawdą aż do odrzucenia oferty Robinsona. — Chciałbym zadać kilka pytań związanych z Randalem.

Usłyszał kroki, potem szept.

Drzwi się otworzyły.

— Nasz syn zmarł wiele miesięcy temu — oznajmił mężczyzna.

— Wiem — odparł Poincaré — i bardzo mi przykro z powodu państwa straty. Mógł jednak mieć związek ze sprawą, której dotyczy moje śledztwo, jeśli więc państwo pozwolą... Ale może zjawiłem się nie w porę? Mogę wrócić rano.

— Sprawą? Jaką sprawą?

Ojciec Randala Younga ciężko zniósł to, co się stało. Miał nie tylko bladą twarz, żałoba sprawiła, że cały zszarzał. Światło w oczach zgasło, a Henri zastanawiał się, co jest gorsze: być ojcem syna, który uznał cię za zmarłego, czy mieć syna, który naprawdę zmarł.

Centralny punkt skromnego salonu Youngów stanowił kominek oraz coś, co dałoby się nazwać kapliczką poświęconą Randalowi. Składały się na nią jego fotografie, od wczesnego dzieciństwa aż po dorosłość. Na każdym zdjęciu chłopca i rodziców wszyscy się uśmiechali. Mały Randal na nartach, zawiniątko, opatulone, by chronić się przed mrozem. Randal wykonujący niebezpieczny zakręt slalomu giganta. Randal z matką, konno, na alpejskiej łące. Randal wspólnie z rodzicami unoszący gliniane kufle piwa. Potem już przeskakujące lata: Randal w todze i birecie, Randal z młodą, rudowłosą kobietą u boku. Jedno rudowłose dziecko, później dwoje. Poincaré pił herbatę, a pani Young objaśniała chronologię.

— Wie pan, stanął na nartach już przy pierwszej próbie i zjechał prosto ośłą łączką, w stogi siana. Potem wyskoczył, krzyżąc „Jeszcze! Jeszcze!” Zimą nie chciał robić niczego innego. Kiedy Lewis trafił na placówkę do Japonii, Randal miał dwanaście lat i chciał zostać tutaj, u sąsiadów. Zabraliśmy go ze sobą, ale obiecaliśmy zatrzymać ten dom.

— Po co pan się tutaj zjawiał? — zapytał Lewis Young.

Poincaré przygotował się do zranienia tego i tak już zranionego mężczyzny. Szanował stratę Youngów na tyle, aby oznajmić wprost:

— Wiem, że państwa syn był specjalistą od napędu raketowego.

— Zgadza się.

— A także ekspertem od ładunków wybuchowych.

— Latem pracował dla kompani wydobywczej w Wyoming. O co chodzi?

— Panie Young, kiedy pański syn wrócił do Scharnitz, w marcu, czy przywiózł jakieś materiały używane podczas pracy w Pasadenie? Może jakieś chemikalia? Zwłaszcza białą, krystaliczną substancję, wyglądającą jak sól kuchenna?

— Ledwie trzymał się na nogach — powiedziała kobieta. — Nie, nie miał niczego takiego. Przywiózł jedną małą walizkę. Zabral książkę o obserwacji ptaków, którą kiedyś ode mnie pożyczył. Chce pan ją zobaczyć?

— Francine, on tego wcale nie chce!

— Czy wspominał o jakimś wyjeździe do Amsterdamu? — pytał Poincaré.

Lewis Young zaczął poruszać dłońmi tak, jakby je mył.

— Pojechał do kliniki, zaraz na północ stąd, przy granicy. Wrócił dzień albo dwa później, potem poleciał do Stanów, gdzie umarł. Nawet nie zrobił tego w domu.

Poincaré już wystarczająco rozdrapał ich ranę. Przepraszył za najście i wrócił do swojego pokoju hotelowego, zastanawiając, czy podróż do Scharnitz warta była całego wysiłku. Wtedy nadszedł mail od towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym Randal Young miał wartą dwa miliony polisę na życie. Inspektor domagał się informacji na temat realizacji polisy. Związała odpowiedź go zaskoczyła.

Właściciel polisy nie dokonał żadnych wpłat za ostatni kwartał zeszłego roku i pierwszy kwartał bieżącego roku, chociaż przez pięć poprzednich lat wpłaty były dokonywane regularnie. Właściciel polisy dwunastego lutego polecił ją zlikwidować. Potem nie wysuwano żadnych roszczeń. Nie dokonano wypłaty w związku ze

śmiercią. Jeśli ma pan dalsze pytania, proszę zadać je bez wahania.

Z poważaniem,

S. Thompson

Gdy Poincaré się obudził, niebo już jaśniało, chociaż wioskę nadal skrywał cień. Na najwyższe szczyty padały pierwsze promienie słońca, światło odbijające się od śniegu przypominało mu o czasach, gdy sam spędzał zimowe ferie w Alpach, najpierw z rodzicami, a potem z Claire i Etienne'em. Krowy wędrowały po łąkach, brzęcząc dzwoneczkami. Dzień zapowiadał się wspaniale, dlatego Henri z prawdziwym smutkiem wrócił do domu Lewisa oraz Francine Youngów, aby wbić im w serce ostatnie ostrze. Kiedy tym razem otworzyły się przed nim ich drzwi, przeprosił za najście.

— Niestety, często zdarza mi się tak pracować. Po zakończonej rozmowie przychodzą mi do głowy nowe pytania, a potem nie mogę zasnąć. Dwa krótkie pytania, jeśli mogę.

Tym razem nie zaproponowano mu herbaty. Lewis Young, z żoną za plecami, stał w drzwiach.

— Niech pan mówi.

— Poproszę o nazwę tego spa, które odwiedził Randal. — Poincaré już znał tę nazwę i tak naprawdę zjawił się tylko z jednym pytaniem.

— Mówiłem panu wczoraj wieczorem!

Young powtórzył nazwę, detektyw poprosił o podanie pisowni. Potem dodał:

— Te fotografie Randala w państwa domu... Zauważyłem, że na żadnej nie ma mniej niż dwa latka. Mogę zobaczyć jakieś jego zdjęcia z czasów, kiedy był młodszy?

Lewis Young zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

38

Poincaré wysiadł z pociągu do Monachium w Garmisch-Partenkirchen. Na murze budynku za stacją zobaczył czerwoną liczbę osiem, którą zakleiono coś wyglądającego jak dziewiątka. Nawet w Tyrolu, zdumiał się. Serge słusznie chylił czoło przed wniebowstąpięciami. Zanim detektyw zdążył zamówić taksówkę, zadzwonił do niego Levenger.

— Henri!

— Hubercie, mam nadzieję, że coś znalazłeś.

— Miałeś rację. To tylko liczby, nic poza tym. Były jeszcze podfoldery, których nie widziałeś, i ostatecznie to jakieś dwadzieścia siedem milionów liczb, od czterdziestu siedem i pięćdziesięciu sześciu setnych, po trzynaście tysięcy sto sześćdziesiąt cztery i pięćdziesiąt trzy setne, częściej rosnących niż malejących. Wszystko starannie podzielone na segmenty, na duże bloki, liczące od czterystu do ośmiuset tysięcy liczb, raczej w stosunkowo wąskich przedziałach. Jednak w obrębie takich zakresów nie potrafię odkryć żadnego wzorca. Czyli, jak się obawiam, wciąż trzymasz w swoich dłoniach jakąś zagadkę.

Poincaré polecił Levengerowi, aby wysłał twardy dysk do Fonroque. Sam wziął taksówkę i po piętnastu minutach stanął pod willą na zboczu wzgórza, z widokiem na jezioro i góry za nim. Franz Meister założył swój Instytut przed dziesięcioma laty, aby prowadzić kuracje antyrakowe oparte na ziołach. Chociaż literatura dotycząca Instytutu już chyba wyraźniej nie mogłaby wskazywać na eksperymentalną naturę terapii, Poincaré znalazł na stronie internetowej wystarczająco dużo świadectw o poprawie zdrowia, by mogły dać nadzieję umierającemu człowiekowi. Od czasu do czasu wyciąg z kory brazylijskiego drzewa albo olejki aromatyczne z Azji Południowej rzeczywiście przedłużały jakiemś pacjentowi życie lub zwiększały jego komfort. Jednak częściej nie dawały niczego, czego Instytut wcale nie starał się ukryć. Pacjenci jednak i tak zjawiali się setkami — wśród nich Randal Young.

Poincaré poczekał, aż pielęgniarka zamknie dębowe drzwi, następnie podszedł do okna w bibliotece willi. Poinformowano go, że Herr Direktor właśnie kończy obchód i wkrótce zajmie się gościem. Inspektor nie miał nic przeciwko oczekiwaniu. Rankiem zażył lekarstwo, zaskoczony i ucieszony, że w dalszym ciągu powstrzymuje arytmie. Nie mógł zaprzeczyć, że czuje się teraz silniejszy, a wiedział, że będzie potrzebował siły. Przed kimkolwiek uciekała Dana Chambi, był to ten człowiek, który wynajął jej sobowtóra, aby zabił Chloe. Zbliżały się kłopoty, ale ciało detektywa nareszcie czuło się gotowe do podjęcia wyzwania.

— Witamy!

Był starszy od Poincarégo co najmniej o piętnaście lat. Przypominał lekarza, którego do Henriego wezwali kiedyś rodzice — człowieka zdolnego dodać otuchy już samym siedzeniem przy łóżku. Meister był zarówno lekarzem, jak i biochemikiem. W latach siedemdziesiątych założył firmę farmaceutyczną, którą kupiła potem Astra Zeneca. Zarobiwszy w ten sposób miliony, rozpoczął program badawczy, zajmujący się poszukiwaniem egzotycznych farmaceutyków w lasach deszczowych całego świata. Willa w Garmisch stanowiła centrum administracyjne Instytutu, klinikę oraz ostatnie schronienie zrozpaczonych chorych.

Poincaré opowiedział o zamachu w Amsterdamie oraz odkryciach dokonanych w Laboratorium Napędu Rakietowego. Mówił także o umiejętnościach Randala Younga i tym, że czas zamachu świadczy raczej przeciwko jego w tym udziale.

— Wiele osób twierdziło, że to dobry człowiek, ale niektóre fakty czynią go podejrzanym. Biorąc pod uwagę czas śmierci, nie mogę ani udowodnić jego związku z zamachem, ani oczyścić jego imienia.

— Musi pan wiedzieć — odparł Meister, siedzący naprzeciwko Poincarégo za bogato zdobionym biurkiem — że ludzie, których tu spotykam, są ciężko chorzy. Nie wypytyuję ich o życie, jakie wiedli przed zjawieniem się tutaj, bo po usłyszeniu diagnozy moi pacjenci już nie myślą o sobie jako o agentach ubezpieczeniowych, nauczycielach czy bankowcach. Są po prostu ludźmi, którzy chcą jeszcze żyć, a ja robię wszystko co w mojej mocy, żeby im pomóc. Nasza klinika może dwie rzeczy. Możemy przywrócić nieco ładu w ciele pacjenta, pozwalając mu zwalczyć chaos przerzutowego nowotworu, albo toczyć bój aż do

zawieszenia broni. Jeśli nie możemy tego dokonać, staramy się chociaż przywrócić poczucie ładu w duszy pacjenta. Randal był pacjentem drugiego rodzaju. Zbadałem mu krew i wiedziałem już, że nie pożyje długo. Powiedziałem mu o tym. Próbowaliśmy z naparem, ale rokowania nie były korzystne. Mimo to wciąż próbował. Muszę powiedzieć, że poruszyła mnie pełna oddania postawa jego bliskich.

Poincaré odchrząknął.

— Doktorze Meister, postawa jego siostry?

— Tak, siostry bliźniaczki. I jego żony.

Poincaré wstał.

— Jak długo mógł żyć Randal Young po tym, jak go pan wypisał?

— O ile wiem, umarł kilka dni później. Na lotnisku.

— Wiem. Chodzi mi o to, jak długo w ogóle można żyć w takim stanie?

— Nie ma żadnej reguły. Widziałem już człowieka w końcowym stadium raka nerek, który umarł dopiero wtedy, gdy jego syn przeleciał pół świata i zjawił się przy jego łóżku. Taki fenomen można zaobserwować u pacjentów pogrążonych w śpiączce. Jak długo? Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na takie pytanie. Mogę tylko przyznać, że zaskoczyło mnie to, jak gwałtownie odszedł. Sądziłem, że wytrwa nieco dłużej.

Poincaré otworzył teczkę i wyjął zdjęcia Julie Young, Dany Chambi oraz Madeleine Rainier.

— To te dwie — oznajmił Meister. — Żona i siostra Randala. Czy pan wie, że szesnaście miesięcy przed przyjęciem go tutaj jego siostra ofiarowała mu płat swojej wątroby, szpik, żyłę z nogi oraz rogówkę — wszystko w odrębnych operacjach. To jej poświęcenie było wręcz niesamowicie wzruszające. W moim zawodzie widzi się tyle bólu. Ale jest także prawdą, że w ciągu miesięcy oraz dni poprzedzających śmierć widzi się również akty głębokiej miłości.

Po rozmowie z doktorem Meisterem Poincaré siedział zamyślony na peronie w Garmisch, czekając na pociąg powrotny do Scharnitz. Przez godzinę starał się zdrzemnąć, a kiedy wreszcie udało mu się zasnąć, nagle obudził go telefon. Odebrał odruchowo, co okazało się złym pomysłem — telefonował Felix Robinson, a Poincaré go unikał.

— Henri!

— Witaj, Feliksie.

— Trudno cię złapać.

— Pojechałem na urlop w Alpy. — Poincaré nie chciał zmuszać Robinsona do śledzenia połączenia. Uznał, że przecież może powiedzieć prawdę.

— Prywatna wycieczka?

— Zgadza się, pogoda jest tutaj piękna o tej porze roku.

— Opiekunka z Fonroque powiedziała, że nie będzie cię przez jakiś czas. Przypominam, że możesz być na urlopie, pod warunkiem że nie prowadzisz dochodzenia, występując w roli agenta terenowego.

— Feliksie, wiesz przecież, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

— Jeśli dotrze do mnie, że w samozwańczy sposób usiłujesz wymierzyć sprawiedliwość zabójcy wnuczki, to będziesz w błędzie, sądząc, że po powrocie do Lyonu zastaniesz tu przyjaciela. Sami prowadzimy śledztwo w tej sprawie i traktuję je priorytetowo. Nie masz w nim już żadnej roli do odegrania. Żadnej. Radzę ci, żebyś spędzał czas tam, gdzie cię potrzebują. W domu.

— Dziękuję za radę.

— Nie pozwolę, by jakiś niesubordynowany agent...

— Feliksie, coś się dzieje z linią. Jakieś zakłócenia. W ogóle cię nie...

Wyłączył telefon, a ten znowu zabuczał. Już miał wyłączyć zasilanie, kiedy zobaczył, że otrzymał wiadomość. Otworzył aparat i przeczytał:

Inspektorze Poincaré, boję się. Spotkajmy się w Gletsch rano 8 sierpnia. D. Chambi.

39

Poincaré już zrozumiał.

Kiedy Madeleine Scott w wieku osiemnastu lat wyrzekła się przybranych rodziców, rozpoczęła poszukiwania, które zakończyły się osiem lat później w Pasadenie, gdzie odnalazła Randala Younga. Już wtedy zdiagnozowano u niego nowotwór. Mieszkał z żoną oraz dwójką dzieci. Poincaré wyobraził sobie spotkanie po latach, radość z odkrycia, że Madeleine i Randal uzupełniają się wzajemnie tak, jak mogą tylko bliźnięta — oraz rozpacz. Próbowała ratować brata, co jakiś czas oddając mu część siebie.

Teraz detektyw połączył Randala Younga i jego wiedzę na temat materiałów wybuchowych z Jamesem Fensterem — za pośrednictwem Rainier. Osiemnaście miesięcy przed zamachem w Amsterdamie Rainier i Fenster wciąż byli zaręczeni, co znaczyło, że powiedziała bratu o narzeczonym albo nawet bezpośrednio mu go przedstawiła. Potem jednak rozstała się z matematykiem. Henri zastanawiał się, jaka zdrada mogła nakłonić ją do zwrócenia się przeciwko mężczyźnie, którego kiedyś kochała, oraz namówienia własnego brata, by zbudował bombę. Lub pokazał, jak ją zbudować.

Poincaré wrócił do Scharnitz tuż przed zmierzchem i wybrał się do Pfarrkirche Maria Hilfe z nadzieją na szczerą rozmowę z ojcem Ulrichem. Możliwe, że Rainier w ogóle nie pojawiła się w Scharnitz, nie chcąc spotkać przybranych rodziców brata. Detektyw wkrótce miał się o tym przekonać. Kiedy zjawił się pod kościołem, zobaczył, że zgaszono w nim światła, a wejście zamknięto. Poszedł na tyły budynku przy cmentarzu i zerknął w okno kancelarii, w której wczoraj zastał Ulricha. W świątyni nie było nikogo. Zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć adres księdza, który pewnie mieszkał niedaleko, gdy zobaczył mężczyznę i kobietę, klęczących przed jakimś grobem.

Zaczął ich obserwować. Mężczyzna podniósł się, podał kobiecie dłoń. Stali przez chwilę, obejmując się, z pochylonymi głowami. Potem weszli z powrotem na ścieżkę, a on

skręcił z głównej alejki, ustawiając się na wysokości miejsca, z którego dostrzegł ich, stojących przed kościołem. Przeszedł jeszcze kilka kroków i znalazł świeży bukiet. Na nagrobku widniał napis. „Randal Young. Ukochany syn, mąż, ojciec”.

Poincaré wiedział, że zwłok zwykle nie chowa się w dwóch miejscach, nieważne, jakie wysuwane są względem nich rozszczenia. Younga pochowano zatem albo w Mountain View Cementary w Pasadenie, albo tutaj. Gdyby Henri w dalszym ciągu był agentem terenowym, mógłby nakazać otwarcie obu grobów. Teraz cofnięto mu uprawnienia i nie miał czasu na takie badania, które wiązałyby się z wielkimi problemami. Zgody na straszną rzecz, którą zamierzał zrobić, poszukał więc u jedyne go sądu, który się teraz dla niego liczył — własnego sumienia. Wyłamał zamek w szopie ogrodnika, zabrał łopatę i czekał na zmierzch.

Gdy w Scharnitz zgasły wszystkie światła, Poincaré zaczął kopać. Wszedł księżyc, dając aż zbyt wiele światła. Inspektor był pewien że gdyby ktoś tu teraz przyszedł, dostrzegłby jego sylwetkę. Ale kto w uspiętej miejscowości przyjdzie na cmentarz głuchą nocą?

Praca była ciężka ze wszystkich oczywistych powodów. Detektywa bolały plecy i nogi, czuł też naturalną odrazę do gnijących zwłok. Poincaré widywał już trupy we wszystkich stadiach rozkładu. Najgorszy problem polegał na tym, że im głębiej kopał, tym mniej grób był mogiłą Randal Younga, a tym bardziej stawał się mogiłą w zakątku cmentarza Montparnasse. Wkopał się na głębokość kostek, potem łydek — powolnie i z mozołem. Ubranie miał całe brudne, dłonie w pęcherzach. Stopa na szpadlu. Pchnięcie. Sapnięcie. Szarpnięcie. Dźwignięcie. Sto razy, potem kolejnych sto. Stracił już rachubę, zawsze jednak, gdy myślami powracał do Chloe, rozpoczynał liczenie od zera, by oczyścić umysł. Znajdę cię. Jeden. Pchnięcie. Sapnięcie. Szarpnięcie. Dźwignięcie. Dwa. Potrzebujesz powietrza, znajdę cię i dam powietrze. To tylko sen, moje kochanie. Głęboki sen. Obudzisz się, wiem o tym. Jeden. Pchnięcie. Sapnięcie. Szarpnięcie. Dźwignięcie. Dwa. Trzy. Cztery. Jakże byś mogła? Jakże byś mogła umrzeć? Przecież jesteś dzieckiem.

Noc była spokojna, góry widmowe w świetle księżycy. Latały nietoperze, ale żadne duchy nie niepokoiły Henriego poza tymi, które przyniósł ze sobą. Kopał dalej. Wcześniej, niż się spodziewał, na poziomie kolan, łopata uderzyła w coś brzmiącego jak ceramiczny dzban. Nie ma trumny — zdziwił się. Sięgnął do wnętrza dzbana i między palcami roztarł jakby żwir. Uświadamiając sobie, co odkrył, wrzucił zawartość z powrotem do pojemnika, potem wyszedł z jamy. Przyzwoitość wymagała, aby zasypać dziurę. Zabrał się więc do pracy, teraz lżejszej. Górną warstwę gleby powycinał kawałkami i teraz starannie odłożył na miejsce. Zwrócił łopatę do szopy. Za kościołem znalazł kran.

Mając trochę wolnego czasu, umyty i przebrany, stał na peronie w Scharnitz, czekając na pociąg o szóstej dziesiątej do Monachium. Musiał stąd wyjechać, zanim ojciec Ulrich albo ktokolwiek inny zarzuci mu sprofanowanie grobu — chociaż nietypowego, bo pochowano spalone szczątki. Skremowane. Lewis i Francine rzeczywiście stali nad mogiłą syna.

Poincaré zatelefonował.

— Paolo?

— Henri, to ty? Wiesz, która godzina?

— Powiedz mi, te torebki z dowodami z hotelu Ravensplein, szczoteczka do zębów, próbki włosów, te, które wtedy odrzuciłem, przy kanale. Te od Madeleine Rainier. Masz je jeszcze?

— Oczywiście. Gdy tamtego wieczoru poszliśmy do naszych pokoi, zawróciłem po nie do kosza na śmieci.

— Wyświadczyć mi przysługę. Zrób ich testy DNA i wyniki wyślij faksem do Annette Günter z zakładu medycyny sądowej w Amsterdamie. Poproś ją, żeby porównała rezultaty z tym, co uzyskała ze szczątków z Ambassade i z wynikami badań DNA, przefaksowanymi z Bostonu. W moich notatkach znajdziesz analizę DNA mleczonego zęba z mieszkania Fenstera. To też jej przefaksuj.

— Henri... O co w tym wszystkim chodzi?

W oddali widział już światła nadjeżdżającego pociągu. Jakiś pracownik stacji wepchnął na peron wózek pełen worków z pocztą i zapalił papierosa. Zabrzmiał gwizdek.

— Paolo — powiedział Poincaré. — James Fenster żyje i jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

40

Jazda po przełęczy Grimsel nie jest dla osób o słabym sercu. Poincaré zredukował bieg na ostrym zakręcie zewnętrznego pasa, po lewej mając twardą skałę góry. Po prawej tylko wąski pas ostrzegawczy dzielił go od upadku tysiąc metrów ku wieczności. Niemcy takie miejsca nazywali *der Abgrund*. Poincaré nie znał słowa w żadnym innym języku, które lepiej oddawałoby mieszaninę przerażenia oraz fascynacji. Fałszywy krok ku przepaści oznaczał pewną śmierć. Trzeba było walczyć z pokusą podejścia do krawędzi, a nawet podczołgania się na czworakach i spojrzenia w dół. Tym razem Poincaré nie zatrzymał się ani nie spojrział. Uparcie jechał do Gletsch na spotkanie z Daną Chambi.

Wędrował szlakiem przez góry, dobrze znanym Karolowi Wielkiemu, wcześniej Rzymianom, a jeszcze wcześniej paleolitycznym łowcom, którzy tropili zwierzynę do lodowcowych dolin oraz górskich przełęczy. Właśnie na taką przełęcz musieli się natknąć u zbiegu Rodanu i karmiącego go pradawnego lodowca. Poincaré znał to miejsce. Kiedyś jako chłopiec, stojąc samotnie na przystani w Lyonie, zapytał ojca:

— Skąd się bierze ta cała woda?

Ojciec wskazał na wschód i odparł:

— Pokażę ci.

W tamten weekend ruszyli w drogę, kierując się wzdłuż rzeki na północny wschód, ku Genewie, Lozannie i Montreux. Później skręcili na południe, aby brzegami Rodanu dotrzeć do Martigny, gdzie rzeka ostro zakręca na wschód i na północ, do Oberwaldu i wreszcie

Gletsch.

Tak naprawdę Gletsch trudno było w ogóle nazwać miejscowością. Zimą opuszczano je w związku z głębokimi zaspami, a składało się z hotelu, kamiennej kapliczki oraz paru budynków ustawionych w wąski korytarz i przyciśniętych do zbocza. Wraz z ojcem wybrał się wtedy na lodowiec. W młodych oczach brudny lód miał pomarszczoną, żywą skórę, jakby słonia. Lodowiec otaczały górskie szczyty, przypominające połamane zęby, chmury kłębiły się niemal na wyciągnięcie ręki. Podwinęli nogawki, potem wsadzili stopy do wody płynącej z topiącego się lodu. Aż krzyczeli z zimna.

— Rodan — mówił ojciec — zaczyna się właśnie tutaj. Płynie do Lyonu, mija to miejsce, gdzie staliśmy, a potem skręca na południe, do morza.

Młody Poincaré ledwie potrafił w to uwierzyć. Wieczorem zjedli w hotelu sznycle, a ojciec poczęstował go łykiem piwa.

Dolina Rodanu, usadowiona na Grimsel, otwierała się teraz przed Poincarém, który przypomniał sobie to wszystko — i jak to było czuć się szczęśliwym.

Znalazł ją nieopodal lodowca, rzuciła kamieniami w rozpadlinę. Wstała na jego widok.

— Prawie pana nie znam, ale myślę, że od pana zależy moje życie — powiedziała.

Za jej plecami rzeka z rykiem rozpoczynała swoje istnienie. Niebo, podobnie jak lodowiec, było jasnoszare, powietrze o tej godzinie aż szczypało zimnem. Chambi miała na szyi apaszkę.

— Gdzie jest James Fenster? — zapytał.

— W ruchu. Tak jak ja.

— Pomogła pani zainscenizować jego śmierć?

— Tak.

— Szuka go Quito albo Bell. Może obaj?

— Quito. Zaczęło się w Cambridge.

— Umieścił tam panią, żeby szpiegowała pani Fenstera?

— Nie jestem z tego dumna, ale tak właśnie było, inspektorze. Przez kilka miesięcy wysyłałam Eduardowi raporty, lecz nie byłam w stanie ciągnąć tego dalej. Napisałam mu o tym, wpadł we wściekłość. Groził mi i Jamesowi. Potem zaczął nas naciskać Charles Bell, chciał uzyskać tę samą informację. — Przez chwilę nie była w stanie mówić. Szarpnęła apaszkę. — James udowodnił, że istnieje określony, głęboki związek łączący wszystko, co tylko jesteśmy w stanie nazwać oraz zobaczyć. Wszystko, inspektorze. Głęboka struktura rzeczywistości... Matematyczna jedność łącząca każdy istniejący system dynamiczny. Burze, przenikanie składników odżywczych przez ściany komórkowe, chybotanie się planet na orbitach, pomysły zjawiające się w pańskiej albo mojej głowie — to wszystko stanowi jeden system. Udowodnił to. A jedynym zastosowaniem tej wiedzy, jakie potrafił wymyślić Quito, było robienie pieniędzy. James budował modele rynków. Ustalił wskazania giełdy, minuta po minucie, na ponad pięćdziesiąt lat do przodu.

Czyli właśnie to zawiera twardy dysk, uświadomił sobie Poincaré. Czyste dane.

— Odkrycie wzorca i przewidywanie kursu akcji to była drobnostka. Zachowania rynku jedynie potwierdzały większą prawdę. Quito nie potrafił spojrzeć głębiej niż tylko na pieniądze albo przewagę, jaką mogą dać FWT. Naprawdę zmierzamy do piekła.

Może właśnie o to chodzi?, pomyślał Poincaré. Chciał jeszcze uzyskać odpowiedź na jedno pytanie.

— Randal Young — powiedział. — Madeleine Rainier znalazła swojego brata i zaprowadziła do Ambassade. Zastąpił Fenstera na miejscu eksplozji. Jakoś go pani przemyciła do tego pokoju. Pani tam była.

I znów Chambi pociągnęła za apaszkę.

— Kuracja doktora Meistera utrzymała Randala przy życiu tak długo, żebyśmy go mogli zawieźć do Amsterdamu. Razem wynajęliśmy pokój w Ambassade, pod przybranymi nazwiskami, tydzień przed eksplozją. Właśnie tam zbudował bombę. Ze względów bezpieczeństwa wynajęłam jeszcze drugi pokój i byłam kilka ulic dalej. Dwa dni przed wybuchem wymeldowałam nas oboje z hotelu i wyjechałam, a Randal przeniósł się do pokoju Jamesa. Madeleine, zanim zawiozła Randala do Europy, wzięła go jeszcze do mieszkania Jamesa w Cambridge, po tym jak je już wyczyszczono. Poczekała na zewnątrz, on zostawił odciski palców oraz ślady DNA. Potem James spał w hotelach. Włamał się też do komputerów kliniki stomatologicznej, żeby podmienić swoje zdjęcia rentgenowskie na zdjęcia Randala. Po eksplozji Madeleine oddała szczątki do kremacji i wysłała rodzicom Randala.

— Przybranym rodzicom.

— Zgadza się.

— W takim razie kto udawał Randala Younga na lotniku JFK? Kto tam umarł, panno Chambi?

Była przygnębiona.

— Musi pan nas zrozumieć, nie chcieliśmy robić żadnej z tych rzeczy — powiedziała. — Zostaliśmy postawieni w takiej sytuacji... Tamtym człowiekiem był inny pacjent kliniki, Ricardo Goren. Randal i on się zaprzyjaźnili, zawarli układ. Obaj umierali i chcieli, aby wynikało z tego jakieś dobro. W zamian za przyjęcie jego tożsamości Randal zapewnił przyszłość rodzinie Ricarda. Goren miał dwadzieścia osiem lat i trzy córki. James użył swoich równań oraz komputerów, aby przewidzieć wskazania giełdy i w ciągu kilku dni zarobił wielką sumę. Podrobiliśmy dokumenty, a Ricardo, udając Randala, wrócił z Julie do Stanów. Cierpiał takie bóle przez swojego raka trzustki, że jak twierdził, połknięcie pigułek na lotnisku przyniesie mu tylko ulgę. Ten człowiek był dla władz tak ewidentnie ciężko chory, że nawet nie kłopotano się sekcją zwłok. Co do przyczyny zgonu, uwierzono Julie na słowo. Poddała zwłoki kremacji i zwróciła rodzinie Ricarda w Wiedniu.

— Dwa ciała. Dwie fałszywe tożsamości — stwierdził Poincaré. Odwrócił się w stronę lodowca i przypomniał sobie, jak w dzieciństwie patrzył na słońce, igrające z mgłą ponad przepaścią, tworząc tęcze, które przesuwają się niczym zasłony na wietrze. Tego ranka nie było słońca, tylko lód i kamień.

— Kogoś jednak pochowano w Kalifornii — oznajmił. — Widziałem dokument.

— Głównie piasek — wyjaśniła Chambi. — Żeby trumna miała ciężar. Poza tym jego medal narciarski i zdjęcie.

— Żona zapłaciła za pogrzeb?

Chambi zamknęła oczy.

— To doktor Fenster spłacił dom Julie Young?

— Również.

Chambi wyprostowała się i Poincaré znowu ujrzał w niej tę osobę, która skupiała na sobie uwagę wypełnionej po brzegi sali wykładowej.

— Julie Young miała swoje potrzeby — oznajmiła. — Teraz jej dzieci będą mogły iść do college'u. Będzie miała dom. Będzie miała co jeść, będzie miała nowe życie. Inspektorze, nigdy nie chodziło o bogactwo, ani Jamesowi, ani komukolwiek z nas. James chciał samotnie stawić czoło Quito, ale Randal i Madeleine namówili go, żeby tego nie robił, bo nie jest wojownikiem. Wszystkim, tylko nie tym. Gdyby pan go znał! — Głos Chambi zadrżał. — Trzeba było strzec tego, co odkrył. Madeleine już wtedy odnalazła Randala i wyjaśniła, co się stało Jamesowi. Wyjaśniła, że coś pięknego i wielkiego znalazło się w niebezpieczeństwie. Musiałby pan zrozumieć Jamesa i jego dar. Inspektorze, czuliśmy się tak, jakbyśmy ratowali Newtona albo Galileusza. Trzeba go było ocalić. James zgodził się dopiero wtedy, kiedy zgodziła się Julie. Randal i Julie chcieli, żeby z jego śmierci wynikło jakieś dobro.

— Wy wszyscy... zrobiliście to dla niego.

Jeszcze nigdy nie słyszał o takim poświęceniu.

— Gra szła o zbyt wysoką stawkę. James nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Randal, de facto, miał popełnić samobójstwo, co uniemożliwiłoby wypłatę świadczenia z jego polisy na życie. James nie chciał oszukiwać towarzystwa ubezpieczeniowego i nalegał na Randala, żeby zlikwidował polisę. W Amsterdamie anonimowo przekazał darowiznę ubezpieczycielowi, który opłacił remont hotelu. Miasto zużyło czas i pieniądze, aby po wszystkim posprzątać, a kilka miesięcy później pewien anonimowy darczyńca sfinansował renowację kanału na kilka lat do przodu. James wierzył w naprawianie krzywd. Nie chciał, aby ktokolwiek coś stracił, poza nim samym. Bo po Amsterdamie nie miało już być żadnego Jamesa Fenстера.

— W tym wybuchu mogły ucierpieć inne osoby — zauważył Henri.

— Randal dokładnie wiedział, co robi — wyjaśniła. — Madeleine zapukała do wszystkich innych pokoi w tej części hotelu, aby się upewnić, że nikogo w nich nie ma. Wiedzieliśmy, że energia wybuchu pójdzie do góry, nie w dół ani nie na boki. Po trzech dniach sprawdzania, kiedy wreszcie zadzwoniła do Randala, że wszystko w porządku, podszedł do umywalki i zdetonował bombę.

Poincaré przypomniał sobie Annette Günter, wskazującą rozsuwanym wskaźnikiem na to, co zostało z ciała. Mówiła: „Zwróć uwagę na to, że odłamki porcelany są z przodu, a nie po bokach ofiary. Henri, ten człowiek nie wiedział, co się dzieje. Inaczej by się odwrócił.

Nie cierpiał”.

— Wściekłość Quito była jak burza — mówiła Chambi. — Był gotów wykorzystać prace Jamesa do zarobienia miliardów dla FWT i finansowania projektów związanych z odzyskiwaniem pozycji przez tubylców całego świata. Szkoły dla tubylców. Przemysł. Opieka nad osobami starszymi. Potem zamierzał ulokować wszystkie pieniądze FWT w złocie i opublikować równania Jamesa. I jak pan myśli, co by się stało, gdyby brokerzy w Nowym Jorku i Hongkongu stwierdzili, że w ciągu tygodnia ich inwestycje zwiększyły wartość o pięć tysięcy procent? Pieniądz straciłby wartość. Eduardo marzył, aby ukarać Zachód, doprowadzając do zapaści jego system monetarny — a był wystarczająco uzdolniony, żeby wiedzieć, jak to zrobić. Kiedy James uświadomił sobie, dlaczego Eduardo go odszukał i odkrył rzeczywisty powód ich współpracy, zerwał ją. Właśnie wtedy Quito znalazł mnie. Harvard przyjął mnie na studia doktorskie z matematyki — ale u innego profesora. Eduardo zaproponował, że mi je sfinansuje, pod warunkiem że promotorem zostanie James. Miałam składać raporty o jego pracach związanych z rynkami finansowymi.

Po kilku miesiącach, kiedy go już lepiej poznałam, nie umiałam go dłużej zdradzać. Tydzień po tym, jak z tym skończyłam, spłonął mój samochód. James odbierał telefony z pogrózkami — mówili mu, że go zabiją. Nie mógł iść do władz z tym swoim odkryciem. Równanie było zbyt niebezpieczne, w nieodpowiednich rękach mogło zostać użyte do wygenerowania destabilizującego majątku. Jakaś agencja mogłaby głęboko zagrzebać wyniki jego prac, tłumacząc się względami bezpieczeństwa narodowego. Odkrycie Jamesa, jego cudowne spostrzeżenie — zostałyby stracone. Chcąc mnie chronić, nawet nie pokazał mi swojego równania.

Miesiąc po wybuchu Quito zjawiał się w Cambridge. Powiedział, że sprawdził miejskie dokumenty Amsterdamu i ustalił, że w ten sposób nie wysadzono dotąd żadnego budynku nad kanałem. Nazwał tę eksplozję zbyt przypadkową, aby mógł w nią uwierzyć, stwierdził, że wątpi, aby w ogóle ktokolwiek chciał zabić Jamesa Fenstera. Oznajmił, że wie, iż James żyje, i że chce dostać to jego równanie. Naciskał mnie, a moja reakcja pewnie zdradziła mu prawdę. Przysiągł, że sam odnajdzie Jamesa — i zmiążdży każdego, kto spróbuje mu w tym przeszkodzić. Przestraszyłam się i uciekłam. Właśnie wtedy musiał wynająć kobietę, wyglądającą jak ja, i wysłać do szpitala. Inspektorze, bardzo mi przykro.

— Nazwisko. Kto to był?

— Nie wiem. Namalowali jej znamię na szyi, tak, żeby wyglądało jak moje. Eduardo chciał nas oboje usunąć z drogi, żeby móc bez przeszkód ścigać Jamesa.

Quito mógł mnie zabić w Quebecu, pomyślał Poincaré. Na pewno brał to po uwagę. Agent Interpolu zabity w trakcie wykonywania obowiązków podczas zamieszek wszczętych przez Front Wyzwolenia Tubylców? Nie, uznał detektyw. Ten człowiek jest na coś takiego za sprytny.

— Inspektorze, on wie, że gdy ściga mnie policja całego świata, to muszę zniknąć, bo jeśli zostanę schwytana, będę musiała komuś powiedzieć, że James żyje — a w ten sposób i on się tego dowie. Zniknęłam więc, a pan też musi uciekać. Quito mówił o tym, że pan

nigdy się nie poddaje, że może mu pan narobić problemów. Dlatego kazał zabić pańską wnuczkę. Chciał zmiążyć nas oboje. Dwie pieczenie na jednym ogniu, tak właśnie rozumuje Eduardo. Kiedyś był dobrym człowiekiem, robił dobre rzeczy dla tubylczej ludności. Inspektorze, coś się jednak stało. Zmęczył się walką. Myślę, że Quito zmęczył się już patrzeniem, jak ciągle wygrywa silniejszy. Kiedyś był dobrym człowiekiem. Wiem o tym.

41

Zaczęło mżyć, odeszli więc od lodowca, aby usiąść w kamiennej kaplicy nad rzeką, w dolinie.

— Niech mi pani pomoże to zrozumieć — powiedział Henri. — Chcę wiedzieć, co zobaczył doktor Fenster.

Siedziała zwrócona twarzą w stronę topornego ołtarza, zatopiona w rozmyślaniach. Apaszka nieco się zsunęła, ukazując portwajnową plamę na szyi.

— To byłaby ulga — powiedziała. — Jeśli zamierza pan pomóc Jamesowi, przynajmniej na tyle pan zasłużył. Co pan wie o badaniach komputacyjnych?

Poincaré pokręcił głową. Nigdy nie słyszał takiego terminu.

— To metoda badań naukowych, polegająca na tym, że zaczyna się od danych — odparła Chambi — a nie od hipotez i eksperymentów, generujących dane. James pracował z czystymi liczbami przyrody, na przykład dziesiątkami milionów odczytów temperatury. Pogoda to dobry przykład, bo jest na tyle złożona, by generować niespodziewane zachowania. Okazuje się, że miliony podobnie złożonych systemów oddziałują wzajemnie na siebie, wokół nas i w nas samych, w każdej chwili. Każdy z tych systemów może gwałtownie stać się niestabilny. Słyszał pan pewnie o „efekcie motyla”? O tym, że podmuch powietrza w Amazonii może wywołać tornada w Ameryce Północnej? Nikt nie jest w stanie przewidzieć, który podmuch, ale teoretycznie coś takiego może się wydarzyć w każdym złożonym systemie.

— Chaos — powiedział Poincaré.

— Właśnie tak. Prowadzący badania komputacyjne piszą programy korzystające z takich działań, jak dodawanie, odejmowanie i mnożenie. Potem wpuszczają do swoich komputerów dane od Natury, powiedzmy, ruch lodowców albo populację łososi.

— Twardy dysk Fenстера — powiedział Poincaré. — To były tylko dane. Miliony liczb.

— Ceny akcji, inspektorze. Quito i Bell mieli rację. James badał rynki wśród wielu innych systemów. Korzystając ze średniej wskazań indeksu Dow Jones z kilkudziesięciu lat albo danych pochodzących z innych systemów, mógł cofać się z obliczeniami coraz bardziej, aż do prostego równania, które powtórzone miliony razy, mogło wygenerować zbliżone dane. Komputer generuje próbne równania, które rygorystycznie sprawdzamy, korzystając z nowych danych. Większość równań zawodzi, ale w końcu odnajdujemy jedno,

które zaczyna wyglądać jak fundamentalne prawo. Odkrycie tego prawa drogą eksperymentów zabrałoby naukowcom całe stulecie. Coś takiego nie było możliwe w czasach przed pojawieniem się komputerów.

Pozostali badacze zajmują się zestawami danych, związanymi z polem swoich zainteresowań. Czasem z rytmem serca, kiedy indziej z rozprzestrzenianiem się cholery. Jamesa interesowało wszystko, co widział. Nie ograniczył się do jednego pola zainteresowań albo jednego zestawu złożonych systemów. To była pierwsza różnica między nim a pozostałymi badaczami. Pewnie pan widział jego mieszkanie, te fotografie?

— Widziałem — odparł Poincaré.

— Te zdjęcia stanowiły wizualny dowód, że matematyka kryje się w każdym badanym przez niego systemie. Programując komputery, przyjmował założenie, że błyskawice wyglądają tak samo jak grzbiety górskie, bo są takie same — pod względem matematycznym. To była druga różnica między Jamesem a innymi badaczami. Śledził podobieństwa tam, gdzie inni szukali odmienności. Gdy przygotował już odpowiedni program komputerowy, zaczął badać dane wszelkiego rodzaju: liczbę poległych na wojnach, wiatr, migracje jeleni, schemat dobierania się w pary żuków gnojowych. Jego odkrycie było monumentalne — albo byłoby, gdyby je opublikował. Każde dane, umiejscowione w każdym przebadanym przez niego systemie, w tysiącach systemów, sprowadzały się do wariantu tego jednego równania. Nie potrafił znaleźć żadnego przykładu, który by do niego nie pasował. Inspektorze, James odkrył prawo, a Quito i Bell chcieli zachować je dla siebie i wykorzystać.

— W jaki sposób? — zapytał detektyw. — Musieliby przewidywać zachowania rynku. Czy to możliwe?

— To jest akurat łatwe — odparła Chambi. — Jeśli zastosuje się takie podejście jak Jamesa. Wprowadzał do komputerów bieżące dane giełdowe i powtarzał równanie, uzyskując wyliczenia szybciej, niż otrzymałby je normalnie. Równanie cały czas się zgadzało.

Poincaré był zdumiony.

— Pani mi mówiła, że badał systemy stworzone przez naturę. Wartość rynkowa nie jest częścią natury. Globalne rynki finansowe nie są częścią natury, nie taką jak ławka przy tej kaplicy. Nie taką jak to. — Wyrwał chwast wyrastający ze szczelin w niszy przy oknie.

— Potrafię to wytłumaczyć — powiedziała Chambi. — Inspektorze, jest pan częścią natury, taką jak łąka albo ten chwast?

— Jestem.

— A zgodzi się pan, że w pańskim ciele istnieją tysiące złożonych systemów, działających w każdej chwili, systemów, które będą działać aż do pańskiej śmierci? Regulacja poziomu insuliny, trawienie. Ciśnienie krwi. I czy nie zgodzi się pan, że po pańskiej śmierci nadal będą funkcjonować rozmaite systemy, powodując rozkład ciała i kości?

— Tak — odparł. — Wiem, że to prawda.

— Właśnie. James poszedł o krok dalej. Pokazał, jak to ludzie, zarówno indywidualnie, jak i w grupach, stanowią złożone systemy. To znaczy, że pan, inspektorze, jest tak samo złożony jak burza, a efekty pańskiego życia, podobnie jak efekty burzy, można zarejestrować i przeanalizować. Burza powoduje spore opady i wiatr. My, ludzie, generujemy języki, wojny, ekonomię, sztukę, system opieki społecznej. Inspektorze Poincaré, wytwory naszych dłoni i umysłów stanowią część natury, pod każdym względem, w takim samym stopniu, jak deszcz. James studiował układ nut *Dziewiętej symfonii* Mahlera oraz zachowania indeksu Dow Jones i odkrył, że na głębszym poziomie w ogóle się nie różnią od wariacji temperatury w obszarze niskiego ciśnienia nad wschodnią częścią Stanów Zjednoczonych. Odkryte przez niego równanie pozwoliło przewidywać zachowanie rynku z taką samą pewnością, jakiej spodziewa się po synoptyku, przewidującym, jak ciepło będzie jutro. Rynki zachowywały się tak samo jak każdy badany system.

Czy to możliwe... Zastanawiał się. Wskazał na podłogę.

— Ta mrówka — powiedział. — Gdybym wykonał siatkę i sporządził mapę przesunięć mrówki...

— Wiem, co pan ma na myśli, a odpowiedź brzmi „tak”. Jeśli przepuściłby pan dane przez program Jamesa, mapa ruchów mrówki w dużym stopniu przypominałaby wykres giełdowy albo każdy inny, złożony system. Jaki dokładnie system, to już nie ma znaczenia, bo ład i nieład działają w każdym z nich. Tutaj chodzi o napięcie istniejące między porządkiem a nieporządkiem, o ich taniec, jak nazywał to James. Jednego dnia system jest uporządkowany i możemy dokonywać rozsądnie trafnych przewidywań, jednak nie da się przewidzieć, co popchnie system w chaos ani kiedy. Quito spróbował pchnąć pańskie życie w chaos, nakazując zabicie pańskiej wnuczki. To już był cios młotem, nie podmuch.

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Eduarda, opowiedział mi, jak to pewnego dnia, pięćdziesiąt lat temu, postanowił zostawić bez opieki swoje stado alpaka, czego rodzice mu zabraniali — i poszedł do wioski po słodycze. Wyszedł za róg, zobaczył, że jego ojciec żebrze, aby rodzina miała co jeść. W tym wypadku, inspektorze, podmuchał nie był szok związany z widokiem żebrzącego ojca, ale niewinna decyzja ośmiolatka, który uznał, że stado nic się nie stanie, wioska jest tylko o kilometr dalej, a on chętnie by zjadł coś słodkiego. I tak rozpoczął się łańcuch zdarzeń, który doprowadził Quito do zlecenia zabójstwa pańskiej wnuczki pół wieku później. W taki sam sposób zaczynają się lawiny, od podmucha i nieznacznej zmiany, rzeczy, która sama z siebie nie ma żadnych konsekwencji. To system ulega wstrząsowi i zapanowuje obłęd. Przewidywania stają się niemożliwe. Po jakimś czasie system resetuje się i powraca ład.

— Nie mój system — stwierdził Poincaré. — Jeszcze nie. Nigdy.

— Tak mi przykro, inspektorze, z powodu pana bólu. Z samego środka systemu pogrążonego w chaosie nie widać kształtu nowego porządku ani tego, kiedy się pojawi. Po jakimś czasie nieład staje się ładem. Zawsze tak się dzieje. Nowy porządek różni się od poprzedniego. Czasem może nawet się przystosować do zmienionych warunków, tak jak to jest w przypadku ewolucji. Z epizodów chaosu mogą wyłonić się nowe,

odporniejsze gatunki.

Poincaré słuchał tego i poczuł, że narasta w nim jakaś dzikość.

— W Hadze siedzi za kratami człowiek, który wynajął zamachowców, aby zniszczyć mi rodzinę! A wcześniej zmasakrował pół wsi. I pani nazywa to szerzone przez niego zniszczenie adaptacją?

— Mówię, że coś takiego jest możliwe. W życiu tego człowieka był jakiś podmuch, taki jak w życiu Quito. Co niczego nie usprawiedliwia. Każdy złożony system, łącznie z każdym z nas albo grupą nas, może stoczyć się w szaleństwo. Na początku dwudziestego wieku wybuchł pożar w wytwórni koszul w Nowym Jorku. W płomieniach zginęło prawie sto pięćdziesiąt osób. Ten zlokalizowany chaos dla swoich ofiar albo ich rodzin nie mógł być już chyba niczym gorszym. Ale potem prawa strzegące robotników zadziałały. Nic takiego już się więcej nie powtórzyło. Zmienił się system istniejący między zatrudnionymi a zatrudniającymi.

Ostatnie miesiące cisnęły Henrim na samo dno czarnej jamy. A jeżeli Chambi miała rację, ta jama miała jeszcze drugie dno. Można było spadać dalej, bez końca.

— I pani zdaniem, nie ma postępu bez zniszczenia?

— Inspektorze, kto wie, czy ten ruch w ogóle można nazwać postępem. Piękno, które zobaczył James, to piękno straszne. Równanie pozostaje neutralne wobec śmierci robotników w fabryce. Neutralne wobec śmierci pańskiej wnuczki. Obawiam się, że równanie nie jest ani moralne, ani niemoralne. To są ludzkie kategorie, nie kategorie natury.

Odwrócił się i bardziej do siebie, niż do Chambi, powiedział:

— Nie wiem, jaka dusza dobrowolnie wybrałaby sobie taki świat.

Dana wstała z ławki.

— Pan nie widzi tego, że w ogóle nie chodzi o to, czy ktoś może wybierać, czy nie, bo to jest nasz świat, jak się okazuje, utrzymywany w całości przez jakąś zasadę. Przed wszystkim, moim zdaniem, sądzę, że podanie tego do wiadomości zmieniałoby świat. Już nie mówilibyśmy więcej o wierze. Nie byłoby religii pozbawionych dowodów. Nie byłoby dyskusji o Jezusie albo Buddzie, którzy bez obliczeń dostrzegli tylko to samo, co James. To wiedza oparta na powtarzalności wyników może nadać nowy kierunek historii ludzkości, zainicjować nowy początek, bo żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie może przyjąć do wiadomości odkrycia Jamesa i nadal uważać wszechświata za twór przypadkowy.

Pamięta pan pytania moich studentów na tamtych zajęciach, na które pan przyszedł? Wnioskowanie było prawidłowe, skoro istnieją reguły, musi istnieć ktoś, kto je ustanowił. Nie potrafię wyciągnąć żadnego innego wniosku. Proszę mi wierzyć, próbowałam się temu opierać, miałam kolegów, którzy twierdzili, że taki złożony system sam się reguluje. Ale moi koledzy nie mają pojęcia... nie mają języka, którym mogliby wytłumaczyć, jak te wszystkie systemy mogą spontanicznie tworzyć ten sam porządek, jak mogą wyłaniać się z tego samego równania? To było właśnie wstrząsające spostrzeżenie Jamesa. Zmieniało wszystko. Świat nie jest gotowy, by się o tym dowiedzieć.

Przerwała, Henri zasłuchał się w deszcz i wiatr. Spojrzał poprzez dolinę ku górą,

gdzie woda związana przez tysiąclecia teraz z rykiem wyrywała się z lodowca. W jej dalszym biegu są gospodarstwa i pływają barki, są miasta i ludzie. Tutaj świat jest prostszy, chociaż niewiele bardziej. Na linii styku gór i nieba Poincaré dostrzegł granicę, tak poszarpaną i okrutnie piękną, jak jego własne życie. Świat kończył się na owej poszarpanej linii. A gdzie była teraz Chloe? Chciał, żeby wróciła. Chciał, żeby Claire wyszeptała jego imię.

— Kiedy Fenster umrze — zapytał — kiedy już umrze naprawdę, co stanie się z jego dziełem?

— W Zurychu jest skrytka z instrukcją — wyjaśniła Chambi.

— Czy Quito może zrobić to samo, co próbuje zrobić Bell: zapłacić innym, aby odkryli równanie? Jakie są szanse, że inny naukowiec dokona tego samego, co Fenster?

Chambi zaśmiała się gorzko.

— To tak, jakby pański przodek, w pełnym rozkwicie talentu, rywalizował z gromadą dzieciaków podczas jakiegoś konkursu matematycznego. Miną stulecia, zanim ktokolwiek powtórzy to, czego dokonał James — a wtedy, no, chyba że ludzie są znacznie lepsi, niż się wydaje, rzeczywiście będziemy mogli mówić o Końcu Czasów. Różni Quito i Bellowie rozedrą się wtedy na strzępy, sięgając po władzę i pieniądze. To, co odkrył James, dopuszcza nawet wzajemne zniszczenie się ludzi. Byłoby to równie naturalne jak fakt, że moja kuzynka postanowiła kiedyś nie chodzić po ulicy, tylko podskakiwać. Równanie jest neutralne wobec tego, co zrobimy i czy w ogóle przetrwamy jako gatunek.

— Ale, panno Chambi, czy na to pozwoli ten pani Twórca Reguły?

Poprawiła apaszkę.

— James zobaczył Boga, ale nigdy nie twierdził, że Bóg się czymkolwiek przejmuje.

Poincaré przez jakiś czas milczał. Nawet jeśli brakowało mu wiedzy, aby zrozumieć to wszystko, o czym mówiła, zobaczył wystarczająco wiele, aby wiedzieć, że to prawda. Za dwieście lat już go zabraknie, by powstrzymać machinacje jakiegoś przyszłego Eduarda Quito. Teraz może to zrobić zarówno ze względu na Jamesa Fenstera, jak i siebie samego. Mógł chociaż jeszcze jeden raz, chociaż na jeszcze jeden taniec, stać się narzędziem ładu.

— Zakończmy to — oznajmił.

Cała kariera została przedestyłowana do jednego finalnego aktu. Mówił bez namysłu, a mówiąc to, dokładnie wiedział, co ma się zdarzyć.

— Pani i ja spotkamy się rankiem piętnastego sierpnia — oznajmił. — W Amsterdamie. Dostanie pani swoje życie z powrotem. Równanie będzie bezpieczne, a James Fenster wreszcie będzie mógł spokojnie żyć z Madeleine Rainier. Zasłużył sobie na to. Zakładam, że już się pobrali.

Spojrzała na niego, oszołomiona.

— O co chodzi? — zapytał.

— Myślałam, że pan wie, inspektorze. James to starszy brat Madeleine.

Piętnasty sierpnia. Dzień Pański.

Tysiące osób, które zgromadziły się na placu Dam w oczekiwaniu na godzinę jedenastą trzydzieści osiem oraz nadejście Chrystusa, uczestniczyło teraz w największym karnawale swojego życia. Poincaré zjawił się zaraz po wschodzie słońca na morzu namiotów oraz śpiworów, a także, co nie dziwne, w strefie o najwyższym poziomie bezpieczeństwa. Co jakiś czas zarówno ci, którzy oczekiwali, że żywcem wstąpią do nieba, jak i ludzie szukający poobiedniej rozrywki, przechodzili przez bramki wykrywające metale oraz czujniki substancji chemicznych. Dokonywano również losowych rewizji osobistych. Wszystkie bagaże prześwietlano promieniami rentgenowskimi. Poincaré, zjawiwszy się na miejscu, przedstawił się jako agent Interpolu. Położył na stole brunatną, papierową torbę i zadeklarował posiadanie broni, beretty kaliber dziewięć milimetrów, schowanej w kaburze. W związku z tym, że nie mógł okazać legitymacji, trzy tygodnie temu zwróconej Feliksowi Robinsonowi, nastąpiło to, czego się spodziewał. Przy punkcie kontrolnym funkcjonariusz skonfiskował pistolet i dokonał zatrzymania.

— Gisele De Vries — powiedział Poincaré, gdy przykuto go kajdankami do metalowego pręta w furgonetce.

— Co takiego?

— Poświadczy za mnie porucznik De Vries. Zgubiłem legitymację. Prowadzę teraz śledztwo. W tym roku razem pracowaliśmy podczas spotkania Światowej Organizacji Handlu. Proszę do niej zadzwonić.

— Pani porucznik zajmuje się dzisiaj ochroną placu Dam — wyjaśnił młody funkcjonariusz. — Proszę zaczekać.

Poincaré dobrze o tym wiedział, bo przygotowaniom na spotkanie z Charlesem Bellem i Eduardem Quito poświęcił cały tydzień. Przystudiował plany placu Dam oraz okolicznych budynków. Przeczesał też bazę danych holenderskiej policji, szukając szczegółów dotyczących organizacji ochrony placu w dniu piętnastym sierpnia. Uznał, że De Vries może brać udział w tej operacji, bo pracowała przecież przy konferencji WTO. Podziękował swojemu szczęściu, gdy okazało się, że to właśnie De Vries stoi na czele całej dzisiejszej ochrony. Może pięciocentówka z bizonem jednak odmieniła los?

Kiedy funkcjonariusz wyszedł, aby odnaleźć De Vries, Poincaré uznał, że biorąc pod uwagę to, co zamierza zrobić dzisiaj rano, chyba może się już przyzwyczajać do oglądania świata z wnętrza policyjnej furgonetki. Siedział na metalowej ławce, pomiędzy metalowymi ścianami. Otwór wentylacyjny przykryto metalową osłoną, przyśrubowaną od zewnątrz. Skromnie, pomyślał. Przypomniawszy sobie, że właśnie tak Fenster wyraził się o biurze Petera Roya. W razie czego, szukając porady prawnej, skontaktuje się właśnie z Royem. Po kilku minutach drzwi otworzyły się szeroko, a De Vries, zaskoczona, oznajmiła:

— Proszę uwolnić tego człowieka i zwrócić mu broń... Inspektorze Poincaré, skąd się tutaj wzięłeś? Powinieneś jakoś wcześniej się zapowiedzieć. Przepraszam.

Wszystko stało się tak, jak planował. Rozcierając nadgarstki, które przyszczypnęły mu kajdanki, powiedział:

— Byłem tak zdeterminowany, że musiałem się zjawić. W dalszym ciągu zajmuję się sprawą Fenstera... i mam powód, aby sądzić, że Żołnierze Wniebowstąpienia, uwikłani w tamten zamach, zjawią się dzisiaj na placu Dam.

— Będą tutaj zamachowcy? — Jej niepokój był szczery. — Postaramy się, żeby za wszelką cenę uniknąć przemocy. Kto potrafi zrozumieć takich ludzi? Zgodnie z ich własną logiką, to przecież właśnie dzisiaj, w najważniejszym z dni, nie powinno być żadnych kłopotów.

— W takim razie wygląda na to, że znowu pracujemy razem.

Poincaré źle się czuł ze świadomością, że wykorzystuje De Vries, ale cały dzisiejszy ranek polegał na przekraczaniu nieprzekraczalnych granic, a ta intryga nikła w porównaniu z kolejnymi. Ruszył za De Vries do centrum dowodzenia, gdzie opowiedział bajeczkę o utracie legitymacji, dodając szczegóły na temat potencjalnego zagrożenia. Gisele wydała mu identyfikator, który przypiął do marynarki.

— Moi ludzie pozwolą ci działać samodzielnie — oznajmiła. — Powodzenia.

Dlaczego by nie, pomyślał. Chociaż raz.

Ci, którzy sprzedawali śniadania, pracowali ciężko, a miły zapach smażonych pączków i kiełbasek rozchodził się tego pięknego poranka w samym środku lata. Pielgrzymi obozujący na placu wkrótce się spakują, szykując się do poważnych spraw związanych z Wniebowstąpieniem. Niektórzy rozstawili przenośne chrzcielnice — dziecięce baseniki, napełnione wodą z miejskich kranów. Wielu miało na sobie specjalnie uszyte białe szaty, inni owinęli się w prześcieradła. Ktoś zawołał do Poincarégo:

— Bracie! Przyjdź po wodę święconą i szansę na Wieczność!

Jedno pokropienie kosztowało pięć euro. Przed domem towarowym De Bijenkorf jakiś konkurencyjny chrzciciel sprzedawał zbawienie dwukrotnie drożej, twierdząc, że jego woda pochodzi z Lourdes. Pod Pałacem Królewskim dziewczęcy chór wyśpiewywał hymny. Biły dzwony katedry. Inspektor widział zonglerów, ulicznych muzyków oraz sprzedawców okularów przeciwsłonecznych, mających osłonić ludzkie oczy przez blaskiem Pana, zjawiającego się wśród płomieni. Poincaré odrzucił propozycję wykonania swojego portretu wraz ze świetlaną podobizną Chrystusa. Tylko za dziesięć euro. Niektórzy wniebowstąpienci przemierzali plac na kolanach w finalnym akcie pokory. Przypominali zdenerwowanych turystów, szukających zgubionych zegarków. Chodźcie tu do mnie, chodźcie wszyscy, pomyślał Henri. Pątniku i kramarzu, policjancie i kieszonkowcu, a w swoim czasie finansisto i morderco. Słońcem, wokół którego skupiał się cały ten chaos, był ogromny, elektroniczny zegar odmierzający minuty i sekundy do Odkupienia: 5.12:13, 5.12:12, 5.12:11.

— Alleluja! Alleluja! Alleluuuuja! — krzyczał jakiś człowiek w biznesowym garniturze. Poincaré odmówił złożenia dłoni do modlitwy i oczekiwania chwały Pana. Obszedłszy kilkakrotnie plac, ruszył w końcu do jego zachodniego narożnika, gdzie miał się spotkać z

Quito i Bellem. Łatwo będzie złapać ich w sidła. Skontaktował się z Cambridge, z Erikiem Hurleyem. Poprosił policjanta, aby zadzwonił do Charlesa Bella z pewną propozycją. Miał przekazać biznesmenowi, że miejscy pracownicy sfery budżetowej zarabiają za mało, a on sam, Eric Hurley, dostanie emeryturę w wysokości mniejszej niż zadowolająca. Stosowne fundusze przekazane związkowi zawodowemu, do którego należy policjant, mogą jednak doprowadzić do zabezpieczenia dla biznesmena pewnego twardego dysku. Hurley nagrał całą rozmowę. Kiedy na koncie związku pojawiła się spora suma, zaaranżował kolejne spotkanie i przekazał Bellowi notkę o treści: „Plac Dam, piętnasty sierpnia, godzina 11.00. Róg przy Pałacu Królewskim i Nieuwe Kerk”. Co do Quito, Dana Chambi wysłała tylko e-maila, w którym napisała o swoim znużeniu i żalu. „Nie mogę już dłużej uciekać. Mam to, czego chcesz. Miałeś rację, nasza sprawa jest najważniejsza”. Ta sama data, to samo miejsce spotkania, godzina jedenasta trzydzieści.

Zgodnie z przekazem odczytanym z Pisma Świętego Wniebowstąpienie powinno nastąpić o jedenastej trzydzieści osiem czasu lokalnego, na całym świecie. Miało się więc przetaczać przez glob, nie narażając mieszkańców Los Angeles na niedogodność pobudki o drugiej trzydzieści osiem rano. Z przyczyn, których Poincaré nigdy nie rozumiał, Chrystus miał przyjść najpierw w strefie czasu środkowoeuropejskiego, co znaczyło, że wszyscy, przebywający w paśmie od Riksgransen w szwedzkiej Laponii aż po Lubango w południowej Angoli, pierwsi dostąpią zaszczytu Odkupienia. Henriego wcale to nie dziwiło, że linie lotnicze w każdej strefie czasowej poza środkowoeuropejską oferowały specjalne Pakiety Wniebowstąpienia, aby wszystkich niecierpliwych jak najszybciej zawieźć ku temu, co nazywano „pierwszą falą” — zakładając teoretyczną możliwość, że niebiosa rzeczywiście się rozstąpią oraz nie będzie miejsca, którego nie tknie Jego ręka. W cenę luksusowego zestawu wliczano hotel, posiłki, lniane szaty, bilety na samolot oraz zawieszane na szyi plakietki z imieniem. Oczywiście, na placu zgromadzili się też rozmaici protestujący, aby dać znać o swoich sprawach, tak na wypadek gdyby świat i jego troski przetrwały jednak do szesnastego. Inspektor ujrzał transparenty przeciwników okupacji Tybetu oraz junty rządzącej Mjanmą. Zwolennicy aborcji wykrzykiwali swoje slogany, rywalizując z rozmaitym mówcami, krytykującymi, co popadnie, od mniejszej wartości odżywczej napromieniowanego jedzenia po amerykańską inwazję na Afganistan. Jakieś dziecko, trzymane na smyczy przez matkę, miało transparent z napisem: „Bóg nie naprawi świata. My go naprawimy”.

Media pokazywały wszystko: pątników, sprzedawców wafli i śledzi, zdyscyplinowane kolejki przed przenośnymi toaletami, śpiewaków, zespoły taneczne, baseny, w których chrzczono wiernych. Główne stacje wysłały reporterów i kamerzystów w sam środek tłumy, a przekazywane przez nich obrazy pojawiały się na dużych ekranach, umieszczonych na platformach otaczających plac. Niektórzy wierni, udzielając wywiadów, pokazywali kolana „rozkrwawione dla Chrystusa” i głosili, jak dobrze będzie spotkać się ze Stwórcą. Na kanałach informacyjnych prezenterzy starannie równoważyli opinie fundamentalistów, zajętych przygotowaniem do Wniebowstąpienia, wypowiedziami świeckich ekspertów, starających się, jak wyraził się jeden z nich, „umieścić tę historię w odpowiednim

kontekście dziejowym”. Słowem, plac Dam stał się właśnie takim cyrkiem, na jaki Poincaré miał nadzieję.

O dziesiątej trzydzieści osiem, gdy zegar odliczający czas do Wniebowstąpienia pokazywał 01.00:00, jakaś kobieta w powłóczystych szatach weszła na największą z platform, po czym stanęła na mównicy pomiędzy ogromnymi głośnikami, tuż pod szyldem z napisem „De Bijenkorf”.

— Bracia i siostry w Chrystusie — przemówiła, a jej głos uciszył wszystkich. — Niechaj w tę godzinę dodadzą wam otuchy słowa Świętego Pawła, skierowane do Koryntian:

— Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby — zabrzmieni trąbą — umarli powstaną nienaruszeni, a my będziemy odmienieni. Trzeba, ażeby to, co zniszczalne, przyodziało się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność.

Tysiące osób odwróciło się do niej, jakby usłuchawszy wezwania. Głos kobiety brzmiał dla nich tak, jak brzmi głos kapłana na pierwszych mszach, kiedy wszystko, co płynie z ambony do młodych uszu, stanowi głos samego Nieba. Poruszała temat spraw ostatecznych, czekających każdego człowieka i prawie nie trzeba było rozumieć jej słów, aby wiedzieć, że Potępienie i Zbawienie zawisły w równowadze. Aż do tej chwili na placu panował nastrój festynu, kiedy jednak zaczęła mówić, Poincaré odczuł zmianę, jakby wszyscy nagle przypomnieli sobie o powadze chwili. Wierzący skłonili głowy. Wątpiący, nie chcąc ryzykować, zachowali pełną szacunku ciszę. Nawet ci, którzy postanowili wyłącznie szydzić i oglądać sobie rzekomy koniec świata, poczuli dreszcz lęku. Bo jeśli słowa kobiety o Wniebowstąpieniu są prawdziwe, co stanie się z nimi i ich cynizmem?

Przemawiająca przeszła do cytatu z Dziejów Apostolskich, z drugiej księgi i trzydziestego ósmego wersu:

— Nawróćcie się — powiedział do nich Piotr — i niech każdy z was ochrzci się w imię Jezusa Chrystusa — na odpuszczenie grzechów waszych, a weźmiecie w darze Ducha Świętego.

Chambi zjawiła się punktualnie. Minęła róg Mozes en Aaron Straat, spotkała z detektywem pod Pałacem Królewskim, przy katedrze.

— Jest pani gotowa? — zapytał.

— Na Charlesa tak. To chciwy despota, ale to nie Eduardo. Wątpię, żeby naprawdę kogoś skrzywdził, chociaż robi dużo hałasu.

Przerwał im jakiś mężczyzna z aparatem fotograficznym.

— Można państwa prosić? Chcemy mieć z żoną dowód, że tutaj byliśmy, jak świat się kończył. — Wskazał torbę pełną czapek i rękawiczek. — To na wypadek, gdybyśmy nie poszli do nieba i musieli stawić czoło następnej zimie!

Poincaré pstryknął im zdjęcie. Obok przejechał jakiś nastolatek na jednokołowym rowerze, zonglując kręglami.

— Musi pani zrobić tylko to, co ćwiczyliśmy — wyjaśniał detektyw. — Przejść przez plac w to miejsce. — Wskazał na drugą stronę Pałacu Królewskiego. — Będę stał tutaj, aż przyjdzie Bell. Kiedy pani zobaczy, że rozmawiamy, niech pani przejdzie przez plac i stanie przy Bellu. Będzie zaskoczony. Powiem mu coś w pani obecności. Jeśli zareaguje tak, jak się spodziewam, to już nigdy więcej nie usłyszy pani o nim. Potem przyjdzie kolej na Quito. Znajdzie panią tam, gdzie teraz stoję. Potem do was dołączę i odejdziemy. Zajmę się resztą.

— Co to znaczy „zajmę się resztą”?

— Panno Chambi, problem zniknie.

— Jak?

— Proszę mi zaufać.

— Ufam, ale się boję.

— To dobrze. Ludzie, którzy się nie boją, zwykle umierają, a ja nie zamierzam dzisiaj umierać. Jestem całkowicie pewien, że pani również.

— To znaczy, że pan też się boi?

— Panno Chambi, powiedzmy, że jestem czujny.

— Ale Quito... On jest...

— Doskonale wiem, kim jest Quito. Niech pani zrobi to, co ćwiczyliśmy. Ja się nim zajmę. Teraz proszę zająć swoją pozycję. — Henri zerknął na zegarek. — Mamy jeszcze kilka minut. Może pani spróbuje tych stroopwafli. Są bardzo dobre.

— Ale mój żołądek... — Już ruszyła, by zacząć jakiegoś sprzedawcę, gdy nagle zatrzymała się, oglądając przez ramię. — Inspektorze, został pan ochrzczony?

Minął ich jakiś klaun o pomarańczowych włosach i czerwonym, nakładanym nosie. Walił w bęben, śpiewając „Dzień Pana, Dzień Pana, dla dorosłych szloch, dla dzieci zabawa od rana!” Poincaré wyczuwał w powietrzu szaleństwo, desperacko udające dewocję. Z platformy dobiegał kobiecy głos:

— Jeżeli we Mnie trwać będziecie, a słowa moje w was, poproście, o cokolwiek chcecie, a to wam się spełni.

Uśmiechnął się, pokręcił głową.

— Moja żona próbuje czegoś takiego już od dziesięcioleci.

— Pomyślałam, że może kupię trochę wody święconej od tamtego faceta — powiedziała. — Malutki prysznic nie zaszkodzi.

— Myślałem, że jest pani naukowcem. — Roześmiał się.

— Inspektorze, jestem i dobrą katoliczką, i dobrym naukowcem. Nigdy nie rozumiałam ludzi twierdzących, że jedno wyklucza drugie. — Poprawiła apaszkę. — Czy odpowiednio ubrałam się na koniec świata?

Poincaré wiedział, że cokolwiek miało nadejść, pomimo starannego planu i tak rozwinię się zgodnie z własną logiką. Nie powstrzymało go to jednak od przesunięcia lewej nogi, by po raz trzeci upewnić się, czy stoi dokładnie na znaku X, przyklejonym uprzednio do kamienia brukowego przez Paola Ludovicięgo.

— Widzisz mnie? — wyszeptał.

Spojrzał na wschodni kraniec placu obok Holenderskiego Pomnika Narodowego, na ostatnie piętro hotelu Krasnapolsky, gdzie blask słońca odbijał się od otwartego okna. Ludovici trwał na swoim miejscu.

— Henri, jesteś dokładnie tam, gdzie trzeba. Mogę policzyć, ile włosków przegapiłeś rano przy goleniu. — Głos dobiegał z małej słuchaweczki. — Mam je odstrzelić?

— Paolo, może następnym razem.

— Wygląda na to, że Gisele dobrze prowadzi całą operację, co? Oglądałem ją sobie przez lunetę.

— Wie, że tutaj jesteś. Wszystko gra.

Charles Bell się spóźniał. Poincaré rozglądał się po placu i dostrzegł sporo ochrony, zarówno umundurowanych funkcjonariuszy, jak i ubranych po cywilnemu. Zakładał jednak, że nie zdołają powstrzymać go przed wykonaniem egzekucji na Eduardzie Quito. By wszystko się powiodło, ktoś przez cały czas musiał obserwować go przez lunetę — ktoś taki, jak Ludovici. Przypomniawsł sobie ostrzeżenie Felixa Robinsona. „Paolo?” Zastanawiał się. Niemożliwe. Ale całkiem prawdopodobne, że dyrektor kazał Włochowi śledzić Henrięgo i zapobiec samozwańczemu wymierzeniu sprawiedliwości. Coś takiego nie pasowało do Paola. Zgodził się wyświadczyć Henrięmu jeszcze tę ostatnią przysługę — taką właśnie w swoim stylu, wykraczającą poza regulamin. Na placu aż roiło się od agentów ochrony, którzy widoczni lub nie, mogli obserwować Poincaręgo. Komplikacja. Tęgo nie przewidział, ale już nic nie poradzi. Czuł, że Ludovici patrzy na niego przez lunetę.

Charles Bell pojawił się, kiedy zegar odliczający czas do Wniebowstąpienia wskazywał 00.18:14.

— Powinienem się domyślić, że jest z ciebie taki zły gliniarz — stwierdził, wkraczając na plac przez punkt kontrolny przy Eggerts Straat. — Piękny francuski akcent, a to samo stare gówno. Zapłaciłem, ile trzeba, teraz dawaj mi twardy dysk.

— Wyglądasz na zmęczonego — zauważył detektyw.

— Idź do diabła.

Poincaré spojrzawsł na zegarek.

— Wiesz, zanim minie godzina, naprawdę mogę. Charlesie, miałeś rację, martwiąc się, że stracisz przewagę, jeżeli jakiś konkurent dostanie dzieło Fenstera. — Inspektor nie trzymał żadnej teczki, nie miał też mówiącego wszystko wybrzuszenia pod marynarką. Nie przyniósł Bellowi koperty. — Tak jak wiesz, twardy dysk jest w sejfie na dowody w stanie Massachusetts. Obawiam się, że Hurley cię nabrawł. Wy, Amerykanie, mówicie na to „przekręt”.

— Ty sukinsynu. Zapłaciłem ćwierć miliona...

Bell podszedł bliżej, a Poincaré uniósł dłoń.

— Nie. — Obok niego powinna już stać Chambi. Henri nie spuszczał wzroku z Bella, a ten nie wyglądał, jakby ujrzał teraz na placu kogoś znajomego. — Dwieście metrów stąd, w tamtym budynku, tam gdzie jest to otwarte okno, czeka mój przyjaciel z karabinem i lunetą. Jeśli mnie tkniesz, wpakuje ci kulę za ucho.

Gdzie jest ta Chambi?

— Nie muszę cię dotykać — warknął Bell. — Ale ktoś inny może. Świat może się okazać niebezpiecznym miejscem dla ludzi takich jak ty, albo ten spaślak Hurley.

— Nie, nikogo też nie wynajmiesz — oznajmił Poincaré, uchylając poły marynarki i ukazując cyfrowy magnetofon. — Charlesie, technika to cudowna sprawa. Układ, który zawarłeś z Hurleyem, został nagrany na wideo. Tutaj masz część dźwiękową. — Wcisnął guzik.

— Mówisz, że jak zapłacę, to dostanę ten twardy dysk?

— Zgadza się. Ale nie mnie pan zapłaci, panie Bell. Zrobimy to mniej bezpośrednio. Pieniądze pójdą na Związek Zawodowy Policjantów Massachusetts. I w taki sposób to będzie filantropia, a nie łapówka.

— Ha! I jeszcze będzie można sobie odliczyć od podatku! Uwielbiam to!

— A teraz jeszcze trochę pieniążków, tak na dowód szczyrych intencji, to, o czym rozmawialiśmy przez telefon. Mam nadzieję, że przyniósł pan kopertę... Bardzo dobrze... Zobaczmy. Równo dziesięć tysięcy. Umowa stoi. Teraz czekam na przelew.

— Pomniejszony o tych dziesięć tysięcy.

— Przykro mi, ale tych dziesięć tysięcy to koszta manipulacyjne. Zgoda? Kiedy zrobi pan przelew, ja będę miał dla pana informacje.

— Poincaré, ty skurwysynu!

— Charlesie, potem jest jeszcze lepiej. Posłuchaj, to z waszego drugiego spotkania.

— Dobra robota, panie Bell. Związek jest panu wdzięczny. A oto wyraz tej wdzięczności. Znajdzie pan tutaj instrukcje, których wykonanie będzie wymagało podróży, ale zakładam, że będzie pan zadowolony.

— Instytucje państwowe zawsze powinny działać tak sprawnie. Do zobaczenia.

— Nie, panie Bell. Już mnie pan więcej nie zobaczy.

— Wiem, co teraz zrobimy — oznajmił Poincaré. Kiedy Bell słuchał nagrania, detektyw szybko rozejrzał się za Chambi. Nigdzie jej nie zobaczył. — Przekażę pewne informacje, w które możesz uwierzyć lub nie. A potem będziesz już milczał. Zadbaliśmy o to, że jeśli będziesz się jeszcze kontaktował ze mną, Daną Chambi czy Erikiem Hurleyem, to nagranie — a wykonano wiele jego kopii — trafi do prokuratora generalnego stanu Massachusetts. Jeśli nasz spokój zostanie złamany w jakikolwiek sposób, jeśli kogoś wyślesz, żeby zapukał do naszych drzwi, prokurator otrzyma nagranie. Jeśli któremukolwiek z nas zdarzy się umrzeć przedwcześnie, prokuratur otrzyma nagranie. W gruncie rzeczy, powinieneś

modlić się, aby nie opuszczało nas szczęście i dobre zdrowie. Jednak, Charlesie, rozchmurz się. Nie zostawię cię przecież z pustymi rękami.

Bell, tak zawsze pewny siebie, miał teraz twarz szarą niczym popiół. Stał się również biedniejszy o ćwierć miliona dolarów, chociaż Henri uznał, że pewnie mógł wpłacić na konto policyjnego funduszu kilka razy więcej.

— Żyję już tak długo, by umieć rozpoznawać złych ludzi na pierwszy rzut oka — oznajmił Poincaré. — Nie masz w sobie prawdziwego zła. Jesteś tylko odrażającym dyletantem. Oto wiadomość dla ciebie. Po pierwsze, ustaliłem, że to nie ty zabiłeś Jamesa Fenstera. Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie, skreśliłem cię z listy podejrzanych. Po drugie, tak jak przypuszczałeś, doktor Fenster badał wzorce zachowań rynku. Mam dowody na to, że badał także wzorce dotyczące handlu, jednak cokolwiek wiedział, umarło razem z nim. Jestem pewien, że rezultatów jego badań nie uzyskał żaden konkurencyjny fundusz, zatem zachowasz obecną przewagę. Jeśli będziesz dalej walczył z Harvardem i zdobędziesz dysk, przekonasz się, że został zabezpieczony hasłem złożonym z sześćdziesięciu siedmiu znaków, niemożliwym do złamania. Zapewniono mnie, że nie potrafią go złamać nawet rządowe komputery. Próżny wysiłek. Wyświadczy sobie przysługę i daj temu spokój. — Poincaré wręczył Bellowi magnetofon. — Teraz, jak sądzę, nadeszła już odpowiednia pora, aby się pożegnać. Masz tyle szczęścia, że dostałeś przynajmniej fragment dzieła Fenstera. Twój biznes kwitnie. Jesteś bogaty. Charlesie, skończ więc z tym. Żyj własnym życiem. Zrujnowanie cię nie sprawi mi przyjemności, ale w razie potrzeby się nie zawaham. Teraz mogę iść.

Zegar odmierzający czas do Wniebowstąpienia pokazywał 00.14:12.

44

Kiedy Bell się oddalił, Poincaré obrócił się wokół własnej osi i przeczesał wzrokiem tłum, szukając Chambi. Prosił wcześniej, żeby podeszła na odległość trzydziestu metrów, ale pomiędzy zajmowaną przez niego pozycją a tą, którą wyznaczył Danie, stały teraz setki osób, przyglądając się zegarowi odmierzającemu czas do Wniebowstąpienia. Czekali, aż wskaże zero.

Wyczuł jakieś poruszenie w tłumie, a potem ją zobaczył, w roli jeńca. Quito trzymał Chambi za rękę, patrzył wprost na Poincarégo i wskazywał na niego jakby ostrzegawczym gestem. Potem wskazał samotny plecak, leżący gdzieś na bruku.

— Bomba! — wrzasnął.

Wśród krzyku i bieganiny, które potem nastąpiły, Henri stracił ich z oczu. Agenci ochrony pochwycili trzech mężczyzn i kobietę w powłóczystych szatach.

— To moje! — wrzeszczał jeden z tych mężczyzn, z twarzą przyciśniętą do bruku. — Tam nie ma żadnej bomby! Sprawdzali to!

Poincaré krzyknął do kołnierza:

— Paolo!

— Henri, przemieszczają się w stronę pomnika. Quito ją ciągnie. Raczej nie jest zadowolona.

Rzucił się do biegu, ale umundurowany policjant, znacznie młodszy mężczyzna, który dostrzegł detektywa, jak odskakiwał od plecaka, złapał go od tyłu.

— Na ziemię! — krzyknął najpierw po holendersku, potem po angielsku.

Poincaré uwolnił się z jego uchwytu i pokazał identyfikator.

— Nie mam czasu! — sapnął. — Nie mam czasu!

Co zresztą było prawdą, bo gdyby Quito zaciągnął Chambi poza pole widzenia Ludoviciego oraz punkty kontrolne, detektyw by ich zgubił.

— Henri, z prawej strony pomnika, zbliża się do hotelu.

Poincaré wstał, rzucił się do biegu, pierś unosiła mu się jak miech. Roztrącał ludzi na boki, przeciskał się przez tłum. Potykał o składane krzesła. Chwyтали go pątnicy.

— Stój! Żałuj za grzechy! — krzyczał jakiś mężczyzna.

Nie stanął i daleki był od żalu za grzechy, za to zdecydowany, aby zabić. Okrążając pomnik, krzyknął:

— Paolo, gdzie?

Zegar pokazywał 00.02:12.

— Henri, z twojej prawej! Prawej! Schodzi mi z pola ostrzału!

Poincaré spojrział tam i skoczył, jednym ruchem przewracając ich oboje. Quito go zobaczył.

— Uciekaj! — zawołał Henri do Chambi, zaciskając dłonie na szyi Indianina.

Odpełzła na kolanach.

— To ty! — ryknął Quito, krztusząc się.

Okazał się niesamowicie silny. Uniósł Poincarégo bezpośrednio znad swojej piersi. Zamachał rękoma, trafiając detektywa w policzek, potem sięgnął mu do oczu. Henri puścił go i zatoczył się do tyłu. Ludzie krzyczeli, widząc, że wyciąga pistolet, a głos na platformie wznósł się, wypowiadając ostatnią obietnicę Odkupienia.

— „Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej...”

Zegar pokazywał 00.01:03.

— „...będziecie prawdziwie moimi uczniami”.

Quito leżał na plecach, dyszał, patrząc na celującego w niego detektywa.

— Ona była tylko dzieckiem!

Chwilę przed naciśnięciem spustu Poincaré poczuł, że pistolet wypada mu z dłoni i usłyszał jakby trzask. Siła pocisku rzuciła nim do tyłu, do basenu fontanny. Trafiono go, dłoń płonęła, woda stawała się czerwona. Spojrział w lewo i w prawo, ale nie dostrzegł strzelca. Oczy wszystkich na placu zwrócone były na zegar, gdzie ostatnie liczby ześlizgiwały się ku Dniu Sądu.

— Wystarczy — jęknął, leżąc w wodzie i wpatrując się w niebo. Nie ujrzał rydwanów

ani ognia. Nie ujrzał Zbawcy.

W godzinie zero zagrział głos:

— Twojej opiece powierzamy dusze nasze!

Nic na świecie, nawet strzelanina, nie mogło odciągnąć zgromadzonych od spotkania z Wiecznością. Gdy tysiące spojrzało ku górze, Poincaré usłyszał drugi strzał, potem jeszcze trzeci i czwarty. Trzymając się za przegub, cały przemoczony, z trudem uniósł się na kolana i zobaczył Eduarda Quito martwego, leżącego na bruku, z trzema czerwonymi plamami na piersi. Chambi stała nad Indianinem, trzęsąc się, a broń Henriego wypadła jej z dłoni. Po kilku sekundach u boku Dany zjawił się Ludovici — po drodze przystanął, by podnieść pistolet i wsunąć do kieszeni.

— Henri, teraz jesteś cywilem. Gdybym pozwolił ci go zabić, to byłoby morderstwo.

Poincaré spojrział na niego ze zdumieniem.

— To ty?

— A kto inny uchroniłby cię przed sobą samym? Miałeś szczęście, że nie wpakowałem ci kuli w ten zakuty łeb.

— Robinson cię wysłał.

Ludovici przytaknął.

— Przecież pracowałeś ze mną. — Był przemoknięty i czuł, że marznie.

— Miałem nadzieję, że nic takiego nie będę musiał robić. Henri, Felix martwił się o twoje zdrowie, podobnie jak ja. Powiedziałem mu, że będę pilnował twoich pleców. To lepszy człowiek, niż sądziłem. Słuchaj, martwiliśmy się tym, co zamierzasz zrobić, i doszliśmy do wniosku, że ty nie powinienesz strzelać. Mogę zapewnić, że Quito nie miał szans opuścić żywy z tego placu.

— Byłeś gotów, żeby...

— Byłem gotów, żeby, jeśli okaże się to konieczne, zlikwidować znanego terrorystę. Jak się okazało, bieg wypadków nas wyprzedził i musiałem strzelić tylko do ciebie. Przykro mi z tego powodu. Przykro, ale naprawdę po trzydziestu latach powinienesz chyba wiedzieć, że firma nigdy czegoś takiego nie usankcjonuje. I tylko sobie nie myśl, że chodziło o ratowanie cię przed prokuraturą. Felix nie chciał złej prasy... — Ludovici wyjął chusteczkę z kieszeni. — Masz, owiń sobie rękę.

Prezydent Armii Wyzwolenia Tubylców leżał tam, gdzie padł, z otwartymi oczami i nogami wygiętymi pod takim kątem, że pewnie by go bolało, gdyby jeszcze oddychał. Chambi nie ruszała się. Setki ludzi utworzyły teraz wokół nich szeroki krąg, przyglądając się im w milczeniu. Gdy zgromadzeni na placu całą uwagę zwracali ku górze, coś wydarzyło się na dole. Poincaré przewiązał ranę. De Vries, w asyście dwóch funkcjonariuszy, przedarła się przez krąg gapiów, a głos z podwyższenia wzywał coraz bardziej natarczywie:

— O Panie, zabierz nas!

Nic się nie działo.

— Teraz, Panie! Teraz!

Jednak albo formuła była niewłaściwa, albo źle ustalono datę. Cyfrowy zegar w oknie De Bijenkorf wskazywał już jedenastą trzydzieści dziewięć. Ktoś z tłumu krzyknął w stronę podium:

— To bujda! Wracaj do domu!

Jakiś sprzedawca nieopodal pomnika zawołał:

— Wafelki! Stroopwafle!

Poincaré usłyszał dobiegający z oddali dźwięk syren.

— No dobra — odezwał się Ludovici. — Wygląda na to, że nadal mamy ciała.

— Tylko jedno ciało — stwierdziła De Vries. — Przez co, mogę przyznać, czuję pewną ulgę. To Eduardo Quito. To on krzyczał o bombie. Nie było żadnej bomby tylko zwykły plecak. A jego ktoś zastrzelił.

— Mogę tylko powiedzieć, kto chciał go zastrzelić — oznajmił Paolo, wskazując Poincarégo. — Ale nie miał szans, bo ja trafiłem go pierwszy. Nie wiem, kto zabił Quito. Użyłem pocisku małego kalibru, innego niż te, które znajdziecie w ciele ofiary. Proszę bardzo, to dla twojego zespołu od balistyki. — Ludovici wręczył policjantce karabin. Przed hotelem Krasnapolsky zatrzymały się dwa radiowozy, połyskując światłami. De Vries i jej ludzie wyszli im na spotkanie.

— Nigdzie się stąd nie ruszajcie — powiedziała policjantka.

— Mogę obiecać, że on nigdzie nie pójdzie — odparł Ludovici — a sam chcę dostać swoją broń z powrotem.

Kiedy się oddaliła, wskazał w stronę pomnika. Poincaré odwrócił się i niecałe dziesięć metrów od siebie zobaczył Madeleine Rainier obok szczupłego mężczyzny tego samego wzrostu, odwróconego plecami. Wokół głowy miał aureolę jasnych włosów. Tamto dziecko ze zdjęcia...

Rainier, machaniem nakazując Henriemu pozostać na miejscu, bezgłośnie powiedziała „dziękuję”.

— Wyłapałem ich w lunecie — wyjaśnił Ludovici. — Wyobraź sobie, jak się zdziwiłem, widząc Rainier, poszukiwaną w związku ze śmiercią człowieka, który cały czas żyje. Mogę więc odwołać list gończy, nikt już jej nie postawi zarzutów. I tak się składa, że wczoraj portugalska straż graniczna zatrzymała kobietę, o której sądzi się, że jest Daną Chambi. W szpitalu popełniła błąd, skaleczyła się, kiedy przecinała respirator Chloe. DNA pasowało idealnie, przyznała się do wszystkiego, jeśli chodzi o rolę odegraną przez nią oraz Quito. A zatem Dana Chambi również nie jest obiektem naszego zainteresowania. Ją też mogę skreślić z listy Interpolu. Henri, zaraz Gisele wróci z pozostałymi, lepiej więc, żebyśmy ustalili, co się tutaj stało. Quito sam się nie zastrzelił.

Poincaré przytaknął.

— Oto, co teraz widzę — oznajmił Ludovici. — Widzę ciało człowieka, który kazał zabić twoją wnuczkę. Mam uzasadnione podejrzenia, że kule w jego piersi wystrzelono z pistoletu, który nigdy nie zostanie odnaleziony. — Poklepał się po kieszeni. — Badania

przeprowadzone przez techników kryminalistycznych od Gisele dadzą niewiele. Sam nie widziałem, kto zastrzelił Quito, bo akurat zbiegałem po schodach hotelu, żeby sprawdzić, co z tobą. A wszyscy inni potencjalni świadkowie w chwili strzelaniny patrzyli akurat w niebo. Henri, nikt niczego nie widział. Strzelec dawno uciekł. Oczywiście, przeprowadzimy dochodzenie. Razem z Gisele przesłuchamy kilka osób, ale nie spodziewam się żadnego aresztowania. Tak to właśnie widzę. — Ludovici skrzyżował ramiona. — A jak ty to widzisz?

Poincaré spojrział ponad ciałem Quito w stronę kręgu rozczarowanych pątników. Pod pomnikiem Rainier wspierała się o swojego towarzysza. Inspektor zamachał do niej, a potem przekroczył ów krąg. Zdrową ręką opróżnił kieszenie. Na bruk posypały się monety, Henri ukląkł i zaczął wśród nich czegoś szukać.

— Doktor Fenster? — zapytał. — To pani brat?

Rainier pokiwała głową.

Zataczając się z bólu, detektyw znalazł w końcu to, czego szukał.

— Proszę to przyjąć. Oboje zasługujecie na lepszy los... i nowe życie. Niech pani mu powie, że przepraszam... Przepraszam, że nie byliśmy gotowi.

Wzięła od Poincarégo pieciocentówkę z bizonem, umazaną jego krwią. Milczała, ale na swój sposób przemówiła, tak jak wtedy w Ambassade, robiąc to jedynie szarymi, migdałowatymi oczyma. Pytała go, czy zrozumiał, czy pojął, jakie dobro uczynił? Za okularami, o jednym szkle grubszym, aby zrekompensować ubytek rogówki oddanej bratu, Marcusowi, Poincaré zobaczył wdzięczność. De Vries zaraz wróci, może rozpoznać Rainier. Madeleine odeszła.

— Oto, co ja widzę — odezwał się Poincaré, wciąż na kolanach. — Zginął człowiek. Zgadzam się, że w tym całym zamieszaniu odnalezienie strzelca będzie raczej mało prawdopodobne. W gazetach podadzą, że zabito znanego terrorystę. Zostanie przeprowadzone śledztwo, a my wszyscy wrócimy do domu.

Całe życie temu, w kwietniu, czegoś takiego nigdy by nie powiedział, świat się jednak zmienił.

— Jesteś pewien? — zapytał Ludovici.

Dana Chambi przekroczyła ludzki krąg i stanęła obok Madeleine Rainier, która objęła ją ramieniem. Poincaré raz jeszcze spojrział w stronę Fenstera, na jego plecy. Spojrział też na młodą kobietę, która skończyła to, czego sam nie zdołał. Tym, co zobaczył, było dwoje członków niegdyś pięcioosobowej rodziny, szklanka już nie całkiem pełna, bo wtrąciły się życie oraz śmierć. Ale pojawił się tam ktoś nowy, osładzając ponowne spotkanie. Patrzył, jak cała trójka znika w tłumie i zatęsknił za własnym ponownym spotkaniem.

— Tak — odparł. — Jestem pewien.

Epilog

*Jakaż to władza zapewnia
zaskoczenie istnieniu?*

W.H. Auden

Szesnastego sierpnia słońce wstało ponad światem ani mniej, ani bardziej zbawionym niż do tej pory. Jezus nie powołał wiernych w niebosa, do Swego boku. Wielu jednak wierzyło, że Pan zjawia się tylko przed tymi pragnącymi Go sercami, które potrafią dostrzec, bez trąb i fanfar, iż właściwy czas jest tuż-tuż — i w rzeczy samej, jest tu zawsze. Dla nich Wniebowstąpienie stanowiło poetyckie uniesienie ducha. Chociaż ich ciała pozostały w Glasgow, Bangalore czy Amsterdamie, kroczyli już z jedną nogą w Raju i widzieli to, czego nie dostrzegali inni — że ich Bóg jest wszędzie, ukryty, chociaż w zasięgu wzroku, żeby Go zobaczyć, wystarczy tylko zapytać. A ci, którzy nie zdołali Go ujrzeć, skazani zostali na takie samo życie, jakie zawsze wiedli: w tym, co niektórzy nazywają Piekieł, owym niekończącym się ruchem do przodu, nazywanym Światem.

Zwolnienie lekarskie Poincarégo opóźniło konieczność podjęcia decyzji co do jego przyszłości w Interpolu. Uszkodzenie dłoni okazało się poważne, a operacja skomplikowana. Głównym zajęciem Henriego w wiejskim domu było dochodzenie do zdrowia i na kilka miesięcy zapomnienie o jakichkolwiek algorytmach oraz Żołnierzach Wniebowstąpienia — ci zaś, rozczarowani, zaprzestali mordowania niewinnych osób, dokładnie tak jak zapowiadali policyjni psychologowie. Schizmatycy, przy całej swojej pokrętnej logice, uznali, że morderstwa jednak nie przyspieszą Drugiego Przyjścia. Coraz mniej rozprawiano o Końcu Świata i coraz rzadziej pojawiali się prorocy w długich szatach, wzywający grzeszników do pojednania z Panem. Jak gdyby przekręcono jakiś wyłącznik, psychopaci podkładający bomby dla Chrystusa od razu znaleźli inne ujście dla własnych demonów. Stopniowo powracał zamęt bardziej przewidywalnego rodzaju.

Lato przeszło w jesienne deszcze, które przygotowały pola do wydania plonu w następnym roku. Poincaré nadal cierpliwie i czule zajmował się żoną. Karmił ją i kąpał. Gładził ją po włosach i codziennie zapraszał do powrotu. I chociaż Claire w dalszym ciągu milczała, a jeszcze przez wiele tygodni zamykała przed nim oczy, wreszcie wróciła.

A oto, co się stało.

Finanse Poincarégo legły w gruzach. Choć Etienne i jego rodzina czuli się już wystarczająco dobrze, by wrócić do swojego życia w Paryżu, szpitalne rachunki, wynikające z długiego pobytu w prywatnej klinice, a także honoraria lekarzy konsultantów pochłonęły całe oszczędności Henriego oraz prawie cały jego wkład własny w wiejskie gospodarstwo. Pewnego czwartku, w połowie października, pojechał do Lyonu, aby spotkać się z bankierem i renegocjować umowę kredytową.

— Nie ma pan żadnych wystarczających podstaw — oznajmiła kobieta, przeglądając

papiery.

— Mam za to dobre imię — odparł.

— Monsieur, potrzebujemy bardziej konkretnego zabezpieczenia.

— Oczywiście. Co państwo powiecie na to? — Przejął po Serge'u zwyczaj zabawy w chwilach stresu monstrualnym, srebrnym pierścieniem. Rak płuc w końcu zabrał Laurenta, ten jednak spełnił swoje życzenie i umarł w jednym kawałku — chociaż dosyć pomniejszony. Pochowano go obok pierwszej żony na zboczu wzgórza w Bordeaux. Pierścień zapisał Poincarému wraz z całkiem zasobną piwniczką w ramach ostatniego, świetnego żartu. Czcząc pamięć Serge'a, Henri spotkał się z bankierem z uniesionym czołem.

— Zredukujcie państwo wskaźnik długu do kapitału do trzech procent — mówił. — Znajdziecie się państwo w posiadaniu dobrze prosperującej winnicy. Wiedzą państwo, almanachy przewidują, że przyszły rocznik będzie znakomity. I co najważniejsze, to, że tym roku plon zgnił na winoroślach, powinno przygotować glebę do doskonałych zbiorów w przyszłości.

— Monsieur Poincaré, rozmawiamy o obecnej wartości. Nie chcemy pańskiego wina.

Nikt go nie chce, pomyślał.

— W takim razie, dobrze. Przefinansujmy to do pięciu procent, a ja coś wymyślę.

Niewiele już było do wymyślania. Miał tylko dochody z pracy, którą mógł utracić. Dyrektor banku, były sąsiad z Lyonu, poprosił Poincarégo, by zajrzał do jego gabinetu.

— Henri — oznajmił — możemy przefinansować ostatni raz na sześć procent przy cenach rynkowych na czterdzieści lat. Jeżeli jednak znowu nie uścisz raty, sprzedamy posiadłość. Jesteś dobrym człowiekiem i twoje problemy są, powiedzmy, wielkiego kalibru. Ale istnieją pewne granice...

— Doceniam twoją postawę — odparł Poincaré, usprawiedliwiając się. — Proszę, przygotuj dokumenty.

Po długiej i niewygodnej podróży powrotnej do Fonroque, wciąż z ręką na temblaku, skręcił na żwirowy podjazd do farmy i zobaczył dym, unoszący się z komina. Na podjeździe stał jakiś samochód. Henri nie rozpoznawał rejestracji. Podeszedł do drzwi wejściowych, lekko uchylonych — co go zirytowało, bo koszty ogrzewania ostatnio podskoczyły, a starał się oszczędzać. Nagle jednak przez otwarte drzwi usłyszał dźwięk, który poderwał go z miejsca równie skutecznie, jak pocisk Ludoviciego na placu Dam go położył. To był śmiech. Otworzył szerzej i zobaczył Georges'a i Émile'a, uciekających przed Claire z oczami przewiązanymi opaską. Georges biegał i wirował, a Poincaré widział wyraźnie, że sztuczna noga w żaden sposób nie odbiera mu przyjemności szarpania babci za spódnicę i wypychania brata przed siebie.

— Teraz ty idziesz — wołał do Émile'a.

— Nieprawda, teraz twoja kolej! — W obu uszach Émile miał aparaty słuchowe.

I tak Georges skradał się w stronę Claire z zawiązanymi oczami, podobnie jak w trakcie dawnych zabaw. Henri patrzył, jak jego żona wyciąga palce, żeby dotknąć twarzy chłopca.

Przyciągnęła go, posadziła na kolanach i ucałowała w oba policzki. Wdychała jego zapach.

— Ach! — zawołała. — Jesteś pyszny, mounsier Truskawko! Domagam się dwóch uścisków i całusa w czubek nosa!

Georges pisnął.

— Babciu, ja jestem twoim kremikiem! A Émile to twoje truskawki!

Claire zdjęła opaskę z oczu i przyciągnęła dzieci do siebie. Pomimo miesięcy spędzonych w szpitalu obaj chłopcy urosli. Ledwo mieścili się na kolanach już zbyt drobnych jak na dwóch zdrowych siedmiolatek. Poincaré szerzej otworzył drzwi. Claire spojrzała, zauważywszy ruch, i zobaczyła męża w drzwiach po drugiej stronie pokoju. Po raz pierwszy od pół roku ujrzała go naprawdę. Henri modlił się, aby przyjęła tego stojącego przed nią pokutnika. Nie padły między nimi żadne słowa. Tykał zegar na kominku. Tykał. Tykał. Wreszcie powiedziała dzieciom:

— Émile, Georges. Zamknijcie drzwi, bo jest przeciąg.

Odwrócili się i już byli przy Henrim.

— Moja ręka, uwaga na moją rękę! — zawołał, gdy to młode życie skoczyło do niego, wołając „Dziadku! Dziadku!”

Stipo Banović, uznany winnym zbrodni przeciwko ludzkości, pomimo zabezpieczeń zdołał jakoś powiesić się we własnej celi rankiem po odczytaniu wyroku. Z informacją zadzwonił Felix Robinson.

— Henri, już po sprawie z Banoviciem.

I rzeczywiście było. Jeśli Poincaré jeszcze kiedyś zmierzy się w swoim życiu z podobnym zagrożeniem, to już nie pojawi się ono ze strony tego człowieka tak brutalnego, że brutalnie zachował się nawet względem samego siebie. Gdy Henri dowiedział się, co się wydarzyło, w ciszy odwrócił się do rodziny, zajętej drobiazgami, z których składa się życie. Claire kończyła *Nędzników*. Etienne, który pewnego dnia przyszedł do niego, mówiąc: „postaram się, jeżeli mi pomożesz”, budował teraz z chłopcami kolonię na Księżycu, używając do tego wszystkich garnków z kuchni. Lucille ćwiczyła grę na wioli. Mijały spokojne dni. Pewnego późnego popołudnia, Poincaré przeglądał pocztę i otworzył list ze znaczkiem z Cambridge w Massachusetts.

Henri!

Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Dostałem list od Madeleine Rainier — która, o czym dowiedziałem się z ulgą, nie ucieka już przed prawem. Panna Rainier weszła w posiadanie pewnej sumy pieniędzy, dość sporej. Otworzyła niezastrzeżone konto na Twoje nazwisko w banku w Genewie, a na koncie tym znalazło się dwanaście milionów euro. Początkowa suma wynosiła dziewiętnaście milionów, została jednak pomniejszona o francuskie podatki, a zatem pieniądze są twoje, in toto. Prosiła, abym przekazał dokumenty, a także następującą wiadomość: „Jedna pięciocentówka z bizonem w pełni spłaciła dług. Dziękuję. MR. A tak swoją drogą, ojciec przesyła pozdrowienia”.

Niecierpliwie czekam na Twój list.

Szczerze oddany,

Peter Roy

Życie, pomyślał Poincaré, bywa bardzo dziwne. Nie podskoczył z radości, ani nie zawołał Claire, by oświadczyć, że właśnie skończyły się ich kłopoty z pieniędzmi. Zresztą nic o tych kłopotach nie wiedziała, dopiero co powróciwszy ze straszliwej podróży. Henri raz jeszcze przeczytał list i wyszedł na taras. Ponad winnicą spojrzął ku wzgórzom, migoczącym w blasku zachodzącego słońca. Pomyślał o Banoviciu i tamtym jarze w Bośni; pomyślał o Eduardzie Quito i człowieku pijącym whiskey na śniadanie, oplakującym zmarłą żonę i utraconą córkę; pomyślał o falujących wzgórzach, o altankach winnic i drzewach zimą oraz o chłodnym, kobaltowym niebie. Pomyślał wreszcie o Claire, o tym, jak wymówiła jego imię. Każda z tych rzeczy była odrębna i każda stanowiła ścianę diamentu, odkrytego przez Jamesa Fenstera, który schował ów klejnot przed światem, mając ku temu dobre powody. Poincarému wystarczyło, że wiedział, iż w każdej chwili on sam w nie mniejszym stopniu niż potężny dąb na tarasie rozgałęzia się i gdzieś dosięga. Wrócił do domu, zasiadł przy swoim biurku i napisał dwa listy. Pierwszy do bostońskiego lekarza:

Szanowny Panie Doktorze!

Zastanowiwszy się starannie, postanowiłem nie poddawać się zalecanej przez pana operacji. Dam sobie radę ze swoim sercem, takim, jakie jest. Dziękuję panu za mądrą radę.

*Z poważaniem,
Henri Poincaré*

Drugi list zaadresował do Petera Roya.

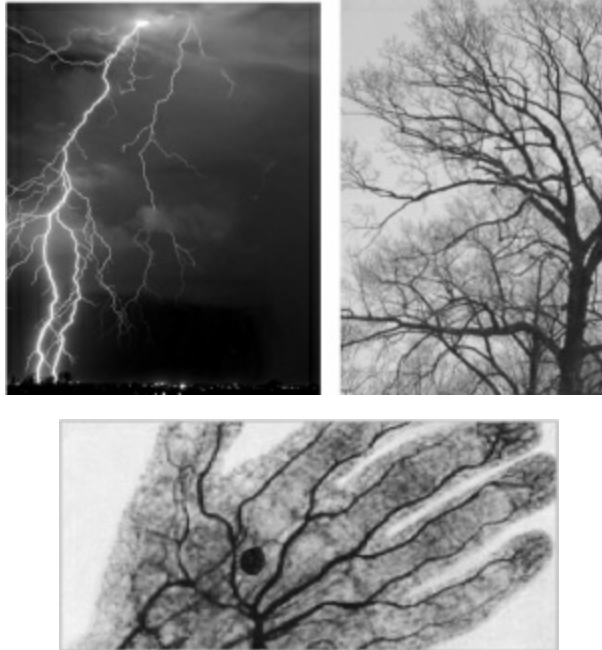
Przyjacielu!

Przekazałeś mi nadzwyczajne wiadomości. Trzeba omówić jeszcze wiele spraw i może zrobimy to już niebawem, osobiście. Przede wszystkim jednak chciałbym Cię prosić o ustanowienie pewnego rachunku powierniczego na korzyść pewnej wdowy oraz jej dwojga dzieci oraz abyś zajął się jego nadzorowaniem. Dołączam ich aktualny haski adres i proszę, aby nigdy nie wymieniono mojego nazwiska w związku z tą pomocą. Wdowa powinna dostawać na utrzymanie rodziny miesięczną pensję w wysokości ośmiu tysięcy euro. Wszystkie wydatki związane z wykształceniem jej dzieci, aż po uniwersytet, mają zostać opłacone bezpośrednio z rachunku powierniczego, przy udziale Ciebie lub Twojego przedstawiciela w Hadze. Miesięczna pensja ma być jej wypłacana do końca życia. Z góry dziękuję za dyskrecję.

Twój HP

Zakleił kopertę, odsunął na róg biurka. Słyszac pierwsze nawoływania na kolację, ułożył na blacie bibułę i wytarł z kurzu trzy fotografie, oprawione w jedną ramkę. Dwa zdjęcia

pochodziły z mieszkania Fenстера, z jego kolekcji, zachowanej przez Jorge Silvę, a jedno, po operacji, podarował Henriemu lekarz.



Poincaré wolałyby proste linie. Wolałyby miłość bez straty, a dobroć bez bólu. Jednak gdy kładziono fundamenty Ziemi, nikt nie pytał go o zdanie. To, co dostrzegł Jules Henri, a udowodnił Fenster, porządkowało zarazem wszystko i nic, w taki sposób, że detektyw drżał, gdy wiatr pochylał trawy albo nocą dziecko płakało za siostrą. Bo również widział polarną zorzę, u góry, i na dole. I nazwał ten taniec, w którym świat płąsa w każdej chwili swojego istnienia. Kiedyś sądził, że emerytura przyniesie kres słowom „dlaczego”, „kto” albo „gdzie” — wyrazom, które mu dobrze służyły. Ale tak nigdy nie miało się stać. Jego śledztwa dopiero się rozpoczęły.

Henri Poincaré wstał i poprawił temblak. Bolała go ręka. Wiedział, że siła, którą odzyskuje, nie będzie już taka, jak kiedyś. Pomyślał o Chloe i zdusił szloch. Z kuchni dobiegł śmiech, brzmiąc niczym muzyka w domu żałoby, przełamał urok trwający o wiele za długo. Etienne zajrzał do pokoju.

— Tato, kolacja.

— Tak, tak — powiedział ojciec do syna.

Poincaré zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Etienne wciąż przy nim był.

Podziękowania

Nikt nie jest w stanie pisać o fraktalach, nie zaciągnąwszy długu u Benoit Mandelbrota, którego wgląd w sprawy geometrii Natury w ogromnym stopniu wpłynął na współczesną naukę, a także, przynajmniej pod postacią tej książki, na współczesną wyobraźnię.

Zaciągnąłem także szczególny dług wdzięczności u Jamesa D. Jonesa (emerytowanego wojskowego z marynarki wojennej USA), mojego matematycznego przewodnika — cierpliwego, zawsze w dobrym humorze, specjalisty od fraktali i teorii chaosu; u Moshe Waldoksa i Meira Sendora, którzy stworzyli sanktuarium, gdzie mogłem badać zagadnienia stanowiące podstawę tej książki; u mojej agentki Eve Bridburg, która nie tylko znalazła miejsce dla całego przedsięwzięcia, ale także naciskała, żebym przerabiał opowieść tak długo, aż dorówna moim zamierzeniom. Bez jej krytycznego spojrzenia książka ta mogłaby być całkiem inna. Doug Starr komentował liczne wstępne szkice, często dostrzegając możliwości, które ja przeoczyłem. To surowy i uczciwy krytyk, dobry przyjaciel i doradca. Szkice te komentował także Arthur Golden, hojnie udzielając mi rad. Todd Shuster otoczył nieznanego autora ścisłą opieką redaktorską, z której słynie Agencja Literacka Zachary, Shuster, Harmsworth. Wszystkie te wysiłki poszłyby na marne, gdyby nie Marty i Judy Shepard, wydawcy z Permanent Press. Powitali mnie z otwartymi ramionami, okazując Głosom chaosu nadzwyczajny entuzjazm. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie bardziej troskliwych czy też bardziej oddanych doradców.

Dziękuję również Susan Ahlquist, Beth Keister, Lonowi Kirschnerowi, Joslyn Pine, Kathy Porter, Grahamowi Orrowi, Jessice Schwartz i Jessice Stein za mądre rady na różnych etapach pracy nad rękopisem. Pierwsze szkice czytali także, wyrażając swoją przydatną, krytyczną opinię: Larry Behrens, Martha Brand, Adam Cohen, Will Cohen, Aaron Cooper, Tina Feingold, Larry Heffernan, Suzanne Heffernan, Kathy Koman, Stuart Koman, Lester Lefton, Mindy Lubber, Emma Marks, Richard Marks, Bob Morrison, Jenny Morrison, Mark Pevsner, Jeannette Polansky, Rosalie Renbaum, Jed Schwartz, Monica Sidor, Barry Siegel, Jane Siegel, Lois Slade, Frank Sladko, Abe Stein, Norman Stein i Dean Sudarsky.

Jestem mocno posiwiasty jak na debiutanta, a jednak bycie pisarzem starszym wiekiem ma swoje zalety, z których jedna to dorośli synowie, występujący w roli krytyków. Jonathan i Matthew Rosenowie stali się naocznymi świadkami ewolucji tej książki. Obserwowali ją, a także mnie, podczas całego długiego procesu twórczego. Ich wsparcie oraz rady były bezcenne. Robert i Gerald Rosenowie, moi bracia, przez lata zapewniali mi wsparcie i miłość. Wraz z nimi pragnę uczcić oddanie sprawom rodziny, na którym to opiera się ta książka. Najważniejszą ze wszystkich osób, którym dziękuję, jest Linda Rosen, moja ostoja już od trzech dziesięcioleci, a także autorka tylu cennych dla mnie spraw i rzeczy. Książkę dedykuję Lindzie, naszym synom oraz pamięci moich rodziców.

Źródła cytatów i ilustracji

Cytaty

Motto — początek: Rabi Rami Shapiro, według Psalmu 29. Użyto za pozwoleniem. W polskim wydaniu w przekładzie autora tłumaczenia.

Motta — części I-IV: Ks. Hioba 38: 17, 19, 25, 36. NIV. Ewangelia według św. Mateusza 24: 24. Apokalipsa św. Jana 14: 6-11, Ks. Izajasza 65: 21-24. Cytaty zaczerpnięte z HOLY BIBLE, NEW INTERNATIONAL VERSION®, ze strony biblegateway.com. Copyright © 1973, 1978, 1984, Biblica. Użyto za pozwoleniem wydawnictwa Zondervan. Wszelkie prawa zastrzeżone. Znaki handlowe „NIV” oraz „New International Version” zostały zarejestrowane w urzędzie United States Patent and Trademark Office przez: Biblica.

Motto — epilog: W. H. Auden, wstęp do *The Sea and the Mirror*, w: *Collected Poems*. Nowy Jork, 2007, s. 403. W wydaniu polskim w przekładzie autora tłumaczenia.

Ewangelia według św. Marka 13: 24-27

Cytaty zaczerpnięte z NEW AMERICAN STANDARD BIBLE®, ze strony: biblegateway.com. Copyright © 1960, 1962, 1963, 1968, 1971, 1972, 1973, 1975, 1977, 1995, Lockman Foundation. Użyto za pozwoleniem.

1 List do Koryntian, 15: 51-53, Dzieje Apostolskie 2:38, Ewangelia według św. Jana 15: 7, 8: 31. Cytaty z *New King James Version, Bible*, ze strony biblegateway.com. Copyright © 1982 Thomas Nelson, Inc. Użyto za pozwoleniem. Wszelkie prawa zastrzeżone.

[W wydaniu polskim przekłady wszystkich cytatów z Biblii zaczerpnięto z internetowego wydania *Biblii Tysiąclecia*(<http://biblia.deon.pl>)].

Hotel Paris (Las Vegas) „*A convergence of elegance and energy...*” („Połączenie elegancji i energii...”) — reklama w Internecie (<http://www.lasvegastourism.com/casinos/paris.htm>).

Jules Henri Poincaré *Mathematics is the art...* w: *The Future of Mathematics*. Cytat zaczerpnięty ze strony internetowej Portail Mathematique Documentaire (<http://portail.mathdoc.fr/BIBLIOS/PDF/Poincaré.pdf>)

Tekst na temat nadchloranu amonu i materiałów wybuchowych. Autor: Graham Orr.

Użyto za pozwoleniem.

Thornton Wilder „Money is like manure...” (Pieniądze są jak nawóz...). *The Matchmaker. A Farse in Four Acts.*

Ilustracje³

Wzrost epitaksjalny: F. Gutheim, H. Müller-Krumbhaar, E. Brener. *Epitaxial growth with elastic interaction: Submonolayer island formation*, w „Physical Review” E, vol. 63, 041603 (2001), wyd. American Physical Society.

Christchurch, Nowa Zelandia. Strona internetowa NASA. Image of the Day Gallery (<http://www.nasa.gov/multimedia/image-gallery/iotd.html>).

Wzrost bakterii na płytce Petriego. *Bacterial Growth in Stressed Environments*, strona internetowa Yale University, dział Fractal Geometry (sekcja 5g), prowadzący: Michael Frame, Benoit Mandelbrot, Nigel Neger (<http://classes.yale.edu/fractals/>).

Paproć niekropień: Strona internetowa Herbs2000.com (http://www.herbs2000.com/herbs/herbs_maidenhair_fern.htm).

Paproć: Strona internetowa Henry Domke *Fine Art: Nature Art for Healthcare* (<http://henrydomke.com/index.php>).

„Sztynna paproć” i „schizoidalna paproć”: Lon Kirschner, Kirchner Cardiff Design, Inc.

Paproć stworzona matematyczne i odpowiednie równania: Larry Bradley *Iterated Function Systems* na stronie Chaos & Fractals (<http://www.stsci.edu/~lbradley/seminar/ifs.html>).

Francja (mapy): Strona internetowa Stella Maris. *Cartes vectorielles* (http://www.stellamaris-edu.net/6/geo/6_geo_1).

Kryształy stopu metalu (Al-Mg-Mn) oraz równanie: Autor: Slinky Puppet, 20 grudnia 2005 roku, na użytek hasła Wikipedii: *Recrystallization (metallurgical)*.

Popękany chodnik: Andrew Houle, strona internetowa MyInkBlog (<http://www.myinkblog.com>).

Elektrokardiogramy: Ary L. Goldberger *Implications for Neuroautonomic Heart Rate Control in Health and Disease* w: „The Lancet” 347.9011 (11 maja 1996 r.) p. 1312-1314. Elsevier.

Liść: Strona internetowa Progressive Gardens: Knowledge tree/plant physiology

(<http://www.progressivegardens.com>).

Quebec (mapa): Strona internetowa Google Earth.

Błyskawica nad Tucson, AZ: Agencja internetowa Fotolia
(<http://pl.fotolia.com/id/4912845>).

Gałęzie drzewa: Fotografia ze zbiorów autora.

Dłoń z żyłami: *Fractals: Hunting the Hidden Dimension*, audycja wyemitowana w WGBH Boston po raz pierwszy 28 października 2008 roku (obraz został zmieniony, aby ukazać ciemne koło). Wideo dostępne na kasetach PBS Home Video (NOVA) lub na stronie internetowej <http://www.pbs.org/wgbh/nova/physics/fractal-detail.html>.

Przypisy

1 Przekłady wszystkich cytatów z Biblii zaczerpnięto z internetowego wydania *Biblii Tysiąclecia* (przyp. tłum.).

2 Ewangelia według św. Marka, ks. 13, w. 24-27.

3 Z wyjątkiem „szywnej paproci”, „schizoidalnej paproci” oraz „gałęzi drzewa”, wszystkie ilustracje zostały znalezione w Internecie i stamtąd zaczerpnięte.